

Stephen Clarke

MERDE W EUROPIE



W
ydawnic
ab
two



Stephen Clarke

MERDE W EUROPIE

przełożyła Maria Jaszczurowska



Wszystkie postaci i zdarzenia w powieści są całkowicie fikcyjne, nawet jeśli wydają się niepokojąco prawdziwe.

Tytuł oryginału: *Merde in Europe*

Copyright © Stephen Clarke, 2016

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Maria Jaszczurowska, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

Podziękowania

Motto

1. Banknoty euro mogą uczynić mężczyznę impotentem
2. Bruksela zmusza rolników, żeby dawali świniom zabawki
3. Unia chce zakazać śpiewania w pubach
4. Według unijnej dyrektywy o odpadach zwierzęcych nie wolno pogrzebać zwierzęcych zwłok, jeśli uprzednio nie wygotuje się ich pod ciśnieniem przez pół godziny w temperaturze 130°C
5. Unia chce wprowadzić zakaz gry na szkockich dudach
6. Bruksela podda się presji ze strony francji, żeby nakazać Brytyjczykom zmianę nazwy dworca Waterloo na Trafalgar Square
7. Bruksela chce zakazać chipsów z wędzonego boczku
8. Bruksela zarządziła, żeby ostrygom robić przerwy na odpoczynek w trakcie transportu na rynek
9. Kilt ma być uznany za strój kobiecy
10. Bruksela zmusi kierowców ciężarówek, żeby jedli musli
11. W myśl nowego przepisu unijnego królowa będzie musiała sama robić sobie herbatę
12. Bruksela chce zabronić brytyjskim barmanom noszenia głębokich dekoltów
13. Unia Europejska chce zmusić brytyjskich sprzedawców ryby z frytkami, żeby używali łacińskich nazw ryb
14. Hymn Wielkiej Brytanii *God Save the Queen* musi być śpiewany w językach wszystkich imigrantów
15. Bruksela mówi: zakaz sprzedaży alkoholu w tygodniu
16. Unia zmusi krowy, żeby nosiły pieluchy
17. Kanał La Manche ma zmienić nazwę na Staw Angielsko-Francuski
18. Bruksela chce objąć zakazem wspaniałe brytyjskie kiełbaski
19. Brytyjskie toalety zostaną wymienione na „eurosracze”

20. Uia chce zmierzyć, jak bardzo śmierdzą pracownicy

21. Nowy przepis unijny: zużyte gadzety erotyczne należy zwracać do sklepu

22. Unia chce, żeby wszystkie kondomy były w jednym rozmiarze – małym

23. Biurokraci z Unii Europejskiej uznali, że Wielka Brytania nie jest wyspą

24. Jeśli Wielka Brytania wystąpi z unii, brytyjscy piosenkarze będą mieli większe szanse na wygraną Eurowizji

De: Paul West À: Elodie Martin Sujet: głupie plotki na temat Europy

Przypisy

Autor chciałby podziękować wszystkim, którzy go oprowadzali po najmroczniejszych zakątkach instytucji Unii Europejskiej lub mu je objaśniali.

Z oczywistych powodów nie można wymienić wszystkich nazwisk ani też podać pełnych inicjałów, więc autor ograniczy się do serdecznego „dziękuję”, „*merci*” i „*dank uwe!*”, a słowa te kieruje przede wszystkim do E, P, N, G, J, I oraz S.

A poza tym również do J, A, J, R, W, T, O, D, K, S, V, B, C, L, S, F, H oraz M.

Szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów.

Albert Einstein

Banknoty euro mogą uczynić mężczyznę impotentem

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2002

– Co za makabryczne stworzenia z tych ostryg – powiedział Anglik.

Nie miałem pojęcia, dlaczego mi to mówi. Przypadkowo znaleźliśmy się w tym samym barze w Brukseli.

– Makabryczne? – spytałem.

– Brutalne – odparł mężczyzna. – Okropność.

– Naprawdę? – Moje kontakty z ostrygami były do tej pory raczej jednostronne i zwykle kończyły się wynikiem dwanaście do zera dla mnie. – Chodzi panu o to, że można sobie o nie pokaleczyć palce, jeśli próbuje się je otwierać rękoma? – Chciałem się upewnić.

– Nie. To małe, wstrętne gnoje. Zakradają się do człowieka. Nie wiedział pan?

– Nie.

Spojrzałem do prawie pustej szklanki. Nie chciało mi się słuchać bredzenia jakiegoś ogarniętego paranoją pijaka, który twierdził, że śledzą go mięczaki. Tamten jednak mnie szturchnął, omal nie wylewając mi resztki piwa.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, że choruje się nie tylko po zepsutych ostrygach – ciągnął. – Czasami wystarczy całkiem zdrowa ostryga. Jeśli nie została zabita w czysty sposób.

– Jak to?

Usiłowałem wyobrazić sobie, co mój rozmówca może mieć na myśli. Czy ostrygę należało powalić precyzyjnym ciosem karate w kark? Zakładając, że ostryga ma kark. A może lepiej ją zastrzelić? Choć po tym akurat mógłby zostać bałagan.

– Tak, tak. Trzeba dobrze pogryźć ostrygę, na miazgę, żeby była naprawdę martwa, zanim się ją połknie. Jeśli się jej dobrze nie pogryzie, to przedostanie się do żołądka żywa i będzie z siebie wyrzucać przeciwciała, dopóki nie zdechnie.

Mężczyzna beknął. Jego układ trawienny najwyraźniej zapragnął włączyć się do rozmowy.

– Czyli twierdzi pan, że ostrygi są jelitowymi terrorystami, których wysyła się na samobójcze misje w celu zniszczenia rasy ludzkiej? – upewniłem się.

– Może się pan natrzęsać. – Facet był jednak spostrzegawczy. – Ale jeśli nie zachowa się ostrożności, to nawet świeża ostryga może zrobić człowiekowi z kiszek jesień średniowiecza przez te swoje przeciwciała. Wspomni pan moje słowa, jak pan będzie przez całą dobę rzygał jak kot. A poza tym można się nabawić alergii do końca życia. Zje pan następną ostrygę i zarzyga pan całą łazienkę.

– Pyszności.

– Przykro mi, ale tak to jest. One właśnie takie są. Małe, wredne, oślizgłe i mściwe gnoje.

Na szczęście nie chciało mi się jeść. Siedzieliśmy w swojskim barze w centrum Brukseli i po kilku szklankach gęstego, ciemnobrązowego napoju warzonego przez belgijskich mnichów sadystów nie miałem najmniejszej ochoty nawet na całkowicie nieszkodliwą

sałatę. Pożywne to ich piwo.

– Musiał pan mieć nieprzyjemne doświadczenia z ostrygami, co? – zagadnąłem gościa.

– Tak, ale nie dlatego chcę, żeby ich zakazano.

– Zakazano?

– Żeby te małe, lepkie kulki wyjęto spod prawa. Żeby wprowadzono nowy europejski przepis, który uczyni je nielegalnymi.

– To trochę skrajna postawa, nie sądzi pan? Gdyby Europa zakazywała wszystkiego, po czym rzygamy, wódka byłaby już nielegalna w dwudziestu ośmiu krajach. Nie wspominając o kebabach kupowanych w środku nocy.

– No może nie trzeba ich od razu zakazywać; wystarczy wprowadzić niemożliwe do obejścia wymogi sprzedaży. Można by wprowadzić przepis nakazujący humanitarne zabijanie ostryg przed podaniem. Wie pan, nałożyłoby to na restauracje obowiązek rażenia każdej ostrygi prądem przed jej otwarciem. Albo stara dobra zasada prostego ogórka: ostrygi można byłoby sprzedawać tylko wówczas, gdy miałyby idealnie owalne skorupki. Żabojady wypłakiwałyby sobie oczy nad wodorostami.

– I pan może to sprawić?

– Pracuję dla europośła, który zajmuje się przepisami dotyczącymi żywności. Mógłbym spróbować.

– A niech to.

Nawet ja znam Brukselę na tyle, by wiedzieć, że członkowie Parlamentu Europejskiego to ludzie, którzy są w stanie swoje osobiste bolączki przekuć na przepisy prawne. Zatem mój nowy kumpel miał rację, mówiąc, że można Francuzów doprowadzić do płaczu. Embargo na ostrygi zrujnowałoby gospodarkę sporej części francuskiego wybrzeża, nie mówiąc już o menu w eleganckich paryskich *brasseries*.

Nie tylko zresztą paryskich.

– W Londynie często widuję ludzi jedzących ostrygi – rzuciłem.

– Tak, to garstka pozerów, którzy nie biorą udziału w eurowyborach. Takich to my mamy gdzieś.

– Z omułkami rozprawicie się tak samo? – spytałem jeszcze.

– Co? Przecież to belgijska potrawa narodowa. Nie możemy zrobić takiego świństwa naszym hojnym gospodarzom, co pan! – Facet wybuchnął chrapliwym śmiechem, po czym łyknął ciemnego flamandzkiego piwa. – No to nie pisnę już ani słówka. Jest pan Anglikiem, prawda?

– Tak, ale europośłanka, dla której pracuję, pochodzi z Francji.

– Z Francji? – Facet wyprostował się i wybałuszył oczy tak, jakby tuzin ostryg właśnie potraktowało go przeciwciałami. – Z *Francji*? Pan żartuje?

– Nie. Mieszkam w Paryżu, ale przyjechałem do Brukseli, bo mam teraz zadanie związane z ochroną zagrożonych języków we Francji. Wie pan, takich jak bretoński, baskijski, korsykański i inne.

– Ale nie jest pan Francuzem? Nie oddał pan paszportu?

– Nie. Ale kobieta, dla której pracuję, byłaby zaintrygowana pańskim planem zakazu sprzedaży ostryg. Reprezentuje zachodnią Bretanię.

– O cholera – jęknął mężczyzna.

– Chciał pan powiedzieć *merde* – poprawiłem go. – Chyba że woli pan dialekt bretoński,

wtedy powiedziałyby pan *kaoc'h*.

* * *

Muszę przyznać, że nie do końca mówiłem prawdę w rozmowie z moim gadatliwym angielskim przyjacielem. Wcale nie pracowałem dla francuskiej europosłanki. Przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Właściwie tamtego dnia dopiero przyjechałem do Brukseli. Na zaproszenie znajomej, Elodie, córki Jeana-Marie, mojego byłego szefa z Paryża. Powiedziałem, że przyjechałem na zaproszenie, lecz było to raczej wezwanie: „Zarezerwowałam ci pokój w Hotel Empereur Napoléon Bonaparte w Brukseli. Zadzwoń, to powiem więcej”.

Poprosiłem, rzecz jasna, o jakieś szczegóły, ale Elodie powiedziała tylko, że ma dla mnie wyjątkowo dobrze płatne zlecenie związane z językami zagrożonymi wymarciem. Kiedy spytałem, czy to oznacza podróż do amazońskich lasów deszczowych, roześmiała się i odparła: „Nie, chodziło mi raczej o to bretońskie gównu”. Przysłała mi jednak bilet na pociąg w pierwszej klasie, więc przybyłem do Brukseli zaciekawiony, a jednocześnie pełen niepokoju, czy to dobry pomysł.

Próbowałem sobie wmówić, że te moje wątpliwości to przejaw rażącej niewdzięczności. W końcu Elodie obiecała mi znaczną porcję unijnej kasy za wykonanie krótkoterminowego zlecenia. Czym w takim razie się zajmowałem? Zapłaciła mi nawet niezłą zaliczkę. Cokolwiek się stanie, najbliższe tygodnie na pewno nie przyniosą mi straty.

Kłopot w tym, że Elodie już kiedyś mnie zwiodła. A nawet uwiodła.

Kiedyś (przez dość krótki czas) byliśmy kochankami, ale tylko dlatego, że chciała zaszokować swojego papę, który był moim szefem. Kilka miesięcy później usiłowała sabotować moją nową pracę, która polegała na promowaniu wizerunku Wielkiej Brytanii, żeby przyciągnąć amerykańskich turystów. Nasza mała rywalizacja zakończyła się zajadłą bitwą na owoce w Los Angeles, w wyniku której jej ojciec został od stóp do głów upapwany truskawkami. Od tamtej pory zdążyliśmy się jednak pogodzić, a ja nawet pomogłem zorganizować catering, kiedy Elodie brała ślub z obrzydliwie bogatym paryskim bankierem. Miałem więc nadzieję, że już mogę jej zaufać.

Przecucie podpowiadało mi, że jej wiarygodność zależy od tego, czy jej ojciec, Jean-Marie, bierze udział w planie, który uknuła. Ojciec i córka zbyt często spiskowali razem, szykując różne intrygi.

Jean-Marie był *député* (członkiem francuskiego parlamentu) i reprezentował miejscowość z departamentu Mayenne, na południu Normandii. Został wybrany, ponieważ obiecał tamtejszym rolnikom, że będą mogli zarzucić męczący proceder uprawy roli i do końca życia korzystać z dotacji, które pozyska dla nich jako poseł z Brukseli. Jak się nad tym dobrze zastanowić, to samo obiecuje rolnikom większość francuskich polityków, więc może Jean-Marie wcale nie był gorszy od pozostałych.

Wydawało się logiczne, że Elodie pójdzie w ślady ojca. Wkrótce sama zajęła się polityką i dostała się do Parlamentu Europejskiego. W końcu ojciec jakoś musiał pozyskać obiecane dotacje dla rolników.

Mimo wszystko dwie rzeczy niepokoiły mnie w jej przeprowadzce do Brukseli.

Po pierwsze: jakim cudem Elodie została wybrana w okręgu położonym na zachodnim

krańcu Bretanii. Z tego, co wiem, nigdy w życiu tam nie była.

Po drugie: Elodie ukończyła najdroższą uczelnię ekonomiczną we Francji i niedawno wżeniła się w jeden z prywatnych banków w Paryżu. Po co miałyby rezygnować z niebotycznych zarobków w świecie biznesu i zarządzania, przenosić się do Belgii i spędzać długie godziny na wysłuchiwanie debat na temat minimalnych wymaganych rozmiarów łupacza oraz rozważaniach, czy brytyjską czekoladę należałoby zaklasyfikować jako „brązowy tłuszcz bogaty w cukier”?

Byłem prawie pewien, że maczał w tym palce jej ojciec.

Miałem się tego dowiedzieć już następnego ranka. Przyszedł zatem czas, by powiedzieć *au revoir* brukselskiej knajpce oraz rozmownemu Anglikowi, wrócić do hotelu i choć na chwilę się zdrzemnąć.

Jedyny problem, jak się przekonałem, gdy tylko udało mi się zlokalizować wyjście z knajpy i stanąć na brukowanym chodniku, polegał na tym, że belgijskie piwo koncentruje się gdzieś w okolicy kolan, niesamowicie utrudniając chodzenie.

Co gorsza klimat w Brukseli jest nieprzewidywalny i wieczór nagle zrobił się dziwnie mglisty. Okazało się, że nie poznaję ulicy, na której się znalazłem, ani nie widzę na tyle wyraźnie, aby wspomóc się mapą w telefonie. Właściwie nie zdołałem nawet wycelować palcem w wyświetlacz, żeby go odblokować.

Zrozumiałem, że piwo mogło być mocniejsze, niż mi się początkowo wydawało. Wciąż jak przez mgłę pamiętałem nazwę mojego hotelu, więc postanowiłem zapytać kogoś o drogę. Kilka metrów dalej, na rogu, stała jakaś kobieta – wyglądała na życzliwie nastawioną, bo uśmiechała się do mnie, jakby miała ochotę mi pomóc.

– Jest pan Anglikiem?! – zawołała. – *Français? Deutsch? Italiano?*

– Ach, jestem stuprocentowym Anglikiem. Nie ma we mnie nic z Francuza – odparłem i nie wiedzieć czemu roześmiałem się.

Kobieta wydawała się ucieszona moją odpowiedzią, sądząc po tym, jak wypięła pokaźny biust. Dopiero teraz zauważyłem, że zakrywa go tylko obcisła, mocno wydekoltowana koszulka. Kobieta zaczęła drobić w moją stronę na niebezpiecznie wysokich obcasach. Obawiałem się, że potknie się na bruku i zedrze sobie kolana, których nie przykrywały wyjątkowo krótkie szorty.

– Mogłaby mi pani oddać przysługę? – spytałem. – Potrzebuję pomocy.

– Co tylko chcesz, złociutki – odparła.

Uznałem to za przejaw wielkoduszności, tym bardziej że wcale mnie nie znała.

Bruksela zmusza rolników, żeby dawali świniom zabawki

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2003

Na drugi dzień rano miałem jeden powód do wdzięczności, ale tylko jeden. Gdy się obudziłem (a raczej gdy powoli grzebałem się w bagnie świadomości), okazało się, że dostałem wiadomość od Elodie – musiała jechać do Paryża, więc na nasze spotkanie w Brukseli spóźni się jakieś osiem godzin. Ulżyło mi niezmiernie, bo moje ciało dygotało na myśl o powrocie do pozycji pionowej, nie wspominając już o konieczności chodzenia, myślenia czy mówienia.

Jak na kaca było to wprost niesamowite trójwymiarowe doświadczenie. Zimny jak kamień i całkowicie trzeźwy belgijski mnich co rusz przerzucał mi nad głowę butelki po piwie. Braciszkwowie wiedzą, jak wpędzić człowieka w poczucie winy z powodu folgowania cielesnym pragnieniom. Nigdy w życiu nie modliłem się o wybaczenie tak żarliwie jak wtedy.

Przez gęsty całun fizycznego bólu niejasno wyczuwałem, że musiałem zgrzeszyć na więcej sposobów. Za dużo wypilem, to nie ulega wątpliwości, ale czy nie popełniłem jeszcze jednego okropnego czynu?

Na szczęście moja pamięć wszystko wyparła.

Przez cały dzień jęczałem w pozycji embrionalnej. Dopiero około godziny piątej udało mi się doczołgać do łazienki i wziąć niemiłosiernie zimny prysznic. Potem wystarczyło już tylko poczwórne espresso, abym nabrał akurat tyle siły, żeby dowlec się do taksówki i błagać kierowcę, żeby w miarę łagodnie i delikatnie zawiózł mnie na dworzec Bruxelles-Midi. Dziwna nazwa swoją drogą, Dworzec Południowy – znaczy pociągi przyjeżdżają tu tylko w samo południe, w porze lunchu? Ciekawe, czy mają też dworzec Bruxelles Soir albo Bruxelles Petit Déjeuner. Muszę spytać o to Elodie, jeśli oczywiście nadal będę pamiętał to pytanie, kiedy się spotkamy. Jej pociąg miał przyjechać z Paryża kwadrans po szóstej.

Gdy taksówka jechała ruchliwymi ulicami miasta, zamknąłem oczy i usiłowałem zmusić mój mózg, żeby skupił się na zadaniu, które go czeka. Zadanie polegało na tym, by starać się wyglądać na trzeźwego, w pełni sił i zdolnego do podjęcia pracy. Choć duet Elodie i jej ojca nie kojarzył mi się z bezpieczeństwem, potrzebowałem forsę. Herbaciarnia w Paryżu, której byłem współwłaścicielem, prosperowała całkiem nieźle, ale praktycznie wszystkie zyski inwestowaliśmy w działalność. Chcieliśmy też otworzyć drugi lokal. W takim układzie napchanie kieszeni żywą gotówką było jednym z moich bieżących priorytetów.

Musiałem się na chwilę zdrzemnąć, bo kiedy otwarłem oczy, zobaczyłem, że uśmiechnięty kierowca patrzy na mnie i coś mówi.

– *Monsieur, la gare*, jesteśmy na miejscu – usłyszałem.

Dałem taksówkarzowi kilka euro, poprosiłem, żeby zaczekał, i skierowałem się w stronę dworca, ze wszystkich sił starając się iść prosto.

Nowa część dworca, czyli tam, gdzie miała wysiąść Elodie, zdołałaby zawstydzić nawet

paryski Gare du Nord. Hala była nieco mroczna, ale dla kogoś z silną migreną to akurat wielki plus. Próżno byłoby tu szukać nieporządku czy brudu – sklepy były eleganckie, a wszędzie unosił się zapach świeżego pieczywa i czekolady. Gdybym nie miał kaca giganta, na pewno byłbym zachwycony. W hali dworca znajdowały się też bar, w którym podawano świeżo wyciskane soki, i kwiaciarnia. Tak, to miła odmiana po Gare du Nord, gdzie szaleje wiatr, dookoła stoją zapaskudzone przez gołębie budki z kawą, a bandy żebraków wypatrują otwartych torebek i niestrzeżonych kieszeni. Zawsze miałem wrażenie, że Francuzi poświęcili tyle czasu na utyskiwanie, że Londyn pierwotnie wybrał Waterloo jako stację dla pociągów Eurostar, że w tym wszystkim zapomnieli zadbać o własny dworzec.

Bruxelles-Midi w sumie nie był zły. Znalazłem nawet ławkę, na której nikt nie mieszkał, i tam postanowiłem zaczekać na Elodie.

Mój odpoczynek dobiegł końca szybciej, niż planowałem, bo oto przy schodach prowadzących z peronu znienacka pojawiła się właśnie Elodie. Wyglądała, jakby też przesadziła z alkoholem, choć w jej przypadku musiały to być raczej koktajle z kokainą. Rzuciła się w moją stronę, a poły jej czarnego płaszcza powiewały za nią niczym spadochron. O nie – pomyślałem – w moim stanie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję: Elodie w bojowym nastroju do robienia interesów.

Wyglądała dobrze – nawet ja musiałem to przyznać – długie nogi, sprężysty krok i ciemna spódnica zmysłowo opinająca biodra. Jasne włosy spięte w klasyczny kok – zauważyłem od razu, że jej twarz wyglądała nieco dojrzałej niż rok temu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Czerwone usta Elodie przybrały zacięty wyraz zamiast zmysłowego grymasu, a brwi były starannie wymodelowane i laserowo poprawione tak, że osiągnęły niemalże idealną symetrię.

– *Allez*, Paul, wstawaj, jesteśmy spóźnieni!

Jedna rzecz z pewnością się nie zmieniła. Elodie nadal była wredną francją.

– *Bonsoir*, Elodie – odparłem dobitnie.

– Och, będziemy mieć czas na powitania i uprzejmości w taksówce. Bo ufam, że *sprowadziłeś* taksówkę?

– Oczywiście.

– No to idziemy. Europa nie płaci za przestoje.

Popędziłem za nią truchcikiem, zmuszając ciało do poruszania się w dwukrotnie większym tempie niż požądane. Kiedy wyszliśmy z hali dworca, podprowadziłem Elodie do eleganckiego czarnego audi z paskiem z żółtej szachowniczkii.

Zmarnowaliśmy kilka cennych sekund, gdy Elodie stała obok drzwi samochodu, czekając, aż ktoś (*moi*) je przed nią otworzy, po czym taksówka ruszyła wąską uliczką z wydzielonym pasem dla pieszych.

– Czy on wie, dokąd ma jechać? – rzuciła Elodie.

– Nie wie. Ja też nie.

– To dlaczego ruszył?

– To chyba ulica jednokierunkowa.

– Aha. – Elodie się pochyliła. – *Au parlement européen, s'il vous plaît* – zwróciła się prawie uprzejmie do taksówkarza. – *Le plus vite possible* – dodała błagalnym dziewczęcym tonem, który umie włączyć na zawołanie.

– OK, *Madame* – odparł kierowca i wyjaśnił, że w mieście są korki, więc będzie trzeba

trochę nadłożyć drogi.

– *Très bien, très bien* – sarknęła Elodie, natychmiast wracając do swojego naturalnego tonu zniecierpliwionej diwy.

Taksówkarz wiózł nas płataniną wąziutkich uliczek. Co jakiś czas samochód trząsał się na kostce brukowej, zamieniając moją obolałą głowę w shaker do koktajli, więc próbowałem się skupić na odkrywaniu piękna nowego miasta. Wszystko dookoła przypominało Francję, a jednak było inne.

Wyglądało to tak, jakby brukselskim architektom powiedziano, żeby zaprojektowali miasto w stylu francuskim, lecz przy użyciu czerwonej londyńskiej cegły i z wykluczeniem typowych paryskich krzywizn i łuków. Cegły często kładziono w poziomych liniach, żeby – jak poziome paski na koszulce – dodawały masy wąziutkim budynkom szerokości jednego pokoju. Kamienice były niskie, a każda miała swój styl – w przeciwieństwie do dziewiętnastowiecznych paryskich ulic, na których wszystkie budynki były mniej więcej takie same. Wszędzie widziałem balkony i okna wykuszowe, a spiczaste gotyckie wieżyczki przeplatały się z płaskimi, nowoczesnymi dachami.

Wszystko było urocze i prowincjonalne jak na międzynarodową stolicę. Tylko eleganckie fasady sklepów zdradzały, że tu narodziło się euro. Pomyślałem, że na markowe buty i ubrania stać chyba tylko kogoś ze zwolnioną z podatku pensją pracownika oddelegowanego za granicę.

Na bocznych uliczkach nie było wielkiego ruchu. Kierowca stawał, żeby piesi mogli przejść na drugą stronę, nawet jeśli mieliśmy zielone światło. Coś takiego nigdy nie zdarzało się w Paryżu – nic dziwnego, że Elodie była oburzona.

– Czy pan naprawdę *musi* się zatrzymywać na *każdym* skrzyżowaniu? – rzuciła nerwowo po francusku.

– Tak, tego wymaga prawo – odparł taksówkarz.

– Przecież prawo tworzą ludzie *tacy jak ja!* – utyskiwała Elodie.

To prawda, pomyślałem. I właśnie z powodu takich zachowań zaczyna krążyć opinia, że Brukseli przewróciło się w głowie. Zauważyłem, że kierowca zerka we wsteczne lusterko, na Elodie.

– *Vous êtes française, non?* – zapytał.

– *Oui?* – odparła wyzywającym tonem, jak gdyby to było oskarżenie.

Prawdopodobnie było.

Wyjechaliśmy na szeroki, zatłoczony bulwar i minęliśmy średniowieczny zamek przypominający miniaturowy francuski *château*. Utknęliśmy w korku, więc kierowca odwrócił się do nas i zaczął nawijać o słynnych Francuzach uciekających przed podatkami, których zdarzało mu się wozić. Słyszałem, że Elodie jęknęła, chcąc okazać brak zainteresowania, więc szybko zachęciłem go zaciekawionym „*vraiment?*”. Lub dwoma.

– Jest jeszcze jedna osoba, bardzo sławna, przyjechała w zeszłym tygodniu – oznajmił z szerokim uśmiechem taksówkarz. – Zgadnijcie kto. Kobieta. Piosenkarka.

– Edith Piaf – syknęła Elodie.

Chyba nikt jeszcze nie wypowiedział nazwiska legendarnej *chanteuse* z taką zajadłością – nie licząc może tych, którzy wspominali o jej wątpliwej działalności podczas okupacji.

Kierowca zrozumiał sarkazm i zamilkł obrażony. Spojrzałem na Elodie z wyrzutem.

– To jego wina – zwróciła się do mnie po angielsku. – Niech się skupi na drodze. I tak jestem spóźniona.

– Na co? Przecież byłaś umówiona ze mną. I się spotkaliśmy.

– Myślałeś, że tak pędzę do Brukseli tylko ze względu na ciebie, Paul? – Roześmiała się. – To urocze. Nie, muszę przed siódmą podpisać się na liście europosłów, inaczej nie dostanę dniówki, a to ponad trzysta euro. Biedna posłanka musi walczyć o każdego centa.

– Czyli spędziłaś cały dzień w Paryżu, zajmując się sprawami Unii? – Moje pytanie zabrzmiało bardziej sarkastycznie, niż planowałem, ale Elodie wzruszyła ramionami.

– Jestem członkiem Parlamentu Europejskiego. Każdy mój oddech to praca na rzecz Unii. – Zachichotała i powtórzyła ostatnią kwestię na melodię znanej piosenki zespołu The Police.

Piosenka jest nadal bardzo popularna we Francji. Kto jak kto, ale Francuzi wiedzą, jak ją spaprać.

Wyjrzałem tęsknie przez okno samochodu na zielony neonowy krzyż z napisem „*pharmacie*”, która w Brukseli może nazywać się również *apoteek*. Pomyślałem, że to jeden z powodów, dla których unijną administrację postanowiono zorganizować właśnie tutaj – Belgowie mieli doświadczenie w dwujęzycznych oznaczeniach, zanim zaszła konieczność wprowadzenia dwudziestu kilku nowych języków urzędowych.

– Och, Paul, cudownie znów cię widzieć – odezwała się Elodie. Zaskoczył mnie ten nagły przypływ życzliwości. – Nikt nie umie mi tak docinać jak ty. – To powiedziawszy, spojrzała na mnie niemal z czułością. – Ale coś ty ze sobą zrobił? Koszmarnie wyglądasz. Piłeś?

– Skąd. Rzuciłem to – odparłem. – Nie miałem w ustach ani kropelki od o, ho, ho... – Machnąłem ręką, usiłując wmówić sobie, że abstynentem można być równie dobrze od sześciu godzin, co od sześciu miesięcy.

Elodie się roześmiała.

– Z ręką na sercu – dodałem. – Całą noc spędziłem, powtarzając nieregularne bretońskie czasowniki.

– Słyszałam co innego, Paul. Co to było za spotkanie z prostytutką? – Elodie uśmiechnęła się, rzucając mi oskarżycielskie spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– Kierownik hotelu dzwonił do mnie dziś o świcie. Skarżył się na ciebie. Naprawdę, Paul, co ci przyszło do głowy z tą dziwką? Nie masz teraz żadnej dziewczyny? Poza tym po co przyprowadziłeś ją do hotelu? To jest miejsce, w którym zazwyczaj umieszczam swoich gości.

Lawina pytań obudziła wspomnienia, które mój kac do tej pory skutecznie blokował. Tamta kobieta na rogu ulicy. W kusej koszulce i za małych szortach.

– Nie przyprowadziłem jej. To ona mnie prowadziła. – Przypominałem to sobie jak przez mgłę. – Poza tym jestem pewien, że nie... No wiesz, nigdy bym nie... Jeszcze nigdy... i nie z...

Muszę przyznać, że nie brzmiało to zbyt przekonująco, ale byłem pewien, że nie wydarzyło się nic nieobyczajnego, nawet po solidnej porcji belgijskiego piwa. Nigdy w życiu nie płaciłem za seks. A przynajmniej nie pieniędzmi. Owszem, zdarzało mi się ponosić ogromne koszty natury emocjonalnej.

– Wiem, że nie zabrałeś jej do pokoju – oznajmiła Elodie. – Portier ją zatrzymał.

– Ach, jasne. Prawda. Portier. – Przypomniał mi się mrukliwy facet w szarej kamizelce. Potem przypomniało mi się też, że ten facet nagle upadł. – Sam jest sobie winien, że mu przyłożyła. Nie była zadowolona. Dopiero co zdołałem jej wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie, a wtedy ten musiał się wtrącić. I bez niego miałem sytuację pod kontrolą.

– Czyżby? Z tego, co mówił kierownik, klęczałeś, kiedy prostytutka próbowała wyciągnąć ci portfel z kieszeni dżinsów. Portier dał jej dwadzieścia euro i ją wyrzucił.

– Dał jej dwadzieścia euro z mojego portfela?

– Wierz mi, Paul, powinienesz mu jeszcze dołożyć pięćdziesiąt. Gdyby jedna z dziewczyn pracujących na ulicach Brukseli dostała się do twojego pokoju, nie miałbyś teraz karty kredytowej, telefonu, paszportu i wacka pewnie też. One są niebezpieczne. W Belgii prostytutka jest legalna, ale ten zawód niekoniecznie przyciąga najlepsze jednostki. Mam nadzieję, że kiedy będziesz pracował dla mnie, uda ci się zachować trzeźwość.

– Powiedziałem ci, że rzuciłem alkohol. Złożyłem obietnicę – oznajmiłem. – Poza tym jeszcze mi nie wyjaśniłaś, co miałbym dla ciebie robić w sprawie języków zagrożonych wyginięciem.

– Dowiesz się w swoim czasie. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Mała uliczka, w której się znaleźliśmy, była taką samą mieszaniną elegancji i zaniedbania jak wszystkie pozostałe, którymi jechaliśmy, z tą różnicą, że zaparkowane tu samochody były o wiele większe i miały zagraniczne rejestracje. Po chwili dotarliśmy do szerszej alei i zauważyłem, że stojące tutaj budynki mają szklane nowoczesne fasady i pełno tu sztyldów zagranicznych banków i eleganckich kafejek.

Wjechaliśmy na nieduży plac z pomnikiem przedstawiającym jakiegoś zmęczonego polityka. Po dwóch stronach placu zauważyłem tarasy kawiarni, na których siedział tłum urzędników płci obojga. Wszyscy byli uśmiechnięci i popijali drinki. W Parlamencie Europejskim musi być coś wyjątkowego, skoro wszyscy pracownicy są tacy zadowoleni.

– *Voilà!* – oznajmił taksówkarz.

– *Merci* – odparłem, bo Elodie zapłaciła kierowcy bez słowa, wzięła paragon i wyskoczyła z samochodu.

Jej niskie obcasy stukały na bruku, gdy biegła w stronę wielkiego beżowego dziedzińca otoczonego łukowatym murem obwieszonym ogromnymi zdjęciami upamiętniającymi zakończone powodzeniem inicjatywy unijne. Wdzięczni odbiorcy dotacji w euro uśmiechali się z fotografii jeszcze promienniejszej niż urzędnicy przechadzający się po placu.

Na podjeździe kręciło się całkiem sporo ludzi wyglądających na eurokratów – stali w grupkach, rozmawiali albo szli do kafejek. Elodie przeciskała się między nimi, aż dotarła do szerokich schodów – klatka schodowa musiała być największą szklaną konstrukcją poza Ameryką i Dubajem. Ten, komu udało się dostać kontrakt na usługi szklarskie w Parlamencie Europejskim, pewnie od razu przeszedł na emeryturę i wyjechał na Kajmany. Albo założył firmę myjącą okna.

– *Allez*, Paul, ruchy, ruchy, ruchy! – warknęła przez ramię Elodie.

Zachowywała się teraz jak mój osobisty trener.

Przy pierwszych drzwiach musiała sięgnąć do torby po przepustkę. Uciekając się do władczygo tonu oraz zmysłowego przygryzania wargi, zdołała ubłagać strażnika, żeby mnie wpuścił.

– Tylko dwie minutki. Ten pan zaraz wyjdzie – obiecała.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Fałszywe obietnice polityków nie robiły już na nim wrażenia. Elodie pchnęła mnie przez obrotowe drzwi, potem prawie przerzuciła przez bramkę z wykrywaczem metalu, a po chwili pędziliśmy po szerokiej marmurowej posadzce foyer w kierunku recepcji. Tam wreszcie można się było zatrzymać.

Kobieta za kontuarem gawędziła życzliwie z mężczyzną, którego akurat obsługiwała. Facet miał na sobie zwyczajne ciuchy, nie garnitur. Takich mężczyzn Elodie zwykła traktować jak popychadła.

– Przepraszam bardzo, ale mam pilną sprawę – odezwała się po francusku gromkim głosem.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał prosto w rozgniewane oczy Elodie.

– Ależ proszę – odparł po angielsku.

Najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, że paryżanie traktują go z góry.

– *Oui, Madame?* – spytała recepcjonistka.

– Muszę się podpisać. Nie ma jeszcze siódmej, *n'est-ce pas?* – Elodie podniosła rękę i zerknęła na zegarek, żeby wszyscy widzieli, że w pełni zasłużyła na swoją dniówkę, bo pokazała się w pracy całe dwie minuty przed końcem dnia.

– Siódmej? Członkowie Parlamentu Europejskiego mogą podpisywać się nawet później – wyjaśniła recepcjonistka, z trudem ukrywając zadowolenie z faktu, że Elodie niepotrzebnie gnała na złamanie karku. – Mogą się państwo podpisywać do jedenastej.

– Do jedenastej? – Elodie otworzyła usta. – Ale ja *zawsze* podpisuję się przed siódmą. Z tego powodu odwołałam kolację w Paryżu. Co prawda na kolacji miał być tylko mój mąż, ale mimo wszystko... Dlaczego nikt nas o tym nie informował?

Elodie zachowała się jak zwykle – podobnie zresztą jak wszyscy Francuzi – czyli zwałała winę na innych.

– Jest oficjalny dokument, *Madame* – odparła recepcjonistka. Odwróciła się, otworzyła szufladę i z kamienną twarzą rzuciła na biurko ciężki wolumin. – Regulamin pracy członków Parlamentu Europejskiego – oznajmiła.

Elodie cofnęła się, jakby ktoś właśnie dał jej do potrzymania żywego borsuka.

– Przecież nie mogę tego wszędzie ze sobą targać – zaprotestowała.

– Może Louis Vuitton produkuje specjalne torby dla europosłów – zasugerowałam. – Mogłabyś ją sobie wrzucić w koszty.

Recepcjonistka posłała mi delikatny uśmiech.

– Regulamin jest również w wersji elektronicznej. Mogę pani przesłać – zaproponowała.

– Dziękuję, moja asystentka go przeczyta i przekaże mi najważniejsze informacje – odparła Elodie i machnęła ręką w moim kierunku. – Poczekaj tu, a ja się podpiszę – poleciła. – Nie będę cię przepychała przez kolejne bramki. Może zorganizujesz sobie w tym czasie przepustkę dla gości?

To powiedziawszy, zostawiła mnie w towarzystwie mężczyzny, którego jednym zdaniem usunęła ze swojej drogi. Zrobiło się trochę niezręcznie. Facet zmierzył mnie wzrokiem. Byliśmy ubrani podobnie – biała koszula, dzinsy i ciemna marynarka – ale mnie spowijała dodatkowo aura niedbałości. On jednak był posiadaczem stałej plastikowej przepustki zawieszanej na szyi na podniszczonej już smyczy, podczas gdy ja byłam tu tylko przejazdem.

– Ależ proszę, pan pierwszy – odezwałam się, żeby przerwać niezręczną ciszę. –

Przepraszam, że się wepchnęliśmy. Ona jest Francuzką.

– O tak. – Mężczyzna pokiwał głową. – To widać.

Elodie wróciła do recepcji dziesięć minut później, cała w skowronkach. Każdy by się cieszył, gdyby dostał kilkaset euro za jeden podpis. Podziękowała recepcjonistce i z wdziękiem przeprosiła mężczyznę, przed którego się wepchnęła. Zdążyłem się już zorientować, że gość przyszedł tylko pogadać z recepcjonistką i ustąpiłby nam miejsca, nawet gdyby Elodie na niego nie warczała.

Elodie wzięła mnie pod rękę jak stara dobra znajoma – tym razem nie jak policjant – i wyprowadziła, rozdając uśmiechy niczym księżniczka na charytatywnej wyprzedaży. Przeszliśmy przez bramkę i po chwili znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Muszę się czegoś napić – oznajmiła, gdy schodziliśmy po schodkach na dziedziniec otoczony gigantycznymi posterami. Jeden z nich przedstawiał zdjęcie brudnego brzdąca, który dzięki Unii Europejskiej popijał czystą wodę.

– Ja też – odparłem. – Najlepiej czegoś klarownego i z bąbelkami.

Byłem przekonany, że zdjęcie brzdąca sponsorowała jedna z kafejek obok parlamentu. Sam widok wystarczył, żeby człowiekowi zachciało się pić.

– Przy okazji możesz mi wyjaśnić, o co chodzi z tymi językami.

– To nic wielkiego – odrzekła Elodie.

Prychnęła tak, jak to robią Francuzi, kiedy guzik ich obchodzi temat poruszany przez rozmówcę.

– Sprowadziłaś mnie do Brukseli, a teraz mówisz, że to nic wielkiego? – spytałem.

– Większość z nas zajmuje się tu pierdołami, Paul. Nie wiedziałeś? – Roześmiała się z własnego dowcipu. – A tak poważnie, chciałam powiedzieć, że mam budżet na projekt dotyczący języków, ale w rzeczywistości kryje się za tym coś o wiele ważniejszego.

– Tak?

– Tak. – Elodie przyciągnęła mnie bliżej siebie i rozejrzała się dookoła, jak gdyby chciała sprawdzić, czy któryś z posiadaczy przepustek na dziedzińcu przypadkiem nas nie podsłuchuje.

Nikt nie podsłuchiwał – wyglądało na to, że wszyscy zajęci byli niezobowiązującymi rozmowami po zakończonym dniu pracy. Mimo wszystko Elodie zniżyła głos.

– Mam dla ciebie misję, Paul.

– Naprawdę?

To mogło oznaczać świetną zabawę lub, jak znałem Elodie, wielką katastrofę.

– Owszem.

Puściła moje ramię i ruszyła po kamiennych beżowych płytach w stronę pierzei z kafejkami.

– Masz zamiar mi wyjaśnić, o co chodzi? – spytałem, biegnąc za nią.

– Nie tutaj. Powiem ci wszystko jutro rano.

– I po to wyciągnęłaś mnie z łóżka?

Głowa znów zaczynała mi pulsować. Najwyraźniej miała mi za złe, że zmuszałem ją do wysiłku, podczas gdy mogła spokojnie leżeć na poduszce.

– Z łóżka? O szóstej wieczorem? – Elodie się roześmiała, przystając przed przejściem na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się taras najbliższej kawiarni.

– Mogłabyś przynajmniej streścić, o co chodzi.

– Niech ci będzie. – Pokręciła głową, patrząc na mnie jak na upierdliwe dziecko, po czym pochyliła się i powiedziała: – Śledzisz w wiadomościach informacje na temat ewentualnego referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii?

– Oczywiście.

Od kilku miesięcy w wiadomościach nie mówiło się właściwie o niczym innym. Wszyscy usiłowali przewidzieć, kiedy dojdzie do referendum i jaki będzie wynik. Teraz, gdy wreszcie ustalono datę, o referendum mówiono już wszędzie. Strach było otworzyć lodówkę. Temat przewijał się już nawet w prognozach pogody: jak opady deszczu wpłyną na frekwencję.

– I jak myślisz, jaki będzie wynik? – dopytywała Elodie.

– Nie mam pojęcia, wyniki sondaży są niejednoznaczne.

– Tak czy owak ja, choć raczej powinnam powiedzieć „my”... – Po raz kolejny rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje. – My, Francuzi, nie chcemy, żeby Wielka Brytania wystąpiła z Unii.

– Poważnie?

W to akurat trudno mi było uwierzyć. W Paryżu krążyła opinia, że perspektywa wyrugowania odwiecznego rywala Francji w walce o władzę w Europie wydawała się kusząca. Dwieście lat temu o tym właśnie marzył Napoleon.

– Oczywiście. – Elodie jeszcze bardziej zniżyła głos i szepnęła mi do ucha: – Potrzebujemy silnej Europy, żeby stawić czoła hegemonii Amerykanów.

– Ach, rozumiem.

Francuzi uwielbiają takie słowa jak „hegemonia”, szczególnie wtedy, gdy mowa o ich największym postrachu zza oceanu. Nie mam pojęcia, co ten wyraz oznacza, zresztą Francuzi chyba też, co nie zmienia faktu, że brzmi nieźle.

– Poza tym Brytyjczycy nie zdają sobie sprawy, jak wielkie korzyści odnoszą z przynależności do wielkiej europejskiej drużyny – mówiła dalej Elodie. – Pozostawiona sama sobie Wielka Brytania nie byłaby taką potęgą. Świat postrzeżałby ją jako kolejną małą wyspę, bo tym w istocie jest. Coś jak większa Korsyka. Wy, Anglicy, zamykacie oczy i nie chcecie dostrzec tej prawdy. Chowacie głowę w strusia. Tak się u was mówi?

Na jej nieskazitelnej angielszczyźnie rysy pojawiały się tylko wówczas, gdy Elodie była naprawdę zdenerwowana.

– To byłoby niebezpieczne posunięcie – przyznałem. – A jaka ma być w tym wszystkim moja rola? W twoich planach, oczywiście, nie w strusiu.

– Pomożesz nam powstrzymać Wielką Brytanię przed wystąpieniem z Unii, to oczywiste.

Elodie cofnęła się i wykrzywiła usta w grymasie, jakby dziwiło ją, że jeszcze się tego nie domyśliłem – uniosła brwi i zmarszczyła nos tak, że przydałby się chyba litr botoksu, żeby z powrotem go wygładzić.

– Och. – To mnie zaskoczyło. – I pomyślałaś, że ja bym się tym chętnie zajął?

– Nie chcesz, żeby Wielka Brytania została w Europie, Paul? Mieszkasz tu. Jesteś obywatelem kontynentu. – Elodie gapiła się na mnie tak, jakbym przed chwilą oznajmił, że wychodzę z jacuzzi, zanim włączono bąbelki.

– Właściwie to jeszcze nie jestem pewien, czego chcę. Nadal rozważam argumenty za i przeciw.

– To bardzo wyważone podejście, Paul, ale weź pod uwagę jeden detal: płacę ci, i to

niemało, za wykonanie konkretnej pracy, więc chcę, żebyś wykonał zadanie.

– Ale jak niby mam powstrzymać Wielką Brytanię przed odejściem z Europy?

– Mamy pewien plan, Paul. Jutro wyjaśnię ci szczegóły. A teraz chodźmy się wreszcie czegoś napić. Jutro musisz od razu zabrać się do pracy. Nie chcemy marnować unijnych pieniędzy.

Z tymi słowami podniosła rękę i wkroczyła na ulicę przed taksówkę, która zatrzymała się z piskiem opon. W Paryżu taki krok oznaczałby niechybną śmierć pod kołami. Elodie najwyraźniej zdążyła się już zaaklimatyzować w Brukseli.

Unia chce zakazać śpiewania w pubach

Doniesienia z prasy brytyjskiej, 2002

– Witaj na Flux – rzuciła Elodie, kiedy weszliśmy do zatłoczonej, gwarnej kawiarenki.

– To jakiś flamandzki slang? – spytałem.

– Nie, to typowo brukselska nazwa. Wszystko tu się skraca i zmniejsza (z wyjątkiem moich kosztów, rzecz jasna). Flux to skrót od Placu Luksemburskiego. To ten plac. Wszyscy przychodzą tu po pracy.

Mówiąc „wszyscy”, Elodie nie uwzględniała kierowców autobusów, sprzedawców gofrów i czyścicieli okien. Miała na myśli wszystkich, którzy są kimś, śmietankę wśród eurokratów. Z tego, co widziałem, butiki z ubraniami prosperowały równie dobrze jak kafejki. To samo można powiedzieć o fryzjerach i kosmetyczkach. Oraz o siłowniach – wszyscy klienci kafejki mieli szczupłe talie, smukłe łydki i jędrne pośladki. Nawet osoby w średnim wieku trzymały się całkiem dobrze i w miarę prosto dzięki mieszance ćwiczeń pilates i wybujałego poczucia własnej wartości.

Jednak biznesem, który w Brukseli szedł zdecydowanie najlepiej, była produkcja przepustek. Przepustki wisiały dosłownie na każdej szyi – niby od niechcenia, ale trudno było ich nie zauważyć. W tej sytuacji czułem się nagi. Schowałem swoją nędzną przepustkę dla gości do kieszeni.

– Zamówić ci coś do picia? – zaproponowałem, choć niespecjalnie mnie ciągnęło do tłoku panującego przy barze. – Na co masz ochotę?

– Nie trzeba – odparła Elodie i uniosła dwa palce w stronę kogoś, kogo nie widziałem. – Mam tu swoją prywatną kelnerkę – dodała tajemniczo. – Może być woda mineralna? Zawsze od tego zaczynam, a potem zastanawiam się, czy warto zostać na coś mocniejszego.

– Woda mineralna będzie w sam raz. Może być nawet całe wiadro.

Wyszliśmy na ogromny otwarty taras, a kiedy czekaliśmy na tajemniczą kelnerkę, Elodie wyjaśniała mi, co się dzieje wokół nas.

– Starsi faceci w garniturach i spięte starsze panie to zwykle europosłowie, lobbyści albo pracownicy różnych służb cywilnych. Młode dziewczyny, które towarzyszą facetom, to ich „asystentki”. Europeuseł może zatrudnić w Brukseli, kogo tylko chce – żona i tak nigdy nie zobaczy asystentki, więc atrakcyjne blondynki są wysoce pożądane, szczególnie przez brzydali. Młodszy faceci w eleganckich garniturach to zwykle asystenci europosłanek. Damski odpowiednik jest podobny, choć niektóre z wystrojonych dziewczyn to *stagiaires*, stażystki. Mają nadzieję, że zauważy je ktoś ważny i pomoże im wspiąć się na szczyt – w każdym tego słowa znaczeniu. Ci w mniej eleganckich ciuchach zazwyczaj szukają lepszej pracy, żeby mogli ubierać się bardziej stylowo. Kieszenie wypychają im karty kredytowe. Ci, którzy sprawiają wrażenie ekscentryków, to europosłowie chcący się wyróżnić. Dziś jest ich tu mnóstwo, bo czwartek to nasz ostatni dzień w Brukseli. Potem wyjeżdżamy.

– Pracujecie tylko cztery dni w tygodniu? – Czy te przywileje nie mają końca?

– W czwartek wieczorem zwykle wracam do moich wyborców, Paul. A przynajmniej

zmniejszam dystans, jadąc do Paryża. W tym tygodniu wyjątkowo zostaję na weekend ze względu na ciebie. A to oznacza, że chciałabym, żebyś jutro rano wyglądał inaczej niż teraz. Kup sobie nowe ciuchy. Wrzucimy to w koszty. Nie możesz wyglądać jak pijany Angol, skoro pracujesz dla Francuzów.

Zdażyłem tylko skinąć głową, bo akurat podeszła do nas jedna z *très chic* panienek, o których wspominała Elodie, i podała nam dwie wysokie szklanki z kusząco przezroczystym płynem, w którym zanurzone były kawałki limonki.

– *Bonsoir, Manon* – przywitała dziewczynę Elodie.

– *Bonsoir, Madame Martin* – odparła Manon.

Czyli Elodie nie używa nazwiska po mężu. Sprytne posunięcie, uznałem – nazwisko Martin nie ma klasy i łatwo je zapamiętać, a mąż Elodie nazywa się Bonnepoire – nazwisko może i brzmiało elegancko, ale oznaczało coś w rodzaju naiwnego idioty.

– To jest Pol Wess – przedstawiła mnie Elodie, wymawiając moje imię tak, jak to zwykle robią Francuzi. – Pol, poznaj Manon. To jedna z moich *assistants parlementaires*.

Uścisnąłem dłoń Manon.

– *Bonsoir* – powiedziała chłodno dziewczyna.

Ciemne, proste włosy Manon opadały na ramiona, sprawiając niesamowite wrażenie „*ceci n'est pas un style*”, które udaje się tylko Francuzkom – wyglądają tak, jakby ich fryzura była dziełem przypadku i genialnego fryzjera zwanego naturą.

Dziewczyna patrzyła mi prosto w oczy, jak gdyby chciała dopilnować, żeby mój wzrok nie przesunął się niżej niż jej stylowo umalowane oczy i pełne, ciemne usta. Manon miała szczęście, bo jej twarz właściwie nie potrzebowała makijażu, ale delikatnie umalowana wyglądała jeszcze bardziej naturalnie, jeśli to ma jakikolwiek sens. Dla mnie nie miało, bo byłem zdumiony, że Elodie wybrała tak piękną dziewczynę na swoją asystentkę. Z pewnością Manon mogła stanowić dla niej konkurencję.

Otwarłem usta, żeby zagaić rozmowę czymś w rodzaju: „Och, więc pracujesz z Elodie, tak?”, ale chyba gapiłem się na nią zbyt długo i szansa na pogawędkę o niczym przeszła mi koło nosa.

– Jak pan sądzi, jak zagłosują *les Anglais*? – zapytała mnie po francusku.

– Tego nie wie nikt – odparłem, próbując ukryć ignorancję pod maską mądrości.

– A jak pan *chciałby*, żeby zagłosowali? – spytała.

Sądząc po spojrzeniu, jakim mnie obrzuciła, domyśliłem się, że jest tylko jedna właściwa odpowiedź.

– Cóż, podobnie jak pani, będę pracował z Elodie, więc stoimy po tej samej stronie barykady – rzuciłem.

– Tak. Przepraszam, ale muszę wracać, żeby porozmawiać z *Monsieur Cholpinem*.

W głosie dziewczyny wyczułem wrogość. Chyba dałem złą odpowiedź. A może przejrzała mnie na wylot. Większość facetów ma prawdopodobnie takie same myśli na jej widok.

– *Merci pour le woda* – zdołałem jeszcze powiedzieć.

Francuzów bardzo śmieszy takie mieszanie języków, ale Manon poczęstowała mnie tylko powściągliwym uśmiechem, po czym się oddaliła.

– Prawdziwa profesjonalistka – zwróciłem się do Elodie.

– Tak. – Tylko tyle miała do powiedzenia w tym temacie, jak gdyby profesjonalizm w Parlamencie Europejskim był trochę nie na miejscu.

Oboje patrzyliśmy, jak Manon oddała się w tłumie i pełnym wdzięku krokiem podchodzi do niskiego mężczyzny z kępką rzadkich siwych włosów. Jego garnitur wyglądał na znoszony, lecz dość drogi. Facet uśmiechał się do wysokiej trzydziestoparoletniej kobiety i patrzył na nią, jakby nie mógł się zdecydować, w co ją ugryźć. Nie rzucił się na nią jednak, lecz wyjął z kieszeni wizytówkę i wcisnął ją kobiecie do ręki niczym cenny podarunek. Był to zaskakująco uwodzicielski gest jak na faceta o niepozornym wyglądzie, który gdziekolwiek indziej byłby po prostu małym siwym człowieczkiem. Następnie mężczyzna zamknął kobietę w wyjątkowo mocnym uścisku, jak gdyby gratulował jej zdobycia pucharu świata w piłce nożnej kobiet. Na twarzy jego towarzyszkę nie dostrzegłem jednak radości, tylko udrękę. Mężczyzna wypuścił ją z uścisku po jakichś dziesięciu sekundach, a ona cofnęła się, uprzejmie kiwając głową, tak jak to robią na filmach o chińskich cesarzach. Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, facecik zwrócił swój wygłodniały wzrok na Manon. Trzeba przyznać, że nie marnował czasu.

– Cholpin był ministrem rolnictwa – wyjaśniła Elodie. – Teraz jest członkiem Parlamentu Europejskiego i reprezentuje Normandię.

– Został wygnany do Brukseli za karę?

– Ha! – Elodie omal nie zakrztusiła się wodą mineralną. – Raczej na emeryturę. Po dwóch kadencjach w Parlamencie Europejskim nabiera się prawa do pełnej emerytury. Będzie urządzony do końca życia. Dla francuskich polityków to nagroda. Mój zespół już rozpoczął prace, żebym została ponownie wybrana.

– Już myślisz o emeryturze? Przecież nie masz jeszcze trzydziestki.

– Och, Paul, nie wiesz, że dla Francuzów nigdy nie jest za wcześnie, aby myśleć o luksusowej emeryturze?

Co chwilę ktoś do nas podchodził i wymieniał uprzejmości z Elodie. Taki europoseł to jest ktoś, pomyślałem. W dłoni mojej znajomej pojawił się kolejny drink – tym razem przyniósł go elegancki mężczyzna w prążkowanej marynarce. Facet był wytworny do obrzydzenia – miał jasne włosy ułożone jak w reklamie odżywkę, a cały garnitur wydawał się wręcz cieszyć z możliwości otulenia jego wysokiej, szczupłej sylwetki.

Gość podał Elodie kieliszek wina, który ona przyjęła z uśmiechem, a mnie podała niedopitą wodę mineralną. Czyli tym właśnie są asystenci europosłów – lepszym rodzajem mebli. Manon była jak wózek z drinkami, a mnie przypadła rola stolika.

Gość w prążkowanej marynarce rzucił mi obojętne spojrzenie, po czym przysunął się do Elodie, prawie odpychając mnie na bok. Z każdą minutą coraz lepiej rozumiałem, jak działa brukselski system klasowy – jeśli nie masz garnitur, jesteś nikim.

Facet mówił z delikatnym akcentem, prawdopodobnie skandynawskim. Słyszałem urywki ich konwersacji. Powiedział, że słyszał na jakimś posiedzeniu przemówienie Elodie.

– Byłem pod wrażeniem argumentacji, że Grow i Near powinny zacieśnić współpracę, nie wykluczając regionów – powiedział, cokolwiek to miało znaczyć.

Elodie natychmiast to podchwyciła.

– Bardzo się cieszę, że się pan ze mną zgadza – gruchała. – Regiony są bardzo bliskie mojemu sercu.

– A serce ma pani wielkie, tego jestem pewien – odparł mężczyzna.

Nawet gdybym nie miał kaca, zrobiłoby mi się niedobrze. To kwestia żywcem wyjęta

z francuskiego filmu z lat osiemdziesiątych, w którym głównym bohaterem był ratownik z Saint-Tropez z trwałą, w obcisłych kąpielówkach i bransoletką z tombaku, na której wygrawerowano jego imię. Elodie to jednak nie przeszkadzało. Roześmiała się i odparła, że całe swoje serce oddała Bretanii, nawet jeśli inne regiony są bardziej atrakcyjne.

Zastanawiałem się, jak długo wytrzymam w miejscu, gdzie kobiety dają się obściskiwac niepozornym facetom w zamian za wizytówki, a picuś-glancuś w garniturze rzuca wyświechtanymi frazesami jak Casanova dla ubogich i nikt się z niego nie śmieje. Wstałem, żeby przynieść sobie coś do picia. Tym razem coś mocniejszego niż woda.

Nagle drogę do baru zastąpiła mi postać przypominająca elegancką armatę. Okazało się, że była to wysoka kobieta, kilka lat starsza ode mnie. Jej strój zdecydowanie przyciągał wzrok: miała na sobie stalowobłękitny elegancki kostium i bluzkę z rozpiętym guzikiem na górze.

– *Bonsoir* – zwróciła się do mnie nieznajoma.

– *Bonsoir* – odparłem.

– Dusz Kar Jaa Miller – powiedziała, a przynajmniej tak usłyszałem.

– Pol Wess – przedstawiłem się, trzymając się kiepskiej wymowy własnego nazwiska.

– *Vous êtes l'assistant de Madame Martin?* – zapytała kobieta po francusku, lecz z wyczuwalnym akcentem.

Aha, pomyślałem. Jestem tu zaledwie kilka minut, a już zostałem zauważony, mimo że nie mam przepustki. Powiedziałem, że tak, podróżuję *avec Madame Martin*.

Przyjazne przesłuchanie trwało jeszcze chwilę – przypominało teleturniej, w którym uczestnik musi odgadnąć tożsamość tajemniczego gościa. Po kilku pytaniach wiedziała już wszystko, co byłem gotów jej powiedzieć.

– *Et qui êtes-vous?* – zapytałem.

W odpowiedzi kobieta podała krótką listę skrótów, które prawdopodobnie powinienem kojarzyć. Na koniec dodała jedyne słowa, które zrozumiałem: „spraw publicznych”.

– Podoba mi się pan – podsumowała. – Asystent, ale nie przesadnie elegancki: dyskretny, skromny. Powinno być więcej takich jak pan.

– *Merci* – odpowiedziałem, choć w najmniejszym stopniu nie zasługiwałem na komplement.

– To czym się pani właściwie zajmuje? – spytałem. – Sprawami publicznymi?

– Wręcz przeciwnie, bardzo prywatnymi.

Kobieta uniosła brwi, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że to była niedwuznaczna propozycja.

Nie mogłem w to uwierzyć. Czy podryw w Brukseli zawsze odbywa się w takim tempie?

Próbowałem wymyślić jakąś stosowną ripostę, lecz nagle zauważyłem kogoś ponad ramieniem *Madame Miller*. Mężczyzna z ciemną, starannie przystrzyżoną brodą. Przyglądał mi się z niesmakiem. Może to facet tej całej Duszki.

Szturchnął teraz innego gościa i obaj obrzucili mnie nieprzyjaznym wzrokiem. Tamten drugi kiwnął głową, jakby zgadzał się z jakąś niepocholebną opinią na mój temat. Obaj faceci mieli na sobie prawie identyczne klasyczne garnitury i przepustki. Wydawało mi się, że zastanawiają się, czy nie powinni wyrzucić intruza, który ośmielił się zagadać do eleganckiej damy, mimo że nie ma przepustki.

– Kto to? – spytała moja nowa znajoma.

Czyli to jednak nie jej facet.

– Nie wiem. Ale tego z brodą chyba już gdzieś widziałem.

– Nic dziwnego. Oni też wyglądają na asystentów. Musiałeś ich widzieć w budynku parlamentu.

– Tak – przyznałem, choć w recepcji spędziłem zaledwie kwadrans.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Napijmy się czegoś. Opowiesz mi, jak ci się podoba w Brukseli.

– Och, jak na razie widzę, że dużo się tu dzieje.

Gdy przeciskaliśmy się do baru, kobieta chwyciła mnie za rękę, żeby tłum nas nie rozdzielił. Miałem przeczucie, że zaraz będzie się działo jeszcze więcej.

Jakiś miesiąc wcześniej rozstałem się z moją dziewczyną, paryżanką. Amandine studiowała ekonomię i pracowała dla Jeana-Marie, ojca Elodie. Na początku było nam razem wspaniale, ale potem Amandine dostała pracę w Szanghaju, co okazało się istnym ciosem karate dla naszego związku. Prosiła, żebym jechał z nią, ale bałem się, że zamienię się w zrozpaczoną żonę pracownika na delegacji, i postanowiłem zostać w Paryżu.

Przez miesiąc kontaktowaliśmy się przez Skype'a (kiedy jedno z nas kładło się spać, drugie zwykle wstawało), ale wkrótce nasze rozmowy stały się sztuczne, naciągane i oboje doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu odwlekać tego, co nieuchronne.

Dlatego gdy ta elegancka dama zaczęła mnie podrywać w kafejce na Flux, nie okazałem całkowitej obojętności. Była bardzo atrakcyjna, udowodniła też, że ma cięty dowcip. Wiedziała tyle na temat mężczyzn w barze, że nie mogłem być pierwszym, z którym flirtowała. Nie przechwalała się jednak i nie popadała w wulgarny ton. Niedawno się rozwiodła i domyśliłem się, że po trosze chce się odegrać na mężczyznach.

Okazało się, że naprawdę ma na imię Duska. Pochodziła z Czech, a w Brukseli mieszkała od ośmiu lat. Wyszła za eurokratę z Marsylii. Dlatego tak świetnie mówiła po francusku. Drobną cięć na jej lingwistyczną biegłość rzucało tylko jej przekonanie, że ja też jestem Francuzem. Mnie zaś nie chciało się zaprzeczać. Gdybym się przyznał, że jestem *Anglais*, mogłaby zacząć wypytywać o referendum, podobnie jak wszyscy do tej pory. Zresztą jeśli kobieta chce na wieczór towarzystwa paryskiego playboya, to kimże jestem, by ją rozczarować?

Każdy Francuz od razu zorientowałby się, że jestem z Anglii (często mawiają, że Brytyjczycy mają leniwe języki, jeśli chodzi o wymawianie francuskich gardłowych dźwięków – i nie tylko), w Brukseli jednak miałem wrażenie, że nikt nie mówi w żadnym języku bez naleciałości. Nawet Anglik w tamtym barze mówił z trudem i ważył każde słowo, jakby wybierał je z wielojęzycznego słownika we własnej głowie. Mój francuski akcent musiał brzmieć tak samo dla Duski, bo połowę rozmowy pochłaniały przerwy, kiedy to usiłowałem sobie przypomnieć odpowiednią formę czasownika albo wymowę jakiejś samogłoski.

Mniej więcej po trzech drinkach Duska poszła do łazienki, a zarumieniona Elodie ścisnęła mnie za ramię.

– Nie wiedziałam, że mówisz po czesku, Paul – powiedziała.

– Znasz ją?

– Oczywiście. Jest doskonała w nawiązywaniu pożytecznych *kontaktów*. – Uniosła brwi,

podkreślając ostatnie słowo. – Bądź u mnie w biurze jutro o jedenastej, OK? Ubierz się porządnie i żebyś mi znów nie miał... Jak wy to mówicie? Kocięgo kwiku.

Elodie wyglądała na nieco podchmieloną. Zauważyłem, że skandynawski młody bóg wciąż kręci się w tle. Zastanawiałem się, czy moja znajoma nie ma czasami ochoty przyłączyć się do grupy jego fanek, choć w tym przypadku nie bardzo wiadomo, kto za kim bardziej szaleje.

– No, uważaj na siebie, Elodie – powiedziałem tonem, w którym usiłowałem przemycić odrobinę moralnej dezaprobaty.

W końcu zaledwie rok wcześniej pomagałem jej szykować przyjęcie weselne. Czyżby wszystkie te labraksy oddały życie na darmo?

– Och, zawsze uważam – odparła Elodie.

Nie do końca o taką odpowiedź mi chodziło, lecz ona już oddaliła się w stronę swojego jasnowłosego wielbiciela.

Rozmowna Duska przeciskała się już przez tłum w moim kierunku – po drodze wymieniała uprzejmości z napotkanymi ludźmi – po czym z uśmiechem usiadła obok mnie. Nadal trzymałem jej kieliszek, ale ona spojrzała na niego, marszcząc nos.

– Może pójdziemy na drinka gdzieś, gdzie jest ciszej? – Sądząc po jej wzroku, nie miała raczej na myśli automatu do kawy w budynku parlamentu.

– Jasne – zgodziłem się i jednym haustem dopiłem białe wino, czując na dziąsłach jego cierpki smak.

Przeszliśmy przez plac i skierowaliśmy się w boczną uliczkę. Nagle Duska przystanęła i pokazała mi pewien plakat, który trochę mnie przeraził. Obok drzwi do budynku z szyldem „Studios Intimes” wisiała mozaika zdjęć – wszystkie przedstawiały jaskrawo oświetlone puste sypialnie. W większości z nich stały łóżka z baldachimem, na ścianach wisiały lustra, a całości dopełniały wyściełane aksamitem meble przywodzące na myśl luksusowy dom publiczny. Plakat głosił, że przybytek jest otwarty od godziny dziewiątej rano do północy, a zapłacić można każdą możliwą kartą kredytową. Pokoje na godziny.

Najpierw zdziwiła mnie ta dziewiąta rano, a zaraz potem zastanowiłem się, czy aby na pewno mnie na to stać. Ulżyło mi jednak, gdy Duska powiedziała, że tu spotykają się naprawdę mało subtelni goście.

– Znajdujemy się pięćdziesiąt metrów od parlamentu. Oni *chcą*, żeby ich widziano. Pójdziemy w znacznie bardziej ustronne miejsce.

Teraz nabrałem już pewności, że nie chodzi jedynie o drinka.

Zaraz za rogiem mieścił się nowy biurowiec. Przy głównym wejściu wisiało mnóstwo tabliczek z nazwami firm. Duska uniosła plastikową kartę i przyłożyła ją do czytnika. Drzwi kliknęły i otworzyły się. Nieduża recepcja była o tej porze pusta, ale widziałem mrugające z sufitu kamery monitoringowe. Przyszło mi do głowy, że firma ochroniarska może mieć niezły ubaw, obserwując Duskę i jej nocnych gości.

Wyjechaliśmy na piętro małą windą, niczym dwoje ludzi udających się na spotkanie biznesowe. Tylko delikatny uśmieszek Duski zdradzał, że kryje się za tym coś innego. Byłem szczerze zaskoczony, że się mną zainteresowała. Lustro w windzie ukazywało osobnika, który dopiero wyleczył się z kaca giganta, ale jeszcze nie ma dość sił, żeby się ogolić albo poprawić kołnierzyk koszuli stojący z jednej strony na sztorc. Wyprostowałem się, jak

gdyby to mogło coś zmienić.

Kolejne machnięcie elektronicznym kluczem uchyliło przed nami pozbawione ornamentów drewniane drzwi do biura Duski. Moja przewodniczka włączyła światło i zobaczyłem eleganckie, lecz urządzone bez fantazji wnętrze. Duże biurko z metalowymi okuciami, nowy skórzany fotel na kółkach i proste regały. Pomieszczenie ożywiał jedynie ogromny plakat na ścianie. Przedstawiał mapę Europy. Na górze widniało zielone logo, a poszczególne kraje były częściowo zabarwione tym samym odcieniem zieleni co logo.

Dopiero teraz zauważyłem, że w biurze jest jeszcze jedna rzecz godna zainteresowania – długa biała kanapa, na której siedziała już Duska. Sięgnęła do niedużej lodówki obok sofy i wyjęła butelkę szampana.

– Może coś z bąbelkami prosto z Brukseli? – zapytała po angielsku, wskazując na kieliszki stojące na stoliku przy drzwiach.

Domyśliłem się, że często tu się pije.

Przyniosłem dwa kieliszki na wysokiej nóżce i usiadłem obok niej na kanapie. Duska podała mi butelkę, żebym ją otworzył.

– Nic się nie martw – powiedziała, przechodząc z powrotem na francuski i zwracając się do mnie poufale: „tu”. – Wiesz, jak mówią: wszystko, co się dzieje w Brukseli, zostaje w Brukseli.

– To akurat nieprawda – zaprotestowałem. – I właśnie to niepokoi Brytyjczyków. Przepisy uchwalone w Brukseli wcale tu nie zostają. Docierają aż do Anglii i zmuszają ludzi do jedzenia prostych ogórków.

– A co cię obchodzi Anglia? – zdziwiła się Duska. Wystrzał korka od szampana w porę uchronił mnie przed ujawnieniem swojej tożsamości. – Mam nadzieję, że *teraz* nie zamienisz się w Anglika – dodała. – Teraz potrzebuję, żebyś był w stu procentach Francuzem.

Z tymi słowami wpiła mi się w usta i zaczęła zwinnym językiem badać moje podniebienie. Po kilku sekundach oderwała się ode mnie i wyciągnęła kieliszek, żebym nalał jej szampana. To ona tu dyktuje tempo, pomyślałem z obawą.

Stuknęliśmy się kieliszkami i napiliśmy się. Miałem nadzieję, że bąbelki ożywią mnie na tyle, żebym sprostął czemuś, co zapowiadało się na istny tor przeszkód. Znałem kilka kobiet interesu – potrafią człowieka wykończyć jak najlepszy instruktor na wojskowej siłowni (nie żebym się do któregoś szczególnie zbliżył).

Duska znów zaczęła mnie całować, co uznałem za zaproszenie do dalszych działań. Pełen zadowolenia jęk powiedział mi, że się nie myliłem.

– Chwileczkę – szepnęła i przechyliła się na bok, sięgając do wyłącznika.

Światła przygasły, przechodząc w łagodny półmrok, w którym biała bluzka Duski odcinała się od jej ciemnej marynarki. Uznałem, że ten ciemny ciuch nie będzie nam teraz potrzebny. Zsunąłem jej marynarkę z ramion. Duska bez protestów pozwoliła, żeby upadła za kanapę.

– Czy w Bretanii światła też tak nagle gasną? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem.

W tym momencie bardziej mnie interesowało kilka zapiętych guzików jej bluzki niż kłopoty z dostawą prądu we Francji.

– Dobrze jest przez cały czas mieć kontrolę – oznajmiła.

– O tak, kontrolę – przytaknąłem.

Od ponad miesiąca nie czułem nawet zapachu kobiecego ciała. Zdecydowanie lepiej, jeśli będę miał nad tym kontrolę. Przeczuwałem, że mógłbym posunąć się za daleko, za szybko i wszystko popsuć.

– Chodziło mi o kontrolę nad światłem.

– Ach tak, teraz jest doskonale – zgodziłem się z półprzymkniętymi powiekami, pochylając się, żeby poczuć woń perfum z jej dekoltu.

– I o kontrolę nad energią, ogólnie rzecz biorąc – mówiła dalej, a to już wydało mi się trochę dziwne.

– *Excusez-moi?* – Uniosłem twarz znad jej dekoltu.

– Lepiej, jeśli region samodzielnie kontroluje dostawy energii – oznajmiła.

Zastanowiłem się nad tą uwagą – usiłowałem doszukać się w niej oznak lubieżnej metafory dotyczącej sprawności seksualnej, intensywnych orgazmów albo tego, co obecnie robiliśmy na kanapie. Na próżno.

– Nie mogę uwierzyć – odezwałem się wreszcie – że próbujesz lobbingu, kiedy siedzę z nosem w twoim biuście.

– To raczej rozmowa o wzajemnych potrzebach – odparła Duska i łyknęła szampana, po czym oblizwała się, jak gdyby chciała mi przypomnieć o moich potrzebach.

– A jakie są *twoje* potrzeby? – zapytałem.

– Szczerze mówiąc, bardzo bym chciała porozmawiać z twoją szefową o alienacji – odparła.

– O alienacji?

Duska roześmiała się, błędnie zakładając, że żartuję. Wskazała na mapę na ścianie – dopiero teraz zauważyłem, że zielone obszary są usiane rysunczkami przedstawiającymi białe wiatraki i że zieleń docierała tylko do zachodniej granicy Francji.

– O alienacji – potwórzyła.

Tym razem zrozumiałem. Mówiła „*éoliennes*” – to po francusku turbiny wiatrowe. Być może chciała, żebym pomógł jej wprowadzić do Bretanii elektrownie wiatrowe.

– Nie mam wpływu na Elodie w tej kwestii – wyjaśniłem.

– Jestem pewna, że masz.

– Nie mam. Ja zajmuję się językami: bretońskim, baskijskim, korsykańskim.

– Tylko tym?

– Tak.

Duska nagle spochmurniała. Nadal miała rozpiętą bluzkę, więc wyglądała ponętnie, ale sprawy czysto fizyczne już jej nie interesowały.

– Czy to nam w czymś przeszkadza? – zapytałem. – Jesteś piękną kobietą. Nie mam nic przeciwko kilku minutom lobbingu. Osobiście obiema rękami popieram energię wiatrową.

To wyrwało Duskę z zamyślenia.

– Co takiego? – zaskrzeczała. – Miałabym się z tobą bzykać bez żadnych korzyści? Za kogo ty mnie masz? Za dziwkę? – Właściwie powiedziała gorzej, bo użyła francuskiego słowa „*pute*”.

– Nie, nie, skąd! – zaprotestowałem.

Choć zastanawiałem się, jak inaczej można by nazwać kogoś, kto w zamian za obietnicę dochodu zgadza się na przygodny seks – dziewczyną piłkarza?

– Nie, nie jestem dziwką i nie będziemy się dzisiaj bzykać.

– Mogłabyś przestać używać słowa „dziwka”? – poprosiłem. – Tym bardziej że wciąż masz rozpiętą bluzkę.

Duska szybko zasłoniła się dwiema połami bawełnianej koszuli.

– Chyba powinieneś już iść. Popełniłam błąd.

Cóż mogłem zrobić? Wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby opanować stygnącą już żądzę, i łyknąłem szampana na pocieszenie.

– *Bonne nuit* – zwróciłem się do niej, ruszając do drzwi.

– *Toi aussi* – odparła Duska. Zabrzmiało to irytująco znajomo. – Z pewnością zobaczymy się jeszcze na Flux. Daj mi znać, jeśli jednak będziesz w stanie wyrzeć wpływ na swoją szefową. Wtedy możemy znów... *porozmawiać*.

– Naprawdę?

– *Bonne nuit* – powtórzyła. Nie zamierzała składać czczych obietnic.

Wyszedłem na pogrążoną we śnie ulicę. Zastanawiałem się, co goście z ochrony pomyślą o mojej krótkiej wizycie. „Maratończykiem to on nie jest”. Byłem o wiele mniej pijany niż poprzedniej nocy, ale miałem pewność, że nazajutrz głowa będzie mnie bolała dokładnie tak samo, choć z innego powodu. Już wiedziałem, że Bruksela to miejsce, w którym każdy dzień może oznaczać morderczego kaca.

Według unijnej dyrektywy o odpadach zwierzęcych nie wolno pogrzebać zwierzęcych zwłok, jeśli uprzednio nie wygotuje się ich pod ciśnieniem przez pół godziny w temperaturze 130°C

Doniesienie w brytyjskiej prasie, marzec 2000

Następnego dnia za dziesięć jedenasta stawiałem się w nowym szarym garniturze w budynku Parlamentu Europejskiego. A przynajmniej próbowałem.

– To jest przepustka z wczorajszą datą – wyjaśnił ochroniarz.

Ból głowy, z którym się obudziłem, przybrał na sile.

– Ale ja jestem nowym asystentem *Madame* Elodie Martin – zaprotestowałem.

– To jest przepustka dla gościa, ale z wczorajszą datą – powtórzył facet. Zaczynałem podejrzewać, że to jedna z jego stałych kwestii.

– Być może uda mi się coś załatwić, jeśli pozwoli mi pan porozmawiać z recepcjonistką.

– Przykro mi, *Monsieur*, ale nie może pan wejść, skoro pańska przepustka dla gościa ma...

– Wczorajszą datę? – zgałęm.

Ochroniarz skinął głową. Przestał mierzyć mnie wzrokiem i spojrzał w dal, na dziedziniec. Już dla niego nie istniałem.

Wycofując się, zadzwoniłem do Elodie, która westchnęła tylko z irytacją, jak to ona, dając mi do zrozumienia, że cały wszechświat – planety, gwiazdy, czarne dziury i jakiegokolwiek bóstwo, jeśli istnieje – postanowiły wyprowadzić ją z równowagi.

– Zostań tam, gdzie jesteś – warknęła.

– Przyjdiesz...? – Ale Elodie już się rozłączyła. – Zaraz po mnie przyjdzie – zwróciłem się do ochroniarza, który nie wydawał się zaniepokojony perspektywą spotkania z poirytowaną francuską eurodeputowaną. Pewnie niezbyt dobrze znał Elodie.

W końcu okazało się, że to nie Elodie przysłała mi na ratunek. Zamiast niej pojawiła się prześliczna Manon.

– *Bonjour* – odezwałem się życzliwie.

– Musimy iść do drugiego wejścia – odparła.

Jest mniej więcej tak ujmująca jak Elodie, pomyślałem. Francuska szkoła dyplomacji z pewnością poświęca sporo uwagi taktycznej nieuprzejmości.

Manon odwróciła się na pięcie. Zauważyłem, że pantofle na szpilkach zamieniła na skórzane balerinki. Dziś wyglądała profesjonalnie, a nie jak ktoś, kto wybiera się na imprezę. W dalszym ciągu była bardzo atrakcyjna, mimo agresywnej fasady.

Poszedłem za nią dookoła budynku, aż wreszcie dotarliśmy do niemal identycznych drzwi obrotowych. Tym razem udało nam się wejść dzięki przepustce Manon w połączeniu z moim paszportem.

– Czyli pracujesz wyłącznie dla Elodie? – zapytałem, żeby zagać rozmowę.

Zaryzykowałem i użyłem przyjacielskiej formy „tu”.

– Tak – odpowiedziała Manon z cichym chrząknięciem, jakbym zapytał ją o coś tak oczywistego jak to, czy papież nadal praktykuje swoją dotychczasową religię.

– Myślałem, że może pracujesz również dla tamtego ministra.

– Dla Cholpina?

– Tak.

– Nie.

– Aha.

Porywająca rozmowa. Uznałem, że lepiej się zamknąć, gdy Manon rozpoczęła procedurę załatwiania dla mnie kolejnej przepustki dla gościa. Nie wiem, czym ją tak irytowałem, poza tym, że się urodziłem, ale wykazując zainteresowanie jej codziennym życiem, na pewno tego nie zmienię.

Żaden typowy facet nie zniesie jednak braku sympatii ze strony pięknej kobiety, więc gdy tylko winda wymusiła na nas kolejne *tête-à-tête*, spróbowałem innej taktyki.

– Proszę, powiedz mi, czym cię tak zdenerwowałem – zacząłem.

– Niczym – odparła, wpatrując się w sufit.

– Czy chodzi o to, że jestem Anglikiem?

– Co takiego?

– Francuzi czasami nie lubią Anglików.

Manon tylko wzruszyła ramionami.

– Szczególnie wtedy, gdy sprawiali kłopoty w Unii Europejskiej – dodałem. – Wiesz, mówię o tym referendum.

– Pffff – prychnęła, jak gdyby referendum było muchą, która usiłuje usiąść jej na kanapce.

– A może masz mnie za szpiega? Sama wiesz... Że niby po co Anglik miałby pracować dla Francuzów?

Roześmiała się, słysząc taką niedorzeczność.

– Wy, Francuzi, potraficie się wykazywać ogromnym patriotyzmem – ciągnąłem. – Wciąż macie nam za złe ognisko z Joanną d’Arc.

– Ja jestem tylko w połowie Francuzką – przyznała Manon.

– A co z drugą połową?

– W jednej czwartej jestem Czeszką, w jednej czwartej Polką, a w jednej czwartej Niemką.

– Czekaj, to razem daje sto dwadzieścia pięć procent. Wychodzi, że jesteś nadczłowiekiem.

Skrzywiłem się, bo stwierdziłem, że zaczynam mówić jak paryski podrywacz, ale dostrzegłem, że tym razem zasłużyłem sobie przynajmniej na cień uśmiechu.

– Po wojnie w mojej rodzinie sprawy trochę się pokomplikowały – wyznała Manon.

– W mojej rodzinie są sami Anglicy, ale mimo to też mamy sporo komplikacji.

Roześmiała się i po raz pierwszy spojrzała mi w oczy.

– Co tu będziesz robił, *Anglais*? – zapytała, a w jej ustach nazwa mojej narodowości zabrzmiała jak obelga.

Zresztą prawdopodobnie wiele osób w Brukseli podziela tę niechęć. Jedno dobre, że Manon zwróciła się do mnie, używając formy „tu”, zatem chyba mogę to uznać za

dypłomatyczny sukces.

– Pewnie to samo co ty. Oboje pracujemy dla tej samej posłanki, prawda?

– Tak, ale co konkretnie będziesz robił?

Rozmowa zaczynała przypominać przesłuchanie. Nie wiedziałem, ile mogę powiedzieć Manon, choć należała do zespołu Elodie, więc wyrecytowałem wyuczoną formułkę.

– Będę się zajmował językami zagrożonymi wyginięciem, takimi jak bretoński, baskijski czy korsykański.

– Tylko tyle?

– Nie wiem. A sądzisz, że to mało? Myślisz, że będę się nudził w Belgii?

Znow parsknęła śmiechem. Miałem wrażenie, że to przesłuchanie jej się podoba, jak gdyby było grą, w której zdobywa się punkt za każdą informację wyciśniętą z rozmówcy.

– A ty czym konkretnie się zajmujesz? – zapytałem.

– Och, wszystkim.

Uśmiechnęła się, jakby punkty zdobywało się również za unikanie odpowiedzi.

Winda zadzwoniła, po czym usłyszeliśmy wygłoszone znudzonym głosem powiadomienie w trzech językach, że dotarliśmy na szóste piętro. Wyszliśmy na korytarz i od razu zrozumiałem brak entuzjazmu windy.

Tyle się słyszy o europejskim przepychu i szastaniu pieniędzmi przez parlamentarzystów, że oczekiwałem co najmniej żyrandoli, marmurowych mozaik i średniowiecznych arrasów. Tymczasem korytarz był nijaki – rząd identycznych drzwi i gładkie wykładziny równie dobrze mógłbym zobaczyć w kancelarii prawnej Nudziarz, Grubas i Ponurak Sp. z o.o. Gdyby to była firma produkująca farby, ten korytarz byłby działem beżowym, który niedawno przemalowano, po tym jak wpłynęła skarga na poprzedni, zbyt jaskrawy odcień beżu.

Wszechogarniające poczucie nudy i nijakości zaburzały tylko wielkie walizy stojące obok niektórych drzwi, jak gdyby kilkoro pracowników wybierało się w podróż dookoła świata. Podróż nie zapowiadała się jednak na zbyt ciekawą, ponieważ wszystkie walizy były identyczne – szare.

Ściany były gołe i równie nudne, nie licząc kilku zdjęć przedstawiających zdeorientowanych Eskimosów wśród topniejących kier lodowych. Fotografie były podpisane „Zieloni”. Ten kolor od razu przywołał w moim umyśle plakat, który widziałem poprzedniego wieczoru w biurze Duski. Patrząc na idącą przede mną zgrabną postać Manon, nagle poczułem się przygnębiony dotychczasowymi kontaktami z płcią przeciwną.

Elodie nie poprawiła mi nastroju. Siedziała za wielkim biurkiem, stuknęła w telefon, a gdy wszedłem, zaszczyciła mnie tylko przelotnym spojrzeniem, po czym zwróciła się do Manon.

– Nikt mu nie powiedział, jak ma się ubrać? – warknęła.

Manon spojrzała na mój garnitur, wyprasowaną białą koszulę i subtelny jedwabny krawat i wzruszyła ramionami.

– Wygląda w porządku – powiedziała. – Jak na *Anglais*.

Jeśli nawet żartowała, udało jej się zachować kamienną twarz.

– Nieprawda. W piątki się tak nie ubieramy, Paul. – Elodie zwróciła się do mnie. – Kiedy nie ma tu parlamentarzystów, należy wkładać coś luźniejszego. Jak wy to nazywacie po angielsku? Rozbierany piątek? No, zdejmuj krawat, inaczej wszyscy będą się na ciebie gapić.

Posłuchałem. Teraz już rozumiałem, dlaczego Manon jest nieco mniej odstawiona niż wczoraj. I dlaczego kilku facetów, których widziałem przy wejściu, nie miało krawatów, a niektórzy nawet byli w dzinsach. Zdecydowanie tu nie pasowałem.

– Dobra. Siadaj, Paul. I daj paszport Manon. Załatwi ci stałą przepustkę. – Elodie przeszła na francuski. – Manon, zamknij drzwi, jak będziesz wychodziła.

Zauważyłem, że choć były mniej więcej w tym samym wieku, używały w stosunku do siebie formy grzecznościowej „vous” – Elodie najwyraźniej odgrywała rolę przyjaznej, lecz zachowującej dystans szefowej, Manon zaś była standardowym pracownikiem. Nie łąpałem się jeszcze w niuansach tutejszej hierarchii.

Gdy Manon zamykała za sobą drzwi, spojrzała na mnie pytająco, jakby chciała powiedzieć: „Tajne spotkanie? A nie mówiłam?”. Wiedziała, że moja obecność tutaj oznacza coś więcej niż tylko pracę nad zachowaniem i ochroną bretońskich czasowników. W czym problem? Z tego, co udało mi się zrozumieć, „misja” Elodie jest na rękę Francji i całej Europie, a Manon wie chyba tyle co Elodie, więc *pourquoi* te wszystkie podchody?

– Czy zrobiłem coś, co zdenerwowało Manon? – zapytałem Elodie, która przez cały czas stuknęła palcem w ekran telefonu.

– Prędzej czy później zdenerwujesz każdą kobietę, Paul. Może Manon tylko wybiega w przyszłość.

– Wypytywała mnie, co dokładnie będę tutaj robił. Nie wie?

Elodie nagle straciła zainteresowanie telefonem.

– Co jej powiedziałaś? – zapytała ostrym tonem.

– O językach zagrożonych wyginięciem.

– Dobrze. – Elodie odwróciła się do drzwi, jak gdyby podejrzewała, że Manon podsłuchuje po drugiej stronie, po czym zniżyła głos. – Nie musi wiedzieć wszystkiego o tej misji. Chyba dlatego ostatnio dziwnie się zachowuje. Wie, że mam jakiś projekt na warsztacie, i wkurza ją to, że jest z niego wykluczona. Jest zbyt ambitna. Żałuję, że w ogóle ją zaangażowałam. Ale nie miałam wyjścia – tata był winien przysługę jej matce. Mogę się chyba nawet domyślić dlaczego. Uch!

Ja też mógłbym zgadnąć, o co chodziło. Ojciec Elodie, Jean-Marie, był jednym z tych Francuzów, którzy sięgną po każdy argument, byle tylko zaciągnąć kobietę do łóżka – lub raczej na biurko. „Pani córka chciałaby dostać posadę w Brukseli? To się da załatwić, *Madame*. Chce pani otrzymać pozwolenie na wykonanie odwiertów pod Luwrem? Żaden *problème*. Proszę się łaskawie schylić...”

– Dlaczego nie chciałaś, żeby to Manon pomagała ci podczas tej *misji*? – zapytałem.

Dziwnie się czułem, używając tego słowa. Zabrzmiało to tak, jakbym miał się desantować za linią wroga – w tym wypadku przeciwników Unii Europejskiej – i dołączyć do ruchu oporu mającego bronić wspólnego rynku.

– Miałam swoje powody – odparła Elodie tonem, który sugerował, że dalsze pytania nie będą mile widziane.

– Ale powiesz mi, czego mam nie powtarzać Manon? – upewniłem się.

– Tak, ma się rozumieć. – Elodie znów zerknęła na drzwi, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż są zamknięte, po czym odwróciła się do mnie. – Tak jak ci mówiłam wczoraj wieczorem, plan jest taki, żeby zatrzymać Wielką Brytanię w Unii. Żeby tego dokonać, potrzebujemy wpłynąć na brytyjską opinię publiczną, a twoim zadaniem będzie nam w tym

pomóc.

– Niby jak?

– Szczegóły wyjaśnię w odpowiednim czasie.

– A teraz nie jest odpowiedni czas?

– Nie. Ja zdecyduję, kiedy nadejdzie właściwy moment. Referendum ma się odbyć za niecałe dwa tygodnie. Każdy etap misji musi być starannie zaplanowany. – Elodie mówiła powoli, jakby zwracała się do szympansa, który nie może zapamiętać, że widząc jabłko, ma chrząknąć raz, a widząc banana, dwa razy. – Przykro mi, Paul – dodała, na chwilę wychodząc z roli tajnej agentki. – To nie zależy ode mnie. Ja mam tylko wypełniać rozkazy Paryża.

– Dobra, rozumiem. Czyli chcesz, żebym zaczął od badania tych języków?

– Otóż to. Dokładnie. – Teraz pochwaliła mnie jak mądrego szympansa. – Umówiłam cię na spotkanie z kimś z komisji.

– Z komisją? Jaka relacja łączy komisję z Parlamentem Europejskim?

– Och, my podejmujemy decyzje, a oni je wykonują. Albo oni podsuwają sugestie, a my głosujemy. W komisji znajdziesz mnóstwo urzędników służb cywilnych. Wszyscy jak jeden mąż kochają Europę.

Elodie podała mi wizytówkę. Przeczytałem napis drobnym drukiem.

– Tłumacz języka niemieckiego?

– Tak. Umówisz się z nim na lunch, a on opowie ci to i owo o tych durnych językach, żebyś mógł naprędce napisać jakiś raport.

– Durnych? Czyli tak naprawdę nic cię nie obchodzi?

– No, bretoński obchodzi, ale dlatego że to język mojego elektoratu. Ale pozostałe? *Bof*. – W ostatnie słowo Elodie tchnęła maksimum obojętności. – Żebyś ty wiedział, ile kosztuje przygotowanie dwujęzycznych znaków drogowych. Rany boskie, Francja wydaje miliony rocznie po to, żeby zmienić jedną literkę w nazwie miejscowości. Kogo obchodzi, że Perpignan w języku katalońskim nazywa się Perpinyà? To jedno i to samo miejsce.

– To też mam zamieścić w raporcie?

Elodie roześmiała się, lecz nagle zamilkła.

– Ty, Paul, masz robić dokładnie to, co ci każę. Bardzo proszę. Projekt językowy ma nam pomóc w wypełnieniu ważniejszej misji. Jeśli twój raport zdoła przekonać ludzi w Szkocji albo w... jak wy na to mówicie? *Le pays de Galles*?

– Walia.

– A *Cornouailles*?

– Kornwalia.

– Właśnie. Jeśli wszyscy mieszkańcy prowincji będą przekonani, że dostaną pieniądze z Brukseli na opłacenie dodatkowych nauczycieli swoich głupawych języków, to zagłosują za tym, żeby zostać w Unii, prawda? Można by nawet zdobyć forszę na tę dziwną odmianę *patois*, jakiej używa się na północy Anglii.

– Chodzi ci o dialekt Geordie w Newcastle?

– Nie, ten drugi. Czytałam o nim. Jak on się nazywał? Skaj? Skin?

– Masz na myśli Scouse?

– Tak, właśnie. Ten dialekt, którym mówią w Blackpool.

– W Liverpoolu. No tak, z chęcią zobaczyłbym znaki drogowe w dialekcie Scouse. Skryć

pan do lewa. Tyndy do Mynczestera.

– Nie wiem, o czym mówisz, Paul, jak zwykle zresztą, ale to nie ma znaczenia. Zapytaj naszego niemieckiego przyjaciela o języki mniejszości narodowych w Europie. Na pewno istnieją w wielu krajach, a wszystkie mogą się przydać w naszym planie. Tylko musisz pamiętać, że wielu narodów nie obchodzi, czy Wielka Brytania zostanie w Unii. Często jesteście uważani za pieniaczy, mówi się, że ciągle są z wami kłopoty, że wyklóćacie się o każdy szczegół każdego przepisu, a potem prosicie o wyjątki. Ale Francuzom zależy, żebyście zostali. Potrzebujemy was w sercu silnej Europy. – Elodie położyła dłoń na sercu, jak gdyby składała przysięgę na wygnaną duszę Napoleona.

– Uważasz, że Europa ma silne serce? – spytałem. – Moim zdaniem ostatnimi czasy akurat grozi jej zawał.

– Och, Paul, dałbyś już spokój z tym czarnowidztwem. A skoro mówimy o sercu, jak ci poszło wczoraj wieczorem z nową przyjaciółką?

Elodie uśmiechnęła się szeroko. Czyżby widziała nagranie z monitoringu w biurowcu Duski?

– Chodziło jej tylko o lobbowanie. Gadała coś o energii wiatrowej.

– Tak, wiem. A pozwoliła ci...?

– Czyli *wiedziałaś*? – Byłem zaskoczony.

– Oczywiście. Przecież to ja ją wysłałam, żeby do ciebie zagadała.

– Co takiego?

– No tak. Powiedziałam, że jesteś moim nowym asystentem i interesujesz się zrównoważoną energią.

Resztki mojego nędznego ego opadły z hukiem na ziemię.

Elodie ciągnęła zadowolona:

– Duska wciąż próbuje mnie lobbować. Ale nie mogę pozwolić, żeby farmy wiatrowe zaczęły wyrastać w moim okręgu wyborczym. Ludzie ich nie cierpią. Szczerze mówiąc, Paul, myślałam jednak, że okażesz się na tyle inteligentny, aby kłamać. A tak przeszło ci koło nosa łatwe bzykanko. No co z tobą? Potrzebuję cię zrelaksowanego, zmotywowanego i skupionego na pracy, a nie uganiania się na czworakach za dziewczynami w stylu Manon.

To zabolalo.

– A ty jak spędziłaś noc, Elodie? Podziwiałaś zorzę polarną na suficie? Przeżyłaś małą inwazję wikingów?

Elodie zgrzytnęła zębami. Gdyby łączyły nas inne relacje, kazałaby mi się teraz wynosić i samemu wychędożyć jakiegoś Skandynawa. Tym razem jednak widziałem, że ze wszystkich sił stara się opanować emocje.

– Wiesz co, Paul – powiedziała filozoficznie – nie jest łatwo, gdy młodzi małżonkowie muszą się rozstać ze względu na pracę. Kiedy tu jestem, Valéry dzwoni do mnie codziennie o ósmej wieczorem.

Mąż Elodie miał pecha – dostało mu się jedno z wielu damsko brzmiących imion, takich jak Emmanuel, Gaël i – no właśnie – Jean-Marie.

– Zwykle dzwoni z telefonu stacjonarnego, żebym wiedziała, że jest w domu. Potem pewnie wychodzi i zaprasza jakąś kobietę do restauracji. Naprawdę, czy on mnie ma za głupią? Który facet spędza wszystkie wieczory w domu, kiedy żona wyjechała?

Prawie zrobiło mi się jej żal.

– Myślisz, że cię zdradza? – zapytałem.

– Kto to wie? Żaden z jego wujów nie wie, kto jest jego ojcem. Pewnie któryś z jego wujów. Taka rodzina. Kuzyni pobierają się między sobą, więc niewierność to sposób na odświeżanie krwi. Ale to nie jest problem tylko tej rodziny. To dotyczy samej koncepcji małżeństwa we Francji. Czasem ma się wrażenie, że rozwód to taka sama pomyłka jak esemes wysłany do niewłaściwego adresata.

Cała Elodie – nawet jeśli bzyka się z Duńczykiem w Brukseli, to próbuje zwalić winę na kogoś innego.

– Gdzie się podziała Manon z tą cholerną przepustką? – warknęła, otrząsając się z filozoficznej zadumy.

Poderwała się i otworzyła drzwi do biura. Nie widziałem, co się dzieje na zewnątrz, ale domyśliłem się, że Manon siedzi przy swoim biurku, bo Elodie zaczęła ją ochrzaniać po francusku.

– Nie chciałam przeszkadzać – usłyszałem rzeczową odpowiedź Manon. Dziewczyna najwyraźniej nie brała sobie do serca osobistych wycieczek Elodie. – Przepustka będzie do odebrania w recepcji za dziesięć minut.

– Dobra. Paul, leć tam, no leć!

Elodie wygoniła mnie z pomieszczenia niczym instruktor spadochroniarstwa, którego niespecjalnie obchodzi, czy nowy kursant zabrał ze sobą spadochron.

Unia chce wprowadzić zakaz gry na szkockich dudach

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2005

Niektórzy wyobrażają sobie Brukselę jako ekskluzywny fitness klub dla otyłych biurokratów. Lub jako stalinowską dyktaturę z tyrańskimi prawami wydawanymi tylko po to, by przyglądać się panice uciśnionych obywateli usiłujących podporządkować się niemożliwym do przestrzegania przepisom.

Pozostali myślą, że jest to po prostu organ wymyślony przez nas, Europejczyków, aby skutecznie trwonić pieniądze – coś jak codzienna kąpiel w szampanie albo zapalanie cygar banknotami.

Gdy jednak szedłem ulicami Brukseli w stronę siedziby Komisji Europejskiej, z dumą prezentując przepustkę zawieszoną na szyi, czułem się raczej jak członek sekty.

Działo się tak za sprawą flagi – aureoli z gwiazd będącej połączeniem złotego diademu i Jezusowej korony cierniowej na tle idealnie bezchmurnego szafirowego nieba. Widok ten przypomina symbol prywatnego rajy zastrzeżonego dla członków obłąkanej sekty, która ustala każdy aspekt życia, począwszy od ilości bakterii na mililitr wody w rajy, a kończąc na prędkości wchłaniania wilgoci przez jednorazowe pieluszki.

W Brukseli nie ma ucieczki od tej flagi. Jest dosłownie wszędzie – na tabliczkach na co drugim budynku, w biurowych oknach, na zagadkowych plakatach, które wydają się instruować przechodniów, jak powiedzieć „rozwój” w każdym z języków Unii Europejskiej. A teraz taki sam znaczek miałem na szyi, na przepustce i na smyczy, do której przepustka była przymocowana.

Kiedy dotarłem do siedziby komisji, zobaczyłem flagę większą niż wszystkie pozostałe, wielki niebieski baner sięgający dziesiątego piętra, informujący w trzech językach o tym, kto jest właścicielem budynku – nawet Google, Manchester United czy Watykan nie powstydzilyby się takiej ostentacji w prezentowaniu swojej marki.

Przypomniała mi się wycieczka do Los Angeles, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem budynek należący do scjentologów. Sama myśl o rzeszy szurniętych wyznawców w identycznych ubraniach i z przepustkami na szyjach przypawiła mnie o ciarki. Nie ośmieliłem się tam wejść, obawiając się prania mózgu lub teleportacji na inną planetę, ale tutaj, w Brukseli, doskonale wtopiłem się w tłum. Jeśli wejdę do tego budynku, wszyscy będą przekonani, że jestem jednym z nich.

Ku mojemu rozczarowaniu tłumacz języka niemieckiego, z którym miałem porozmawiać, w ostatniej chwili zmienił miejsce spotkania na pobliską kawiarnię. Nie było mi więc dane zajrzeć do tego sanktuarium, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Kawiarnia okazała się jednak przyjemnym zaskoczeniem. Stałem przed wejściem i zajrzałem do środka przez szybę. To była jedna z tych knajpek z samoobsługą – taka, jakie się widuje na lotniskach. W Londynie czy w Paryżu klientami byłiby głównie turyści i kiepsko opłacani urzędnicy, lecz tutaj siedzieli sami goście z przepustkami. Podobno

w piątki nosiło się niezobowiązujące stroje, lecz na mój gust wszyscy tutaj byli ubrani elegancko – mężczyźni mieli marynarki, a kobiety ołówkowe spódnice i buty na obcasach.

W kafejce na Flux przepustkowcy byli w swoim żywiole. Siedzieli ściśnięci przy barze, zajęci głośną rozmową, z drinkami w dłoniach; tutaj atmosfera była nieco spokojniejsza. Klienci skromnie trzymali tace z kanapkami, sałatkami i koktajlami, jakby zawstydzali ich fakt, że muszą podporządkować się zwyczajnym regułom i powinni stanąć w kolejce do kasy.

Zadzwoił mój telefon. Gdy tylko wyjąłem go z kieszeni, stanął przede mną młody mężczyzna o chłopięcej twarzy. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Jesteś Paul, prawda? Tak właśnie myślałem, że to ty. Chciałem się tylko upewnić – powiedział.

Mówił po angielsku prawie bez cienia obcego akcentu – prawie lepiej niż ja, pomyślałem.

Zaskoczył mnie równie mocno jak sama kafejka. Chyba podobnie jak u większości ludzi mój mózg operuje stereotypami, oczekiwałem więc człowieka w germańskim typie, wysportowanego, postawnego, a tymczasem mój rozmówca był drobnej postury, miał ciemne włosy i lekki zarost. Tylko jego blada cera i delikatny rumieniec wskazywały na to, że dorastał na północy Europy. Jego szeroki uśmiech zaś dowodził, że całkiem dobrze żyło mu się w kraju, gdzie piwo jest traktowane z podobnym namaszczeniem jak w jego ojczyźnie.

Przedstawił się jako Edgar Fürst.

– Ale mów mi Ed.

Ed Fürst?

Udało mi się powstrzymać przemożną chęć zabawienia się w angielskie rymowanki i gry słowne związane z jego nazwiskiem, więc od razu weszliśmy do kafejki, żeby zjeść lunch jak na lotnisku.

Jak można się było spodziewać, poruszyliśmy temat „jak zagłosują Brytyjczycy”. Uniknąłem odpowiedzi, przybierając poważną minę i wyjaśniając, że wyniki sondaży są niejednoznaczne. Powiedziałem to takim tonem, jakbym przez pół nocy uważnie śledził wahania opinii publicznej.

Kiedy uporaliśmy się z tym tematem, Ed powiedział mi parę słów o sobie. W Brukseli siedział już dwa lata. Przyjechał tu zaraz po studiach językowych w Berlinie i od początku zajmował się raczej tłumaczeniami pisemnymi. Pracował głównie z dokumentami, nie tłumaczył podczas rozmów czy negocjacji.

– Miałem szczęście – oznajmił, przyglądając się datom przydatności do spożycia na kanapkach. – Tłumacze symultaniczni pewnie cierpią na schizofrenię; przez cały czas muszą myśleć w dwóch językach jednocześnie. Poza tym od ciągłego noszenia słuchawek robią im się płaskie uszy. No i jeszcze muszą słuchać wszystkich tych pierdół, które się tu wygaduje, a potem to powtarzać. – To mówiąc, roześmiał się, a ja nie wiedziałem, czy to miało oznaczać, że żartował, czy też naprawdę uważał, że cały ten system to jedna wielka ściema.

Zapłaciłem za nasze zamówienia – kasjer dał mi dwa paragony, jak gdyby każdy w tym mieście potrzebował papierka na potwierdzenie poniesionych kosztów – po czym znaleźliśmy na zewnątrz wolny stolik. Kiedy usiadłem, z niepokojem stwierdziłem, że zdążyłem już przejąć nawyk przerzucania przepustki przez ramię, żeby nie wpadała mi do sałatki z ostrygami, awokado i rukolą. Zaczynałem się stawać członkiem sekty.

– Jakie znasz języki? – zapytał Eda.

– Angielski, rosyjski, francuski, polski. No i oczywiście trochę niemieckiego. – Znow wybuchnął gromkim śmiechem, jak gdyby znajomość kilku języków była niekończącym się źródłem dowcipów.

– Siedzisz za biurkiem całymi dniami i tłumaczysz?

– Tak, jak syn syf – odparł.

Uznałem, że to pewnie jakiś niemiecki idiom, w dodatku kiepsko przetłumaczony. Może Ed jednak nie jest tak uzdolnionym lingwistą, jak twierdzi.

– Znasz syn syfa? – spytał.

– To chyba przypadek niefortunnych skutków choroby wenerycznej, prawda?

Ed spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie czytałeś *Mitu Syzyfa* Camusa?

– Nie – przyznałem.

Jedyną francuską książkę, jaką kiedykolwiek czytałem, skonfiskował mi nauczyciel, zanim zdążyłem sprawdzić znaczenie wszystkich brzydkich słów w pierwszym rozdziale.

– To mit o człowieku, który ma spędzić wieczność, wtaczając ciężki głaz na szczyt góry – wyjaśnił Ed i znow się roześmiał, choć ja nie widziałem w tym nic zabawnego. – Tłumaczę jakieś dziewięć lub dziesięć stron dziennie, w zależności od stopnia trudności tekstu.

– Tłumaczysz teksty z różnych dziedzin?

– Tak, teksty prawnicze, debaty, notatki prasowe, dokumenty programowe, strony internetowe. Wszystko, co zostaje napisane lub powiedziane, musi być wydane we wszystkich językach urzędowych Unii. W sumie tłumaczymy jakieś dwa miliony stron rocznie.

– O cholera. – Wychodzi na to, że w pokojach i salach narad w tym mieście emitowane są koszarne ilości dwutlenku węgla. – Toż to musi kosztować fortunę – dodałem.

– To bardzo brytyjskie podejście. – Ed znow zarechotał. Może tym razem ze mnie? – Musimy informować wszystkie kraje członkowskie o tym, co się dzieje, prawda? Poza tym chyba nie sądzisz, że wszyscy znają angielski? – To powiedziawszy, roześmiał się chyba jeszcze głośniejsze niż przedtem.

– Czy to nie jest wyrzucanie pieniędzy w błoto?

– Och, czasami oczywiście tak. Wiesz... – Ed odłożył kanapkę z mięsem, którą miał zamiar ugryźć. – Niektórzy posłowie się nie przemęczają. – Kiwnąłem głową ze zrozumieniem (spędziłem tu dopiero jeden dzień, ale to akurat zdążyłem zauważyć). – Jednym ze sposobów na udawanie pracy jest zadawanie pytań. Wszystko jedno jakich: czy komisja może potwierdzić, że żaby będą objęte ochroną, kiedy w Berlinie powstanie nowe lotnisko? Ile kamizelek ratunkowych musi się znaleźć na pokładzie podczas rejsu wycieczkowego po Dunaju? Kto odpowiada za zapewnienie lodówek w przypadku, gdy kontener z chińskimi rybami zostanie zatrzymany przez celników przy wjeździe do Hamburga? Taki europoseł oczywiście ma w dupie odpowiedzi na swoje pytania. Wysyła pytanie do komisji na piśmie. Następnie zostaje ono opublikowane, przetłumaczone, a potem przychodzi odpowiedź. I wygląda na to, że poseł coś robi. W zeszłym roku przetłumaczyliśmy dwieście tysięcy pytań. Każde kosztowało tysiąc pięćset euro. Policz, ile to wychodzi.

Nie umiałem, ale sam rząd wielkości przypawił mnie o zawroty głowy. Ostryga na końcu

plastikowego widelca wydawała się tańczyć. Może znała matkę lepiej niż ja.

– Jeśli jednak chodzi o tłumaczenie uchwał i poważnych obrad, to nigdy nie są pieniądze wyrzucone w błoto. – Ed zdecydowanym ruchem sięgnął po kanapkę. – Nie licząc Maltańczyków, rzecz jasna – dodał i roześmiał się z pełnymi ustami.

Ten Niemiec za wszelką cenę chciał pokazać, że jednak ma poczucie humoru.

Kiedy odzyskał panowanie nad tchawicą, wyjaśnił, że pracuje w biurze niedaleko tłumaczy z Malty, którzy podobnie jak on mają za zadanie dopilnować, żeby każdy unijny dokument został wydany w ich języku. Maltańscy tłumacze mają jednak o wiele trudniejsze zadanie niż pozostali. Tak jak wszyscy muszą wymyślać, jak przetłumaczyć takie nowinki jak apka, farma wiatrowa czy poluzowanie polityki pieniężnej. Ale oprócz tego mają mnóstwo innych problemów, jak choćby to, że na Malcie nie ma rzek, zatem zanim maltański stał się jednym z oficjalnych języków Unii Europejskiej, nie było w nim słowa oznaczającego rzekę. To samo dotyczyło wielu innych pojęć, takich jak pociąg, szron czy jarmuż.

Dlatego, jak twierdził Ed, maltańscy tłumacze regularnie się spotykają, żeby wprowadzać aktualizacje do własnego języka, a robią to, posługując się mieszanką angielskiego i włoskiego. W ten sposób powstają nowe słowa w języku maltańskim. Wychodzi na to, że ci ludzie prowadzą niekończącą się rewolucję własnego słownika.

– Problem w tym – ciągnął Ed – że nikt nie czyta tego, co piszą. Wszyscy maltańscy urzędnicy czytają dokumenty po angielsku. Tłumacze wymyślają zatem nowy język, którym nie posługuje się nikt poza nimi. Tłumaczą kolejne dokumenty, wiedząc, że nikt ich nigdy nie przeczyta. To jak występ niewidzialnego mima.

Mój rozmówca zatrzęsł się od bezgłośnego śmiechu. Zaczynałem rozumieć, dlaczego we wszystkim dostrzega coś zabawnego. Pracował w świecie tak surrealistycznym jak film Monty Pythona o Salvadorze Dalim.

Nagle przysłała mi do głowy okropna myśl.

– Chyba nie sądzisz, że moja szefowa chce, aby wszystkie dokumenty tłumaczono na bretoński?

– Tego nie wiem. Ale tłumaczymy teksty tylko na oficjalne języki, więc to i tak byłoby niemożliwe. Chyba że Bretania zyska niepodległość.

– Rany boskie.

Może Elodie miała jakiś tajny plan, który zakładał wywalczenie niepodległości Bretanii, żeby ona sama mogła zostać prezydentem? Nie, wróć, raczej królową.

Zapytałem Eda, czy jego zdaniem autonomia Bretanii (którą, znając życie, nazywano by *Bretanomią*) jest realną perspektywą. Jego pierwszą reakcją było – a jakże – parsknięcie śmiechem. Po chwili jednak spoważniał.

– Wiesz, poczucie tożsamości w tamtych rejonach nigdy chyba nie było silniejsze. Dla Bawarczyków na przykład ich dialekt jest werbalnym odpowiednikiem tradycyjnych Lederhosen. – Już myślałem, że Ed rzuci jakimś żartem o pierdzeniu w skórzane gacie, ale tym razem się nie roześmiał. – Napisałem artykuł o niemieckich dialektach, które są żywym symbolem lokalnej niezależności. W trakcie pisania poznałem Elodie. Spotkaliśmy się na SEKSD.

– Spotkaliście się na seks?

– SEKSD – sprostował. – Samodzielna Europejska Komisja Standaryzacji Dialektów.

Stowarzyszenie Europejskich Związków Nauczycielskich, SEKSD. Jest organizatorem projektu EJM 2020 – Europejskie Języki Mniejszości – wyjaśnił, widząc moją dezorientację. – Ma na celu promowanie edukacji prowadzonej we wszystkich językach europejskich, nie tylko w oficjalnych językach Unii. Wyślę ci mój artykuł i protokół z tamtego spotkania. W języku maltańskim, jeśli sobie życzysz.

Tym razem ryknął takim śmiechem, że ludzie przy stolikach obok zamarli w trakcie posiłku, a ja zmusiłem się do kurtuazyjnego chichotu dla towarzystwa, choć w rzeczywistości miałem wrażenie, że moje stopy zapadają się w grzęzawisko zgniłych tłumaczeń i wyrzuconych w błoto banknotów euro.

– Ale szczerze mówiąc, wątpię, aby te rejony kiedykolwiek zyskały autonomię – podjął Ed. – Duże kraje, takie jak Niemcy czy Francja, nigdy nie pozwolą, żeby ich terytoria dzielono tak jak niegdyś Bałkany. Myślę, że nie musimy się zbytnio przejmować tym, że Elodie będzie chciała sprowadzić do Brukseli rzeszę wyzwolonych Bretończyków. Należy to jednak potraktować jako ostrzeżenie. – Mój rozmówca nieoczekiwanie spoważniał. – Z Francuzami trzeba uważać. Na początku ostatniego spotkania komitetu organizacyjnego EJM 2020 (a było nas tylko pięcioro, Elodie się nie pojawiła) musieliśmy czekać pół godziny na tłumacza języka francuskiego. Wszyscy świetnie znali angielski, ale Francuz (nazywał się Remou czy Remord, jakoś tak) odmówił udziału w obradach bez udziału francuskiego tłumacza. A jak już go wezwaliśmy, to ten Remord *nawet nie skorzystał ze słuchawek*. Koszmar, mówię ci. Wiesz, w głębi duszy francuscy patrioci nigdy nie zapomnieli Europie tego, jak pozbyła się Napoleona. Musisz o tym pamiętać.

Obiecałem, że będę pamiętał. Tymczasem jednak wypełniłem swój obowiązek i zapytałem Eda o inne języki mniejszościowe w Unii Europejskiej. Jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Okazało się, że języki mniejszościowe są dosłownie wszędzie. W Niemczech istniała cała lista odrębnych dialektów – poza bawarskim był szwabski, saksoński, alzacki i kilkanaście innych. Francja miała własną odmianę alzackiego, a poza tym jeszcze język pikardyjski (przy granicy z Belgią), prowansalski na południu kraju, kreolski w koloniach karaibskich, różne odmiany polinezyjskiego oraz wszystkie języki plemienne w Gujanie Francuskiej. Hiszpania miała jakieś sześć odrębnych regionów z własnymi językami, które już cieszyły się częściową autonomią, w krajach skandynawskich istniało kilka języków inuickich, a na Bałkanach było więcej języków niż grup narodowościowych. Nawet Wielka Brytania miała kilka dialektów regionalnych, o których wcześniej nie myślałem, na przykład manx czy Ulster Scots.

Wyglądało na to, że Elodie miała rację – wystarczy obiecać, że Unia sfinansuje naukę języka i dwujęzyczne znaki drogowe we wszystkich rejonach Wielkiej Brytanii, gdzie są języki mniejszościowe, a na tych terenach referendum nie będzie zagrożeniem.

Znów stanęliśmy w kolejce, żeby wyrzucić opakowania z tacy do kosza na śmieci, a potem poszliśmy po kawę. Jednym uchem słuchałem wylewnego nawijania Eda o tym, jak świetnie mu się pracowało w Brukseli przez ostatnie dwa lata, lecz w pewnym momencie powiedział coś, co zwróciło moją uwagę.

– I wiesz co? To prawda, co mówią o Litwinkach za granicą.

Nie miałem pojęcia, jaka jest opinia o Litwinkach w domu czy też za granicą, ale zaciekało mnie to, więc kiedy Ed zaproponował, żebyśmy wyszli gdzieś na drinka,

z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie.

– I zapamiętaj sobie, Francuzi cię wydymają – powiedział na pożegnanie Ed, zamykając moją dłoń w mocnym uścisku. – Zrobią to dyplomatycznie, ale tak czy inaczej cię wydymają.

Po moich ostatnich niepowodzeniach na froncie damsko-męskim zabrzmiało to niemal kusząco.

* * *

Uznałem, że muszę wypić jeszcze jedną kawę, żeby przetrwać rewelacje Eda. Od razu jednak pojawił się problem – nie wiedziałem, dokąd iść. Przy nowoczesnej alejce wiodącej z kafejki, w której jedliśmy lunch, espresso mógłbym ewentualnie zamówić w budce z sokami, w cukierni z babeczkami, we włoskich delikatesach i w czymś, co przypominało bar na plaży. Od każdego z tych miejsc biła europejska elegancja – to nie dla mnie. Wreszcie zauważyłem szyld z nazwą belgijskiego piwa i tam właśnie poszedłem.

Tak jak przypuszczałem, była to nieco zapuszczona knajpka, w której kilka osób siedziało nad zwyczajnym stekiem z frytkami, a jeden facet czytał flamandzką gazetę. Na horyzoncie nie czaił się żaden eurokrata. Miałem już po dziurki w nosie unijnego klimatu, więc odetchnąłem pełną piersią, schowawszy do kieszeni swoją przepustkę. Po chwili znalazłem sobie stolik na tarasie.

– *Un café, s'il vous plaît* – zwróciłem się do znudzonej kelnerki w spodniach i czarnej kamizelce.

Po krótkiej rozmowie na temat rodzajów kawy, zdecydowałem się na coś, co Belgowie nazywają po prostu „*un café*” – zwykłą czarną kawę, do której, jak z przyjemnością stwierdziłem, dodawano darmowe korzenne ciasteczko. Uznałem, że z chęcią zanurzę w kawie coś słodkiego.

Gdy popijałem kawę, zajrzałem do internetu, chcąc zweryfikować informacje od Eda. Wyglądało na to, że mówił prawdę.

Oficjalna strona informowała mnie z dumą, że podczas każdego formalnego posiedzenia przedstawicieli Unii Europejskiej musi być obecny tłumacz każdego języka, nawet jeśli w spotkaniu bierze udział tylko dziesięć osób. Doszedłem do wniosku, że w takim wypadku niektórzy tłumacze mówią do siebie. W którymś momencie wszyscy mogą zamienić się w Maltańczyków.

Zagłębiwszy się w świat języków mniejszościowych, natknąłem się na niepokojącą historię dotyczącą Szkocji na stronie poświęconej kulturze gaelickiej. Otóż w 2005 roku jedna z brytyjskich gazet donosiła, że Unia Europejska chce wprowadzić zakaz gry na szkockich dudach. Okazało się, że teoretycznie była to prawda – częściowo. Gazeta pokusiła się o interpretację nowych przepisów unijnych, które nakazywały chronić pracowników przed nadmiernym hałasem. Rzecz dotyczyła, ma się rozumieć, fabryk, lecz również personelu zatrudnionego w miejscach, gdzie odbywają się koncerty. Zgodnie z rygorystyczną interpretacją tych przepisów, jeśli dudziarz miał zamiar utrzymać średnie natężenie dźwięku na poziomie osiemdziesięciu siedmiu decybeli (to mniej więcej tak, jakbyście stanęli dwa metry od jadącego motocykla) przez cały dzień roboczy, kierownik obiektu musiałby zapewnić pracownikom zatyczki do uszu. Gdyby kierownik tego nie zrobił

lub gdyby pracownicy odmówili, muzyk musiałby zrezygnować z kilkogodzinnego koncertowania. Co było do udowodnienia – Bruksela skutecznie zakazałaby gry na dudach.

W całej tej historii niepokoiła mnie nie tylko myśl o ośmiogodzinnym koncercie dudowym. Moją uwagę zwrócił fakt, że dziennikarze poświęcili tyle czasu i pracy, żeby w rezultacie błędnie zinterpretować coś, co w zamysle było przydatnym przepisem mającym na uwadze ochronę słuchu pracowników. Dziennikarze wypaczyli fakty dla rozrywki, bawiąc się nimi jak kociak kłębkami włóczki.

Wniosek nasuwał się sam: jeśli Unia postanowi, że dodawanie cyjanku do deserów lodowych jest nielegalne, ci sami dziennikarze powiedzą, że Bruksela chce zniszczyć producentów tradycyjnych angielskich smakołyków. Jeśli członkowie Parlamentu Europejskiego postanowią, że producenci pluszowych misiów nie mogą wypychać zabawek wełną azbestową, wkrótce rozniesie się wieść, że Unią Europejską rządzą tyrani, którzy nie chcą, żeby dzieci dostawały pod choinkę mięciutkie przytulanki.

Aby oderwać myśli od tego nieprzyjemnego tematu, postanowiłem skorzystać z okazji i lepiej poznać jakieś języki mniejszościowe. Wyglądało na to, że dla każdego istnieje słownik internetowy. Oczywiście zacząłem od wyszukiwania przekleństw. Trzeba przyznać, że twórcy tych słowników wykazali się ogromną skrupulatnością. Gdy tylko wpisałem „gównno”, wyskoczyło cudowne soczyste tłumaczenie na kilka języków. A kiedy pokusiłem się, żeby wyszukać słowo „ciul”, mnogość odpowiedzi zrodziła we mnie podejrzenie, że w tamtych zakątkach Europy musi się dosłownie roić od ciulów.

Nagle zadzwonił mój telefon. To Ed. Chciał powiedzieć, że coś mu jeszcze przyszło do głowy.

– Żeby nie było, że jestem uprzedzony do Francuzów, Brytyjczycy też cię wydymają.

– Wspaniale. Dzięki, że mnie uprzedziłeś.

Ed ryknął śmiechem jak to on, po czym się rozłączył.

Podsumowując, siedziałem na środku belgijskiego pola minowego, po jednej stronie mając miny brytyjskie, a po drugiej francuskie. Pytanie, która ze stron będzie miała przyjemność wysadzić mnie w powietrze.

Wdepnąłem w niezłe *cac*. To po gaelicku gównno.

Bruksela podda się presji ze strony francji, żeby nakazać Brytyjczykom zmianę nazwy dworca Waterloo na Trafalgar Square

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2003

Zawsze miałem dobrą orientację w terenie. Na szkolnej wycieczce do zamku znalazłem wyjście z labiryntu tak szybko, że wróciłem do środka i udawałem, że się zgubiłem, żeby się nie wyróżniać. Obecnie mój zmysł orientacji przydaje się głównie wtedy, gdy szukam toalety we francuskiej knajpie. Nie wiem, jakim cudem, ale zawsze udaje mi się wyczuć, gdzie jest łazienka – czy to są drzwi obok baru, czy zasłonięty kotarą korytarz na tyłach sali, czy też ukryta klatka schodowa prowadząca do piwnicy. Zresztą może to kwestia zmysłu powonienia.

Tak czy inaczej, kiedy po lingwistycznym lunchu wróciłem do Parlamentu Europejskiego, poczułem, że coś wyraźnie zaburzyło mój zmysł orientacji.

Z początku złożyłem to na karb swojej niepewności co do intencji Elodie – najbardziej dezorientowało mnie moje podejrzenie, że ona nic przede mną nie ukrywa. Wyglądało na to, że naprawdę chciała zwrócić uwagę na znaczenie brytyjskich języków mniejszościowych, żeby w ten sposób przekonać ludzi do głosowania za pozostaniem w Unii.

Miałem też wrażenie, że przy okazji Elodie próbuje ugrać coś dla siebie, żeby uzyskać finansowanie dla języka bretońskiego, bo wiąże nadzieje z tamtym rejonem. Co mi zresztą szkodzi kilka dodatkowych znaków drogowych w zachodniej Francji?

Byłem oszołomiony i moja pierwsza próba dostania się windą na szóste piętro zakończyła się tym, że wylądowałem na środku beżowego korytarza, który wyglądał znajomo, a jednocześnie jakoś dziwnie. Mdłe kolory niby były wszędzie takie same, ale walizy przed drzwiami stały w innych miejscach, niż zapamiętałem.

Ruszyłem korytarzem, rozglądając się za tabliczką z nazwiskiem Elodie. Nagle przystanąłem przed przyczepioną do ściany flagą. To była tęczowa flaga symbolizująca prawa osób homoseksualnych ze sloganem „Precz z CO₂”. Zacząłem się głowić, czy homoseksualiści nie potrzebują dwutlenku węgla. Nie poduszają się?

Na najbliższych drzwiach zobaczyłem tabliczkę z niemieckim nazwiskiem. Kiedy zajrzałem do biura, zobaczyłem brodatego mężczyznę w wyblakłej koszulce. Facet stał przy stole z pustym kubkiem w ręce i najwyraźniej próbował wybrać jakiś smak spośród mnóstwa herbat ustawionych w wysoką wieżę. Oto europoseł, który przynajmniej zdrowo wydaje zarobione pieniądze. Herbata na każdy dzień i każdy nastrój.

Wiedziałem już, że to nie jest korytarz Elodie, więc wycofałem się i wsiałem do windy po drugiej stronie holu. Znów wybrałem szóste piętro, lecz tym razem znalazłem się w ogromnym pomieszczeniu pełnym dzieł sztuki. Na ścianach wisały wielkie abstrakcyjne malowidła w stylu znanym prawdopodobnie jako euromazaje, a środkową część pomieszczenia zajmowało coś, co przypominało niedokończoną szubienicę. Szkoda, że tego nie dokończono, pomyślałem, bo można by się tu pozbywać samych artystów.

Ten korytarz też nie prowadził do biura Elodie, więc zjechałem z powrotem na dół i – jak to zwykle robi uparty samiec – nie pytając nikogo o drogę, skierowałem się do innej windy. W trakcie tej wycieczki natrafiłem na szereg skrzynek pocztowych należących do członków parlamentu pogrupowanych krajami. O dziwo, żadna z nich nie miała zamka. Cóż za wyraz zaufania. Gdyby tak było w mojej kamienicy w Paryżu, żadna paczka nie dotarłaby do adresata.

Zaczekałem na kolejną windę, po czym wyjechałem na szóste piętro, ale znów okazało się, że to nie tu. Tym razem zauważyłem na ścianie tablicę, na której widniała obietnica zbliżającego się ratunku – rysunek przedstawiający parującą filiżankę herbaty.

Kafeteria była otwartą przestrzenią upstrzoną kolorowymi fotelikami – jadowita zieleń, cytrynowożółty, jaskrawopomarańczowy, psychodeliczny turkus – poczułem się jak w hali odlotów w filmie z lat siedemdziesiątych. Tu i ówdzie siedzieli ludzie popijający kawę – moje wprawne oko od razu rozpoznało, że to asystenci – dwudziestoparolatkwowie w nieformalnych strojach i z przepustkami. Kilkoro z nich spojrzało ze zdziwieniem na mój garnitur. Pewnie się zastanawiali, czy ten nowo przybyły elegancik może mieć jakieś przydatne koneksje lub wpływy.

Kupiłem sobie napój energetyczny, po którym nabrałem takiej odwagi, że zadzwoniłem do Elodie i wyjaśniłem, w jakich opałach się znalazłem. Kiedy opisałem, gdzie jestem, westchnęła z rozpaczą i jęknęła: „Myszka Miki”. Typowa francuska obelga, pomyślałem. Symbol dekadentckiego anglosaskiego kapitalizmu.

Kiedy kilka minut później pojawiła się Manon, wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie jest mi specjalnie wdzięczna za to, że oderwałem ją od biurka, po raz kolejny wzywając pomocy. Uroczymie nieporadni mężczyźni chyba nie byli w jej typie. Może oglądała za dużo filmów z Hugh Grantem.

– *Tu fais exprès?* – zapytała.

Chciała wiedzieć, czy robię to celowo. Mógłbym to odebrać jako łagodną przyganę, gdybym nie wiedział, jak brzmi pełna wersja tego pytania w języku francuskim, które zaczyna się tak: „*Tu es con ou...*” (Naprawdę jesteś taką dupą wołową czy...?).

– Tylko w ten sposób mogłem cię wyciągnąć na rozmowę w cztery oczy – odparłem, ale mój wysiłek popisania się potoczystą francuszczyzną wywołał tylko grymas zniecierpliwienia na jej twarzy; bardzo pięknej twarzy, to trzeba przyznać, ale niezbyt mi się podobało, że ma mnie za kretyna.

– Wiem, wiem, że jestem Myszką Miki – westchnąłem.

Dziewczyna nie rozumiała, a kiedy usiłowałem jej wyjaśnić, tylko pokręciła głową i powiedziała, że tak się mówi na tę kafejkę. Ksywka pochodziła od kiczowatych mebli. Teraz poczułem się z kolei jak Koziółek Matołek.

– Zapraszam cię na kawę – zaproponowałem. – Założę się, że Elodie nieczęsto puszcza cię na przerwę.

Manon spojrzała na mnie nieco łaskawszym okiem.

– Dzięki. Proszę espresso.

– Bez cukru? – Domyśliłem się.

Dziewczyny tak szczupłe jak ona nigdy nie słodzą, prawda?

– Poproszę z cukrem – odparła.

No, no, niespodzianka. Czyli jednak ma jakąś słabostkę.

Przyniosłem kawę i szklankę wody. Manon skinieniem głowy podziękowała, że o tym pomyślałem. Niech to licha, pomyślałem, dwa dobre ruchy z rzędu.

– Przepraszam, że się zgubiłem. To przez te windy. Wsiadłem chyba do wszystkich po kolei. Na pewno znasz pojęcie windowania cen. No więc ja dzisiaj wymyśliłem nowy sport: windowanie siebie.

– To jest przykład tego osławionego angielskiego humoru? – zapytała Manon.

– Chyba nie.

Zdaje się, że to ją naprawdę rozbawiło. Ogarnęło mnie dziwne ciepło. Zapragnąłem zrobić coś, żeby uśmiechnęła się jeszcze raz.

– Praca w biurze Elodie pewnie nie jest najłatwiejszym zadaniem – odezwałem się.

Mój chwyt zadziałał. Znów zasłużyłem na uśmiech.

– To prawda. Trudniejsze jest chyba tylko znalezienie zakwaterowania w Brukseli dla całej rzeszy uchodźców – odparła i po raz kolejny się uśmiechnęła.

Ależ mam dzisiaj fart.

– Oj tak, to byłaby naprawdę gówniana robota.

– Dzięki wielkie. Tym się właśnie zajmuję.

– Poważnie? Przepraszam. Nie chciałem... – No i znów gafa. Za dobrze było.

Dziewczyna machnięciem ręki zbyła moje przeprosiny, po czym wyjaśniła, że Elodie poleciła jej skontaktować się ze wszystkimi burmistrzami w Bretanii (co oznacza w sumie tysiąc dwustu siedemdziesięciu włodarzy miast, miasteczek, wiosek i osad w regionie) i zapytać, ilu uchodźców byłiby w stanie przyjąć.

– Wielu wyraża zrozumienie i współczucie – mówiła Manon. – Proponują tymczasowe schronienie w pustostanach albo *salles des fêtes*. Ale inni wykorzystują to jako pretekst do wygłaszania teorii na temat czystek etnicznych i wyższości ras. Szczególnie wtedy, gdy mówię, że koncepcja zakłada tworzenie trwałych obiektów, bo ludność z Bliskiego Wschodu i z południowej półkuli będzie do nas napływać jeszcze przez kilkadziesiąt lat. Lub jak mawia Elodie, *les salopards ne vont pas nous lâcher*. Ta hołota nie da nam spokoju.

– Uroczo – przyznałem. – I sama zajmujesz się kwestią uchodźców w całej Bretanii?

– Tak, przypadł mi w udziale ten zaszczyt. Pozostali europosłowie mówią, że nie mają do tego ludzi.

– Jesteś jedyną asystentką Elodie?

– Nie poznałeś Cédrica?

– Nie. Co to za jeden?

Dziewczyna przyglądała mi się przez chwilę tak, jakby przypuszczała, że ją nabieram.

– Kuzyn jej męża. Pracuje w biurze obok gabinetu Elodie, po drugiej stronie. To znaczy pracuje tam, gdy akurat się pojawia.

– A co konkretnie robi?

Manon wzruszyła ramionami. Francuzi robią tak, kiedy czegoś nie wiedzą, nie chcą powiedzieć albo uważają, że nie warto o czymś mówić. Bardzo pojemny gest to ich wzruszanie ramionami.

Niezlą ekipę zatrudniła sobie Elodie. Kuzyn męża – Cédric, córka kochanki ojca – Manon i stary znajomy – ja. Za wszelką cenę chciała, żeby unijne pieniądze zostały w rodzinie. Zastanawiałem się, czy wszyscy członkowie parlamentu tak robią. Może tylko w ten sposób

można być pewnym czyjejs lojalności.

– Cóż, jeśli mogę ci jakoś pomóc... – zacząłem.

– Dzięki. – Manon się roześmiała. – Jeśli uczysz się bretońskiego, to możesz napisać kilka maili do burmistrzów o rasistowskich poglądach i obrzucić ich mięsem w lokalnym języku. Ale musisz uważać, kogo obrażasz, bo ci najgorsi głosują na partię Elodie i jej ojca.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– Nie należysz do partii Elodie, prawda? – zapytałem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Szczerze mówiąc, nie wyglądasz mi na osobę, która wierzy, że Napoleon był święty, że prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu należy uznać za francuskie dziedzictwo narodowe i że we francuskich kinach powinno się pokazywać tylko filmy o filozofii, jedzeniu, seksie albo rozwodach.

Tak długa kwestia w języku francuskim byłaby oczywiście ponad moje siły, ale tak się składa, że widziałem kiedyś skecz, w którym nabijano się z kampanii wyborczej Jeana-Marie i w ten właśnie sposób podsumowano program jego partii.

Manon po raz kolejny zaszczyliła mnie uśmiechem.

– Dzięki. Potraktuję to jako komplement. Ale jeśli masz takie zdanie na temat partii Elodie, to dlaczego sam z nią pracujesz? – Celny atak.

Moja misja miała być tajna, zatem nie mogłem powiedzieć Manon, że zajmuję się czymś więcej niż pijani francuscy rolnicy rozbijający się w samochodach.

– Wierzę w ochronę języków mniejszości narodowych – odparłem.

– Ach, prawa Bretończyków i Szkotów do robienia naleśników w ich własnym dialekcie. To wprost fascynujące.

– Poza tym potrzebuję forsy – przyznałem. – Z Elodie znamy się z dawnych czasów, jeszcze z Paryża. Właściwie robi mi przysługę, zatrudniając mnie. Chyba nie mam odpowiednich kwalifikacji do tego rodzaju pracy.

– Z tego, co widzę w Brukseli, nie jesteś jedyny – odparła Manon.

– Za to, jak patrzę na twój spokój i opanowanie, kiedy rozmawiasz z Elodie, to gotów jestem się założyć, że tobie nie brakuje kwalifikacji.

No dobra, to było ordynarne pochlebstwo, ale z mojego doświadczenia wynika, że ten, kto twierdzi, że pochlebstwem nic się nie zyska, jest idiotą.

– Pracowałaś już wcześniej z politykami?

– Od czasu do czasu – odparła, wracając do taktyki unikania odpowiedzi. – Pokazać ci, gdzie się podziało biuro, którego szukasz?

Gdy Manon żwawym krokiem prowadziła mnie przez labirynt wind i korytarzy, po drodze odebrała telefon od Elodie, która chyba pytała, gdzie, u diabła, jesteśmy.

– Powiedział, że chce się napić herbaty – odparła spokojnym tonem Manon. – Przecież to Anglik.

Powoli stawało się oczywiste, że Manon lubi się nabijać z facetów. A przynajmniej ze mnie. Nie żebym miał coś przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, być może to trąci masochizmem, ale muszę przyznać, że takie coś zawsze mi się u kobiet podobało. Ten inteligentny, złośliwy błysk w oku, kiedy rzucają uwagi, których chciałoby się słuchać bez końca. Dopóki nie zamieniają się w bezpośrednie obelgi, rzecz jasna – dlatego właśnie Elodie i ja niezbyt długo ciągnęliśmy nasz romans. Gdy jej to pasowało, Elodie sięgała po

żarty i obelgi równie chętnie jak Joanna d'Arc po miecz. Korzystała ze swojej broni, żeby pognać mężczyzn, zmieszać ich z błotem i pokazać, kto tu rządzi.

– Przepraszam, że zwałam całą winę na ciebie – powiedziała Manon, kiedy zakończyła rozmowę. – Uznałam, że tak będzie najprościej.

– Tak, zwykle tak bywa.

– Dobrze wiedzieć. Zapamiętam to sobie – odparła.

Wydaje mi się, że żartowała.

* * *

Przez chwilę myślałem, że Elodie zwolniono i wyrzucono z budynku. Dopiero co zdołałem zapamiętać drogę do jej gabinetu, a teraz wyglądało na to, że niepotrzebnie się trudziłem.

Z biura usunięto wszelkie ślady jej obecności. Biurko było puste, drzwi do szafek pozamykane, a zasilacz do laptopa leżał na podłodze. Nie było nawet telefonu.

– Zawsze tak robi – odezwała się Manon. – Jest bardzo skryta.

Tylko jedna rzecz wskazywała na to, że biuro jest przez kogoś zajęte – duża biała koperta na małym stoliku obok drzwi. Manon podała mi ją, a ja zobaczyłem, że jest na niej nabazgrane moje imię i wiadomość: „Nie miałam czasu czekać”.

W kopercie znalazłem kartkę papieru i kartę kredytową na nazwisko Elodie. Spojrzałem na Manon, oczekując jakichś wyjaśnień, ale ona uraczyła mnie kolejnym galijskim wzruszeniem ramion. Z jej strony nie mogłem liczyć na żadną pomoc.

Kartka była w rzeczywistości wydrukiem, na którym widniał adres jednego z brukselskich *hôtel de ventes*, czyli „hotelu handlowych”. Cóż to, u licha, jest? Na początku pomyślałem, że to uprzejme belgijskie określenie burdelu. Czy Elodie robi sobie ze mnie żarty?

– *Ce n'est pas un...?*

W ostatniej chwili powstrzymałem się przed użyciem słowa, które mi się nasuwało. Mimo wszystko było mi trochę wstyd przed Manon.

– *Un quoi?*

– *Un... bordel?*

Manon roześmiała się na cały głos.

– Ty poważnie mówisz? Czy to też angielski humor?

– Tym razem mówię poważnie – zapewniłem. – Co to takiego *hôtel de ventes*?

Manon w jednym zdaniu poinformowała mnie, że jestem kretynem, a w dodatku mam obsesję na punkcie seksu. Wyszło na to, że *hôtel de ventes* oznacza dom aukcyjny.

W sumie mogłem się tego domyślić, gdybym przeczytał instrukcję, którą Elodie zapisała dla mnie na dole kartki, pod mapką z adresem. „Jutro o 10 rano. Skorzystaj z karty kredytowej i kup przedmiot licytowany z numerem 34”. Numer przedmiotu podkreślono aż trzy razy. „Zadzwoń, kiedy będzie potrzebny PIN”.

Pokazałem notatkę Manon, która zamyśliła się i spojrzała na mnie tak, jakbym trzymał na rękach szczeniaczka, który obsikał mi nowe spodnie. Tak – wydawała się myśleć – tak właśnie robią kobiety pokroju Elodie.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytałem.

– Pewnie „na spotkaniu” – odparła Manon, robiąc palcami gest imitujący cudzysłów.

Zmarszczyłem brwi, nie do końca łapiąc, o co chodzi.

– Spotkanie? W piątek po południu?

Palce Manon przeszły teraz powietrze niczym szpony, jak gdyby chciała wyryć cudzysłów w kamieniu. To mi zaczynało przypominać festiwal francuskiej pantomimy.

– Ach, masz na myśli...? – Próbowałem zasugerować seks bez poruszania biodrami.

Manon kiwnięciem głowy pogratulowała mi przenikliwości, a może subtelnych bioder.

– Z...? – Staralem się, jak mogłem, żeby bez słów pokazać wysokiego, lalusiowatego Skandynawa z gęstymi jasnymi włosami.

Marcel Marceau byłby ze mnie dumny, bo Manon znów skinęła głową.

Czyli Elodie poszła podbijać królestwo duńskie.

Do licha z nią! O co chodzi z tą aukcją, skoro miałem się przecież zabrać do poważnej roboty?

Wyjąłem telefon.

– Nie jestem pewna, czy to rozsądne – odezwała się Manon, ale ja już wybrałem numer Elodie.

Odebrała natychmiast.

– Czego chcesz, do cholery? – Mistrzynie dyplomacji.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w „spotkaniu”, Elodie. – Usiłowałem jedną ręką wykonać gest oznaczający cudzysłów, ale chyba bardziej przypominałem kulawego królika.

– Chodzi o instrukcję, którą mi zostawiłaś.

– Tak, chyba jasno się wyraziłam, prawda? Przecież nawet ty rozpoznajesz liczby do 34.

– A nie miałem zbierać informacji o zagrożonych językach?

– Miałeś, dlatego pójdziesz i kupisz sobie komputer, płacąc za niego kartą kredytową.

– Och. – Jej hojność mnie zaskoczyła.

Kiedy wracałem z lunchu, mijałem sklep pod marką pewnej znanej firmy komputerowej, która kojarzy się z owocem. Dlatego też teraz zapytałem, czy mogę kupić komputer tej firmy.

Po drugiej stronie rozległo się nerwowe prychnięcie.

– Nie łapiesz, o co chodzi, Paul. Jak zwykle zresztą. Przedmiot z numerem 34 to komputer. Masz iść i go kupić.

– Ale to jest aukcja – przypominałem. – Co będzie, jeśli nie wygram?

– Co będzie, jeśli nie wygrasz? To bardzo angielskie pytanie, Paul. Idź i wygraj. I zadzwoń, kiedy już ci się to uda. Bo uda się, prawda? Za wszelką cenę.

– Dobra.

– A teraz cię proszę, żebyś mi już dzisiaj nie przeszkadzał. W piątki nie pracuję. Wiesz o tym. Naprawdę, Paul, zaczynasz się zachowywać jak upierdliwy asystent. Prawdziwa szparka sekretarka.

Chyba już mówiłem, że Elodie, kiedy chce, potrafi być nastawiona równie pokojowo jak Joanna d’Arc.

– Ach tak? – odparłem, gorączkowo szukając jakiejś celnej riposty.

Musiał istnieć jakiś dowcip o członku w parlamencie. Elodie jednak zdążyła się już rozłączyć.

Spojrzałem na Manon, która na nowo podjęła naszą pantomimę – teraz wyciągnęła przed siebie obie ręce, jakby miała na nich dwie rośliny doniczkowe. Jej gest mówił: *voilà*, mówiłam ci, że to kiepski pomysł z tym telefonem.

Jedynym plusem był fakt, że mój dzień pracy chyba dobiegł końca.

Postanowiłem zaryzykować i na migi zaproponowałem Manon wypad na drinka. Ona jednak pokręciła głową, pomachała rękoma w powietrzu, udając, że pisze na komputerze, po czym zniknęła w swoim gabinecie. Tym razem jej pantomima nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Bruksela chce zakazać chipsów z wędzonego boczku

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2003

Ponieważ poprzedniego wieczoru zrezygnowałem z alkoholu i położyłem się spać wcześniej, rano wstałem rześki i wyspany, po czym ruszyłem do domu aukcyjnego, żeby nie spóźnić się na spotkanie z licytатorem. Miałem sporo czasu, więc wybrałem malowniczą trasę i zaglądałem po drodze w boczne uliczki, które wydawały mi się interesujące.

Szwendając się po mieście, doszedłem do wniosku, że Bruksela ma chyba problem z tożsamością. Nie dość, że została w znacznej mierze zaanektowana przez Unię Europejską, to jeszcze sama porzuciła swoją osobowość w pół drogi. Bruksela nie jest ani seksownym Paryżem, ani zaćpanym Amsterdamem. Na szczęście jednak miasto dostrzega pozytywne, a nawet zabawne strony bycia tylko na poły trendy, a do tego ma swoiste poczucie humoru: wyraża się ono w ciekawym doborze posągów, których na ulicach Brukseli jest mnóstwo.

Najsłynniejszym z nich jest bez wątpienia Manneken Pis. Sikający chłopiec jako symbol narodowy to dość dziwaczny wybór. Kiedy go odwiedziłem tamtego ranka, występował akurat przed grupką turystów, którzy robili mu zdjęcia i filmowali go. Gdyby to był prawdziwy chłopiec, za coś takiego trafiliby do więzienia.

Jednak gdy tak spacerowałem ulicami Brukseli, szybko zrozumiałem, że Manneken jest w rzeczywistości jednym z bardziej konwencjonalnych posągów w tym mieście. To tylko bezczelny chłopczyk, któremu zachciało się siku. O wiele dziwniejszy od tego berbecia jest jego damski odpowiednik – wyrosnięta dziewczynka o imieniu Jeanneke. Ma włosy związane w ogonki, siedzi w kucki i sika do kałuży, a pokazuje przy tym tyle, że powinni ją oglądać tylko rodzice.

Jest też pies, Zinneke Pis, nieduży terier usiłujący obsikać słupek drogowy. W tym przypadku miasto nie postarało się o fontannę – pewnie, żeby prawdziwym psom nie przyszło do głowy naśladować Zinnekego.

Wbrew pozorom w Brukseli jest kilka posągów, które nie sikają, ale nawet one są dość dziwaczne.

Na środku szerokiego bulwaru natknąłem się na coś, co wygląda jak nagi hipis z jedną stopą przyklejoną do wielkiej muszli. Być może to żart nawiązujący do halucynogennych właściwości spożywanych w nadmiarze ostryg.

Nieco dalej widziałem posąg mężczyzny w szpitalnym szlafroku. Wyglądał, jakby chciał zejść z dachu. Czyżby to była aluzja do stanu państwowej służby zdrowia?

Przed jednym z biurów niedaleko siedziby Komisji Europejskiej trafiłem z kolei na coś, co zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej niż pozostałe posągi: była to grupa dziewczynek – trochę podobnych do Jeanneke – z wyłupionymi oczami, przez co pewnie nie zdawały sobie sprawy, że mają niebezpiecznie kuse spódniczki. Scena wyglądała jak żywcem wyjęta z porno-horroru.

Jeśli te wszystkie posągi mówią coś o tym, jak Bruksela postrzega samą siebie jako stolicę, to coś z tym miastem jest mocno nie halo. Ja osobiście winię za to mnichów

warzących piwo.

Zerknąłem na mapę. Opuściłem już centrum i teraz szedłem pochyłym brukowanym deptakiem, wzdłuż którego stały sklepiki ze starociami – okna wystawowe wyglądały tak, jakby moja babcia przywiozła tu cały swój dobytek, a potem dała się ponieść fantazji, wpisując ceny na etykietach i do każdej dodając nadprogramowe zero. Nie miałbym nic przeciwko skórzanemu fotelowi do salonu, nawet jeśli na tapicerce wciąż widnieje odcisk babcinych pośladek, ale na miłość boską, nie za cenę miesięcznego czynszu!

Dotarwszy na szczyt wzniesienia, skręciłem w uliczkę, przy której mieściło się mniej więcej tyle samo sklepów z antykami co hipsterskich kafejek ze starymi stolikami – każdy z innej parafii. Tuż obok knajpki z bezglutenowymi specjałami znalazłem wreszcie mój dom aukcyjny. Wejście do magazynu zastawiała gotycka szafa i gigantyczny ogrodowy wazon z zardzewiałego żelaza. Obok wejścia plakat w trzech językach informował o dzisiejszej aukcji.

Wszedłem do budynku, mijając w korytarzu chmurę żyrandoli, które oślepiłyby mieszkańców całego miasta, gdyby włączono je wszystkie naraz, a następnie przeszedłem przez pomieszczenie pełne obrazów przypominających euromazaje, które widziałem w budynku parlamentu. Wreszcie dotarłem do części magazynu, w której wystawiono przedmioty przeznaczone na licytację.

Licytatorzy wykazali się rozsądkiem, wystawiając tu asortyment starych foteli. W pomieszczeniu kręciło się już kilkanaście osób i co chwila ktoś przysiadł na starociach, sprawdzając, czy są wygodne. Ja postanowiłem wypróbować drewnianą ławkę z utraconą nóżką oraz fotel, który niecznie ubódł mnie wystającą sprężyną między pośladki, żeby w końcu wybrać krzesło ze sklejki wypolerowane przez kilka pokoleń Mannekenów i Jeanneke zasiadających w szkolnych ławach.

Przyjrzałem się potencjalnym rywalom w nadchodzącej walce o przedmiot numer 34. Nie wyglądali mi na obytych z techniką ani na specjalnie zamożnych. Większość stanowili mężczyźni w średnim wieku, ubrani w grube kurtki. Poza nimi była starsza para, która porównywała notatki i spostrzeżenia dotyczące katalogu. Katalog to były po prostu pozszywane kartki formatu A4. Uznałem, że nie ma powodu obawiać się kosmicznych cen.

Przy krótkim rzędku używanych stolików przed nami stał dobrze odżywiony mężczyzna z bujną siwą brodą i łysą czaszką. Ustawiał teraz wykrzywiony mikrofon. Wyglądało to tak, jakby sprawdzał, czy będzie w stanie go połknąć, nie zniżając głowy. Założyłem, że to musi być licytator.

Ścianki działowe tej części magazynu były zrobione z mebli biurowych – stały tu szafki na dokumenty, biurka i duży zestaw foteli biurowych – od tych przeznaczonych dla szefów, po najmniejsze, przydzielane zwykle nowym stażystom. Sądząc po etykietach z numerami, wszystkie były wystawione na sprzedaż, podobnie zresztą jak liczne lampy, kserokopiarka wielkości jacuzzi i – tak, na to czekałem – kilka laptopów ustawionych na gablotce, w której mieściły się mniejsze przedmioty. Były otwarte i wyglądały jak rząd leżaków na szklanej plaży.

Podszedłem do przedmiotu numer 34. Miałem wrażenie, że dwoi mi się w oczach, bo tym samym numerem oznaczono kilka komputerów. W skład przedmiotu numer 34 wchodziły *trzy* identyczne laptopy. Żaden z nich nie wyglądał, jakby był w stanie załadować

cokolwiek większego niż zdjęcie paszportowe. Były czarne, grube jak belgijskie gofry, a na obudowach widniało logo producenta, które może się kojarzyć ze wszystkim, ale nie z owocami.

Uznałem, że pora zaryzykować, i zadzwoniłem do Elodie.

– Nie mógłbym kupić jednego nowszego modelu zamiast tych trzech dinozaurów? – zapytałem, wysłuchawszy standardowego powitania Elodie: „Musisz mi bez przerwy truć tyłek, Paul?”.

– Rób to, za co ci płacę. Kup przedmiot numer 34 – jęknęła do słuchawki. – Proszę – dodała, choć ostatnie słowo mogło równie dobrze być skierowane do kogoś, kto pytał, czy życzy sobie dokładkę marynowanego śledzia.

– Cena nie gra roli? – upewniłem się.

– Nie sądzę, żeby kosztował tyle, co te wypasione modele, które tak ci się marzą – odparła, po czym rozłączyła się, najwyraźniej chcąc jak najszybciej wrócić do skandynawskiego śniadania.

Sprawdziłem, czy na pewno nie zapomniałem zabrać karty kredytowej, którą zostawiła mi Elodie. Teraz pozostało tylko czekać na rozpoczęcie aukcji.

Na początku pomyślałem, że chyba częściowo ogłuchłem. Po chwili dotarło do mnie, że licytator mówi po flamandzku. Moje językowo upośledzone ucho odebrało to jako serię przypadkowych sylab wypowiedzianych przez kogoś, kto irytuje się, nie mogąc ustawić ich w odpowiedniej kolejności. Druga możliwość była taka, że to po prostu bardzo pijany Niemiec.

Nie mówię tego z poczuciem wyższości. Często słyszałem, że ze swoim akcentem z południa Anglii przypominam lekko zaskoczoną zakonnicę.

Łatwo sobie jednak wyobrazić mój niepokój rosnący w miarę trwania aukcji – dotarło do mnie, że nie rozumiem najważniejszej części całego wydarzenia: numerów. A to dość istotne, jeśli chce się wziąć udział w licytacji.

Nieco naiwnie założyłem, że aukcja będzie prowadzona w języku francuskim albo w kilku językach jednocześnie. W końcu znalazłem się w europejskiej stolicy translacji – w mieście, gdzie nic nie może się odbyć bez obecności co najmniej dwudziestu tłumaczy.

Pocieszałem się, że numer przedmiotu oraz jego zdjęcie pojawia się za każdym razem na ekranie stojącym przed licytátorem.

Wyjąłem telefon i zacząłem szukać listy flamandzkich liczebników z transkrypcją fonetyczną, żebym wiedział mniej więcej, jak je wymówić. W dalszym ciągu jednak miałem wątpliwości, czy będę w stanie wyprodukować naraz tyle śliny.

W miarę przyglądania się aukcji doszedłem wszakże do wniosku, że chyba niepotrzebnie się martwiłem. Ludzie licytujący pierwszych kilka przedmiotów w ogóle nic nie mówili. Podnosili tylko palec albo kiwali głową, patrząc na licytatora. Poza nim właściwie nikt się nie odzywał. Żeby kupić wybrany przedmiot, będę musiał tylko machać do grubego gościa, dopóki nie stuknie młotkiem i nie wskaże mnie palcem.

Rozluźniłem się i patrzyłem, jak pozostali uczestnicy wzbogacają się o kolekcje obrzydliwych biurek i nieporęcznych regałów. Żadna licytacja nie trwała dłużej niż minutę, więc nie oczekiwałem, że przyjdzie mi ogołocić kartę Elodie. Perspektywa wygranej zaczęła mnie nawet cieszyć. To jest właśnie w aukcjach najlepsze – mimo że czyścisz sobie konto do

zera, kupując coś, czego wcale nie potrzebujesz, czujesz się zwycięzcą. Poza tym wiedziałem, że mogę licytować do upadłego i nie będzie mnie to kosztowało złamanego grosza.

Co tu mogłoby pójść nie tak?

Kiedy wywołano przedmiot z numerem 33 – pojedynczy komputer – ogarnęło mnie nerwowe podniecenie, które jednak natychmiast ustąpiło, kiedy sprzęt został sprzedany za „fiftig” – zabrzmiało to jak pięćdziesiąt euro. Śmiesznie tanio jak na laptopa. A jeśli żaden z trzech komputerów nie będzie działał, to nie mój problem. W ten sposób udowodniłbym tylko, że miałem rację i francuskie pieniądze można było wydać na coś solidniejszego.

Przedmiot, który mnie interesował, wprowadzono z absurdalnie niską ceną wywoławczą „dirty” (albo jakoś tak – założyłem, że to trzydzieści). Posłusznie uniosłem rękę i licytator wskazał na mnie młotkiem. Podał kolejną cenę, która wzbudziła zainteresowanie kogoś innego, więc licytator spojrzał na mnie, powiedział coś jeszcze, a ja znów podniosłem rękę. Jakie to proste.

Po kilku rundach cena osiągnęła poziom chyba siedemdziesięciu euro. Rozejrzałem się po sali, chcąc pokazać pozostałym, że nigdzie się nie wybieram, ten przedmiot będzie mój.

Wtedy pomyślałem, że coś tu nie gra.

W rogu pomieszczenia, za moim prawym ramieniem, siedział mężczyzna zdecydowanie młodszy od pozostałych – nie licząc mnie, rzecz jasna. Ubrany był również podobnie jak ja – w dżinsy i wyprasowaną białą koszulę. Odcinał się na tle starszych uczestników licytacji odzianych w luźne, workowate ciuchy. Może mi się tylko wydawało, ale na jego szyi dostrzegałem charakterystyczne otarcie po smyczy, na której większość ludzi nosiła przepustki. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę niewymuszonej, międzynarodowej elegancji, jaką widywałem u wszystkich osób napotkanych w Parlamencie Europejskim. Zgadywałem, że pochodzi z północnej Europy, sądząc po jasnej cerze i blond włosach.

Rozmawiał akurat przez telefon, ale nie spuszczał ze mnie wzroku. Gdy mu się tak przyglądałem, skinął głową, jakby właśnie wysłuchał polecenia wydanego przez rozmówcę, po czym podniósł rękę na znak, że podbija cenę.

Wciąż patrzyłem na faceta, gdy licytator wywołał kolejną cenę, na którą zareagowałem odpowiednim gestem.

Gosiek w rogu znów powiedział coś do telefonu, kiwnął głową i podbił cenę. A ja po raz kolejny wyciągnąłem rękę, żeby go przelicytować.

Nie słuchałem już licytatora. Nie umknęło mojej uwadze, że jego głos stawał się coraz wyższy z każdą wywołaną kwotą i pobrzmiwało w nim rosnące zaskoczenie. Wśród zebranych raz czy dwa razy rozległ się śmiech. Belgowie najwyraźniej zastanawiali się, kim są ci dwaj idioci z zagranicy, którzy walczą o trzy przestarzałe laptopy.

Muszę przyznać, że sam zadawałem sobie to pytanie, ale jednocześnie zaczynałem też rozumieć obsesję Elodie na punkcie przedmiotu numer 34. Z pewnością było w nim coś szczególnego. Miałem nadzieję, że nie chodzi o porcję kokainy ukrytą pod klawiaturą – nie uśmiechało mi się zostać aresztowanym lub napadniętym w drodze powrotnej.

Za następną wywołaną cenę można byłoby kupić całkiem przyzwoity nowy tablet, a po kilku minutach nawet całkiem niezłego laptopa. Mimo wszystko obaj posłusznie wykonywaliśmy polecenia, choć gdy ja podbijałem cenę, za każdym razem spoglądałem na

rywała, wzruszając ramionami, jakbym chciał mu powiedzieć: „Odpuść sobie, koleś, ja nie zrezygnuję”.

Tamten na bieżąco zdawał sprawę z przebiegu licytacji swojemu rozmówcy. Wyglądał na zdeterminowanego, lecz w którymś momencie nagle odłożył telefon i wyszedł. Zrezygnował.

Wśród westchnień i okrzyków licytator wreszcie uderzył młotkiem i wypowiedział osiągniętą cenę tak powoli, żeby nawet Anglik zrozumiał.

– *Negenhonderd negentig* – powiedział, wyteżając się tak, jakby w języku flamandzkim rzadko używano tak wielkich liczb.

Dziewięćset dziewięćdziesiąt euro za trzy stare, niepozorne komputery. To chyba najgłupsza transakcja zawarta od 1976 roku, kiedy to jakiś niecierpliwy kumpel Steve’a Jobsa sprzedał swój dziesięcioprocentowy udział w firmie Apple za osiemset dolarów.

No cóż, pomyślałem. Ja tylko wykonuję rozkazy.

Pamiętałem jednak z lekcji historii, że ta wymówka rzadko sprawdza się w praktyce.

– Nie, wyślę ci adres esemesem. Weź taksówkę i przyjedź tu jak najszybciej. Kiedy dotrzesz, zadzwoń pod dwójkę.

Mogłem tylko mieć nadzieję, że to nie jest adres duńskiej ambasady. Nie chciałem oglądać wikinga po stosunku.

* * *

Jak się wkrótce okazało, taksówka zawiozła mnie do jednego z najpiękniejszych budynków, jakie kiedykolwiek widziałem. Wiedziałem, że Bruksela słynie z art nouveau, ale ten dom – a raczej lśniący pałac w odcieniach beżu i złota – przypominał ogromny obraz Klimta.

Był wysoki i wąski, a jego dach pokrywały krwistoczerwone dachówki. Fasada ozdobiona była mozaiką falistych liści i nimf czeszących anielskie włosy. Na pierwszym piętrze znajdowało się olbrzymie okno wykuszowe z balkonem okolonym krętą żeliwną balustradą, a rzeźbione drzwi wejściowe wyglądały jak wrota do miejskiej rezydencji leśnych elfów. Odniosłem wrażenie, że architekt musiał się posiłkować sporą ilością opium i z pewnością lubił nosić falbaniaste koszule.

Zadzwoiłem pod dwójkę. Domofon zabrzączał i wszedłem do środka.

Za drzwiami rozpościerał się hol równie wyszukany i ozdobny jak fasada. Kafelki w różnych geometrycznych kształtach, błyszczące drewniane panele, a do tego dużo lśniących zdobień i kryształowy żyrandol, na widok którego mój flamandzki licytator niewątpliwie dostałby orgazmu.

– Wchodź na górę, Paul! Na pierwsze piętro! – zawołała Elodie.

Wydawała się niemal szczęśliwa, że mnie widzi.

Na środku pokoju, który był tak ogromny, że spokojnie zmieściłby się tu pełnowymiarowy stół bilardowy, stała Elodie w towarzystwie wysokiego blondyna. Z ulgą stwierdziłem, że nie jest to jej wielki duński ogier. Gdy przyjrzałem mu się bliżej, zorientowałem się też, że nie jest to Valéry, mąż Elodie, choć był do niego bardzo podobny.

Facet był kilka lat młodszy i szczuplejszy od małżonka Elodie, ale i tak bardzo go przypominał – miał ten sam niedbały sposób bycia, przydługą jasną grzywkę, którą co dziesięć sekund wymownym gestem odrzucał w tył, oraz wyraz twarzy kogoś, kto nie do końca pamięta, w którym wieku przyszło mu żyć.

– To jest Cédric – odezwała się Elodie. – Kuzyn Valéry’ego. Poznałeś go na naszym ślubie.

– Ach, oczywiście, *bonjour* – odparłem, ściskając jego wiotką dłoń.

Właściwie nie byłem pewien, czy naprawdę go poznałem, bo na weselu było jeszcze kilkunastu podobnych osobników, nie wspominając o ich damskich odpowiednikach. Okazało się, że rodzina, do której weszła Elodie, była jednym z tych wielkich francuskich klanów, które całą energię wkładają w rozmnażanie, prawdopodobnie po to, by było komu pracować i płacić za utrzymanie licznych *châteaux*.

Rodzina ta cechowała się też wrodzoną niechęcią do łączenia się z kimkolwiek spoza klanu, co oznaczało, że prawdopodobnie za kilka pokoleń wszyscy członkowie rodu będą mieli identyczne twarze i po dwie głowy. Elodie była jednym z nielicznych elementów zewnętrznych, które dopuszczono do wewnętrznego obiegu w celu odświeżenia genów. Sądząc po jej upodobaniu do pozamałżeńskich przygód z wikingami, nie był to

najmądrzejszy wybór.

– Daj komputery Cédricowi, Paul – poprosiła Elodie.

– Nie powinienem jednego zatrzymać dla siebie?

– Nie, Cédric najpierw je sprawdzi. W poniedziałek dostaniesz jeden z powrotem.

Posłusznie oddałem laptopy wraz z płataniną kabli.

– Dobra. Możesz już iść, Cédric – powiedziała po francusku Elodie, jak gdyby zwracała się do szczeniaka.

Cédric wyszedł. Miałem nadzieję, że odziedziczył wystarczającą liczbę komórek mózgowych, wyjątkowo oszczędnie rozdzielanych w tej rodzinie, żeby był w stanie włączyć komputer.

– Piękne mieszkanie – zwróciłem się do Elodie, kiedy zostaliśmy sami. – Czyje?

– Twoje – odparła, rzucając mi klucze.

Kiedy podniosłem klucze (oraz siebie) z parkietu, na którego lśniącej powierzchni odbił się maleńki ślad klucza, zapytałem Elodie, co dokładnie miała na myśli.

– Dom należy do Francji. Zwykle mieszkają tu dyplomaci, ale to piętro akurat jest wolne, więc pomyślałam, że mógłbyś tu zamieszkać na czas pobytu w Brukseli. Nie musisz płacić czynszu. Meble są trochę staroświeckie, ale da się tu żyć.

Elodie od niechcienia machnęła ręką w stronę okazałej sofy z fioletowego pluszu oraz czterech foteli z tego samego kompletu, stołu pokrytego czarną politurą oraz sześciu krzeseł z wysokimi oparciami. Całość uzupełniał parawan w japońskim stylu, który częściowo przesłaniał widok na bujne liście drzew w ogródku na tyłach domu.

– Ogródek też jest do twojej dyspozycji – dodała Elodie. – Tylko nie rób tu żadnych imprez z grillem. I obiecaj mi, że będziesz korzystał tylko z jednej łazienki.

Można by pomyśleć, że obostrzeń w tej umowie najmu jest raczej sporo, ale mimo to skinąłem głową.

– Pamiętasz czasy, kiedy dzieliliśmy łazienkę, Paul? – zapytała Elodie.

Nie spodziewałem się, że powie coś takiego.

– Tak – odparłem, mając się na baczności.

– Ja jeszcze studiowałam, a ty dopiero przyjechałeś do Paryża, więc po francusku potrafiłeś powiedzieć tylko „*café au lait*” i „*voulez-vous coucher avec moi*”.

Elodie uśmiechnęła się szeroko. Przypomniały mi się nieco bardziej niewinne czasy, kiedy mieszkaliśmy razem w dzielnicy Marais. Od czasu do czasu sypiałem wtedy z Elodie, a ona bzykała tyłu modeli, ilu była w stanie zaciągnąć do łóżka. No dobra, czasy może jednak nie były takie niewinne, ale z pewnością zabawne.

– Nas dwoje w malutkim HLM – rozmarzyła się Elodie.

Miała na myśli *habitation à loyer modéré*, czyli tanie budownictwo komunalne, choć w rzeczywistości była to najelegantsza spośród komunalnych kamienic w całym Paryżu. Mieszkały tam prawie wyłącznie dzieci polityków.

– Prawda, że sporo się zmieniło przez ten czas, Paul? Daleko zaszliśmy. Ja jestem członkiem Parlamentu Europejskiego, a ty współwłaścicielem herbaciarni w Paryżu. A do tego mamy... znaczy ty masz do dyspozycji to luksusowe mieszkanie.

Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale uznałem, że pora okazać odrobinę wdzięczności.

– Cóż, nadal korzystam z gościnności twojej rodziny – odparłem. – Masz rację, to miejsce

jest wspaniałe. Piękne. I jeszcze raz dziękuję, że zaproponowałaś mi pracę. Przyda mi się teraz trochę forsy.

– Dziękuję, że to powiedziałaś, Paul. Dobrze wiedzieć, że mogłam ci pomóc. – Uśmiechnęła się do mnie, a uśmiech wyglądał na całkowicie szczery. Trzeba przyznać, że nieczęsto to jej się zdarzało. – A teraz czy mogłabym cię prosić o przysługę? – No, wracamy do rzeczy. – Chciałabym zrobić kilka zdjęć tego mieszkania. Możemy wykorzystać twój telefon?

Podaliśmy jej komórkę, a ona zaczęła pstrykać fotki tu i tam. Zrobiła i mnie kilka zdjęć w różnych pokojach. Poprosiła, żebym usiadł na wielkim łożu z żelazną ramą, które wyglądało tak, jakby wykuto je z kraty strzegącej wejścia do średniowiecznego zamku. Potem miałem udawać, że piję kawę, siedząc przy kuchennym blacie – była to jedyna zmodernizowana część apartamentu.

– Dlaczego muszę być na tych zdjęciach? – zapytałem, kładąc się w wannie.

Była olbrzymia, biała i stała na złoconych lwich łapach. Należy dodać, że miałem na sobie ubranie.

– Potrzebuję tych zdjęć na stronę, na której umieszczamy oferowane zakwaterowanie. Niektóre z tych starych domów mogą przerazić młodych dyplomatów. Musimy je zaprezentować w jakiś zabawny sposób.

Usiłowałem sobie wyobrazić francuskiego dyplomate, który wybrałby zakwaterowanie zachęcony widokiem ubranego Anglika leżącego w wannie. Może jednak czegoś nie wiem o francuskich służbach zagranicznych.

– A może zrobiłbyś sobie kilka selfie? Podobały mi się te twoje fotki z Paryża, na których miałeś takie głupie miny.

Apartament najwyraźniej wprowadził Elodie w nostalgiczny nastrój. Zrobiłem kilka selfie, pozując jako angielski głupek obok najwspanialszych mebli, jakie wykonano pod koniec dziewiętnastego stulecia. Potem oczywiście musiałem poświęcić kilka minut, żeby wszystkie zdjęcia powysyłać Elodie.

– Doskonale – powiedziała, kiedy kolejne obrazy docierały na jej komórkę. – Teraz możesz się wprowadzić do swojego nowego mieszkania. Życzę ci udanego weekendu, a jeśli zechcesz w łóżku korzystać z kajdanek, staraj się nie zniszczyć lakieru.

Obiecałem, że będę ostrożny.

– Co robisz wieczorem? – zapytała.

– Miałem nadzieję, że wyjdę na drinka z jakimiś Litwinkami.

– Świetnie. Wiesz, co mówią o Litwinkach.

Nie miałem pojęcia, ale planowałem się tego dowiedzieć.

* * *

Gdy tylko przyniosłem walizkę i rozpakowałem jej skromną zawartość w apartamencie wielkości stadionu, postanowiłem wziąć kąpiel. Gdy kładłem się w wannie do zdjęcia, które robiła Elodie, przypomniałem sobie, jak przyjemna może być długa kąpiel. Przez tyle czasu pomieszkiwałem na maleńkich paryskich poddaszach, że przyzwyczaiałem się do szybkiego prysznic na stojąco. Dla jasności, stałem w kabinie prysznicowej, a nie w deszczu na dachu.

Nawiasem mówiąc, stąd właśnie biorą się głupie artykuły w angielskich gazetach o tym, że Francuzi się nie myją. Wszystko zaczęło się od tego, że jakiś bystrzak dziennikarzyna dorwał statystyki, według których przeciętny Francuz spędza niewiele czasu w wannie, i na tej podstawie doszedł do wniosku, że Francuzi w ogóle się nie myją. To oczywiście głupota. Większość Francuzów, których znałem na tyle dobrze, by ich zagadnąć o kwestie higieny, codziennie bierze prysznic. Mało tego, to oni śmieją się z nas, Brytyjczyków, że kisimy się w swoim brudzie.

Ponieważ w pobliżu nie czaił się teraz żaden paryżanin, mogłem spokojnie rozkoszować się widokiem przejrzystego jeziora, które powoli tworzyło się tylko dla mnie w lśniącej, emaliowanej wannie. Potem włożyłem dłoń do wody, żeby sprawdzić temperaturę, aż wreszcie wszedłem do środka, powolutku, najpierw zamaczając czubki palców, a następnie stopniowo, po kawałeczku zanurzałem się pod ciepły kocyk delikatnie pachnącej wody.

Tego dnia nie mogłem liczyć na kąpiel z pianą. Udało mi się zwędzić z hotelowego pokoju tylko kilka malusieńkich buteleczek z żelem pod prysznic – nie mając płynu do kąpieli, dodałem więc do wanny kilka kropel wody po goleniu. Trudno, tym razem to musi wystarczyć. Mimo wszystko dzięki tej odrobinie luksusu kąpiel była jeszcze przyjemniejsza. Poza tym miło było sobie wyobrażać, że rozbiera mnie jakaś szczęściara i z zachwytem odkrywa, że nie tylko moja twarz tak kusząco pachnie – tego wieczoru całe moje ciało przeszło zapachem, który kojarzy się z francuskim ideałem męskiej elegancji.

Ułożyłem się wygodnie i zanurzyłem po szyję. Czas na relaks.

Po chwili zaczęło mi się nudzić. To jest właśnie cały problem z prysznicem. Człowiek przyzwyczaja się do szybkiego mycia: wchodzisz, namydlasz się, spłukujesz raz-dwa i wychodzisz. Pięć minut i po robocie. Po czymś takim każde dłuższe mycie wydaje się stratą czasu.

Przyznam, że przez jakiś czas bawiło mnie obserwowanie wzoru z kafelków – zdołał je deseń fioletowych, złotych i zielonych pnączy, które wyglądały jak jakieś trujące rośliny. Taki wzór biegł wzdłuż wszystkich czterech ścian. Nad umywalką wisiała staroświecka chromowana lampa – wyglądała, jakby dawno temu znajdowała się na wyposażeniu przedwojennego luksusowego liniowca. To niesamowite, że po tak długim czasie w ogóle nadawała się do użytku.

Wkrótce jednak pożałowałem, że nie mam choćby kilku gumowych kaczuszek do zabawy albo małej łodzi podwodnej. Albo przynajmniej prawdziwej kostki mydła, którą można by wrzucić do wody, a potem na nią polować. Mydłem w płynie nie można się w nic pobawić. No dobra, może i można, ale w takie gry wolę grać z dziewczyną.

Gdy mój telefon, który odłożyłem na stolik, zaczął dzwonić, uznałem, że to również jakaś rozrywka. Pomachałem, żeby choć trochę osuszyć dłoń, po czym chwyciłem komórkę i odebrałem.

– Cześć, Paul, czy w porządku?

Połączenie angielskich słów, francuskiej składni i amerykańskiego akcentu oraz naiwnego entuzjazmu godnego pięciolatka, który dopiero łyknął szampana z kieliszka taty i myśli, że ta nagła *joie de vivre* jest czymś naturalnym – to mógł być tylko jeden człowiek.

– Witaj, Jake.

Jake był moim przyjacielem, Amerykaninem, który mieszkał we Francji tak długo, że jego mózg nie odróżniał już języka francuskiego od angielskiego. Dlatego właśnie Jake

często mówił w obu językach jednocześnie. O dziwo, udało mu się znaleźć pracę jako nauczyciel angielskiego. Poza rujnowaniem szans małych Francuzów na pomyślne zdanie jakiegokolwiek egzaminu z języka angielskiego Jake po godzinach oddawał się poezji. Jego rymy były całkowicie pozbawione gustu, a do tego trąciły pornografią. Gdyby mój przyjaciel postanowił wrócić do Stanów Zjednoczonych, tamtejsze władze z pewnością zniosłyby swoje słynne przepisy o wolności słowa. To właśnie Jake swego czasu napisał wiersz o stosunku analnym, który zatytułował (wrażliwych czytelników uprasza się o pominięcie tego fragmentu) *O wizycie w odbycie*.

Nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

– Jak tam w Brukseli, Paul? – zapytał Jake.

– Całkiem nieźle, dzięki, Jake. Pracując dla Elodie, czuję się trochę jak jej piesek kanapowy, ale przynajmniej załatwiła mi świetne mieszkanie.

– To ekstra, chłopie. Duże masz łóżko?

To było jedyne kryterium, jakim kierował się Jake, wybierając nieruchomości. Czy w domu jest podwójny materac, najlepiej z kobietą na wyposażeniu.

– Tak, jest dość duże. A co u ciebie?

Zadałem mu to pytanie nie bez smutku. Wiedziałem, że Jake niedawno rozstał się z żoną, Mitzi. Byłem świadkiem na ich ślubie. I naprawdę myślałem, że tym razem mojemu przyjacielowi się uda. Po pierwszej nocy zwykle brał nogi za pas, ale w przypadku Mitzi wydawało się, że to coś poważniejszego. Świata poza nią nie widział. Ona też była w nim zakochana po uszy. Do dnia, gdy zastała go w ich małżeńskim łóżu z prawie dwumetrową modelką z Somalii.

– Ach, wiesz, sporo ostatnio myślę o swoich przewinieniach.

– To dobrze, Jake. To normalne.

– Wydaje mi się, że zbyt poważnie potraktowałem te małżeńskie cieleta.

– Co takiego?

– Małżeńskie cieleta? *Les veaux du mariage*?

– Chodzi o przysięgę, Jake. Chyba miałeś na myśli *les voeux*. *Veau* to cielak.

– A, tak, faktycznie, *voeux*.

– Wiesz, nie wydaje mi się, żeby to obejmowało posuwanie modelki w sypialni żony.

– Ale była mowa o tym, że mamy się nawzajem szanować. A czy afrykańska bogini nie jest uosobieniem szacunku? Wiesz, stary, zaproponowałem Mitzi, żeby się do nas przyłączyła.

Dlatego właśnie z Jakiem trudno się rozmawia o zawiłościach natury moralnej. To trochę jak rozmowa o filatelistyce z pstrągiem tęczowym. Ta koncepcja nie mieści się w jego układzie odniesienia. Nawet kiedy był żonaty, nie zrezygnował ze swojego poprzedniego pomysłu na życie, który zakładał sypianie z kobietami wszelkich narodowości, o których następnie pisał wiersze. W ten sposób powstała mała czerwona książeczka z poematami o głównych nacjach Europy, w której znalazło się także miejsce dla sporej części Azji, Afryki i Ameryki Południowej.

– Co porabiasz ostatnio? – zapytałem, dolewając do wanny gorącej wody, ponieważ spodziewałem się, że odpowiedź Jake'a może zmrozić mi krew w żyłach.

– Rozpocząłem pracę nad poematem epickim. To coś niesamowitego, mówię ci, stary. Inspiracją jest historia ubogiej paryżanki, która musi zarabiać na życie, pracując w barze

topless. Swoje dzieło zatytułowałem *Wiele hałasu o cyc*.

Uznałem, że muszę dolać jeszcze trochę gorącej wody.

– Łapiesz to, Paul?

– Niestety tak. Piszesz ten poemat tylko dlatego, że wpadł ci do głowy ten tytuł, prawda, Jake?

– No cóż, trudno zaprzeczyć. Ale teraz przyszedł mi do głowy jeszcze inny pomysł.

– Doprawdy?

Szykowałem się na najgorsze. Albo nawet jeszcze gorsze.

– Tak, napiszę wiersz pod tytułem *Les Bains Louches*.

Jęknąłem. To dość niefortunny żart językowy – *les bains douches* to francuskie łaźnie publiczne, podczas gdy *louche* oznacza kogoś o podejrzanym reputacji.

– Skąd wzięłeś ten pomysł, Jake?

– No wiesz, twoja *baignoire* – chodziło o moją wannę – wygląda na dość dużą. Weszłyby do niej dwie albo nawet trzy osoby.

– Co takiego? – Odruchowo chciałem zasłonić swoje krocze i omal nie upuściłem telefonu do wody. – Ty mnie widzisz?

– Oczywiście. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem, jak bawisz się ptaszkiem podczas naszej rozmowy. Myślałem sobie: no proszę, nasz Paul nareszcie stał się bardziej wyzwolony.

– Cholera.

– Spokojnie, Paul. Nie pierwszy raz to widzę. Pamiętasz tamte dwie dziewczyny z...

– Do ciężkiej cholery, Jake, dlaczego mi nie powiedziałeś, że to jest rozmowa wideo?

– Uspokój się, stary. Wiem, czego ci potrzeba.

– Niby czego?

– Mnie.

– Odpieprz się, Jake, nie jestem... Choć to oczywiście żaden wstyd... i zdecydowanie popieram prawo mężczyzn do...

– Przestań, Paul. Wiem, że nie jesteś gejem. Chciałem powiedzieć, że muszę cię odwiedzić i pomóc ci znaleźć jakieś Europejki do twojej *baignoire*. Potrzebuję jeszcze kilku bałkańskich nacji, żeby uzupełnić moją *petit livre rouge*. Złapię najbliższy pociąg. Podaj mi swój adres.

Któregoś dnia być może będę umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem.

Kilt ma być uznany za strój kobiecy

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2003

Tamtego wieczoru umówiłem się z Edem Fürstem w knajpce o francusko brzmiącej nazwie, niedaleko Place du Châtelain. Z mojego nowego mieszkania było tam parę kroków. Dobrze się składa, bo będzie można zaproponować przygodnie spotkanej damie: „*Voulez vous visiter mon appartement?*”, pomyślałem, wybiegając nieco w przyszłość.

Jake jeszcze się nie pojawił, więc wysłałem mu esemesa z nazwą knajpki i napisałem, że będę tam na niego czekał.

Plac Châtelain mieści się w dzielnicy niskich kamienic. To taki Paryż dla krasnoludków. Znajdziemy tam wszelkiego rodzaju restauracje, bary i puby, jakie tylko można sobie wymarzyć w wielokulturowej Brukseli – mamy tu knajpki hiszpańskie, włoskie, brazylijskie, angielskie, a nawet, o dziwo, belgijskie.

Kiedy dotarłem na miejsce, było wpół do dziewiątej. Plac o tej porze tętnił życiem – kręciło się tu mnóstwo unijnych pracowników po godzinach, już bez przepustek. Wyglądali w miarę normalnie – byli nieco mniej elegancko ubrani niż w pracy w piątek, kiedy mogli przyjść bez krawata. Mężczyźni mieli na sobie koszule ze sztywnymi kołnierzykami i drogie dzinsy, a kobiety spodnie od znanych projektantów lub spódnice – nie za krótkie.

Ed siedział z jakąś grupką ludzi przed lokalem o niezbyt fantazyjnej nazwie Café Noir. W rękę trzymał opróżniony do połowy kufel piwa.

– Ach, mój angielski przyjaciel! – zawołał, gdy tylko mnie zauważył.

Pomachał, żebym podszedł do stolika. Jego znajomi – dwóch mężczyzn i kobieta – przywitali mnie życzliwie. Dziewczyna od razu zadała wiadome pytanie: Czy Wielka Brytania zagłasuje za pozostaniem w Unii? Niech to licho, pomyślałem, będę musiał zrobić sobie koszulkę z napisem NIE MAM ZIELONEGO POJĘCIA.

Tym razem postąpiłem tak jak zwykle: przybrałem zamyślony wyraz twarzy i odparłem, że wyniki sondaży na razie są niejednoznaczne. Wszyscy pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Napijcie się czegoś? – zapytałem, a oni ochoczo przytaknęli, choć niektórzy z nich mieli jeszcze prawie pełne kufle.

Przydała mi się teraz umiejętność przeciskania się przez tłum, którą nabyłem w Paryżu. Kilka minut później wróciłem, niosąc na tacy kilka piw. Tym razem powitano mnie jeszcze goręcej niż na początku. Jakimś cudem wszyscy zdążyli dopić swoje piwa, kiedy mnie nie było. Zapowiadał się długi, suto zakrapiany wieczór.

Wyjaśniłem wszystkim, kim jestem, po czym każdy z nich powiedział dwa słowa o sobie.

– Wadim, Litwa, asystent europośła – zaczął uśmiechnięty Słowianin.

Zanim zdążyłem zapytać o jego rodaczki, odezwała się kobieta.

– Helga, Niemcy, jestem tłumaczką podobnie jak Ed.

Była godną przedstawicielką swojej nacji – klasyczna posągowa blondynka. Szybko jednak rozwiąła wszelkie nadzieje, informując, że jest dziewczyną Pierre’a. Wskazała brodą

siedzącego obok faceta, niższego od niej o dobre dziesięć centymetrów. Być może z tego powodu na głowie, na ciemnych kręconych włosach miał okulary przeciwsłoneczne.

– Pierre, z Pariiiza – przedstawił się.

Mówił z mocnym francuskim akcentem.

– Też jesteś asystentem europośla? – zapytałem.

Pierre skrzywił się nieco, jak gdyby posada asystenta była równie atrakcyjna co sprzątanie ubikacji. Nigdy nie lubiłem ludzi, którzy po zmroku noszą okulary przeciwsłoneczne, więc ucieszyłem się w duchu, gdy Pierre odpowiedział:

– Nie, jestem konsultantem w bąku.

– Słucham? – odparłem.

– Jestem bąkierem.

Chciał oczywiście powiedzieć, że jest francuskim bankierem, z silnym akcentem.

– Dużo sobie liczysz za bąkową obsługę? – zapytałem.

– Tak, mam dobrą cenę.

– Słyszałem, że ludzie bardzo cenią francuskie bąki.

Helga chyba zorientowała się, co jest grane, bo wtrąciła coś o „*englisches humor*”. Pierre prychnął i się odwrócił.

– Fajne miejsce, co nie? – zagadnął Ed.

Przyznałem mu rację. Zaczynałem się nieźle bawić.

– Powinieneś kiedyś wpaść tu w środę. Sporo się dzieje. Na placu jest targowisko z żywnością, ludzie urządzają tu sobie prawdziwy piknik. Istne szaleństwo.

– W środę tutaj, a w czwartki na Flux, tak?

– Zgadza się – potwierdził Ed. – Ci sami ludzie, te same miejsca, inne dni.

– To trochę jak na obozie. Zgaduję, że w piątki macie karaoke, w soboty konkurs miss mokrego podkoszulka, a w niedzielę składanie ofiar z ludzi?

– Nie, nie, ofiary z ludzi składamy każdego dnia. Przychodzimy tu, żeby składać się w ofierze każdemu, kto może pchnąć do przodu naszą karierę. W Brukseli wszystko kręci się wokół zdobywania przydatnych kontaktów.

Cholera jasna, pomyślałem. Mają tyle dni wolnych, a ani na moment nie potrafią wyluzować. Ulżyło mi, że jestem tu tylko na chwilę.

Plusem nieustannych pogaduszek było to, że ludzie nie siedzieli przez cały czas w tym samym miejscu – wydawało się, że wciąż się przemieszczają. Wypiłem dwa piwa, a w tym czasie zdążyłem się przyłączyć kolejno do trzech grup – każda z nich była tak samo międzynarodowa jak przyjaciele Eda.

Wszyscy zadawali mi nieśmiertelne pytanie o referendum, ale teraz zdążyłem się już rozkręcić, więc rozprawienie się z tematem wyników sondaży zajmowało mi już niecałą minutę.

Nie zawsze rozumiałem, o czym mowa, nawet jeśli towarzystwo rozmawiało po angielsku. Ci eurokraci jednak żyją we własnym świecie.

Jeden Portugalczyk pytał mnie, gdzie byłem na Erasmusie. Musiałem przyznać, że chyba w ogóle nie byłem – nie wspomniałem, że nie mam pojęcia, co to takiego.

Jakaś Francuzka przez cały czas nawijała o swoim „didżeju”. Założyłem, że to jej chłopak. Kiedy w pewnym momencie spytała, czy ja też mam swojego didżeja (czyżby związki z muzykami były jakoś szczególnie popularne w Brukseli?), odparłem, że nie znam

nikogo, kto zajmowałby się muzyką, a wtedy ona spojrzała na mnie jak na głupka i wyjaśniła: „*Mais non, Direction Générale! Diiii žeeej!*”. Wreszcie zrozumiałem, że chodzi jej o DG, a nie o DJ, ale było już za późno. Zaklasyfikowała mnie do kategorii „nie warto znać” i poszła w swoją stronę.

Byłem lekko wstawiony, lecz dopisało mi szczęście, bo udało mi się zaczepić atrakcyjną dziewczynę o wielkich, przyjaznych oczach i doskonałej figurze. Powiedziała, że pochodzi z Estonii. Powstrzymałem się od pytania o sąsiadki Litwinki i uprzejmie odpowiadałem, kiedy zagadywała mnie o referendum. Opłacało się, bo w końcu dotarliśmy do tematu seksu.

Sprawa wyglądała obiecująco – tak przynajmniej pozwalało mi myśleć trzecie piwo. Opowiedziałem dziewczynie o moim pierwszym wieczorze w Brukseli i przygodzie z dziwką na rogu ulicy. Rozśmieszyło ją to.

– Myślę, że prostytutka to przykra sprawa, nie sądzisz? – zagadnąłem. – Kobiety są zmuszane do seksu wbrew własnej woli, często też padają ofiarą przemocy ze strony jakiegoś gangstera.

To podejście zwykle działa na kobiety – wystarczy rzucić takim komunałem, a pomyślą, że troskliwy z ciebie gość i, co najważniejsze, że prawdopodobnie nie roznosisz chorób wenerycznych.

– Tutaj prostytutka jest legalna – odparła smutno dziewczyna.

Wychodzi na to, że dobrze oceniłem jej nastawienie.

– To prawda. A w dodatku nikt się z tym nie kryje – dodałem, chcąc wyrazić współczucie dla wykorzystywanych dziewcząt. – Na każdej ulicy jest jakiś burdel.

Spojrzała na mnie nieco zmieszana.

– Wszędzie widać znaki – wyjaśniłem.

– Naprawdę?

– Tak, dwa są na ulicy, przy której mieszkam, na całkiem normalnych budynkach.

– Znaki?

Patrzyła teraz tak, jakby uważała mnie za zboczeńca, który przechadza się po mieście i wypatruje prostytutek.

– Na pewno też je widziałaś.

– Nie.

– Naprawdę nie widziałaś znaków z napisem „te huur”?

Dziewczyna zaczęła się śmiać. Nie mogła przestać.

– Żartujesz, prawda? – powiedziała, kiedy wytarła łzy.

– Nie.

Kiedy wyjaśniła, że „te huur” w języku flamandzkim nie oznacza dziwki, lecz „do wynajęcia” – takie znaki wieszają się na nieruchomościach przeznaczonych na wynajem – ja też parsknąłem śmiechem. Tym razem jednak nie poczułem się jak idiota. Wręcz przeciwnie, pogratulowałem sobie w duchu. Wspólny powód do śmiechu to pierwszy krok do wspólnego łóżka, prawda? Poza tym przy okazji wyszedłem na niewinnego, prostego faceta, a z takimi bezpiecznie się sypia.

Wieczór rozwijał się zgodnie z planem, nawet jeśli moim pierwotnym celem były obywatelki innego kraju. Jeszcze kilka piw i kilka żartów, a nadejdzie czas, aby wspomnieć,

że mieszkam przy jednej z najpiękniejszych ulic w mieście, pięć minut piechotą stąd...

Nagle poczułem na ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

– Bą zo – powiedziało cielsko, do którego należała ręka. – Choć o tej porze powinienem raczej powiedzieć bą sua. – Mężczyzna beknął.

Odwróciłem się i ujrzałem znajomą twarz. To ten brodac, którego widziałem w knajpie na Flux. Ten, który patrzył na mnie spode łba.

Jego akcent był tak angielski jak rozmokłe frytki. Jego cuchnący piwem oddech pomógł mi skojarzyć go z miejscem, w którym spotkałem go po raz pierwszy. Oczywiście. To ten oszołom od ostryg. Ten, który wściekł się, kiedy się dowiedział, że pracuję dla Francuzów.

– Pani uważa na tego gościa. To szpieg. – Brodac znów beknął i zwrócił się do mojej estońskiej towarzyszki.

– *Bonsoir* i *au revoir* – powiedziałem mu.

Facet stosował klasyczną metodę podrywu na pijaka – wtrącić się i popsuć komuś innemu wieczór.

– Twierdzi, że jest Anglikiem, ale ja wiem, że szpieguje dla tych cholernych żabojadów.

Dłoń na moim ramieniu zaczęła się podejrzanie przesuwac w stronę mojego karku.

Strąciłem ją szybkim ruchem.

– Nikomu nie mówiłem o pańskich planach związanych z ostrygami, jeśli o tym mowa – zaprotekowałem.

– Naprawdę? – Gość wyglądał na zaskoczonego.

– Oczywiście, że nie. Pracuję dla Francuzów, ale sam nie pochodzę z Francji. Nie interesują mnie pańskie ostrygi. Mam na oku większą zwierzynę.

Spojrzałem na faceta udręczonym wzrokiem, chcąc mu przekazać, że na mojej liście priorytetów na pierwszym miejscu znajduje się stojąca obok kobieta, a nie żadne mięczaki. Brodac wypił jednak zbyt dużo, żeby wyłapać jakiegokolwiek subtelne sygnały.

– W takim razie o co chodziło z komputerami? – zapytał.

– Z jakimi komputerami?

– Dlaczego kupiłeś nasze komputery?

Zaczynało się robić dziwnie.

– Wasze komputery? Mówi pan o numerze 34?

– Nie znam numeru, ale wiem, że były nasze. Pozbywaliśmy się starego sprzętu biurowego. Po co asystentowi francuskiego europośła nasze komputery? No, słucham?

Facet podsunął mi pod nos swój kufel piwa, jak gdyby odpowiedź mogła się kryć w ciemnym płynie. Nie znalazłem jej jednak, choć musiałem przyznać, że to cholernie dobre pytanie. Po co, do diabła, Elodie wysłała mnie, żebym kupił komputery, które wcześniej należały do brytyjskiego członka Parlamentu Europejskiego?

– Czyli tamten gość, który próbował mnie przelicytować, to był twój kumpel? – zapytałem.

– Tak, ale cena za bardzo poszła w górę. Nie możemy aż tyle wydać, żeby odkupić swój sprzęt. Konta naszych parlamentarzystów są sprawdzane pod dupą... pod lupą... czy jak to się tam mówi. – Zaczynał mu się plątać język od tego belgijskiego piwa. – Jak to jest, że waszym europoślom wolno swobodnie dysponować forszą?

Mimo że gość był pijany jak bela, zadał już drugie dobre pytanie.

– Sam nie wiem. Ale skąd wiesz, że to ja licytowałem?

– Mój kumpel zrobił ci zdjęcie. Wiesz, jak na kogoś, kto jest w mieście zaledwie od kilku dni, całkiem niezłe zakręciłeś się koło tematu.

Facet miał rację. Byłem niezłe ustawiony i to raczej nie dzięki mojemu urokowi osobistemu.

– *Des amis, Pol?*

– *Merde.* – Nic innego nie przyszło mi w tym momencie do głowy.

To Manon – wyglądała ślicznie w obcisłej sukience i z rozpuszczonymi włosami. Patrzyła jednak na mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Przyjaźnisz się z ludźmi z tego angielskiego stronnictwa? – zapytała po francusku.

– Nie. – Nie była to zbyt przekonująca odpowiedź, lecz jedyna, jaka mi się nasunęła.

– Jeśli się z nim nie przyjaźnisz, to może z nim pracujesz? – Teraz wyglądała na rozczarowaną.

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyłem, ale widok uwieszonego na moim ramieniu asystenta angielskiego parlamentarzysty sprawiał, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Widziałem, że sprawy wymykają mi się spod kontroli szybciej niż mała kostka mydła w wielkiej wannie. Moją estońską towarzyszkę znużyło czekanie, aż wrócę do naszej rozmowy, i dołączyła do jakiejś grupki kobiet. Co chwila zerkała w moją stronę, ale w jej wzroku dostrzegłem cień obawy. Miałem wrażenie, że zastanawia się, kim jest ten facet, który ze wszystkich stron przyciąga pretensje i oskarżenia.

– Pytał mnie, dlaczego zapłaciłem dziewięćset dziewięćdziesiąt euro za jego stare komputery – wyjaśniłem Manon.

– Właśnie! – potwierdził gość od ostryg, machając kuflem piwa niebezpiecznie blisko sukienki Manon.

– Słyszałam o tym bezsensownym zakupie – odparła, przechodząc na angielski. – I zadaję sobie to samo pytanie. – Oziębły ton jej głosu kazał mi przypuszczać, że możliwe odpowiedzi nie bardzo jej się podobają. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Sam nie wiem. Słowo daję – powiedziałem. – Też mi się wydaje, że to bez sensu. Ale Elodie mi kazała.

Ledwo wypowiedziałem jej imię, gdy usłyszałem je za plecami jeszcze raz.

– Elodie? Jest *ici*? Niesamowicie!

Do naszej grupy dołączył uśmiechnięty Amerykanin. Wszyscy umilkli, przyglądając się jego krzykliwej hawajskiej koszuli, zamśzowej marynarce z czymś, co przypominało wielką krwawą plamę pod pachą, oraz fryzurze, która nadawała mu wygląd zawodnika sumo próbującego imitować imbryk. Jego długie jasne włosy były związane w wywinięty ogonek, którego oba końce jakimś cudem tkwiły przyczepione do czubka głowy.

– *Voilà*, oto ja – oznajmił Jake zupełnie niepotrzebnie.

Wszyscy, łącznie z opanowaną Manon, przyglądali mu się z niedowierzaniem. Jake zmierzył wzrokiem całe towarzystwo. Skinął głową na powitanie w stronę gościa od ostryg, nieco cieplejszym powitaniem zaszczycił Estonkę, aż wreszcie dotarł do Manon, którą obdarzył spojrzeniem pełnym zachwyty.

– Wow, Paul, szacun – powiedział po chwili. – Czy to jest ta *femme*, którą zaprosisz do swojej wanny?

Manon aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Daj spokój, Jake, proszę cię – błagałem. – To jest Manon, główna asystentka Elodie.

– Hej, super masz imię, wiesz o tym? Manon brzmi prawie jak „melon”, prawda? – Jake uśmiechnął się zadowolony ze swojego dowcipu.

Manon nie podzielała jego zachwyty. A ja głośno jęknąłem, chcąc wyrazić dezaprobatę.

– Widzę, że starannie dobierasz przyjaciół – zwróciła się do mnie Manon.

Jej głos był teraz tak zimny jak ciekły azot. Strzeliła w moją stronę niewidzialnym soplem lodu, po czym odwróciła się i wyszła.

– *Et vous*, moje drogie panie? – Nie tracąc optymizmu, Jake od razu zagadnął Estonkę i jej towarzyszkę. – Dacie się zaprosić na imprezę w wannie? Będzie dużo piany, obiecuję. Co wy na to?

Dziewczyny odsunęły się od nas. Gość od ostryg podążył za nimi. Był chyba na tyle trzeźwy, aby się domyślić, że jeśli ponarzeka razem z nimi na Jake’a i na mnie, wkupi się w ich łaski.

– Jake, musiałeś? – zapytałem przyjaciela.

– Czy musiałem być sobą? Oczywiście, zawsze. – Na tym niestety polegał cały problem. Jake po prostu był Jakiem. Inaczej nie umiał. – Do diabła z nimi, Paul, i tak wszystkie miały batoniki w dupie – powiedział, cokolwiek to miało znaczyć. – Chodźmy, *mon ami*, postawisz mi drinka, a potem znajdziemy sobie jakieś... jak to się mówiło... *des sirènes*?

– Syreny?

Ostatnie, czego mi było trzeba, to mokra kobieta. Sam miałem wrażenie, że właśnie tonę.

Bruksela zmusi kierowców ciężarówek, żeby jedli musli

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2001

Nie byłem zdziwiony, gdy następnego dnia obudziłem się całkiem ubrany w wannie, za to z koszmarnym bólem głowy.

Nie zaskoczyło mnie także to, że byłem w wannie sam.

Nie mogłem zrozumieć tylko jednego: ból głowy w rzeczywistości okazał się bólem karku spowodowanym spaniem na twardej powierzchni wanny. Nie miałem kaca.

Od razu ruszyłem, żeby to wyjaśnić. Podążyłem do kuchni, skąd dobiegał jakiś nieznan mi zapach. Zastałem tam Jake'a, który wyglądał jak masterchef dla bezdomnych. Miał na sobie tylko trapery, bokserki i zamszową marynarkę z plamą krwi. Otwierał różne puszk i wylewał ich zawartość do rondla.

– Znalazłem je w placardach – wyjaśnił. Chodziło mu oczywiście o szafki. – Chcesz trochę?

Odmówiłem. Choć nie miałem kaca, mieszanka sosu bolońskiego, gruszek w syropie i pasztetu z gęsich wątróbek i tak byłaby dla żołądka zabójcza.

Miałem już okazję poznać niefrasobliwe podejście Jake'a do pożywienia. To skutek jego beztroskiego skakania z łóżka do łóżka. Krótko mówiąc: Jake przetrwał, obżerając cudze kuchnie.

Zamieszał zawartość rondla, a potem usiadł na stołku za kuchenną ladą i wziął łyżkę. Po pierwszej porcji grudkowatej brei zebrało mu się na wymioty, ale kiedy dodał pieprzu, zaczął już jeść bez przeszkód. Zapytałem go, dlaczego obudziłem się w wannie.

– Ech, to było *triste*, stary – odparł Jake. Miał na myśli, że to smutne. – Powiedziałeś, że masz dość samotności w łóżku. Bez kobiet nie idziesz do łóżka. *Fini!*

Roześmiał się i machnął łyżką w powietrzu. Na szczęście była już pusta.

– Nie mogłem być aż tak pijany. W ogóle nie mam kaca.

Jake spojrzał na mnie z troską typową dla starego przyjaciela.

– Nie, myślę, że byłeś po prostu zmęczony. A do tego jeszcze zdeprawowany... Nie, zdeformowany. Wróć, zdesperowany.

– Zdesperowany?

– No tak. Przez godzinę uganialiśmy się za kobitkami, ale nic z tego nie wyszło. *Merde* na całej linii. Na koniec musiałem ratować nas przed tamtym Bułgarem, a potem już wróciliśmy *chez toi*. Nie pamiętasz?

– Jak przez mgłę. To był taki duży gość? Z brodą i długimi włosami?

– Tak. Ciskał się, bo pocałowałem jego dziewczynę. Napisałem o nim wiersz. Chcesz posłuchać?

– Raczej nie, dzięki.

Jake'a jednak nie da się powstrzymać, szczególnie jeśli poczuje wenę.

– Uciekliśmy gościowi z Bułgarii, a choć nie chcemy być wulgarni...

– Wspaniale, Jake, jesteś geniuszem.

– Jego broda była jak droga do Narnii.

– Dziękuję, wystarczy.

– A jego zad wyglądał nie najmarniej.

Niech ktoś otworzy okno, błagam, pomyślałem tylko.

– Wyglądasz na zdeprymowanego, Paul. – Pewnie chodziło mu o to, że jestem zde gustowany. – Ale nie przejmuj się. Tamte dziewczyny to były snobki, jedna w drugą.

– Nieprawda. Manon jest niezwykle inteligentną kobietą z błyskotliwym poczuciem humoru i z oczywistych powodów nie bawią jej przaśne żarty z jej imienia, w dodatku padające z ust faceta, którego dopiero poznała.

Wciąż byłem wściekły na Jake'a o tę głupią scenę z Manon. W ciągu kilku sekund nabrała przekonania, że moi znajomi mają podejrzone sympatie polityczne albo są po prostu obleśni.

– To prawda, jest bardzo *belle*, Paul, ale pamiętaj, że zawsze miałeś pecha do inteligentnych kobiet. Jeden kiepski dowcip i kopną cię w *derrière*. – Chodziło mu oczywiście o to, że mnie rzucają. – Zapomnij o niej, Paul. Zapomnij o tych wszystkich politykach z Brukseli. Prostyucja jest tu legalna, prawda? Zatem zostaw to mnie.

– O, nie, Jake...

Dopiero teraz poczułem, że jednak mam kaca. Za wszelką cenę chciałem zmienić temat, więc zapytałem go o plamę na marynarce. Ktoś dźgnął go nożem pod pachą czy co?

Gdy usłyszałem jego wyjaśnienie, kark rozbolał mnie jeszcze bardziej. Jake powiedział, że kupił sobie hot doga na Gare du Nord, a potem biegł peronem i chciał po drodze wyjąć z kieszeni bilet, żeby dostać się do ekspresowego pociągu Thalys. Włożył sobie hot doga pod pachę i keczup... No, teraz wszystko zrozumiałem.

Mogę powiedzieć, że ulżyło mi, kiedy Jake skończył swoje obrzydliwe śniadanie i wyszedł na niedzielny podryw. Czasami nie dało się słuchać jego opowieści o życiu – nawet moim – niezależnie od tego, czy wygłaszał je wierszem, czy prozą.

* * *

Doszedłem do wniosku, że jedyną rzeczą, na jaką mam ochotę w dzień wolny od pracy, to zająć się czymś w biurze. No, może niedokładnie tam, ale chciałem zrobić coś związanego z moją nową pracą.

Za wszelką cenę chciałem przekonać Manon, że nie brałem żadnego udziału w przekręcie z komputerami. Musiałem jej jak najszybciej udowodnić, że jestem niewinny. W tej chwili miałem na to taką samą szansę jak na zawiązanie trwałej przyjaźni z niedźwiedziem polarnym, ale i tak zamierzałem spróbować.

Nie chciałem dzwonić do niej z mieszkania. Znajac moje szczęście, kiedy dotrę do najważniejszego momentu rozmowy, Jake wróci z jakąś damą podejrzanego konduity.

Wysłałem mu esemesa, że wychodzę na kulturalne śniadanie. Dodałem, że POD ŻADNYM POZOREM ma nie przyprowadzać do domu kobiety, która miałaby dotrzymać mi towarzystwa, i zaznaczyłem, że nie chcę mieć nic wspólnego z prostytutkami, nawet jeśli w tym kraju jest to legalne.

Kiedy wyszedłem z domu, Bruksela sprawiała wrażenie miasta pogodzonego ze sobą,

nieświadomego takich rzeczy jak zawyżone ceny starych komputerów na aukcji, zbliżające się referendum czy nawet obecność Jake'a na jej terenie.

Moja ulica była prawie pusta. Powoli szedłem wąskim chodnikiem, zwracając po drodze uwagę na różne szczegóły. Dom, w którym mieszkałem, był wyjątkowy – każdy by chciał, żeby go tu widziano, na przykład kiedy zamyka za sobą drzwi wejściowe. Wszystkie pozostałe domy jednak też miały swój urok – wąskie gotyckie okna, misterny wątek cegieł, kremowe lub jasnoniebieskie fasady, wielkie balkony na całą szerokość domu lub widok skąpanego w słońcu ogrodu przez okna salonu z wysokim sufitem.

Na dodatek dopiero teraz spostrzegłem, że idę ulicą o nazwie Waterloo. Czy Brytyjczyk w Brukseli mógłby sobie wymarzyć lepszy adres? Aż trudno uwierzyć, że francuski rząd kupił budynek akurat tutaj. Pomyślałem, że Francja chciała stopniowo wykupić całą ulicę, żeby wyburzyć wszystkie domy i wymazać z mapy tę nazwę.

Skreśliłem za róg, a potem jeszcze raz, aż wreszcie stanąłem przed kafejką, która od razu przyciągnęła mój wzrok. Był to zdecydowanie modny lokal – w środku stały sosnowe stoliki sprawiające wrażenie starych oraz nowoczesne krzesła, a dookoła nich paradowały kelnerki, które poza podkoszulkami i makijażem nie miały na sobie chyba niczego.

Nie zdziwiło mnie to, że goście byli w środku w porze późnego śniadania. Urzędnicy korzystali z wolnego dnia – najpierw nakładali sobie wędzonego łososa i jajecnicę z samoobsługowego bufetu, a potem siadali parami przy stolikach i ignorowali się nawzajem, wpatrując się w gazetę lub smartfona. Małe dzieci jęczały po francusku, że nie smakuje im łosoś albo zimne jajko. Na szczęście dla nich wokół krążyło też kilka dyżurnych słoików nutelli.

Od razu zrozumiałem, gdzie jestem. To paryskie getto. Wiedziałem też, że dostanę tu dokładnie to, czego chciałem – proste śniadanie złożone z czarnej kawy i croissanta. Usiadłem na wysokim stołku przy barze i rzuciłem życzliwe *bonjour* do kobiety, która walczyła z wyciskarką do cytrusów, po czym zamówiłem śniadanie. Kobieta próbowała zaoponować, twierdząc, że tu podają „*le service brunch*”, ale wyjaśniłem jej po francusku, że nie jestem aż tak głodny, a następnie uśmiechnąłem się, aby pokazać, że nigdzie się nie wybieram. Minutę później stanął przede mną kubek kawy i croissant. W Paryżu można się świetnie nauczyć, jak zdobywać w życiu to, czego się chce. Trzeba tylko podpatrywać innych paryżan.

Gdy uporałem się z croissantem, odmówiłem po cichu modlitwę i zadzwoniłem do Manon. Zaczęło się niezłe – odebrała.

– *C'est qui?* – spytała.

– *C'est Pol. Pol Wess.*

– Aha.

Wyczułem rezerwę. Ten pełen rezygnacji jęk mogłaby równie dobrze wydać, słysząc, że w niedzielę rano zakwestionowano jej zeznanie podatkowe.

– Chciałbym ci coś wyjaśnić, Manon.

– Nie ma takiej potrzeby. Wszystko zrozumiałam.

– Właśnie nie, dlatego muszę ci to wyjaśnić.

Tylko tak można dotrzeć do Francuzki – zapędzić ją w kozi róg logicznym argumentem.

– Wyjaśnisz mi w poniedziałek.

– Proszę, posłuchaj mnie teraz, Manon – błagałem po francusku. – Po pierwsze

przepraszam cię za mojego kumpla, Jake'a. Powiedziałem mu już, że jest dupkiem. I daję słowo, nie mam pojęcia, dlaczego musiałem kupić te komputery. Nie wiem, dlaczego Elodie była gotowa dać za nie tyle pieniędzy. I nie wiedziałem, że należały do Anglików. Zresztą ten brodaty Angol nie jest moim kolegą ani w sensie politycznym, ani w żadnym innym.

Ponieważ musiałem to wszystko wyjaśnić po francusku, pewnie zrobiłem na Manon wrażenie tępego prostaka, ale przynajmniej udało mi się to powiedzieć.

– Czyli nie wiesz, z jakiej on jest partii? – zapytała Manon, a ton jej głosu wskazywał, że nie uwierzy, jeśli odpowiem „nie”.

Mimo wszystko zaprzeczyłem.

– A z jakiej jest? – zapytałem.

– Z eunuchów, ma się rozumieć.

– *Cacarella*. – Czyli gówno po korsykańsku. Jak już mówiłem, przeprowadziłem dogłębne badanie leksykalne. – Słowo daję, Manon, nie miałem pojęcia, że gość pracuje dla eunuchów.

Powinienem może oświecić tych, którzy nie śledzą bacznie sytuacji w Europie, i wyjaśnić, kim są ci polityczni kastraci. Przewisko było, rzecz jasna, nieoficjalne i pochodziło od motta partii, która była zagorzałym przeciwnikiem Unii Europejskiej – „EU nie dla UK”, w skrócie EUNUK. Podobno nazwa ta miała być hołdem złożonym wielkiemu brytyjskiemu przeciwnikowi wszystkiego, co zagraniczne, Enochowi Powellowi, ale coś chyba poszło nie tak i w efekcie stronnictwo było znane jako partia eunuchów. Jej zwolennicy musieli wysłuchiwać licznych dowcipów na temat ich kampanii mającej na celu „rozcłonkowanie” Europy.

– Chcesz powiedzieć, że jeden z nich obejmuje cię ramieniem jak starego kumpla, a ty nie wiesz, kim on jest? – Wyczułem, że Manon nie jest już taka pewna swego.

– No naprawdę. – Pijany Anglik może obejmować dosłownie każdego. Nagle coś mi przyszło do głowy. – Ej, a może Elodie wiedziała, że komputery należały do eunuchów? Może chciała je kupić, żeby znaleźć na nich jakieś poufne informacje?

– Co?

– Może coś zostało na twardych dyskach. Może Elodie chce ujawnić jakieś kompromitujące informacje na ich temat.

– Po co miałyby to robić?

Znowu wdepnąłem w *cac*, pomyślałem. Nie powinienem mówić Manon o prawdziwej naturze mojego zadania. Nic dziwnego, że Francuzki nazywa się często *femmes fatales* – wystarczy, że przez kilka dni chodzą obrażone, a są w stanie wydusić z człowieka najpilniej strzeżony sekret.

– No wiesz – zacząłem improwizować, zastanawiając się, jakie niegramatyczne francuskie *merde* tym razem wyprodukuję. – Eunuchy popierają tylko język angielski. Nie chcą, żeby Europa przeznaczala pieniądze na języki takie jak baskijski, korsykański czy bretoński. Może jakieś informacje na ten temat znajdują się na tych twardych dyskach?

– Pff. – Manon wydała charakterystyczne francuskie prychnięcie sugerujące, że ja sam i wszystkie moje opinie są dla niej jak pyłek, który ośmielił się wylądować na rękawie jej eleganckiej marynarki od Chanel. – Po pijaku jesteś bardziej wiarygodny. Proponuję, żebyś na śniadanie wypił kilka piw.

Nareszcie jakiś żart. Może jednak da się przekonać.

– Jestem pewien, że wszyscy w Brukseli chcieliby jakoś skompromitować eunuchów, *n'est-ce pas?* – spytałem, starając się, żeby to zabrzmiało co najmniej dwuznacznie. – Może Elodie chce w ten sposób bronić Europy.

– Jej partia twierdzi coś innego.

– Ale *La France* z pewnością by to poparła.

– *La France?* Od kiedy jesteś takim francuskim patriotą, *Monsieur l'Anglais?*

– Nigdy nie słyszałaś, jak śpiewam *Marsylianę* – *la Marseillaise?* Słuchaj, nawet prawidłowo wymawiam tytuł: la-mar-se-jeeez.

Manon wreszcie się roześmiała.

– Nie jestem pewna, czy umiejętność odśpiewania hymnu narodowego to najlepsze kryterium oceny ludzi – odparła. – Historia pokazuje, że hymny narodowe były wykorzystywane do różnych bezceństw.

Na to nie umiałem wymyślić dowcipnej riposty.

– Do zobaczenia jutro – powiedziała Manon, po czym dodała: – *Bon dimanche* – i się rozłączyła.

Chowając telefon do kieszeni, zauważyłem, że barmanka przygląda mi się bacznie zza wyciskarki.

– *Vous êtes Anglais* – odezwała się.

Skinąłem głową, oczekując nieśmiertelnego pytania.

– Jak pan sądzi, jaki będzie wynik referendum? – zapytała.

Przybrałem poważny wyraz twarzy, jak prawdziwy urzędnik, który na co dzień nosi na szyi przepustkę.

– Myślę, że w drodze głosowania postanowimy napaść na Francję i przywrócić w niej monarchię – odparłem.

I prawdę mówiąc, myślę, że mogłoby to rozwiązać wiele problemów trapiących Europę.

W myśl nowego przepisu unijnego królowa będzie musiała sama robić sobie herbatę

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 1999

Gdy na drugi dzień rano szedłem do parlamentu, zastanawiałem się, czy przypadkiem błędnie nie oceniłem Elodie. Mimo genów, które odziedziczyła, i tego, że w przeszłości już kilka razy robiła mnie (i większość ludzkości) w konia, wciąż istniała możliwość, że tym razem była ze mną szczerą. W końcu z tego, co usłyszałem, naprawdę chciała chronić język bretoński, nawet jeśli robiła to tylko po to, by zyskać przychylność wyborców. Może naprawdę kupiła tamte komputery, żeby odnaleźć na nich jakieś poufne informacje, których mogłaby użyć, żeby skompromitować stronnictwo przeciwne Unii. Wszyscy wiedzą, że nie można w stu procentach wyczyścić twardego dysku. Być może Elodie naprawdę chce zapobiec Brexitowi – nawet jeśli ma przy tym na względzie interes własnego kraju.

W końcu własny interes to najlepszy motyw, żeby pomagać innym, no nie?

Mój umysł próbował tworzyć słoneczne myśli, żeby dopasować mój nastrój do błękitnego nieba i pogodnego poranka. Byłem dziś nastawiony optymistycznie, bo poprzedniego wieczoru udało mi się uniknąć polowania w barach na laski w towarzystwie Jake'a. Podejrzewam, że w niedzielę w ogóle nie pojawił się w domu. Napisał mi, że poznał – cytuję: „szarmancką *mademoiselle* mieszanego pochodzenia – to prawdziwa mieszanka wybuchowa, a do tego PAŁA prawdziwym uczuciem!”.

Ostatnia część esemesa miała być próbą dowcipu o tematyce seksualnej – ten sam temat przewijał się w tak zwanych wierszach Jake'a. Poczułem ogromną ulgę, że nie musiałem słuchać całego koszmarnego dzieła zainspirowanego przez tę nieszczęsną dziewczynę.

Dlatego też w poniedziałek rano z radością myślałem o tym, że lada chwila usiądę i zabiorę się do tworzenia własnego małego traktatu o zapomnianych dialektach europejskich. Może dzięki mojej pracy mieszkańcy Liverpoolu i Newcastle będą mogli postawić sobie kilka znaków drogowych w swoim języku. W ten sposób wszystkie drogi prowadzące do Newcastle byłyby opisane jako „tyndy do miasta”. Miliony kierowców każdego dnia miałyby dowód, że Bruksela się o nich troszczy.

Trafiłem do właściwego biura już za pierwszym razem, ale kiedy wszedłem do środka, usłyszałem Elodie skarżącą się Manon, że jest „*débordée*” – to najczęściej używane słowo we francuskim miejscu pracy. Dosłownie oznacza, że ktoś jest zawałony obowiązkami lub przeciążony, ale zwykle używają go ludzie, którzy nie mają zbyt wiele do roboty, a przekonują, że wisi nad nimi taki nawał *travail*, że lada moment znikną pod gruzami razem ze swoim biurkiem. A mogłaby pani podpisać tę karteczkę, którą wydrukowałem dla pani dwa tygodnie temu? *Non!* (Tu następuje rozpaczliwe machanie ramionami połączone z tragicznym wyrazem twarzy). *Je suis dé-bor-dé!* Wielbłąd niesie tyle bagażu, że kręgosłup złamał się biedactwu już w pięciu miejscach. A jeśli będziesz truł im tyłek swoją karteczką, gotowi pójść do psychiatry i wziąć zwolnienie na trzy miesiące z powodu załamania

nerwowego.

Elodie rzuciła na biurko Manon jakąś teczkę. To bez wątpienia ona była przyczyną *débordement*. Manon jak zawsze zachowała zimną krew i odparła, że zajmie się tym, jak tylko upora się z poranną porcją maili od burmistrzów z Bretanii.

Elodie wciąż zachowywała się jak rozkapryszona diwa. Wskazała mi stolik w rogu gabinetu Manon i powiedziała, że tu będę pracował. Malutki mebelek na metalowych nóżkach stał pod całkiem gołą ścianą.

– Z przyjemnością będę dzielił biuro z Manon – powiedziałem – ale trochę ponuro w tym kącie.

– Tak, a poza tym ja sporo rozmawiam przez telefon. Nie wiem, czy on będzie w stanie się skupić – dodała Manon. – Cédrica dzisiaj nie będzie, prawda? Może Paul mógłby pracować u niego?

Ta propozycja wywołała kolejny atak rozpaczy i oburzenia.

– Jeśli macie zamiar kwestionować wszystko, co robię, może powinniście sami wystartować w wyborach do parlamentu – zaskrzeczała Elodie i z przytupem wyszła do pomieszczenia obok.

Wymieniliśmy z Manon spojrzenia pełne zakłopotania, lecz wiedziałem, że muszę iść za Elodie i podjąć temat.

– A dostanę komputer? – zapytałem.

– *Ah, oui* – odparła z zaskakującym spokojem.

Spodziewałem się, że będzie kontynuowała swoje melodramatyczne przemówienie, ale ona wstała zza biurka i otworzyła szafkę. W środku leżały trzy laptopy.

– Proszę. Wszystkie są wyczyszczone i zainstalowano na nich nowe oprogramowanie. Francuskie, ma się rozumieć, nie belgijskie.

Rzuciła mi nawet przyjazny uśmiech. Nie ośmieliłem się rzucić: „Chyba chciałaś powiedzieć, że nie angielskie?”. Oficjalnie przecież nie wiedziałem, skąd pochodzą te komputery.

Podziękowałem tylko i oddałem jej kartę kredytową.

– Ho, ho, straciła na wadze – zachichotała Elodie. Trochę mnie niepokoiło to nagłe przejście od wściekłości do umiarkowanego humoru. – Jak ci minął weekend? – zapytała, rzucając mi spojrzenie, które można by uznać za chytre.

– Bardzo miło, dziękuję.

– Czyżby wreszcie jakiś sukces?

W taki sposób pielęgniarka pyta pacjenta, czy było wypróżnienie.

– Tak – skłamałem.

– Czy to ktoś, kogo znam?

– Nie. Dziewczyna, którą poznałem w knajpie.

– Takie są najlepsze. W każdym razie wyglądasz na zrelaksowanego, a to dobra wiadomość dla nas wszystkich. A tak przy okazji, Paul, skoro już tu jesteś, mógłbyś to podpisać?

Elodie otworzyła jedną z szuflad w biurku – zauważyłem, że wszystko zamyka na klucz – i wyjęła cienką szarą teczkę podobną do tej, którą kilka minut wcześniej cisnęła na biurko Manon. Położyła ją na blacie, otworzyła i wskazała jakąś kartkę w środku. Na dole widniała

wykropkowana linia. W razie gdybym nadal nie rozumiał, po co tam jest ta linia, Elodie położyła obok niej długopis.

– Co to takiego? – Takie pytanie wydało mi się na miejscu.

– Och, umowa najmu mieszkania. Oczywiście nie musisz nic płacić, ale ja muszę zgłosić, kto tam mieszka. Wiesz, do ubezpieczenia i tak dalej. Nie musisz tego nawet czytać.

Podawała mi długopis. Zaczynałem nabierać podejrzeń. Czułem się jak bohater filmu, od którego jednym podpisem wyłudzano oszczędności całego życia. Próbowałem przeczytać dokument, w którym faktycznie natknąłem się na adres mojego nowego domu, jak uprzedzała Elodie, lecz było tam również mnóstwo innych rzeczy we francuskim żargonie prawniczym.

– Myślisz, że chcę wyłudzić od ciebie zgodę za rozbiórkę domu, w którym zostawiłeś swoją cenną walizkę?

Przemądrzałe babsko, pomyślałem.

Podpisałem. Elodie z zadowoleniem schowała teczkę z powrotem do szuflady. Następnie podeszła do drzwi i zamknęła je – oczywisty znak, że Manon ma nie słyszeć naszej rozmowy.

– Chcę, żebyś dzisiaj zajął się spisywaniem tego, czego udało ci się dowiedzieć o językach mniejszości od naszego niemieckiego przyjaciela – oznajmiła. – Wysłałam ci maila z informacją o jutrzejszym spotkaniu z DJ Communication.

Jeszcze wczoraj dałbym sobie głowę uciąć, że to jakaś muzyczna impreza promująca rozumienie innych kultur. Jednak już wiedziałem, że chodzi o DG. Nie miałem pojęcia, czym, do cholery, jest *Direction Générale* komunikacji. Oględnie wyraziłem swoje wątpliwości.

– To biuro prasowe przy Komisji Europejskiej – odparła Elodie. – Ten facet powtórzy ci wszystkie paskudne rzeczy, jakie twoi rodacy rozprowadzają na temat Europy.

– Świetnie – uznałem. To naprawdę zabrzmiało nieźle. Przynajmniej uda mi się dostać do kwatery głównej sekty EU. – Ale dlaczego miałbym chcieć tego słuchać?

– Bo to jest część twojego zadania, rozumiesz? – Elodie spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, na wypadek gdybym jednak nie rozumiał.

– Jasne.

– I możesz mu powiedzieć, co trzeba. Nie musisz mieć tajemnic przed swoimi rodakami. Można przecież ufać *les Anglais, n'est-ce pas?*

– Owszem – zgodziłem się nieufnie.

– Muszę wyjść, więc do zobaczenia później – oznajmiła Elodie.

Rzeczywiście była bardzo zavalona pracą. Powiedziałbym raczej, że była zasypywana zaproszeniami na kawę, lunch i pozamałżeński seks.

– A tak z innej beczki, Paul, słyszałam, że Jake przyjechał do Brukseli. Zatrzymał się u ciebie? Jeśli tak, może powinniśmy uwzględnić jego nazwisko w umowie najmu.

Usiłowałem otrząsnąć się ze zdumienia, a Elodie uśmiechnęła się szeroko i ruszyła do drzwi.

– W Brukseli niczego nie utrzymasz w tajemnicy, Paul.

Podejrzewam, że właśnie dlatego nigdy nie zostawiała na biurku żadnych kartek ani nawet samoprzylepnych notatek, gdy wychodziła z gabinetu.

Kiedy spytałem Manon, czy to ona powiedziała Elodie, że Jake się u mnie zatrzymał, nie była zachwycona. Nie oskarżałem jej o nic, ale tak to odebrała. Rzuciłem, że mogła wspomnieć w rozmowie z Elodie, że przyjechał do mnie jakiś obleśny Amerykanin, ale słysząc to, Manon zareagowała tak, jakbym wezwał gestapo.

Francuzi nie znoszą, gdy sugeruje im się, że powiedzieli o czymś wysoko postawionej osobie. To kompleks, który mają jeszcze z czasów drugiej wojny, kiedy to połowa kraju pisała donosy do nazistów, informując ich, że ktoś z sąsiadów jest Żydem, przeciwnikiem Hitlera albo po prostu mieszka w za dużym lokalu.

Musiałem zatem przeprosić Manon i przyznać, że nie mogła na mnie donieść, bo nie wiedziała, gdzie zatrzymał się Jake. Byłem zresztą przekonany, że po powitaniu, jakie jej zgotowałem, wcale nie chciałaby znać jego adresu. Moje przeprosiny jednak nie załagodziły gniewu Manon. Nie pomogło też to, że po raz kolejny przeprosiłem za świński dowcip, jakim uraczył ją mój przyjaciel, i za propozycję wspólnej kąpieli.

– Nie mówmy już o tym. Choć naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego pomyślałeś, że mogłabym zdradzić Elodie jakiś twój sekret – warknęła po francusku. – Wydaje mi się, że i tak macie sporo wspólnych tajemnic.

Chyba nie podobało jej się to, że Elodie co chwila zamyka jej drzwi przed nosem.

Przeprosiłem ją jednak jeszcze raz, wysilając się na tyle, na ile pozwalała moja znajomość francuskiego, po czym w ramach kary usiadłem za biurkiem twarzą do ściany. Przez najbliższą godzinę słyszałem za plecami klikanie klawiatury, a ja w tym czasie testowałem swojego „nowego” laptopa. Był nieco powolny, ale działał. Szybko zerknąłem na historię usuniętych plików – okazało się, że Cédric faktycznie wyczyścił twardego dysku.

Zająłem się kopiowaniem i wklejaniem fragmentów unijnych raportów o szansach przetrwania języków, takich jak szwabski, walencki, manx oraz inne zapomniane dialekty. Przy okazji sprawdziłem też różne wulgaryzmy we wszystkich tych językach. Wykonawszy tak pożyteczną pracę, podjąłem kolejną próbę załagodzenia napięcia.

– Idę po kawę, Manon. Tobie też przynieść?

– *Non, merci* – odparła.

– To może herbatę?

– *Non, merci.*

– Soku? Wody?

– *Merci, non.*

– Cole? Wino? Mojito z plasterkiem świeżej limonki i małą parasolką w szklance z flagą Unii?

Tym razem przynajmniej się uśmiechnęła.

– No dobra, poproszę latte z jedną saszetką cukru.

– *Avec plaisir* – odparłem i wyszedłem z biura, zanim zdążyłbym popsuć nastrój.

Zostawiłem też otwarty plik na komputerze, żeby – zanim włączy się wygaszacz – Manon zobaczyła na własne oczy, że przyjazny, niewinny Paul nie ma nic do ukrycia.

Mimo że naprawdę miał.

* * *

Znalazłem drogę do Myszkki Miki i postanowiłem na chwilę usiąść na jednym z kolorowych

fotelików, zanim ruszę z powrotem do biura.

Przeglądałem prywatne maile na telefonie, gdy nagle usłyszałem znajomy głos.

– Bą żo!

To znowu ten gość od ostryg – superbohater mięczaków. Przysiadł się do mnie i postawił na stole dużą kawę ze spienionym mlekiem. Wyglądał dziś podejrzenie radośnie, szczególnie jak na poniedziałek rano.

– Niesamowity gość z tego twojego kumpla – powiedział. – Żałuję, że ja nie potrafię tak rozmawiać z kobietami. Pomyśl tylko, ile trzeba odwagi, żeby każdej po kolei proponować bzykanko. Myślę, że taki strzał w ciemno działa raz na jakiś czas.

– O dziwo tak.

– Jak tam, zapowiada się pracowity dzień? – Facet zdecydowanie się spoufalał.

– Tak, muszę napisać pewien raport. A co tam u ciebie?

– Ech, mój szef kręci się tu przez cały czas. Nie wyjechał nawet na ostatni zielony tydzień.

Okazało się, że zielony tydzień nie ma nic wspólnego z ekologią, nie oznacza też, że w stołówce przez siedem dni z rzędu serwują brokuły. To tydzień, który europosłowie mają spędzić w swoich okręgach wyborczych.

– Prawdę mówiąc, dziwię się, że twój szef w *ogóle* się tu pokazuje – odparłem.

Facet, o dziwo, wybuchnął śmiechem.

– Chodzi ci o jego delikatnie eurosceptyczne poglądy? – zapytał.

– Eurosceptyczne? Twoja partia z chęcią zbombardowałaby Brukselę. Wybór jednego z waszych do Parlamentu Europejskiego to tak, jakby Goeringa wybrano na burmistrza Londynu.

Facet zamilkł na chwilę, ale z innego powodu niż przypuszczałem.

– *Moja* partia? – zapytał. – Słuchaj, ja jestem obiema rękami za Unią. Bez niej mielibyśmy pomidory jak tyłki pawianów, dwunogie zmutowane marchewki i ogórki cierpiące na kłopoty z erekcją. Kogo innego obchodzi seksualny dobrostan naszych warzyw?

– Tym właśnie jest dla ciebie Unia Europejska? – zagadnąłem. – Międzynarodowym inspektorem warzyw?

– Oczywiście, że nie. Jestem jak ty – przyznał. – Nie jestem zwolennikiem żadnej partii. Wykonuję tylko swoją pracę. Mieszkam tu od dziesięciu lat, w tym czasie pracowałem już dla torysów, zielonych, jednego Szkota, a teraz dla tego gościa. Zatrudniają mnie, bo wiem, jak działa to miejsce, a nie dlatego że chcę je zbombardować. Jasne, nie odmówiłbym sobie przyjemności nadeptania Francuzom na odcisk, dlatego mówiłem o zakazie ostryg. To by było zabawne. I powiem ci, że będę tu dalej pracował niezależnie od wyniku referendum, więc cały ten Brexit gównu mnie obchodzi, jak mam być szczery. W ogóle cała ta nazwa kojarzy się ze środkiem na przeczyszczenie, no nie? „Jedna łyżeczka Brexitu do śniadania, a poranna kupa pójdzie jak z płatka”. A poza tym wiesz, co jest najśmieszniejsze u eunuchów, którzy załapali się do Parlamentu Europejskiego?

Mógłbym zaryzykować kilka pomysłów, ale pokręciłem głową.

– W głębi duszy wszyscy *uwielbiają* Unię. – Facet zaśmiał się tak głośno, że ludzie dookoła nas zaczęli się oglądać. Zniżył głos i pochylił się ku mnie. – Kiedy mojego szefa wybrano do parlamentu, wygłosił przemówienie: „Jeśli Wielka Brytania jest matką wszystkich parlamentów, to Bruksela i Strasburg są niczym brzydkie siostry – grube baby z bulimią,

którym aż dech zapiera od obżerania się tłustymi kaskami opłacanymi z *naszych podatków!*”. Ale teraz przepada za Unią. Wszyscy tak mają. Gdzie indziej zarobiliby tyle forsy? Do tego każdego wieczoru mają darmowy alkohol na przyjęciu u kolejnego z lobbystów, hordy panienek wpatrzonych w nich jak sroka w gnat i mogą co chwila wracać do domu, gdzie obrzucają to miejsce błotem, jak gdyby dopiero wyszli z obozu koncentracyjnego. Wiesz, kiedy wyjeżdżają z Brukseli, mówimy, że biorą prysznic na Zaventem. To lotnisko. Zmywają z siebie europejskie nieczystości przed powrotem do ojczyzny. Wierz mi, ci tak zwani eurosceptycy dopiero tutaj czują, że żyją. Jeśli wygrają referendum, raz-dwa znajdą się na zasiłku dla bezrobotnych.

Teraz spojrzałem na sprawę z innej perspektywy.

– A tak przy okazji, jestem Danny – przedstawił się i postukał w swoją przepustkę.

– Paul. – Zrobiłem to samo.

Podaliśmy sobie dłonie.

I oczywiście w tym momencie musiała nas zastać Manon, która akurat weszła do kafejki. Pewnie zniecierpliwiała się, że tak długo nie przynoszę jej kawy latte. Zresztą może chciała ją wypić ze mną i pogodzić się po naszym porannym nieporozumieniu. Zawsze można mieć nadzieję.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie: „A więc to tak?” i stanęła w kolejce do lady. Moje przeprosiny zostały odrzucone, zanim zdążyłem przynieść kawę na zgodę.

Powiedziałem Danny’emu od ostryg, że pogadamy później, po czym ruszyłem do Manon, żeby wszystko wyjaśnić.

– *C’est un mec bien.* – On jest w porządku, tak powiedziałem.

Zwracałem się jednak do jej potylicy, bo nie uznała za stosowne się do mnie odwrócić.

– Może dla ciebie – odparła. – Ja tam wiem, co tacy jak on myślą o Francji.

– To nie tak.

A przynajmniej nie całkiem.

Wreszcie się odwróciła.

– Wiesz co, Paul, co chwilę za coś przepraszasz albo coś wyjaśniasz. Zastanów się, dlaczego tak jest.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię.

To miał być dowcip, ale Manon nie załapała.

– Mówiłeś, że ten gość się do ciebie przyczepił, bo był pijany. Teraz nie wygląda na pijanego.

– Bo nie jest. Ale...

– Posłuchaj, Paul – przerwała mi Manon. – Jeśli ty i Elodie chcecie sobie coś knuć za zamkniętymi drzwiami i dogadywać się z eunuchami, to droga wolna. Nikt wam tego nie broni.

– Nic nie knujemy. A przynajmniej ja.

– Wiesz, co było w tej teczce, którą mi dała Elodie?

Musiałem przyznać, że nie.

– Mam napisać dla niej raport z wyjaśnieniem, dlaczego jej region powinien przyjąć jak najmniejszą liczbę uchodźców. A jednocześnie mam się kontaktować z burmistrzami i prosić ich, żeby przyjmowali kolejnych azylantów. *Quelle merde!*

– Musisz mi uwierzyć, że moja praca nie ma z tym nic wspólnego. A poza tym posłuchaj, czego dowiedziałem się od tamtego Anglika.

– *Oh putain* – jęknęła Manon.

To słowo to synonim *pute*, czyli innego wulgarnego określenia prostytutki (w języku francuskim jest zaskakująco dużo wyrazów opisujących tę profesję), ale Francuzi używają go jako wykrzyknika w chwilach rozpaczyny lub frustracji.

To powiedziawszy, Manon odeszła.

Na początku chciałem zostać i kupić jej kawę, ale potem pomyślałem: *putain*, marnuję tyle czasu na wyjaśnienia, bo ona mnie wciąż ocenia. Jeśli chce się bawić w sędziego, to musi wysłuchać, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

Ruszyłem za nią korytarzem i głośno mówiłem po francusku, choć Manon ani na chwilę się nie odwróciła.

– Gość pracuje dla eunuchów – zacząłem. – Ale nie należy do partii. Jest zwolennikiem Unii.

– Pff! – parsknęła Manon, udowadniając, że mnie słucha.

– Szkoda, że nie słyszałaś, co powiedział o europośle, dla którego pracuje – ciągnąłem.

Manon dotarła do windy, ale chyba uznała, że nie chce mnie słuchać w tak ciasnej przestrzeni, z której nie da się wydostać, bo skręciła w stronę damskiej toalety. Żaden problem. Mogę mówić pod drzwiami. Opowiadałem zatem dalej, tłumacząc na francuski wszystkie ciekawostki, których dowiedziałem się od Danny’ego. Miałem pewien problem z opisem, jak Bruksela obżera się tłustymi kaskami z zagranicy, ale chyba udało mi się oddać istotę sprawy.

Zza drzwi nie padło ani jedno słowo odpowiedzi.

Absurd tej sytuacji przypomniał mi o czymś, co znalazłem tego ranka w internecie, kiedy pisałem raport dla Elodie. Artykuł dotyczył ujednoczenia damskich i męskich toalet. Jakaś europosłanka z Bawarii prowadziła kampanię na rzecz wyeliminowania pisuarów, które jej zdaniem narażały sprzątaczkę na ryzyko spotkania z ekshibicjonistami. Parlamentarzystka chciała, żeby wszystkie toalety miały formę kabin. Pomysł ten zyskał spore poparcie wśród niemieckich mężczyzn, którzy najwyraźniej wolą sikać na siedząco. W języku niemieckim jest na to nawet specjalne określenie, jak się niedawno dowiedziałem – *Sitzenpinkel*. Uznałem, że to słowo dobrze się nada do podsumowania mojej tyrady skierowanej do Manon. Teraz pozostawało tylko czekać. Usłyszałem jakieś kroki. Pomyślałem, że Manon idzie do wyjścia. Po chwili drzwi się otworzyły.

– *Très intéressant* – powiedziała do mnie jakaś kobieta w średnim wieku, której nigdy przedtem nie widziałem.

Uśmiechnęła się pod nosem i poszła w swoją stronę. Poczułem się jak ostatni *Sitzenpinkeler*.

Zanim drzwi się zamknęły, zobaczyłem, że w środku są dwie kabiny, a pomiędzy nimi umywalka.

– Czy to prawda? – spytała Manon, gdy chwilę później wyszła.

Na jej twarzy malował się delikatny uśmiech. Widocznie cieszyło ją to małe zwycięstwo.

– Tak, *der Sitzenpinkel*. A może *das Sitzenpinkel*. Sam nie wiem.

– Nie, mówię o twoim przyjacielu i jego eunuchach.

– Tak.

– W takim razie chyba możesz postawić mi latte.

* * *

Wróciliśmy do kafejki z kolorowymi fotelikami i ucieliśmy sobie całkiem miłą pogawędkę. Manon przeprosiła, że się na mnie wściekła, a ja wyraziłem współczucie, że Elodie kiepsko ją traktuje. Po kilku minutach dotarliśmy do etapu, kiedy ludzie opowiadają sobie historię swojego życia.

Sprzedawałem jej kilka historyjek z czasów, gdy mieszkałem we Francji, omijając przygody sercowe. Wspomniałem jednak, że niedawno rozstałem się z dziewczyną, która znalazła pracę w Chinach i puściła mnie w trąbę. Oczywiście nie użyłem dokładnie tego wyrażenia, bo mówiłem po francusku, a tego dziwnego konceptu nie da się dosłownie przełożyć. Powiedziałem tylko, że Amandine odjechała. Zabrzmiało to trochę tak, jakby była pociągiem.

Manon za to opowiedziała mi, że Elodie jest już trzecią parlamentarzystką, dla której pracuje, a drugą, która zatrudniła ją jako pełnoprawną asystentkę. Przedtem Manon była jedną z ambitnych stażystek, które przeczesywały Brukselę, szukając przydatnych kontaktów. Ale nie – podkreśliła, zanim zdążyłem bezczelnie zapytać – żadnej posady nie dostała przez łóżko.

Jak się okazało, ona również niedawno zakończyła związek.

– Był greckim dziennikarzem – powiedziała. – Jak na ironię, wciąż pożyczał ode mnie pieniądze, a potem wkurzał się, kiedy prosiłam o zwrot.

– Czyli tym razem Grexit był mile widziany – odparłem.

– Tak. A teraz cieszę się wolnością – przytaknęła Manon.

Chyba w ten sposób dała mi do zrozumienia, że pozbywszy się Greka, nie ma zamiaru otwierać drzwi przed Brytyjczykiem.

Zapytała, co naprawdę sędzę o ewentualnym Brexicie, i tym razem postanowiłem nie uciekać się do żartu.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem – odparłem. – Wiem, że gospodarki krajów południowoeuropejskich są tak stabilne jak ich instalacje sanitarne, i często musimy babrać się w ich gównie. Ale być może i tak musielibyśmy to robić, nawet gdybyśmy nie byli w Unii. Wiem tylko, że mieszkam we Francji, więc jeśli Wielka Brytania zdecyduje się wyjść z Unii, będę musiał się znów ubiegać o prawo stałego pobytu. To byłby koszmar.

Manon przyjrzała mi się swoimi wielkimi, bystrymi oczami – chyba usiłowała zgadnąć, czy mówię poważnie. Tym razem tak było. Można to nazwać małostkowością, ale czyż większość z nas nie postrzega polityki przez pryzmat osobistych doświadczeń? Czy ta lub tamta opcja zapewni mi pracę? Czy to referendum zmusi mnie, żebym doświadczył koszmaru poczekalni we francuskim urzędzie?

– No cóż, cieszę się, że nie popierasz Brexitu – powiedziała wreszcie Manon. – To jakiś absurd. Wiesz, co zwolennicy wyjścia z Unii próbują zrobić tylko po to, żeby nas wkurzyć?

Wiedziałem (chcieli zakazać ostryg), ale pokręciłem głową.

– Na przykład próbują przeforsować przepis, żeby wszystkie kolejki w Europie działały według brytyjskiego systemu – oznajmiła. – Sam wiesz: „Prosimy do kasy numer trzy”. – Całkiem nieźle jej wyszło naśladowanie sprzedawców w sklepach na dworcu kolejowym

Saint Pancras. – Twierdzą, że Brytyjczycy to jedyna nacja, która wie, co to porządna kolejka.

– Chyba dawno nie byli w londyńskim pubie – odparłem.

Kiedy ostatnio wybrałem się do jednego z nich, kolejka polegała na tym, że machało się pieniędzmi do barmana i krzyczało: „Ej! Tutaj!”.

– Poza tym próbują zmusić wszystkie hotele w Europie, żeby zapewniały gościom „zaplecze do robienia herbaty” (tak na to mówią Anglicy) w każdym pokoju. I oni mają czelność narzekać, że Unia marnuje pieniądze!

Cmoknąłem, chcąc wyrazić dezaprobatę dla rodaków, którzy zbłądzili, choć z tym ostatnim postulatem musiałbym się akurat zgodzić. Dlaczego hotelowy gość musi się obchodzić bez filiżanki herbaty na dzień dobry, nawet jeśli jest to francuska słaba herbatka, którą trzeba parzyć przez pół dnia, żeby nadawała się do picia?

– Nie rozumiem ludzi, którzy są w Europie tylko po to, by robić problem, albo latami prowadzą kampanię, żeby wejść do Unii, a potem nagle chcą z niej wyjść. To jest nie tylko strata pieniędzy, to marnowanie życia.

Nie posądzałem Manon o taki egzystencjalizm.

– Wiesz, jeśli zwolennicy Brexitu wygrają w referendum i Wielka Brytania faktycznie wyjdzie z Unii, może się okazać, że nie będzie ci łatwo dostać pozwolenie na pobyt. Francja równie dobrze może wyrzucić wszystkich angielskich imigrantów. I tak jesteśmy na was wściekli za to, że nie chcecie przyjąć swojej części uchodźców z Bliskiego Wschodu. Więc możemy was deportować. W tej sytuacji będziesz skazany na mieszkanie w Brukseli – ciągnęła nieco lżejszym tonem. Uśmiechnęła się tak miło, że ewentualne wygnanie nabrało nieco jaśniejszych barw. – Pytanie tylko, czy Elodie przedłuży ci umowę. Wiesz, badanie języków nie zajmie ci zbyt wiele czasu. Czy jest coś innego, co mógłbyś dla niej robić?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Nagle pewna myśl uderzyła mnie w czaszkę niczym kufel belgijskiego piwa. Rozczarowanie skręciło mi wnętrzości jeszcze mocniej, niż zrobiłoby to piwo.

Błagam, niech mi ktoś powie, że Manon nie gra w to samo co Duska lobbystka. Zacząłem się obawiać, że ta przyjacielska gadka ma służyć tylko temu, abym ujawnił, o czym Elodie rozmawia ze mną za zamkniętymi drzwiami. Czy w tym cholernym mieście ludzie ani na chwilę nie przestają lobbować, knuć albo szukać pracy?

– Skoro już mowa o robocie, może czas wracać do biura? – zaproponowałem.

– Jasne. – Być może Manon wyczuła moją nagłą rezerwę, bo spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: – Wiesz, Paul, naprawdę się cieszę, że nie współpracujesz z eunuchami. Na myśl o ich hipokryzji robi mi się niedobrze. Fajnie, że nie jesteś jednym z nich.

W innych okolicznościach być może odparłem falsetem: „*Eunuch? Moi?*”. Albo coś równie dowcipnego, co sugerowałoby, że gramy w tej samej drużynie. Teraz jednak Manon sprowadziła naszą relację do brukselskiej gry w przepustki.

* * *

Kiedy znów usiadłem za biurkiem, nie musiałem się martwić, że będzie niezręcznie, bo Manon wychodziła na jakieś rozdanie nagród, po którym przewidziano bankiet z napojami i przekąskami. Chyba jednak wyczuła, że coś jest nie tak, kiedy na pożegnanie tylko

przechyliłem się lekko na krześle i posłałem jej oficjalny uśmiech – taki, jaki przyklejasz na twarz tylko na sekundę, kiedy wiesz, że tak wypada.

Nadal byłem wkurzony, że coś, co zapowiadało się na miłą znajomość, okazało się kolejnym służbowym chwytem. To tak, jakby belgijski gofr spalił się w gofrownicy, zamiast ładnie wyrosnąć i się przyrumienić.

Kiedy opowiadaliśmy sobie nawzajem historie z życia wzięte, było wspaniale. Miło się słuchało opowieści Manon. Nie wspominając już o tym, że była piekielnie atrakcyjna. Czuję, że gdybym mógł się do niej zbliżyć, byłby to jeden z puszystych, rumianych gofrów, jakimi czasem częstuje nas życie.

Merde, jak powiadają w Brukseli w dwudziestu kilku językach i kilkudziesięciu dialektach.

Gdy po pracy wróciłem do swojego pałacu art nouveau, okazało się, że Jake był tam przede mną. Zrobił zakupy, które niestety składały się tylko z wielkiego opakowania kawy ziarnistej. Bardzo to przydatne w mieszkaniu, w którym nie ma młynka do kawy.

Napisałem do przyjaciela, pytając, co porabia, ale nie odpisał. Wskoczyłem zatem na hot doga (który smakował tak, jakby naprawdę zrobiono go z psiny), a potem usiadłem przed telewizorem, żeby obejrzeć Bonda.

Jak zwykle 007 nie wiedział, czy laseczka, którą zastał w swoim łóżku, była po jego stronie, czy została nasłana przez przeciwnika. Bond jednak najpierw śpi z kobietami, a potem próbuje ustalić, po czyjej są stronie. On nie spędzałby wieczoru sam w domu, zwinięty na kanapie, oglądając Bonda.

Bruksela chce zabronić brytyjskim barmanom noszenia głębokich dekoltów

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2005

Stolica Unii Europejskiej jest ogromną biurokratyczną machiną z tyloma ruchomymi elementami, że organizatorzy mieli chyba problem z nazwaniem każdego z nich. Jest tu na przykład Rada Europy, ale również Rada Unii Europejskiej i Rada Europejska – każde z nich jest odrębnym organem i pełni inne funkcje.

Mamy też Trybunał Sprawiedliwości, Komisję Europejską i kilkadziesiąt europejskich komitetów. Żeby było śmieszniej, wszystkie mają skrót EC. Nic dziwnego, że EEC przemianowano na EU.

Jakby mało było zamieszania z nazwami, jest też ogromny chaos, jeśli chodzi o role. Dużo się słyszy o decyzjach podejmowanych przez Parlament Europejski, Komisję Europejską i Radę Europy. Kto jednak ma ostatnie słowo w kwestii wprowadzania nowych unijnych przepisów?

Jeśli o mnie chodzi, nie mam zielonego pojęcia.

I szczerze mówiąc, gdy wczesnym rankiem szedłem na umówione spotkanie w budynku Komisji Europejskiej, mało mnie to obchodziło. Miałem tam tylko pójść i wysłuchać soczystych opowieści o przekręconych doniesieniach na temat Unii Europejskiej od gościa z DG Communication, a potem powtórzyć wszystko Elodie. Na szczęście nie prosiła mnie o rozrysowanie schematu całej organizacji.

Możecie to nazwać brakiem sumienności, ale moim zdaniem życie jest za krótkie, żeby starać się zrozumieć dokładne funkcjonowanie Unii Europejskiej. No chyba że chce się zrobić z tego stałe płatne zajęcie, lecz po tym, co widziałem do tej pory, jest to los, którego za wszelką cenę chciałbym uniknąć.

Na wielkim rondzie przed budynkiem komisji zobaczyłem pierwszą tego dnia polityczną akcję. Grupa złożona z dwudziestu kilku kobiet i mężczyzn wymachiwała flagami i transparentami, wykrzykując jakieś hasła, których za nic nie mogłem zrozumieć. Większość mężczyzn miała ciemny zarost, kobiety zaś miały zakryte włosy, więc zgaduję, że pochodzili z Bliskiego Wschodu lub północnej Afryki. Być może przyjechali z Libii, Syrii, Tunezji lub Egiptu. A może z jednej z dawnych południowo-wschodnich republik radzieckich. Nie potrafiłem rozpoznać flag, a na transparentach widniało tylko małe konkretne hasło, że trzeba **DZIAŁAĆ NATYCHMIAST**. Ze względu na zgromadzonych miałem nadzieję, że przepustkowcy, którzy właśnie szli do pracy, niosąc kubki kawy, teczki i telefony, wiedzą, o co chodzi – w przeciwnym wypadku cała akcja byłaby całkowitą stratą czasu.

Do budynku komisji sunął sznur mężczyzn i kobiet w szarych garniturach. Sam budynek był interesującym tryskrzydłowym gmachem – przypominał połączenie gigantycznego szklanego śmigła i kolczastej pułapki, jakie bojownicy ruchu oporu rzucają na drogi, żeby

przebijać opony nadjeżdżających samochodów. Nie dało się zajrzeć do środka, bo wszystkie okna zasłonięte były roletami. Dzięki temu cały budynek wyglądał jak forteca z otworami strzelniczymi.

Aby dostać się do budynku komisji, musiałem minąć długi szereg masztów – na każdym powiewała niebieska flaga Unii. Miałem wrażenie, że wchodzę na niezwykle czystą plażę.

Dzięki przepustce dotarłem aż do recepcji, gdzie podałem nazwisko faceta, z którym miałem się spotkać – był to Anglik, Peter Marsh. To dziwne, pomyślałem, Brytyjczyk pracujący w dziale prasowym organizacji, którą brytyjska prasa uwielbia obsmarowywać. Ale kto umiałby lepiej zrozumieć i objaśnić pokrętną logikę brytyjskiej myśli dziennikarskiej?

Gdy czekałem, aż pan Marsh zejdzie po mnie do recepcji, szybko rozejrzałem się dookoła. Niedaleko dostrzegłem stojak z darmową gazetką – sądząc po nagłówkach na pierwszej stronie, musiała to być lokalna prasa przeznaczona dla mieszkańców Brukseli: „Zwolnienie dyrektora Europejskiego Jednolitego Rynku Cyfrowego wywołało falę oburzenia”. Najwyraźniej była to jedna z tych fal, której nie zauważyła reszta świata.

Tym razem miałem też okazję się przekonać, że wśród przepustkowców zdarzają się nieco starsze jednostki. W parlamencie większość osób niebędących posłami była bardzo młoda. Tu jednak widziałem biurokratów, którzy z niejednego pieca chleb jedli. Niektórzy mieli na sobie eleganckie garnitury i szykowne krawaty, a kobiety nosiły kolorowe buty na obcasach, ale widziałem też mnóstwo zwykłych urzędników w nieco bardziej pogniecionych koszulach – najwyraźniej znaleźli tu sobie wygodną przystań z przyjemną pensją.

Wreszcie zjawił się mój rozmówca – nie miał na sobie marynarki. Zawieszona na szyi przepustka podskakiwała na białej koszuli z delikatnym fioletowym odcieniem. Musiała to być fanaberia pracowników działu prasowego. Mężczyzna miał krótkie, chyba nawet ogolone włosy – taką fryzurę noszą tylko byli żołnierze z Europy Wschodniej i Brytyjczycy, którzy decydują się na pracę w biurze. Pan Marsh podszedł i mocno uściśnął mi dłoń.

– Witam – powiedział. – Jestem Peter.

– Cześć, jestem Paul – odparłem.

– Brakuje nam tylko Marii – skomentował.

Bóg raczy wiedzieć dlaczego, może to kwestia różnicy pokoleń, ale nie zrozumiałem go.

– Czyli pracujesz dla wroga? – zapytał.

– Chodzi ci o Francuzów? *Oui*, na razie tak.

– Co mówią o referendum?

– Twierdzą, że wyniki sondaży są niejednoznaczne.

Chyba spodobała mu się ta odpowiedź.

Gawędziliśmy trochę po drodze do windy. Próbowałem wyczuć akcent Petera, gdy podawał mi szczegóły swojego CV. Rozpoznałem delikatną nutę akcentu z Liverpoolu, szczególnie w wymowie słowa „praca”, które u niego brzmiało raczej jak „peraca”. Innych naleciałości niestety nie wyłapałem. Peter przyjechał do Brukseli zaraz po studiach i pracował tu już dwadzieścia parę lat, więc zdążył się pozbyć akcentu. Zauważyłem, że robi przerwy między słowami jeszcze częściej niż Danny od ostryg, jak gdyby zastanawiał się, w jakim języku mówić.

Gabinet Petera miło mnie zaskoczył. Korytarze w tym budynku były o wiele szersze i bardziej przytulne niż w parlamencie, jak gdyby Europa bardziej troszczyła się o stały personel niż o eurodeputowanych, wybieranych na krótkie kadencje. Biurko Petera stało w dużym gabinecie zajmowanym przez cztery osoby siedzące twarzami do siebie. Po raz kolejny odnotowałem różnicę między tym pomieszczeniem a ciasnym biurem Elodie, urządzonym w myśl zasady dziel i rządź.

Peter przedstawił mnie swoim współpracownikom. Wszyscy byli życzliwi, nie wyglądali na zestresowanych, a każdy pochodził z innego kraju. Następnie, ku mojej wielkiej uldze, Peter zabrał mnie do sali konferencyjnej, zanim ktokolwiek z obecnych zdążył zapytać o wyniki sondaży dotyczących Brexitu.

– Będzie lepiej, jeśli pogadamy na osobności – powiedział Marsh, gdy weszliśmy do pomieszczenia, w którym stał długi drewniany stół, większy niż całe biuro Elodie.

Usiadłem przy ogromnym oknie. Nagle zrozumiałem, dlaczego budynek z zewnątrz wygląda tak, jakby miał otwory strzelnicze. We wszystkich oknach wisiały ustawione pod pewnym kątem pionowe rolety. Peter zauważył, że im się przyglądam.

– Nikt nie przewidział, że w szklanych ścianach będziemy się czuli jak w piekarniku – wyjaśnił. – To typowe dla architektów pozbawionych kontaktu z rzeczywistością. Dlatego dodano rolety. Nie widzimy, co się dzieje na zewnątrz, ale przynajmniej się nie smażymy. A raczej nie pieczemy. Źle się wyraziłem.

Pomyślałem, że Peter jako spec od komunikacji zwraca uwagę na właściwy dobór słów.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał i oparł się na krześle, podnosząc ramiona, jak gdyby chciał mi pokazać, że nie ma ani śladu potu pod pachami.

Przyjemną ma tę posadkę, nie ma co.

– Na początek powiedz mi, na czym dokładnie polega twoja rola?

– Jestem naczelnikiem jednostki w DG Communication. Jak pewnie zdążyłeś zauważyć, jest to jedna z nielicznych dyrekcji o w miarę rozsądnej nazwie. Widziałeś dyrekcję MARE dla rybołówstwa albo FISMA dla stabilności finansowej? Poza tym jakim cudem dyrekcję do spraw rozszerzenia Unii nazwano Near, czyli „niedaleko”? Powinni ją raczej nazwać „W dalszej kolejności” albo „Jeszcze nie teraz”. Banda matołów.

Peter mówił to wszystko powoli, łagodnym tonem, starając się wyeliminować wszelki ślad liverpoolskiego akcentu. Przez cały czas uśmiechał się do mnie życzliwie.

– Zajmuję się głównie doniesieniami prasowymi na temat decyzji podejmowanych przez organy Unii Europejskiej. Takie oświadczenia powstają przy okazji każdego nowego przepisu czy rozporządzenia, po spotkaniach na szczycie i tak dalej. Mamy swoich rzeczników, którzy na dole organizują konferencje prasowe i rozmawiają ze wszystkimi korespondentami w Brukseli.

– Nawet z dziennikarzami pracującymi dla prasy antyeuropejskiej?

Peter się roześmiał.

– Tacy zwykle nie przychodzą. Nie interesują ich prawdziwe wiadomości.

Na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się cień udręki.

– Widziałem ich w akcji – powiedziałem ze współczuciem. – Przekręcają każdą wiadomość. Dosłownie odwracają kota ogonem.

– Otóż to. W większości wypadków nie zadajemy sobie nawet trudu, żeby publikować oświadczenie prasowe dla Wielkiej Brytanii. To nie ma sensu.

– Czy to nie trąci dyskryminacją?

– Nie, to oszczędność papieru. Lepiej dla nas, jeśli siedzimy cicho. Znasz starą zasadę: jeśli jakiś pijak zaczyna się Ciebie czepiać w knajpie, po prostu odejdz. My też odeszliśmy.

Cholera jasna. Sprawy mają się gorzej, niż przypuszczałem.

– Czyli Unia Europejska zrezygnowała z prób obrony przed atakami ze strony prasy brytyjskiej?

– Owszem.

Peter skrzyżował ramiona, jakby chciał powiedzieć, że ta decyzja jest ostateczna. Koniec kropka.

– Czyli nie bierzecie udziału w kampanii przed referendum? Nie publikujecie nic, żeby ludzie dowiedzieli się o dobrych rzeczach, które robicie, na przykład... – Jakoś nic nie przychodziło mi do głowy.

– Na przykład o tym, że sporządziliśmy zestawienie wszystkich zasad bezpiecznych płatności online albo że przekazaliśmy do British Council więcej pieniędzy na kulturę niż rząd brytyjski? Nie, to nie ma sensu. Nikt nie zwróciłby na to uwagi.

– To chyba trochę defetystyczne podejście, prawda?

– Nie, raczej realistyczne. Tak między nami – Peter zerknął przez ramię na zamknięte drzwi, jak gdyby obawiał się, że ktoś nas podsłuchuje. – Nie chciałbym mieć nic wspólnego z kampanią przed referendum. Gdyby moje oświadczenia prasowe wywołały negatywną reakcję lub ostry sprzeciw, moja kariera stanęłaby w miejscu raz na zawsze. Dlatego właśnie większość brytyjskich pracowników służb cywilnych tutaj, w Brukseli, chce, żeby Wielka Brytania została w Unii. W przeciwnym wypadku utkniemy na danym szczeblu kariery bez możliwości awansu. Nikt nie będzie nam już ufał, choć teraz nas lubią. Nie jesteśmy kojarzeni ze skrajną lewicą ani prawicą, nie jesteśmy zbyt zieloni ani różowi, po prostu robimy swoje i tyle. Bruksela to uwielbia. Dlatego Brexit byłby dla nas katastrofą. Myślę, że sprzedałbym wtedy mój stary paszport i wystąpiłbym o obywatelstwo belgijskie. Jak Boga kocham.

Biedny Pete chyba zaczynał wpadać w przygnębienie, więc zapewniłem go, że przybyłem właśnie po to, żeby pomóc, i mam w tej sprawie poparcie Francji. A przynajmniej zachodniej Bretanii.

– Och tak, *Madame* Martin to kobieta z klasą – powiedział Peter. Najwyraźniej miał do czynienia z ofensywnym urokiem Elodie. – Od dawna dla niej pracujesz?

– Nie, ale znamy się od lat. – Nie było sensu opowiadać mu ze szczegółami naszych przygód łóżkowych. – Teraz zatrudniła mnie, żebym zajął się tym, co wy postanowiliście odpuścić. Mam stanowić przeciwagę dla negatywnej kampanii i informować Brytyjczyków o tym, czym naprawdę jest zjednoczona Europa. Francuzi chcą, żebyśmy zostali w Unii. Nie chcą osłabienia drużyny.

– Trudno w to uwierzyć – odparł Peter. – Muszę przyznać, że na początku byłem podejrzliwie nastawiony, kiedy Elodie się ze mną kontaktowała. Większość francuskich biurokratów, z którymi rozmawiałem, jest zdania, że Europie byłoby lepiej bez Wielkiej Brytanii. Mówią, że przez cały czas tylko narzekamy. A narzekanie to przecież domena Francuzów. Jeśli już, to chcą, żeby Wielka Brytania została tylko po to, by przyjąć część uchodźców. I może po to, żeby wziąć odpowiedzialność za Calais, tak jak w szesnastym wieku, żeby Francuzi nie musieli patrolować tunelu.

– No tak, ale niezależnie od motywów Elodie prowadzi kampanię mającą na celu przekonanie Brytyjczyków, że warto zostać w Unii. Nie muszę chyba mówić, że to wszystko ściśle tajne. Nie sądzę, żeby Elodie chciała, aby reszta Francuzów dowiedziała się, co kombinujemy.

– To coś jak francuski ruch oporu, tylko na odwrót, nie? Budujemy mosty, zamiast wysadzać je w powietrze. To nowość. Francuzi zwykle nie proszą Brytyjczyków o budowanie mostów. Wolą robić to sami.

– Elodie nie jest taka jak większość Francuzów – powiedziałem, choć w tej samej chwili pomyślałem, że to pod wieloma względami nieprawda. – Potrzebujemy od ciebie listy najbardziej absurdalnych doniesień, jakie pojawiły się w brytyjskiej prasie, oraz prawdziwych wersji, żebym miał jak zdementować plotki.

– Żaden problem. Zaczekaj chwilkę, pójdę po laptopa.

Trzydzieści sekund później Peter wrócił i zanim usiadł, zaczął otwierać jakiś plik.

– Może coś takiego? „Unia żąda zmiany nazw dworca Waterloo i Trafalgar Square”. To bzdura, rzecz jasna. Jakiś eurokrata mimochodem palnął, że takie nazwy mogą być trochę obraźliwe dla Francuzów. – To mówiąc, przewinął ekran. – O, tu mam klasyk: „Bruksela chce zakazać sprzedaży chipsów o smaku wędzonego boczku”. Znow bzdura, bo chodziło o rozporządzenie dotyczące obecności substancji rakotwórczych w wędzonych potrawach. A to jest zupełnie od czapy: „Banknoty euro powodują u mężczyzn impotencję”. Unia opublikowała wyniki badań tuszu użytego do drukowania banknotów. Podano, że mężczyzna faktycznie mógłby ucierpieć, gdyby przez sześć miesięcy zjadał dwa i pół tysiąca euro dziennie.

– W banknotach o nominale pięciuset czy stu euro? – zapytałem, a Peter spojrzał na mnie zaskoczony. – Żartowałem – dodałem szybko.

– Rozumiem. Ale sam widzisz, do czego są zdolni.

Widziałem. Zastanawiałem się, jak miałbym przeciwdziałać tak kreatywnemu dziennikarstwu.

Peter znow przewinął tekst.

– Mamy też nieco bardziej przerażające historie – oznajmił. – Dotyczą głównie koszmarnych rzeczy, jakie Francuzi chcieliby zrobić Brytyjczykom. O, proszę, na przykład propozycja klasyfikowania świątecznych petard jako broni palnej albo produkcja gadżetów erotycznych w rozmiarach podawanych w systemie metrycznym. Wszystko wysrane z palca, ma się rozumieć.

– Mógłbyś mi przysłać listę tych artykułów? – poprosiłem.

– Mogę ci wysłać nawet całą książkę z tymi pierdołami. Co ja mówię, encyklopedię. Najgorsze, że większość Brytyjczyków w to wierzy. Nie można się dziwić, że DG odpuściło sobie walkę z wiatrakami.

Spod maski spokojnego brukselskiego biurokraty, gładkiej jak laminowana przepustka, wyzierał targany niepokojem człowiek. Całkowicie pokonany.

Kiedy Peter odprowadzał mnie do windy, zauważyłem, że pod jego pachą pojawiła się plama potu. Chyba rozdrapałem jakieś stare rany. Gdy byliśmy w połowie korytarza, minęliśmy regał z przegródkami. W każdej z nich leżała sterta wydruków.

– Spójrz na to – powiedział Peter, podając mi jeden z arkuszy. – To lista krajów, które naruszyły przepisy unijne z wyszczególnieniem, co było nie tak.

Przejrzałem listę. Okazało się, że Austria nie wdrożyła jakiejś klauzuli w przepisach dotyczących warunków pracy. Chorwacja zapomniała o czymś związanym z wózkami dla inwalidów. Nawet Niemcom zdarzyło się naruszyć jakieś drugorzędne rozporządzenie unijne dotyczące etykiet na produktach spożywczych.

– Zauważyłeś coś ciekawego? – zapytał mnie Peter i sam sobie odpowiedział, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Nie ma tu ani słowa o Wielkiej Brytanii. To jest oficjalny komunikat o przepisach prawnych, których nie przestrzegano we wszystkich krajach członkowskich w ubiegłym roku. Nie zadajemy sobie nawet trudu, żeby wspominać o niedociągnięciach Wielkiej Brytanii. Wywołałoby to tylko kolejny odwet w prasie brytyjskiej. Wszystko uchodzi im na sucho. A to spore osiągnięcie, zważywszy, że Wielka Brytania to wyspa.

Diabli nadali, pomyślałem. Jeśli połączone siły całej zjednoczonej Europy wywiesiły białą flagę, rezygnując z walki z rozwścieczonymi reporterami, to jakie szanse mam ja z poparciem zachodniej Bretanii?

Ale trzeba przyznać, że brytyjskie brukowce nie miały jeszcze do czynienia z Elodie.

Unia Europejska chce zmusić brytyjskich sprzedawców ryby z frytkami, żeby używali łacińskich nazw ryb

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2001

Do parlamentu wróciłem tylnym wejściem. To tędy po raz pierwszy prowadziła mnie Manon, kiedy miałem przejść kontrolę bezpieczeństwa. Dopiero teraz zauważyłem stojącą tu rzeźbę – kolejny przykład przedziwnego gustu Brukseli, jeśli chodzi o posągi w miejscach publicznych.

Spizowa statua przedstawiała kobietę triumfalnie unoszącą nad głowę symbol euro, który chyba ukradła pokonanemu, skulonemu u jej stóp mężczyźnie. Czyżby to jakaś podprogowa wiadomość dla Brytyjczyków? Nasza waluta stłamsi waszego funta! Raczej kiepsko to wyglądało.

Poszedłem do Elodie i przekazałem jej w skrócie to, czego dowiedziałem się od Pete'a – przygnębionego specja od relacji prasowych. Elodie jak zwykle pozamykała wszystkie okna i drzwi i wymiotła z pomieszczenia większość pluskiew, zanim pozwoliła mi mówić.

Wydawała się uradowana tym, co ode mnie usłyszała. Chichotała nawet przy opowieści o banknotach euro, które powodują impotencję.

– Świetnie, wybierz mi te najlepsze. Dwadzieścia wystarczy. Poproszę Cédrica, żeby przetłumaczył je na francuski.

– Po co miałyby je tłumaczyć, skoro będę opracowywał komunikat prasowy adresowany do Brytyjczyków? – zapytałem.

To ją na chwilę zbiło z tropu.

– Dla moich francuskich kolegów. Nie pracuję sama, Paul. – Uniosła wysoko brwi, sugerując, że w grę wchodzi najwyższe szczeble władzy.

– Gdzie mam pracować? Nie mogę pisać, skoro Manon patrzy mi przez ramię. Muszę przyznać, że trochę mnie irytują te tajemnice. Nie możemy jej powiedzieć, czym się zajmuję? Przecież chodzi o sprawę, która przysłuży się relacjom francusko-brytyjskim, prawda?

– Nie.

Miałem nadzieję, że to odpowiedź na pierwsze pytanie, a nie na drugie.

– Manon proponowała, żebym pracował w gabinecie Cédrica. Co ty na to?

– Nie – powtórzyła zdecydowanym tonem Elodie. – Nikt tam nie wchodzi. On tego nie lubi. – Elodie z dezaprobatą zmarszczyła brwi, jakby chciała powiedzieć, że taka już jest ta wsobna rodzina. – Dziś po południu możesz pracować w moim gabinecie. Ja wychodzę. Jeśli chcesz, mogę wynaleźć jakiś pretekst i Manon też gdzieś wysłać.

Wygląda na to, że to naprawdę supertajna sprawa.

– Nie, na pewno ma dużo pracy. Nie wysyłaj jej nigdzie z mojego powodu. Wychodzisz na lunch?

– Tak, mam... mam spotkanie – odparła.

Nagle ogarnęła ją przemożna potrzeba bawienia się telefonem.

– Masz zamiar spróbować lokalnej kuchni? – spytałem.

– Broń Boże, nie! – wykrzyknęła. – Thüste, wodniste *merde*, połączenie kuchni angielskiej i holenderskiej, dwóch najgorszych na świecie. Nigdy nie jem lokalnych potraw, chyba że muszę na jakimś oficjalnym przyjęciu. Jeśli nawet dasz Belgom najlepsze składniki, oni je usmażą, a potem ugotują. Ich kuchnia jest jak ich język – nawet przyjemne rzeczy zamienia w horror. Jestem pewna, że po flamandzku perfumeria to sztynkmarket. Któregoś dnia trafiłam nawet na ulicę o nazwie Go Fart¹. Jak można było w tym mieście ustanowić siedzibę międzynarodowego parlamentu?

– To gdzie powinna być twoim zdaniem?

– W Paryżu, ma się rozumieć.

A to niespodzianka.

– Myślałem, że nasza kampania ma na celu doprowadzić do zgodnej współpracy wszystkich państw członkowskich tutaj, w Brukseli – przypomniałem jej.

Po raz kolejny zbiłem ją z tropu.

– Oczywiście, Paul – odparła po chwili. – Nie mam zamiaru zmieniać historii świata. Chcę tylko, żeby wszystko działało lepiej.

Nie wiedziałem, co to miało znaczyć, i nie było mi dane się dowiedzieć, bo Elodie wcisnęła telefon do torebki, posprawdzała, czy wszystkie szafki w gabinecie są zamknięte, i wyszła. Na lunch było jeszcze za wcześnie, ale widocznie nie mogła się już doczekać smakowitego wikinga.

Po chwili do gabinetu zajrzała Manon, rzuciła mi spojrzenie mówiące „wiedzma poszła?”, po czym powiedziała:

– *Bonjour*.

Odpowiedziałem tym samym.

– *Tout va bien?* – spytała.

– Jasne, znakomicie – odparłem. – Elodie powiedziała, że mogę pracować przy prawdziwym biurku. Awansowałem.

– Gratulacje.

To mi zaczynało przypominać niezręczne biurowe pogaduszki. Tym razem jednak to Manon wspomniała o tym, że atmosfera robi się gęsta. W tak małym gabinecie jak ten nie powinno to zresztą nikogo dziwić.

– Czy znów coś jest między nami nie tak? – spytała. – Przeprosiłam przecież za to, że źle cię zrozumiałam. Już cię nie uważam za ekstremistę. W czym problem?

Odbiła piłeczkę do mnie. Trzeba przyznać, że odbicie wykonane tak zgrabną nóżką odzianą w but na wysokim obcasie było ponętne, ale szybko przypomniałem sobie, że nie o to chodzi.

– Przepraszam – powiedziałem. – Głupio mi, że nie mogę z tobą rozmawiać o tym, co robię dla Elodie. Prosiłem, pytałem, ale się nie zgodziła. Nie rozumiem dlaczego, ale *voilà*. Przykro mi.

I naprawdę było mi przykro. Manon z pewnością umiałaby mi pomóc. Tak samo jak ja byłaby zaskoczona bzdurami, które wypisują brytyjskie brukowce. No i znała Brukselę lepiej niż ja. Mogłaby mi poradzić, od czego zacząć.

Poza tym fajnie byłoby chodzić razem na drinka, żeby omówić nasz wspólny projekt,

albo na kolację, albo...

No ale jak się nie da, to się nie da.

– No dobra – odparła Manon. – Teraz ci wierzę. Nie ma w tym nic podejrzanego.

– No właśnie. Tylko było mi trochę... – urwałem, szukając właściwego słowa po francusku, ale nie wymyśliłem nic ciekawego – ...smutno, że mnie o coś podejrzasz.

– Przepraszam. Ale teraz wiemy, że gramy w jednej drużynie, prawda?

– Taką mam nadzieję – przyznałem, lecz dostrzegłem cień irytacji na twarzy Manon. – Znaczy, tak. Tak myślę. Oczywiście. Ze wszech miar.

– No, teraz faktycznie mówisz, jakbyś był tego pewien.

Roześmiała się i wróciła do siebie, zamykając za sobą drzwi.

Do cholery, pomyślałem. Trudno się rozmawia z piękną kobietą. Dlatego ślicznotki są najlepiej obsługiwane w sklepach i restauracjach. Nikt nie chce, żeby marszczyły czoło, bo za wcześniej dostaną zmarszczek.

* * *

Gdy tylko Manon wyszła, otwarłem plik, który dostałem od Petera, i wybrałem parę soczystych kawałków dla Elodie. Znalazłem kilka pogłosek, które nie budziły żadnych wątpliwości, że są wyssane z palca: na przykład plotkę o tym, że wprowadzi się zakaz gry w rzutki w pubach, że dzemy domowej roboty sprzedawane na wiejskich festynach będą musiały wcześniej przejść badania na obecność bakterii kałowych albo że sprzedawcy smażonych ryb będą musieli używać łacińskich nazw gatunków ryb. Było też kilka nadzwyczajnie wypaczonych interpretacji unijnych przepisów: na przykład pogłoska o tym, że barmanki w pubach będą musiały zrezygnować z głębokich dekoltów – to była akurat nadinterpretacja przepisu dotyczącego ochrony pracowników przed rakiem skóry. Był też znajomo brzmiący fragment o tym, że ostrygi będą musiały mieć zapewnione przerwy w transporcie. To akurat wynik absurdałnej interpretacji przepisów dotyczących transportu żywca. Wszystko pięknie ubrane w słowa, lecz w istocie szkodliwy, bezsensowny bełkot.

Trudność polegała na tym, że miałem wybrać dwadzieścia najlepszych przykładów.

Spędziłem nad dokumentem kilka godzin. Trochę się pośmiałem, trochę przeraziłem, aż w końcu spakowałem się i wyszedłem z biura. Manon rozmawiała przez telefon – chyba z jakimś burmistrzem, który uparcie twierdził, że każdy milimetr jego okręgu jest już zajęty. Posłałem jej pełne współczucia spojrzenie, na które odpowiedziała życzliwym machnięciem ręki.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Jake'a wciąż nie było, ale za to pojawił się nowy, całkowicie nieproszony lokator.

W kuchni zastałem kota – rudego potwora, który zaczął ocierać mi się o nogę, gdy tylko wszedłem. Pewnie chciał przeprosić za to, że nasrał w kącie.

Zastanawiałem się, jak, u diabła, się tu dostał. Pewnie przez niedomknięte okno. A może portier przyszedł tu na przeszpiegi i przypadkiem wpuścił kota.

Zatkałem sobie nos papierem toaletowym i drewnianą szpatułką sprzątnąłem kupsko do plastikowej torebki. Szpatułkę i torebkę wyrzuciłem do śmietnika. Potem wyszedłem z mieszkania, żeby poszukać właściciela zwierzęcia.

Piętro wyżej drzwi otworzył mi jakiś nastolatek. Wyglądał na niewyspanego, jak to zwykle nastolatki, szczególnie kiedy palą trawę tak jak mój sąsiad. Z mieszkania na korytarz wydobywał się drażniący smród.

– *Vous avez un chat?* – zapytałem.

Chłopak spojrzał na mnie tępym wzrokiem.

– *Vos parents sont ici?* – spróbowałem inaczej, choć domyślałem się, że rodziców raczej nie ma w domu.

Chyba że cała rodzina radośnie jara zioło, w co ośmielałem się wątpić, sądząc po szpanerskim logo na koszulce chłopaka oraz marce jego okularów. To był klasyczny mały elegancik. Jego *Papa* lub *Maman*, a może obydwój, są trybikami w maszynie zwanej Brukselą. Prawdopodobnie z tego powodu dostali mieszkanie w tym budynku.

– *Il y a un chat chez moi.* – Wskazałem na dół. – *Il est à vous?*

– *Non* – odparł wreszcie chłopak.

Wyglądało na to, że wyczerpał swój zasób słownictwa, więc zostawiłem go, żeby w spokoju wypalił sobie resztki mózgu.

Drzwi na najwyższym piętrze były mniejsze i nie miały w sobie nic z art nouveau. Przypuszczałem, że to przerobiony strych. Nacisnąłem dzwonek i po chwili moim oczom ukazała się znajoma twarz.

– *Cédric* – powiedziałem zdziwiony i zaraz dodałem: – To ja, Paul.

Gość wydawał się jeszcze bardziej upalony niż dzieciak piętro niżej. Może dym przedostał się na górę przez sufit. A może po prostu *Cédric* miał w genach spowolnione reakcje.

– *Oui, Paul, salut* – powiedział.

– Mieszkasz tu? – zapytałem głupio.

– *Oui.*

Wyjaśniłem mu, w czym problem. *Cédric* wyraził współczucie (jeśli można tak nazwać okrzyk „*oh, merde*”), ale odparł, że nie ma kota i nigdy nie widział żadnego w tym budynku. Zapytał, jak się urządziłem. Odpowiedziałem, że *très bien*, nie licząc *le chat*. Zapytałem, jak mu się pracuje z *Elodie*, na co z kolei on odparł, że *très bien*, ale nie był specjalnie rozmowny, kiedy poruszyłem temat komputerów, które kupiłem. Potem rozmowa utknęła w martwym punkcie.

Zaprosiłem *Cédrica*, żeby któregoś dnia wpadł na drinka, jak już kupię coś niecoś do barku, po czym wróciłem do siebie, żeby jakoś pozbyć się puszystego sublokatora. Poziomem higieny prawdopodobnie nie odbiegał zbyt od *Jake'a*, a poza tym z pewnością nie pisał koszmarnych wierszydeł, ale i tak wolałem, żeby sobie poszedł.

Co się, u diabła, robi, gdy do mieszkania włamie się kot? Nie można zadzwonić na policję. Poza tym Unia Europejska nie ma didżeja OK (Dyrekcji Generalnej do spraw Obcych Kotów). Wiem, bo sprawdzałem.

W końcu zrobiłem sierściuchowi zdjęcie, dodałem swój numer telefonu oraz podpis: „*Znaleziono, Trouvé, Gevonden*” – z pewnością wszyscy w okolicy znają te trzy języki – i wyszedłem do małego sklepiku z akcesoriami do telefonów komórkowych, prowadzonego przez jakiegoś imigranta z Dalekiego Wschodu, żeby tam wydrukować kilkanaście kopii plakatu.

Pół godziny później z dumą rozklejałem zdjęcia kota na moim budynku oraz na

latarniach i drzewach w najbliższej okolicy. Plakat wyróżniał się na tle błękitnych flag w gwiazdki, które zdobiły wszystkie ulice Brukseli.

Z natury jestem pesymistą, a już na pewno fatalistą, więc na wszelki wypadek kupiłem zapas kociej karmy, żwirek oraz odpowiednie pojemniki. Dodatkowo zainwestowałem też w puszkę spreju, którego zapach miał zniechęcać koty do sikania w danym miejscu. Pomyślałem, że warto byłoby ochronić zabytkową kanapę i fotele przed nowym nieproszonym gościem.

Dałem sobie dwadzieścia cztery godziny. Potem miałem zamiar odwieźć kota do schroniska. Albo może pójde i szepnę słówko gościowi, u którego wczoraj wieczorem kupiłem hot doga. Mój żołądek w dalszym ciągu usiłował odgadnąć, jakie zwierzęta wchodziły w skład tej potrawy. Może facet kupi ode mnie kilka kilogramów rudej kociny.

Hymn Wielkiej Brytanii *God Save the Queen* musi być śpiewany w językach wszystkich imigrantów

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2015

Ktoś mi kiedyś powiedział, że nazwa gazpacho pochodzi od dźwięku, jaki ludzie wydają, gdy przekonują się, że zupa jest zimna.

To musi być prawda, bo ja sam zareagowałem właśnie w ten sposób, kiedy łyknąłem pikantnej mieszanki z mango i owoców chlebowca. Tym razem nie było to coś, co przyrządziłem sam z puszek znalezionych w kuchennych szafkach. Danie podała mi urocza Azjatka w laotańskiej restauracji.

Byłem zaskoczony również dlatego, że gdy ujrzałem napis „laotańska”, założyłem, że skoro jestem w stolicy Europy, z pewnością chodzi o knajpkę łotewską². Nie rozumiałem zatem, dlaczego ni stąd, ni zowąd znalazłem się w bambusowej dżungli pełnej egzotycznych roślin, dziwnej muzyki i zdjęć bawołów wodnych. Globalne ocieplenie chyba nie działa aż tak szybko?

Nie przyszło mi do głowy, że małe i wcale nieeuropejskie państwo takie jak Laos może mieć w Brukseli swoją restaurację. Rozumiałem, że jest tu pełno knajp chorwackich, estońskich, baskijskich, katalońskich czy szwabskich. To były społeczności obecne w stolicy Unii Europejskiej. Chińskie, indyjskie, japońskie, wietnamskie, libańskie i tureckie restauracje też mnie nie dziwiły – są wszędzie. Mogłem jeszcze zrozumieć nepalskie, brazylijskie czy afrykańskie, ale Laos wydawał mi się tu zupełnie niezrozumiały.

Danny od ostryg wyjaśnił mi jednak – to on zaprosił mnie tutaj na obiad – że miasto ma tyle środków na zbyciu, że wciąż kusi ludzi nowymi nieznanymi potrawami. Zwykłe francuskie czy włoskie jedzenie stało się już zbyt nudne. Wykwitne podniebienia żądają nowych wyzwania kulinarnych. Ludzie mogą przez cały dzień siedzieć za biurkiem, ale gdy chodzi o posiłek, chcieliby wysłać swoje kubki smakowe na wyprawę w Andy, na bagna Borneo lub w głąb Szkocji.

To właśnie Danny polecił mi pikantny chłodnik – czy jak to się tam nazywa w języku laotańskim – z mango i owoców chlebowca.

Byliśmy częścią hałaśliwej grupy, która zajmowała pół restauracji. Właściciele ustawili dla nas długi stół. Towarzystwo składało się wyłącznie z urzędników unijnych. Danny przyszedł ze swoją dziewczyną, choć to chyba za dużo powiedziane, sądząc po tym, z jakim podziwem wyrażał się o umiejętnościach uwodzicielskich Jake’a. Przyjaciółka Danny’ego wyglądała na Hiszpankę. Miała na imię Maria, a może Isabella lub Sofia – szczerze mówiąc, nie zapamiętuję imion, jeśli nie są napisane na przepustce.

Było też kilku innych Brytyjczyków, jakiś stereotypowy Włoch z czarnymi kręconymi włosami, starannie przystrzyżoną brodą i donośnym głosem, kilka osób pochodzenia germańskiego – kobiet i mężczyzn, garstka obywateli Europy Wschodniej, którzy kłócili się o coś w kilku językach, oraz Rosjanin. Towarzystwo bez najmniejszego trudu posługiwało się wieloma językami. Zacząłem się zastanawiać, kiedy się tego wszystkiego nauczyli i czy

przypadkiem mój mózg nie nudzi się z nadmiaru wolnego czasu.

Do restauracji weszła jakaś starsza para. Nowi goście z przerażeniem przyglądali się, jak rozmawiamy w różnych językach i wymachujemy rękoma niczym ludzie, którzy widzą, że nad ich miastem przelatuje chmara szpaków – patrzyli na nas, dziwiąc się, że takie istoty mieszkają w *tym mieście*. Starsi państwo rozsądnie postanowili iść gdzie indziej na spokojną kolację we dwoje. Z tego, co zdążyłem się już dowiedzieć, gdy brukselscy urzędnicy zaczynają pić i rozmawiać, zwykle milkną dopiero wtedy, gdy tracą przytomność.

Problem z obiadem przy stole jest taki, że człowiek utyka między swoimi sąsiadami, w przeciwieństwie do pubu, gdzie można się dowolnie przemieszczać. No i spędziłem wieczór między Dannym a Cédrikiem. Tak, zaprosiłem swojego sąsiada z góry. Wydawało mi się, że to będzie dyplomatyczne posunięcie. Na początku siedział strasznie spięty i przez chwilę żałowałem, że go zabrałem. Siedział tylko, jadł i pił – głównie pił – starając się ze wszystkich sił nadażyć za rozmową toczącą się przy stole. Międzynarodowe konwersacje chyba nie były jego mocną stroną.

Danny zaś zaangażował się w głośną wymianę zdań z Włochem, który siedział naprzeciwko mnie. Obaj przekrzykiwali się nad moim uchem.

Włoch twierdził, że jego kraj nie musi przyjmować więcej uchodźców z Afryki czy Bliskiego Wschodu, bo Włochy i tak już angażują połowę swojej marynarki w ratowanie rozbitków na Morzu Śródziemnym. Brytyjczycy, Skandynawowie i kraje nadbałtyckie powinny przyjąć większość uchodźców, bo leżą najdalej od wybrzeży Morza Śródziemnego i Egejskiego. Przewidywał też, że Wielka Brytania w referendum zagłosuje za wyjściem z Unii, a nawet jeśli nie, to „musimy ich wyrzucić z Unii Europejskiej, bo i tak nie robią nic poza wypraszeniem dla siebie specjalnego traktowania”.

Specjalnego traktowania? Czy to nie Włochów potraktowano wyjątkowo łagodnie, kiedy dostali wsparcie finansowe, żeby ich kraj nie zbankrutował i nie musiał opuścić strefy euro? Nie chciałem jednak przy kolacji zaczynać konfliktu na europejską skalę. Danny nie miał takich skrupułów i odparł, że „my przynajmniej nie przychodzimy po prośbie, żebrząc o kasę co pięć lat tak jak wy z południa Europy. I tak zresztą opłacamy waszą cholerną marynarkę wojenną”.

Włoch zbył tę uwagę wzruszeniem ramion i wysunął tezę, jakoby Belgowie chcieli, żeby Wielka Brytania została w Unii tylko po to, by nie spadły ceny nieruchomości w Brukseli. Wyjaśnił, że to był żart pod adresem Danny’ego i moim, bo podobno Brytyjczycy mają bzika na punkcie wartości swoich domów. Odparłem, że ja nie, bo w ogóle nie mam domu, na co Włoch spojrzał na mnie tak, jakbym się przyznał, że nie mam skarpetek.

– Jego rodzina posiada kilka wsi. Mają tam winnice. – Danny machnął łyżką w stronę Luigiego czy Giovanniego, czy jak mu tam było na imię.

Włoch uchylił się i zasłonił sobie koszulę białą niczym zęby rodowitego Kalifornijczyka. Przynajmniej na razie.

– Po co przyjechałeś do Brukseli? – spytałem. – Z tego, co słyszę, masz we Włoszech o wiele lepsze warunki życia.

– To lobbysta – odparł za niego Danny. – Jeśli dobierzesz się do włoskiego wina, on dobierze się do ciebie.

– Otóż to. Jeśli spróbujecie produkować angielskie prosecco, połamiemy wam nogi –

dodał Włoch z uśmiechem, który nagle wydał mi się groźny.

– Ja połamałbym nogi *każdemu*, kto poczęstowałby mnie jakimkolwiek prosecco zamiast szampana – odpowiedziałem.

Włoch przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się przeżegnać, słysząc takie bluźnierstwo, ale w końcu się roześmiał.

– Wyślę ci kilkanaście butelek, po których zmienisz zdanie, panie Franko-Angliku.

To była całkiem niezła propozycja, ale zanim zdążyłem podać mu adres do wysyłki, Włoch się odwrócił i rozpoczął rozmowę z siedzącą po jego lewej stronie Niemką.

Danny skorzystał z okazji i poinformował chyba całe centrum Brukseli o tym, że jego szef miał tego dnia długie spotkanie z Francuzami.

– Dziwne układy panują teraz między Francuzami a Anglikami – grzmiał. – Myślisz, że to ma coś wspólnego z referendum?

– A co to byli za Francuzi? – zapytałem nieco ciszej, mając nadzieję, że Danny załapie aluzję i sam trochę spuści z tonu.

– Nie powiedział. Ale wspomniał o twoim projekcie z językami mniejszościowymi i prosił, żebym się dowiedział, skąd jest finansowany. Wiesz coś o tym?

– Wydaje mi się, że finansuje go francuski rząd – odparłem.

– Coś ty. To mało prawdopodobne. Francja nie podpisała nawet Karty Języków Mniejszościowych. Francuzi są zdecydowanie przeciwni przyznawaniu jakiegokolwiek autonomii swoim regionom. Boją się, że Korsyka rozpocznie kampanię na rzecz niepodległości i upomni się o zwłoki Napoleona. Na to nie mogą sobie pozwolić.

– Myślisz, że pieniądze na projekt idą bezpośrednio z Europy? – zasugerowałem.

– To możliwe. Może jest jakiś regionalny projekt. Czy to się jakoś nazywa? Wiesz, Linguapick albo Babelbird, albo coś w tym rodzaju? Te europejskie projekty zwykle miewają durne nazwy.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziałem.

– Nie jesteś zbyt dobrze poinformowany, co, Paul?

Danny klepnął mnie w plecy, a solidna porcja zimnej zupy z mango chlapnęła z mojej łyżki prosto na śnieżnobiałą koszulę Włocha. Na szczęście facet nie zauważył wzorku z pomarańczowych kropek.

– A co na to twój francuski kumpel? Może ty coś wiesz, *mon ami*? O czymkolwiek?

Danny wychylił się za moimi plecami i krzyknął do Cédrica, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, szturchnął go w bok. Cédric w milczeniu sączył wino i niespecjalnie zwracał uwagę na to, co się dzieje przy stole. W końcu jednak podniósł głowę znad kieliszka.

– Bą sua, Seddrick! – wrzasnął Danny swoją koszmarną francuszczyzną. – *Vous savez ce que la France fait avec les Anglais?*

Tym pytaniem zwrócił na siebie uwagę całego towarzystwa. Kilka osób zerknęło na Cédrica, żeby zobaczyć, co odpowie.

– *Bien sûr.*

Mój sąsiad uśmiechnął się szeroko, po czym opróżnił kieliszek. Jakimś cudem trafił do ust.

– To jak, powiesz nam czy nie?! – ryknął Danny, tym razem po angielsku.

– *Bien sûr que non* – odparł Cédric i dolał sobie wina.

Ludzie przy stole roześmiali się i wrócili do swoich rozmów.

– No i sam widzisz – mruknął mi do ucha Danny. – Tajemnicze sukinsyny. Kiedy

zaczynasz pracować z Francuzami, wkraczasz w mętny świat. Twoje sumienie wkrótce stanie się jak kozi ser. Poczujesz, że obrasta pleśnią, a sam środek z dnia na dzień będzie się robił coraz twardszy. Wiesz, Paul, właściwie to już zaczynasz trochę zalatywać capem.

Powąchał mój policzek. Udało mi się zachować dyplomatycznie i nie przyłożył mu w nos, którym tak zapalczywie pociągał.

Gdy podano nam danie główne (ja zamówiłem kaczkę doprawioną jakimiś cytrynowymi pędami, które pachniały trochę jak koci sprej, który niedawno kupiłem), nasze towarzystwo powiększyło się o dwie osoby.

– Hej, chłopie, dostałem twojego esemesa!

To był Jake. Wyglądał na zadowolonego. Obejmował szerokie ramiona nieco niechlujnej kobiety o bladej cerze i krótkich czarnych włosach. Była starsza od mojego przyjaciela i zupełnie nie w jego typie. Przedstawił nam ją jako Rini – podobno była częściowo Rosjanką, częściowo Finką, a częściowo Eskimoską.

– Nie zabawimy z wami długo, bo mamy zamiar uprawiać seks – oznajmił Jake. W tym momencie umilkły wszystkie rozmowy przy stole. Rini tylko uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Jej mąż jutro wraca z delegacji, więc musimy wykorzystać tę ostatnią noc. Ale Paul, chciałem cię przeprosić, że przeszkadzam. Sam wiesz.

– Ależ nie przeszkadzasz, Jake. Prawie nigdy cię nie ma. Nie masz za co przeproszać.

– Nie, nie, stary. Później ci to wyjaśnię. Teraz musimy lecieć. Rini chce się bzykać.

Wyszli, machając nam na pożegnanie.

– Geniusz – powiedział Danny odrobinę za głośno.

Zobaczyłem, że jego dziewczyna rzuciła mu zza stołu gniewne spojrzenie.

Reszta wieczoru upłynęła całkiem miło. Plotkowaliśmy o złych nawykach parlamentarzystów, przerzucaliśmy się złośliwymi żartami na temat naszych gospodarzy, Belgów, nastąpiło krótkie dochodzenie w sprawie czyjejs poplamionej drogiej włoskiej koszuli, a na koniec rzuciliśmy kilka docinków na temat Francuzów, na co Cédric po dłuższej chwili zareagował, wstając i intonując *Marsyliankę*. Straszliwie fałszował, a jakby tego było mało, podjął próbę przetłumaczenia tekstu na angielski.

– I naprzód marsz, ojszyzny ziesi, bo nadszedł ffały naszej ziemi. To tyran przesiw nam zabiesił to coś, co nie wiem, jak się zwie – wył, dopóki nie usadziłem go z powrotem na krześle.

Musiałem jeszcze przeprosić kelnerkę za ten koszmarny hałas.

Towarzystwo rozeszło się dość wcześnie – nikt nie chciał na drugi dzień mieć kaca w pracy – choć liczba pustych butelek na stole sugerowała, że niektórzy mogą rankiem potrzebować dodatkowej porcji kofeiny.

Kiedy przyniesiono rachunek, Włoch rzucił kiepskim dowcipem o tym, że Niemcy powinni zapłacić za wszystkich, ale Danny popsuł mu żart, mówiąc: „Wyciągaj portfel, ty bogaty dupku”. Włoch skrzywił się zniesmaczony wulgarnym sposobem bycia Anglików. Nie pierwszy raz zresztą.

Dopiero kiedy wyszedłem z restauracji, dotarło do mnie, jakim szaleństwem było zaproszenie Cédrica. Był tak pijany, że ledwo stał na nogach, więc musiałem go prowadzić, usiłując poruszać na przemian jego nogami, żeby nie wypadł z rytmu.

– Słyszysie z bitew pół niesiony szońieszzy prze... okrutnych kwik? – To chyba dalsza część *Marsylianki*. – Do broni, brasia ziś! Zewrrrrr... Jak to się mówi?

Na szczęście było jeszcze wcześniej i na ulicach był spory ruch, więc uniknęliśmy aresztowania za zakłócanie ciszy nocnej. Wlokłem Cédrica za sobą, ciesząc się, że jest w miarę lekki i przynajmniej choć trochę powłóczy nogami.

Kiedy zbliżaliśmy się do domu, miałem wrażenie, że Cédrica opuszcza patriotyczne uniesienie i ogarnia płaczący nastrój.

– *Tu es un chic type* – powtarzał.

Chyba chciał powiedzieć, że porządny ze mnie facet. Na początku trochę się wystraszyłem, bo myślałem, że mówi „rzyg” i zaraz na mnie zwymiotuje.

Kiedy dotarliśmy do holu i zacząłem go wlec po schodach, powtórzył to jeszcze kilka razy, a potem zaczął bełkotać coś o pomidorach – *tomates*.

O nie, pomyślałem. Zaraz zwróci całą kolację.

Kiedy jednak wsłuchałem się uważniej, okazało się, że wcale nie mówi o pomidorach.

– *Dommage. C'est dommage. C'est vraiment dommage.*

– Dlaczego szkoda? – zapytałem.

– *Tu es un chic type. C'est dommage* – wybełkotał tylko, po czym czknął i zamilkł na dobre.

Dociągnąłem go wreszcie na ostatnie piętro, wyjąłem mu z kieszeni klucze i dowlokłem go do kanapy, na której ostrożnie ułożyłem go w pozycji bocznej – nawet jeśli się zrzyga, to przeżyje i będzie mógł nad ranem po sobie posprzątać.

– *C'est dommage* – wymamrotał jeszcze, kiedy wychodziłem.

Zastanawiałem się, o co mogło mu chodzić. Moje rozważania przerwał jednak koci smród, który uderzył w moje nozdrza, gdy tylko wszedłem do mieszkania.

Faktycznie szkoda, pomyślałem. Znów jestem sam w domu – wita mnie tylko cholerny kot. Zamieniam się w szaloną kociarę. Jestem starą panną.

Bruksela mówi: zakaz sprzedaży alkoholu w tygodniu

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2005

Na drugi dzień rano postanowiłem jechać do pracy metrem. Pominąwszy inne powody, nie miałem siły na dwudziestominutowy spacer do biura.

Od rana było mi niedobrze. Dlaczego Europejczykom się wydaje, że do azjatyckiego jedzenia będzie pasować wino? Wszyscy wiedzą, że azjatyckie potrawy znacznie lepiej komponują się z piwem. Wino i przyprawy to śmiertcionośna mieszanka – żołądek myśli, że już święta, czas na grzaniec i ogólne przejedzenie, więc uruchamia odruch obronny.

A jeśli na drugi dzień wchodzisz do kuchni i pierwszą rzeczą, którą widzisz, jest kuweta pełna czegoś, co przypomina musli o smaku gówna, to mdłości masz gwarantowane.

Nie był to jedyny powód, dla którego z rana czułem się nieswojo. Wczoraj wieczorem Danny wspomniał coś o układach między Francuzami a Anglikami. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Będę musiał zadać Elodie kilka pytań i trochę się obawiałem, jaką usłyszę odpowiedź. Mogłem też nie usłyszeć jej wcale.

Na domiar złego nie dzwonił jeszcze nikt w sprawie kota. Obiecałem sobie, że jeśli tego dnia sprawa się nie wyjaśni, wieczorem odwiozę go do schroniska.

– Przykro mi, sierściuchu – powiedziałem, gdy zwierzak radośnie pałaszował smrodliwe mięcho z puszki nazwanej jakimś uroczym zwierzęcym imieniem – ale jestem za młody, żeby zamienić się w kociarę.

* * *

W brukselskim metrze nie da się powstrzymać od śmiechu. Jest to, rzecz jasna, życzliwy śmiech. Miasto tak się stara być godne miana międzynarodowej stolicy, że podobno ma aż sześć linii metra. W centrum chyba jednak wszystkie jadą po tych samych torach. Niektóre linie powielają tylko już obsługiwane trasy. Większość z nich stanowi okrąg biegnący wokół centrum miasta oraz nieduży krzyżyk w środku. Poza tym jest tylko kilka krótkich tras na przedmieścia.

Wsiadłem do małego pociągu, którego przednią część pomalowano na pomarańczowo. Nie mogłem narzekać – pociąg jechał szybko, był czysty i przestronny. Jedyne problem polegał na tym, że kolor metra przypominał mi cholernego kota.

Zastanawiałem się, jak można przewieźć do schroniska kota, który broni się zębami i pazurami. Może trzeba mu dać coś na uspokojenie? Napoić alkoholem? A może lepiej samemu się ubzdryngolić? Nagle wśród pasażerów metra dostrzegłem znajomą twarz. To Cédric. Ciekawe, nie widziałem go po drodze na stację.

Stał oparty o metalowy słupek. Wyglądał jak balonik, z którego spuszczone powietrze. Choć w sumie nigdy nie był jakoś szczególnie pełen energii. Kusiło mnie, żeby podejść i go przytrzymać – obawiałem się, że pęd pociągu w końcu go przewróci albo wręcz rzuci na drugą stronę wagonu.

– *Bonjour* – powiedziałem, ale mój sąsiad chyba spał; może robił już drugą rundę metrem po centrum.

– Cédric – powiedziałem nieco głośniej.

W odpowiedzi usłyszałem jęknięcie.

– Za dużo wina – odparł zupełnie niepotrzebnie. Podniósł wzrok i usiłował spojrzeć mi w twarz. – Nie mówiłem chyba nic głupiego wczoraj wieczorem? – zapytał.

Użył słowa „*bêtises*”, które z tego, co wiem, oznacza jakieś błaheści.

– *Beaucoup* – odparłem, na co Cédric obrzucił mnie pełnym paniki wzrokiem. – Ale nie mówiłeś, tylko śpiewałeś. W końcu się dowiedziałem, co naprawdę oznacza tekst francuskiego hymnu. Najbardziej podobał mi się fragment o pojeniu ziemi krwią.

Gdy tylko to powiedziałem, zrozumiałem, że to nie jest dobry dzień na rozmowy o gigantycznych kałużach krwi. Obaj milczeliśmy przez dłuższą chwilę, usiłując się otrząsnąć z obrzydzenia.

– Mówiłeś wczoraj coś o *dommage* – przypomniałem mu. – Co to było?

Cédric zawstydział się na krótką chwilę.

– Nie, nic takiego. Zresztą nie pamiętam. Byłem pijany.

Mimo że wyglądał na otumanionego, przecież wiedziałem, że ten gość na co dzień pracuje w zamkniętym biurze, do którego nikomu nie wolno wchodzić. Postanowiłem trochę go przycisnąć, wykorzystując chwilę jego słabości.

– Znalazłeś coś na tych angielskich komputerach? – zapytałem.

– Skąd wiesz, że są angielskie?

Na jego twarzy znów pojawiła się panika.

– No wiesz, my, *Anglais*, wszystko sobie mówimy.

To kłamstwo sprawiło, że Cédric zaczął się wić dookoła metalowego słupa niczym bluszcz z lękiem wysokości.

– Wszystko?

– Tak. A poza tym gdzie są dwa pozostałe komputery?

– Och, Elodie ma je u siebie w gabinecie – odparł nieco lżejszym tonem. Chyba przepuściłem okazję. Zastanawiałem się, o co tu chodzi. – Jeśli chcesz wziąć jeden z nich, to chyba możesz. Twój działa?

– *Oui, très bien.*

– *Très bien* – zawtórował mi Cédric.

Ożywił się teraz i był niemal tak wesoły jak zwierzak, który zajmował obecnie moją kuchnię.

Znów zrobiło mi się niedobrze, więc postanowiłem wysiąść i resztę drogi pokonać piechotą. Dojeżdżaliśmy właśnie do stacji Arts-Loi lub też po flamandzku Kunst-Wet³. Uroczy język.

Szedłem wzdłuż Loi (lub też Wet) i myślałem, że to chyba najnudniejsza aleja na świecie. Po obu stronach stały biurowce – trochę się między sobą różniły, lecz wszystkie były tak samo nudne i z pewnością zbyt niskie, żeby wzbudzać zachwyt. Aleja sprawiała wrażenie sztucznej, niczym obraz wygenerowany komputerowo na potrzeby gry w wyścig po mieście. Nie zdziwiłbym się, gdyby na chodniku zaczęły się kręcić animowane postaci z twarzami bez wyrazu – takie ludziki, jakie w grach komputerowych strzelają do siebie albo są

potrącane przez pędzący samochód.

Szedłem aleją wraz z innymi urzędnikami zmierzającymi do pracy. Co jakiś czas ktoś zbaczał i znikał za szklanymi drzwiami jednego z biurów. Do samego końca pod budynek parlamentu dotarła tylko garstka. Monotonny marsz pozwolił mi zastanowić się nad tym, jak rozpocząć rozmowę z Elodie o dręczących mnie wątpliwościach. W końcu to ona była przyczyną większości z nich.

* * *

– Pewnie uznasz mnie za tępaka – zacząłem, wchodząc do gabinetu Elodie.

– Skąd ten czas przyszedł? – Roześmiała się, nie unosząc głowy znad biurka.

Jak zwykle była zajęta głośnym smartfona.

– Wielkie dzięki, Elodie. To francuska szkoła techniki motywacji?

Prawdę mówiąc, to była strategia jej ojca. Jean-Marie miał swoją teorię zarządzania – chodziło o to, by pokazać, kto tu rządzi. Przekaz był krótki: zamknij się i wykonuj polecenia, a może przydzielę ci do prowadzenia jakiegoś szkolenia, żebyś ty też miał szansę zachować się jak arogancki drań. Nic dziwnego, że nastawienie pracowników można było podsumować: „Odpierdol się pan, *Monsieur*”. Nie były to wyżyny motywacji, lecz mimo to Elodie najwyraźniej postanowiła kontynuować rodzinną tradycję.

– Przepraszam, Paul – odezwała się i wreszcie spojrzała na mnie. – Wiesz, że tak mówię, bo znamy się jak łyse konie.

Wiedziałem, że jest jeszcze inny powód, mianowicie taki, że Elodie była żądna władzy i ogarnięta obsesją na punkcie kontroli, ale nie powiedziałem tego. Uśmiechnąłem się tylko pojednawczo.

– Chciałbym cię prosić, żebyś wytłumaczyła mi coś jeszcze raz – zacząłem.

– Taaaak? – spytała podejrziwie.

– Tak. Po pierwsze, mam pytanie o to, jak nasz projekt językowy miałby się przysłużyć planom zatrzymania Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej.

Mogłem mówić swobodnie, ponieważ gabinet Manon był jeszcze pusty, a drzwi do Cédrica zamknięte. Albo już tam siedział, albo zasnął w metrze i robił trzecią albo czwartą rundę po centrum.

– OK.

Elodie złożyła dłonie jak do modlitwy. To chyba poza, której uczą polityków – ma sugerować szczerą. Z tym że teraz oznacza już tylko odpowiedni stopień wykształcenia we wciskaniu kitu.

– Wydawało mi się, że to jasne – zaczęła. – Jeśli podsunie nieucywilizowanym regionom Wielkiej Brytanii pomysł, że mogą uzyskać unijne finansowanie dla swoich języków lokalnych, to mieszkańcy zagłosują za tym, aby pozostać w Unii. Prawda?

– Tyle wiem. Ale jeśli tak jest, to dlaczego Francja nie podpisała Karty Języków Mniejszościowych? Z tego, co słyszałem, Francja nie chce u siebie wspierać języków regionalnych.

– Do jasnej cholery, Paul. – Dłonie Elodie nie były już złożone jak do modlitwy, a angielskie przekleństwo dowodziło, że uderzyłem w czułą strunę. – Francja nie szykuje się do referendum, więc co to ma za znaczenie?

Miała rację.

– Poza tym wspieranie języka bretońskiego na szczeblu lokalnym może zyskać mi więcej głosów. Kogo obchodzi reszta Francji?

Znów miała rację. Uznałem, że z tym pytaniem dam już sobie spokój.

– Dobra, drugie pytanie – powiedziałem. – Mogłabyś mi jeszcze raz wyjaśnić, do czego potrzebny ci będzie raport dotyczący absurdalnych doniesień w angielskiej prasie na temat Unii? Nawet w DG Communication powiedzieli, że nie byli w stanie ich stłumić. Sądziś, że zdołasz coś zrobić w tej sprawie?

– Ach. – Elodie znów złożyła ręce. Może modliła się o wiarygodną odpowiedź. – W tej kwestii, Paul, musisz mi zaufać. Zaufaj Francji. – Wyciągnęła do mnie dłonie w błagalnym geście, co uznałem za przesadę nawet u takiej histeryczki jak ona. – Wiem, że Anglikowi trudno będzie zaufać Francji, ale na przestrzeni wieków Francuzi zbierali cięgi znacznie częściej niż Anglicy. Kto spalił Joannę d'Arc? Kto nazwał swój dworzec kolejowy Waterloo? Kto wysłał Napoleona na Wyspę Świętej Heleny?

Sam byłem zdania, że wygnanie Napoleona było posunięciem ekstremalnym, ale nic nie powiedziałem. Na twarzy Elodie zaś pojawił się wyraz zranionej dumy.

– Czy to nie wspaniałe, Paul? Po tych wszystkich krzywdach, które nam wyrządziliście, wciąż chcemy wam pomagać. Nadszedł, jak wy to mówicie, czas zapłaty.

Hm, czas zapłaty to coś zupełnie innego, pomyślałem. Oznacza raczej zemstę – na przykład gdyby Francuzi spalili Helen Mirren albo wygnali księcia Karola na Tahiti.

– Tak czy owak, Paul, musisz przyznać, że właściwie nie jesteś mi do niczego potrzebny, prawda? Gdybym chciała sama zdobyć te wszystkie informacje, dałabym sobie radę. *N'est-ce pas?*

Musiałem przyznać, że to prawda. To, co robiłem, nie wymagało szczególnych kwalifikacji. Nawet Cédric mógłby się tym zająć. Ta myśl odrobinę mnie zaniepokoiła.

– Po prostu miałam nadzieję, że będziesz chciał odegrać jakąś rolę w przyjaźni francusko-angielskiej, Paul. W ramach *Entente Cordiale*.

Zawsze wydawało mi się dziwne, że *entente* było zaledwie serdeczne – czyli raczej życzliwe – a nie przyjacielskie. Znacznie miłsze byłoby „*entente sympathique*”.

– Ależ oczywiście – odparłem.

– Poza tym, jak sam przyznałeś, zostaniesz za to sownie wynagrodzony. Właściwie to wyciągam do ciebie pomocną dłoń, więc o co ci chodzi?

– No tak. – Nad tym też się zastanawiałem. – Kto właściwie płaci za ten projekt? Paryż? Bretania? Bruksela?

Miałem wrażenie, że jeszcze jedno pytanie, a Elodie wybuchnie jak dobrze napompowany balon.

– Paul, dlaczego uparcie kłamasz rękę, która cię myje, czy jak to tam w Anglii mówicie? Finansowanie jest *origine Union européenne garantie*. – Zabrzmiało to jak składniki kiełbasy.

– A ja postanowiłam wydać je na ciebie, OK?

Musiałem przyznać, że OK. Nie mam nic przeciwko temu.

– Wstępną wersję listy dwudziestu doniesień prasowych powinienem mieć już dzisiaj – powiedziałem.

– Doskonale – uśmiechnęła się ciepło Elodie. – Bo jutro jedziesz ze mną do Strasburga.

– W związku z projektem językowym?

– Nie.

– W związku z doniesieniami prasowymi?

– Nie.

– To w jakiej sprawie?

– Kuźwa, Paul! W takiej sprawie, że ci płacę i potrzebuję asystenta. – Niniejszym wróciliśmy do trybu „kto tu rządzi”. – Zabrałabym Manon, ale przydzieliłam jej już inne zadanie. Krążą pogłoski, że Brytyjczycy chcą uznania ostryg za gatunek zagrożony. Słyszałeś coś na ten temat?

– Nie.

Ściśle mówiąc, to była prawda. Owszem, słyszałem, że chcą zakazać ich sprzedaży. Albo domagać się, żeby musiały być idealnie okrągłe. Nie słyszałem natomiast, żeby ktokolwiek chciał je chronić.

Próbowałem wyobrazić sobie minę Manon, kiedy Elodie wyjaśniła jej nowe zadanie. Musiała być wściekła.

– Właściwie to możesz mi się bardzo przydać w Strasburgu, Paul. Twoi *Anglais* przyjaciele zawsze upijają się razem w sztok w hotelowym barze. Trzeba naprawdę mnóstwa alzackiego piwa, żeby wydoić z nich całą kasę przeznaczoną na delegację, ale zawsze starają się sprostać temu wyzwaniu. Możesz się do nich przyłączyć i spróbować dowiedzieć się czegoś o tych ostrygach. Dla ciebie oznacza to tylko tyle, że masz być mniej pijany niż pozostali. Chyba mogę na ciebie liczyć?

– Żaden problem – obiecałem. – Odkąd przeprowadziłem się do Francji, nie umiem już dotrzymać tempa Anglikom, jeśli chodzi o picie. Nawet angielskie kobiety są w stanie wypić więcej niż ja. Po prostu powoli się psuję z dnia na dzień, zamiast resetować się do zera w każdy weekend, więc spokojna głowa, nie upiję się w sztok.

– W porządku, Paul, przestań już nawijać. Przekonałeś mnie. – Elodie wstała. – Możesz pracować w gabinecie Manon. Nie będzie jej do południa. Ja muszę lecieć. Jeśli się już dziś nie zobaczymy, to spotykamy się tutaj jutro o dziewiątej rano. Zabierz szczoteczkę do zębów i bieliznę na zmianę. Chyba masz jedno i drugie, prawda, Paul?

– A może wzięłabyś dwie pary swojej bielizny? Jedną dla mnie...

Elodie rzuciła mi spojrzenie, które miało przypomnieć, że rozmawiam z członkiem Parlamentu Europejskiego. Odpowiedziałem jej uśmiechem: toż to twój stary kumpel Paul, którego uczyłaś robić sos winegret w kuchni w Paryżu. Byłaś przy tym całkiem goła.

Wreszcie na twarzy Elodie również pojawił się uśmiech.

– Jak już mówiłam, Paul, łączy nas sporo wspomnień.

Na biurku Elodie nic nie było, więc sprawdziła, czy szafki są pozamykane, po czym wzięła torebkę i wyszła.

* * *

Mogłem tylko skończyć zadania, które mi przydzielono, i zobaczyć, jak potoczą się sprawy. W najgorszym wypadku, jeśli Elodie i jej francuscy zwierzchnicy faktycznie coś kombinują, przekażę wszystko, co wiem, Peterowi z DG Communication i przekonam go, żeby wykorzystał te informacje. Albo sam posłużę się sprostowanymi pogłoskami. Po to chyba są media społecznościowe, prawda? Żeby zwykły szary człowiek mógł się zwrócić do całego

świata. W tej chwili czułem się akurat wyjątkowo szary i niepozorny.

Byłem w biurze sam, więc szybko przejrzałem to, co udało mi się do tej pory napisać na temat języków mniejszościowych. Uznałem, że wyszło całkiem nieźle. Jak mawiał ojciec Elodie, kiedy opisywał prezentacje marketingowe, moja praca była „jak spódniczka: na tyle długa, by zasłaniać to, co trzeba, lecz odpowiednio krótka, by przyciągnąć uwagę”.

Nie miałem wątpliwości, że Szkotom, Walijszykom, Kornwalijczykom, Korsykanom, Baskom i Bretończykom spodoba się to, co napisałem. Jeśli zbiorą się do *kaoc'h*, Unia sypnie kasą.

Potem utknąłem w surrealistycznym świecie brytyjskich doniesień prasowych. Miałem jeszcze do opracowania kilka klasyków.

Na przykład wzmiankę o tym, że Unia chce, żeby w tygodniu wszystkie brytyjskie sklepy monopolowe były zamknięte. Donosiło o tym kilka gazet. W rzeczywistości jednak chodziło o to, że komisja po prostu poprosiła państwa członkowskie o sugestie, co można zrobić, żeby zmniejszyć poziom spożycia alkoholu w tygodniu, ponieważ w całej Europie miało to wpływ na produktywność ze względu na stracone dni robocze. Ale to nieważne: „Bruksela mówi, że alkohol kupisz dopiero w piątek wieczorem” – takie nagłówki od razu pojawiły się w brytyjskich gazetach.

Innym przykładem było hasło, że „600 tysięcy imigrantów w Wielkiej Brytanii pobiera zasiłki”. Specjaliści z DG Communication szczegółowo zbadali tę sprawę, ale nigdy nie ośmielili się opublikować wyników swojej pracy. W rzeczywistości okazało się, że azylu szuka jedynie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Zasiłki dla bezrobotnych pobierało sześćdziesiąt parę tysięcy obywateli Unii Europejskiej, ale większość z nich nabyła prawo do zasiłku, bo przedtem płaciła podatki w Wielkiej Brytanii. Mało tego, jeśli w Wielkiej Brytanii naprawdę jest 600 tysięcy obywateli Unii Europejskiej, około połowę z nich stanowią Francuzi, a wielu z nich zarabia krocie i płaci niebotyczne podatki. Być może dlatego DG nie opublikowała prawdziwych informacji – jedna trzecia miliona Francuzów mieszka u Angoli? O tym nie śmiał marzyć nawet Napoleon. Uznałem, że ja też nie wspomnę o tym w swoim raporcie.

Uwzględniłem w nim jednak doskonałą błędną interpretację ulubionego tematu Francuzów w obszarze światowej polityki, a mianowicie Wspólnej Polityki Rolnej. Zdaniem niektórych odłamów prasy brytyjskiej polityka ta jest wykorzystywana do dotowania walk byków. A dokładniej mówiąc: pieniądze brytyjskich podatników płyną do Hiszpanów, którzy chcą zabijać bydło. Okazuje się, że ta historia to jedynie sztuka dla sztuki. Dziennikarze uczepili się koncepcji, że wszyscy hiszpańscy rolnicy mają prawo do otrzymywania unijnych dotacji, a następnie powiązali to z faktem, że niektórzy z nich hodują byki przeznaczone na corridę. Doszli zatem do wniosku, że Unia finansuje torturowanie zwierząt.

Logika po byku, chciałoby się powiedzieć. Reporterzy mogli równie dobrze powiedzieć, że Unia dotuje inne wiejskie inicjatywy, na przykład upijanie się do nieprzytomności i spadanie z traktora na kupę gnoju. Przypuszczam zresztą, że tak właśnie jest. Po namyśle jednak uznałem, że o tym też nie warto wspominać, i usunąłem ten fragment z mojego raportu.

Tak czy owak miałem mnóstwo nagłówków, więc było w czym wybierać: brytyjska czekolada ma być nazywana „wegeladą”; Unia chce zakazać używania kościelnych

dzwonów; Bruksela każe, żeby kobiety stanowiły pięćdziesiąt procent wśród mikołajów w centrach handlowych. Wszystko, rzecz jasna, wysrane z palca.

Zrobiłem sobie krótką przerwę na kawę, bo już nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. Wybrałem miły niebieski fotelik w Myszce Miki i wyjąłem telefon, żeby przeczytać esemesa, którego jakąś godzinę wcześniej przysłał mi Jake. Kiedy czytam wiadomości od niego, wolę siedzieć i mieć pod ręką zapas kofeiny.

„Dzisiaj wieczorem *chez toi* wszystko ci wyeksplikuję. Około 19 może być? No to do potem!” – pisał Jake, swobodnie tłumacząc myśli z języka francuskiego na swój bełkot.

Nadal nie rozumiałem, co takiego chce mi wyeksplikować czy nawet wyjaśnić. Zawsze bzykał wszystko, co miało więcej nóg niż ostryga i mniej niż hipopotam – mówię oczywiście o stworzeniach nieopierzonych. Nie dziwiło mnie więc to, że urządził sobie schadzki z mężatką pod nieobecność jej małżonka. Nic nowego. Zanim się ożenił, robił to regularnie. Nie przeszkadzało mi też, że każdego ranka przyrządzał w mojej kuchni swoje cuchnące śniadania. Więc skąd ta nagła potrzeba wyjaśniania?

Odświeżyłem nieco głowę, choć nadal nie wiedziałem, co myśleć o wiadomości od Jake’a, i wróciłem do gabinetu, gdzie powitał mnie widok spódniczki.

Była chyba bawełniana, może z domieszką lnu, w kolorze szarobłękitnym, prawie turkusowym, jak Morze Śródziemne w dzień, kiedy słońce kryje się za chmurami. Nie powiem, bardzo przyjemny widok.

Pośladki kryjące się pod spódnicą delikatnie się trzęsły, jak gdyby miały coś zrobić w pośpiechu.

– Manon? – odezwałem się, a pośladki zeszywniały.

Ich właścicielka się odwróciła.

– Ja tylko... – zaczęła, ale oboje wiedzieliśmy, co robiła.

Myszkowała w moim komputerze. Zauważyłem, że ekran się świeci. Czegoś szukała.

To niemożliwe, pomyślałem.

– Znasz moje hasło?

– Zajrzałam ci przez ramię.

– *Cacarella* – powiedziałem tylko.

W gabinecie zapanowała ciężka atmosfera.

Nagle wszystko się zmieniło. Nie mogłem oddychać, bo poczułem dotyk czyichś ust – stanowczy, lecz jednocześnie kusząco delikatny. Oddychanie utrudniał mi także nacisk kobiecej klatki piersiowej, która przyciskała się do moich żeber. Trzeba przyznać, że ten dotyk też był stanowczy i kusząco delikatny. Zamknąłem oczy i rozkoszowałem się tymi doznaniem.

Po chwili jednak wrócił mi rozsądek. Dlatego między innymi go nie lubię.

Nie, powiedziałem sobie. Chciałem pocałować Manon właściwie od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem. Teraz jednak miałem wrażenie, że wszystko jest nie tak. I prawdopodobnie było. Przyłapałem ją na jakichś podejrzanych sprawkach, no nie? Wspomnienie to powoli odchodziło w dal, gdy usta Manon pracowicie zacierały ślady, ale wciąż pamiętałem coś z komputerem, hasłem i myszkowaniem. Chwyciłem ją za ramiona i odsunąłem – delikatnie, lecz stanowczo.

Spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy.

– Przepraszam, spanikowałam – powiedziała.

– Robisz tak za każdym razem, gdy ogarnia cię panika? – zapytałem. – Musimy zacząć uprawiać razem sporty ekstremalne. Ale dlaczego...? – Wskazałem na komputer.

– Wiem, źle zrobiłam. Przepraszam, że cię szpiegowałam, Paul, ale pozwól, że coś ci pokażę. – Pochyliła się nad komputerem i otworzyła jakieś okienko. – Spójrz na to.

Miałem wrażenie, że próbuje odwrócić moją uwagę od zasadniczego pytania, dlaczego, u diabła, myszkowała w moim komputerze. Przez jakąś minutę oglądałem jednak to, co mi pokazała.

– *Mokordo* – odezwałem się po chwili, czyli gównu po baskijsku.

Kiedy Manon kliknęła jeszcze kilka razy, zrozumiałem, że to oprogramowanie, które tworzy kopię całej zawartości komputera. Nie chodziło tylko o historię – to był zrzut z ekranu mojego laptopa, na którym widniały wszystkie wysłane, a następnie wykasowane maile, piosenki, których słuchałem, przeglądane zdjęcia (tu trochę się zawstydzilem, ale to wina Jake'a). Wszystko. I cała zawartość była na bieżąco przekazywana do jakiegoś zewnętrznego źródła.

– Wiesz, kto zainstalował to oprogramowanie? – zapytała Manon.

– Ty? – zaryzykowałem.

Myślałem, że mi przyłoży.

– Spójrz na datę, od kiedy to działa.

Spojrzałem. Oprogramowanie rejestrowało wszystkie operacje, które wykonałem, od samego początku, łącznie z żenującą rozmową na Skype z mamą, czyli: „Zastanawiałam się, kiedy łaskawie zadzwonisz. Mam nadzieję, że nie jesz świństw z mikrofalówki. Wyglądasz, jakbyś miał kaca”.

To oznaczało, że program szpiegujący musiał być zainstalowany zaraz po tym, jak dałem laptopy Elodie – prawdopodobnie zajął się tym jej szwagier Cédric. Być może dlatego powtarzał „*chic type*” i „*dommage*”. Uważał, że porządny ze mnie gość, i dręczyły go wyrzuty sumienia, że mnie szpiegował.

– Czyli wychodzi na to, że Cédric to nasz Q?

To była aluzja do faceta z filmów o Jamesie Bondzie, tego, który zaopatrywał szpiegów we wszystkie gadzety, ale Manon wyglądała na zdezorientowaną. Szybko domyśliłem się dlaczego. Po francusku „Q” wymawia się tak samo jak *cul*, czyli dupa.

– To taki szpieg-naukowiec – wyjaśniłem szybko.

– Nie, Paul, on to tylko zainstalował. Byle głupek umiałby ściągnąć z sieci takie oprogramowanie. Pytanie brzmi, dlaczego Elodie cię szpieguje.

– No właśnie. – Poczuję się zdradzony. – Miała rację, kiedy mówiła, że oboje się zmieniliśmy od czasów, gdy mieszkaliśmy w Paryżu. Już mi nie ufa. Chyba ogarnęła ją jakaś paranoja, wszędzie węszy podstęp. Ale skoro ty myszkowałeś w moim komputerze, to znaczy, że też mi nie ufasz. Wy, Francuzi, w ogóle mi nie ufacie. *Merde!*

– Przepraszam cię, Paul – odparła Manon, garbiąc się nieco pod ciężarem poczucia winy w imieniu wszystkich Francuzów. – Musiałam coś sprawdzić. Sprawa robi się pilna. W Brukseli krążą plotki, że Elodie knuje coś podejrzanego wspólnie z Brytyjczykami.

– I ty nadal myślisz, że to ja robię coś podejrzanego? Po wszystkich naszych rozmowach?

– Przepraszam. Ale jesteś Anglikiem i pracujesz z Elodie, więc musiałam się upewnić.

– Dlaczego musiałaś?

– Reprezentuję francuski rząd. Popatrz.

Wzięła torebkę i wyjęła z niej małego identyfikator. W jednym rogu widniała trójkolorowa flaga, a na środku niezbyt udane zdjęcie Manon oraz nazwa stanowiska, która kończyła się na „Ministère des Affaires Etrangères”. Była wtyczką francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czyli to ona jest szpiegiem, a nie Cédric. To ona jest podwójnym agentem. To nawet seksowne, pomyślałem. Chyba że ma również licencję na zabijanie *les Anglais*.

– Ale Elodie mówiła, że to jej ojciec kazał jej cię zatrudnić.

– Owszem, ale nie z powodów, które zna Elodie. Powiedziano mi, że jeśli nie załatwi mi tej posady, zostanie wobec niego wszczęte śledztwo w sprawie nadużyć podatkowych.

– Ach. – Najwyraźniej wiedzieli, gdzie uderzyć.

– Mamy obawy, że partia Elodie angażuje się w działalność pozarządową związaną z referendum – wyjaśniła Manon.

– Ale mówiła, że angażuje się w działania *rządowe* – zaprotestowałem, korzystając ze zwrotu podsunętego przez Manon. – Chce, żeby Wielka Brytania została w Unii.

– No tak, tego z całą pewnością chce francuski rząd. Nie chcemy, żeby ktokolwiek opuszczał Unię, nawet Grecja. Chcemy wspólnie rozwiązywać wszystkie problemy. Ale nie jesteśmy pewni, czy Elodie też ma na uwadze ten cel.

– Ależ ja wiem, co robi Elodie – odparłem. – Przecież to ja się tym zajmuję.

– Jesteś pewien?

– Pytasz, czy jestem pewien, że robię to, co robię?

– Pytam, czy jesteś pewien, że robisz to, co ci się wydaje, że robisz.

Teraz się pogubiłem. Jedynym rozwiązaniem było powiedzieć jej, czym się zajmowałem. Czyli *merde* z tajnymi planami Elodie.

– Wszystko wydawało mi się całkiem logiczne – zakończyłem swoją opowieść. – Wspieranie brytyjskich języków mniejszościowych, dementowanie pogłosek w prasie brytyjskiej. Jedyne, co mnie zdziwiło, to fakt, że wydała fortunę na trzy stare komputery. To jest coś, czego w dalszym ciągu nie rozumiem.

Manon zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem, co to może znaczyć – odezwała się wreszcie – ale nie mamy zbyt wiele czasu, żeby dowiedzieć się całej prawdy.

– Dlaczego nie zainstalujesz pluskwy w telefonie Elodie?

– Nie mogę tego zrobić. Ona jest członkiem Parlamentu Europejskiego i to byłoby nielegalne. Elodie nie może się dowiedzieć, że ją podejrzewamy. Może zajrzyłbyś do jej telefonu albo laptopa, jak będziecie w Strasburgu?

– Skąd wiesz, że jadę do Strasburga?

Sam nie wiem dlaczego, ale byłem zaskoczony.

– Elodie mi powiedziała. Chciała, żebym ja w tym czasie zajęła się tym *merde* z ostrygami. Wyobrażasz sobie? Są tysiące uchodźców, którym trzeba znaleźć schronienie, a ona chce, żebym ratowała ostrygi.

Nie zdołałem powstrzymać śmiechu, co zirytowało Manon; uspokoiła się dopiero wtedy, gdy powiedziałem jej, co kombinuje Danny. Wtedy ona też się roześmiała.

– Ach, *sacrés Anglais* – skomentowała z uśmiechem.

Po raz kolejny przyznam ze wstydem, że mój mózg stereotypowego mężczyzny powrócił do tematu całowania.

Dlaczego tak się dzieje za każdym razem, gdy kobieta się do nas uśmiecha? Obwiniam o to geny neandertalczyków. Być może nasi przodkowie byli nagradzani uśmiechem i bzykaniem za każdym razem, gdy przynosili do jaskini mięcho mamuta. Aaaarr, uśmiech, bzyk. Proste życie, a jednak w głębi duszy każdy mężczyzna chciałby do tego wrócić.

– *Schiss* – mruknąłem. (Tym razem to gówno po alzacku). – Cédric dowie się, że znaleźliśmy jego software. – Nie mogłem sobie przypomnieć, jak jest po francusku oprogramowanie. – Przecież ma podgląd wszystkiego, co się dzieje w moim komputerze. Na pewno widział to, co mi przed chwilą pokazałaś.

– *Merde*. – Manon przyznała mi rację.

Nagle jednak przyszedł mi do głowy pewien pomysł zupełnie niezwiązany z całowaniem.

Napisałem maila do Cédrica, w którym poinformowałem go, że po pijaku faktycznie powiedział parę *bêtises* – na przykład przyznał się, co zrobił z moim komputerem. Dodałem, że poczułem się urażony tym, że on i Elodie nie ufają swojemu angielskiemu koledze, ale mam nadzieję, że poznał mnie już na tyle, by wiedzieć, że jedynie wykonuję swoją pracę. Maila zakończyłem francuskim pozdrowieniem *bonne journée*.

Manon roześmiała się, gdy przeczytała wiadomość.

– Tak, teraz możemy mieć pewność, że nie piśnie słówka Elodie – powiedziała niemal z podziwem. – Wie, że zabiłaby go za to, że się wygadał. Poza tym z maila wynika, że podejrzewasz Elodie tylko o chorobliwą nieufność.

Wysłałem wiadomość.

– Doskonale – pochwaliła mnie Manon.

Zyskawszy uznanie przedstawicielki francuskiego rządu, uznałem, że być może czas wrócić do przerwane go francusko-brytyjskiego *entente très sympathique*. Oboje pochyłaliśmy się teraz nad moim komputerem, nasze głowy zbliżyły się do ekranu. Wystarczył mały ruch szyi, aby odwrócić się w stronę Manon i nachylić nad jej delikatnie rozchyłonymi ustami.

– *Non, Pol* – powiedziała, cofając się.

– Ale sama...

– Tak, przepraszam cię. Mówiłam ci już, że spanikowałam.

– A nie możesz jeszcze raz spanikować *un petit peu*?

– Nie. To nie byłoby rozsądne.

Znowu ten cholerny rozsądek.

– Tak naprawdę pewnie masz chłopaka, zgadłem?

– Nie.

– Czyli z tym Grekiem to była prawda? Naprawdę się rozstaliście? – Wiedziałem, że użyłem właściwego francuskiego słowa, bo wielokrotnie miałem do czynienia z tym tematem.

– Tak, to prawda. Ale obiecałam sobie, że przez co najmniej trzy miesiące z nikim się nie związę.

– A kiedy to było?

Z trudem powstrzymałem się, żeby nie zajrzeć do kalendarza.

– Pięć tygodni temu.

– *Merda*. – Gówno po katalońsku.

– Zresztą i tak mamy teraz poważniejsze sprawy na głowie. Nie rozpraszajmy się.

Nie widziałem żadnego rozproszenia w całowaniu Manon. Z tego, co wiem, to dość prosta czynność. Nie ma tu miejsca na żadne szarości i niedopowiedzenia.

Domyśliłem się jednak, że w tej chwili Manon oczekuje, że stanę na wysokości zadania, wykażę się dojrzałością, uszanuję życzenie kobiety i tak dalej. Sam rozsądek.

– Masz rację – odparłem. – Musimy się skupić na głównym problemie.

Na szczęście wiedziałem, jak to się mówi po francusku. Ojciec Elodie często używał tego sformułowania. Zwykle zaraz potem szedł bzyknąć jakąś pracownicę z działu marketingu.

– *Merci, Pol* – odparła Manon i przyjacielskim gestem pogładziła mnie po ramieniu. – Muszę iść, żeby porozumieć się w tej sprawie z moimi przełożonymi. Dam ci znać, co dalej.

Dopiero kilka minut po jej wyjściu zastanowiło mnie, że mówiła o przełożonych w liczbie mnogiej. Oznaczałoby to, że w przeddzień brytyjskiego referendum w Brukseli działa siatka szpiegów z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To jedna z najstraszniejszych rzeczy, jakie do tej pory tu słyszałem.

* * *

Wieczorem, kiedy wróciłem do mieszkania w pałacu art nouveau, nadal byłem nieco oszołomiony. Okazało się, że po raz drugi tego dnia wita mnie widok czyjegoś tyłka. Tym razem jednak pośladki były rude i kosmate. Cholerny kocur.

Wyjąłem telefon i zacząłem szukać numeru belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt. W końcu Belgowie też mają rodzinę królewską, więc muszą mieć takie towarzystwo. Rodziny królewskie kochają zwierzęta.

Nagle usłyszałem, że drzwi wejściowe do mieszkania się otwierają.

– *Bonsoir*, stary!

Jake.

– Szybko, zamykaj drzwi! – zawołałem, wyglądając z kuchni. – Tu jest...

Nie zdążyłem dokończyć. Miałem oczywiście powiedzieć, że tu jest kot, ale kiedy zobaczyłam Jake'a, uznałem, że nie ma potrzeby o tym wspominać. Nie chcę sugerować, że sam Jake wygląda jak kocur, mimo że w stosunku do kobiet zdecydowanie zachowuje się jak drapieżne zwierzę. I podejrzewam, że chyba nie lubi kąpiele.

Nie, nie musiałem wspominać o kocie z innego powodu. Okazało się, że Jake przyniósł pod pachą drugiego, szaroburego. Kot niespecjalnie się cieszył, że znalazł się w naszym towarzystwie, i głośnym syczeniem przekonał Jake'a, żeby pozwolił mu zeskoczyć na ziemię. Gdy tylko zwierzak znalazł się na podłodze, pomknął w stronę mojej zabytkowej sofy.

– *Merde* – wyjąkałem, ale zaraz pożałowałem swoich słów. A jeśli ten kot jest dwujęzyczny i uzna, że każę mu się tam wypróżnić? – Znalazłeś go na korytarzu? – zapytałem. – To miejsce chyba je przyciąga. Istne Lourdes dla kotów.

Po raz kolejny tego dnia odezwał się mój rozsądek. Idiota ze mnie. Przecież to oczywiste, że koty musiały należeć do poprzednich lokatorów. Po przeprowadzce zwierzęta wracają do miejsca, które uważają za swój dom. Muszę się tylko dowiedzieć, kto tu mieszkał przede mną i dokąd się przeprowadził. I w ten sposób rozwiążę problem.

– Nie, nie znalazłem tego kota. Imprintowałem go – odparł Jake.

– Co zrobiłeś?!

Chyba nawet najnowsze drukarki 3D nie są w stanie replikować żywych ssaków.

– Chwila moment. Jak to się mówi... *emprunter*?

– Pożyczyłeś?

– Tak, pożyczyłem. Ten należy do przyjaciółki Rini, a pierwszy do samej Rini. Nadal go chyba masz?

Musiałem wyglądać na zdezorientowanego, bo Jake podjął próbę wyjaśnienia.

– Rini, pamiętasz? Tę dziewczynę z restauracji?

Powiedziałem, że zaskoczyło mnie raczej określenie „pożyczyłem”, nie zaś imię jego zameźnej przyjaciółki.

– Ach, tak, przepraszam, zaraz ci to wyeksplikuję – zapewnił mnie Jake. – Ty i *moi* zostaniemy milionerami. Co ja mówię, pierdylionerami. Chodź.

Chwyciłem opierającego się mruca, który podrapał mój kciuk do krwi, po czym ruszyłem za Jake'em do kuchni. Byłem jeszcze bardziej oszołomiony niż po powrocie z pracy.

Jake wskazał na worek z kawą ziarnistą – kupił go i rzucił w kąt. Sam miałem ochotę rzucić się obok worka.

– Któregoś dnia Rini zabrała mnie do takiej niesamowitej kafejki – zaczął Jake. – Ona przepada za jednym rodzajem kawy, podobno jest najdroższa na świecie. Kosztuje chyba dziesięć tysięcy euro za kilogram, stary. Pochodzi z Indonezji, z ziaren wysrywanych przez zwierzaka zwanego łaskunem. *Podobnego do kota*. – Ostatnie trzy słowa wypowiedział takim tonem, jakim Einstein musiał po raz pierwszy wygłosić swoje słynne równanie $E = mc^2$.

Dopiero po kilku sekundach szalony pomysł Jake'a dotarł do mojego mózgu niczym kawa spływająca przez gruby papierowy filtr. Kiedy zrozumiałem, co planuje mój przyjaciel, wydałem pełen obrzydzenia jęk przypominający stęknienie łaskuna, któremu trafiło się wyjątkowo duże ziarno kawy.

– Chcesz karmić koty ziarnami kawy, a potem przebierać ich gówna i sprzedawać to, co wygrzebieasz?

– Chłopie, to dziesięciokilogramowy wór. Sto tysięcy euro. – Znow mówił tonem Einsteina. Ekonomia równa się *merde chat* do kwadratu. A to wszystko pomnożyć razy dziesięć tysięcy.

– Dobra, Jake, po kolei. Czytałem o tej kawie. Po pierwsze: łaskun zjada świeże owoce kawowca, a nie palone ziarna kawy. A po drugie: nie chcę, żeby moja kuchnia zamieniła się w fabrykę kociego gówna.

– Mógłbym zdobyć świeże owoce kawowca – zaproponował Jake.

– Możesz sobie nawet kupić wagon łaskunów i codziennie babrać się w ich gównie, jeśli masz ochotę. Ale nie w mojej kuchni. Mógłbyś zaraz oddać oba zwierzęta właścicielom? Zabierz też puszki z ich śmierdzącą karmą, które kupiłem. I koci żwirek. Mnie jest niepotrzebny. Zamierzam dalej korzystać z normalnej toalety.

Z frustracją kopnąłem worek kociego żwirku, którego kawałeczki rozsypały się po podłodze, docierając do wszystkich zakamarków kuchni.

Przez najbliższe pół minuty Jake patrzył bez słowa na worek kawy i dwa kocury walczące o dominację w kuchni. Oczyma duszy widział pewnie, jak fortuna wymyka mu się z rąk.

– Kurna, Paul – powiedział wreszcie. – Wygląda na to, że masz za sobą ciężki dzień. Na

razie zostawmy koty w kuchni. Pieprzyć to. Zabieram cię do baru na drinka.
Dlatego właśnie Jake jest moim najlepszym przyjacielem.

Unia zmusi krowy, żeby nosiły pieluchy

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2014

Nazajutrz rano dotarłem do parlamentu na czas. Byłem znacznie mniej zestresowany niż poprzedniego wieczoru. Można nie lubić Jake'a (wiele osób nawet mówi mu to wprost), ale kiedy trzeba zająć czymś myśli w sytuacji podbramkowej, sprawdza się doskonale.

Wyciągnął mnie do baru (całkiem zwyczajnej belgijskiej kafejki, jakiej posiadacze parlamentarnych przepustek nawet by nie zauważyli) i pocieszał, na szczęście nie wiadrami alkoholu, lecz własną osobowością.

– *Merde* z tą całą Elodie, chłopie – pouczał mnie. – Zawsze była *une ambitieuse*, a *politique* rozwinęła w niej żądzę władzy. To, co robi, nie jest wymierzone przeciwko tobie, to nic osobistego. *Les politiciens* tak postępują ze wszystkimi.

Cudownie było słuchać, jak w kilku słowach podsumował moje problemy. Tym razem nawet wyjątkowo powstrzymał się od ułożenia wiersza.

Jake powiedział, że rozważa, czy nie przeprowadzić się do Brukseli, mimo że w mieście aż roi się od polityków. Uznał, że jest tu mnóstwo możliwości dla nauczyciela angielskiego. Nie miałem serca mu wyjaśnić, że większość dzieci w brukselskich szkołach mówi w tym języku lepiej niż on. Jake zresztą wyznał, że znalazł już dla siebie idealny adres.

– Kunst-Wet, człowieku! Wyobrażasz sobie rozmowę z kobitką: Chodź no *chez moi, chérie*, mieszkam przy Kunst-Wet. To brzmi zupełnie jak...

– Tak, Jake, to w ogóle nie jest dziecinne ani obrzydliwe.

Poczucie humoru Jake'a jest nie tyle dziecinne, ile wręcz przedszkolne. Zresztą podejrzewam, że większość przedszkolaków potrafi opowiadać lepsze dowcipy niż on, nawet jeśli się przy tym ślinią.

– Byłeś tam w ogóle? – zapytałem. – Nie ma tam nic poza nudnymi biurowcami. A nazwa stacji metra oznacza tylko, że w tym miejscu krzyżują się dwie ulice: Kunst – sztuka – i Wet – prawo. Po francusku nazwa brzmi Art-Loi.

– O nie! Naprawdę? Niech to licho, a to ci despekt. – Chciał powiedzieć, że rozczarowanie. – Sztuka nie ma szans spotkać się z prawem. Sztuka musi być całkowicie wolna, *n'est-ce pas*?

Wiedziałem, dlaczego tak uważał. Każda cenzura i każde prawo dotyczące molestowania seksualnego umieściłyby jego wiersze na liście utworów zakazanych.

Poruszyliśmy też – ma się rozumieć – temat Manon. W tym przypadku Jake również dodał mi otuchy, lecz jednocześnie omal nie wyprowadził mnie z równowagi.

– Pocałowała cię? *Spontanement*... ech, nie, spontanicznie... Znaczy, bez pytania? Byłeś o włos, chłopie!

– O włos od czego?

– O włos od seksu! Wystarczyło wykorzystać francuską technikę, Paul. Musiałeś tylko powiedzieć: *Oh, ma chérie*, mówiłaś, że nie możesz się z nikim pieprzyć przez trzy miesiące, ale...

Usiłowałem mu wytłumaczyć, że gdybym użył słowa „pieprzyć”, znalazłbym się pewnie o włos, ale od strzału w pysk. Darowałem sobie jednak wyjaśnienia i pozwoliłem mu gadać.

– Mówiłaś, że nie prześpisz się z nikim przez trzy miesiące, OK, bla, bla, bla – kontynuował Jake. – No cóż, *ma chérie*, trzy dni temu obiecałem sobie, że nie będę pił alkoholu. Ale dla ciebie gotów byłbym złamać tę obietnicę. Gdybym miał teraz butelkę szampana, z chęcią wypiłbym z tobą kieliszek i byłby to najlepszy drink w moim życiu... Ona by powiedziała: *Oh, Paul, tu es si romantique*, a potem BAM, przeleciałbyś ją na biurku.

– To faktycznie bardzo *romantique*, Jake.

W pewnym sensie jednak miał rację – zbyt szybko się poddałem. Może Manon w głębi duszy chciała, żebym zmiażdżył ją w silnym uścisku, a ja zachowałem się jak typowy Anglik i tylko wyjąkałem: No dobra, bardzo przepraszam.

Nie dysponowałem techniką, którą tak dobrze opanowali Francuzi. Jestem pewien, że uczą się tego już w kołysce. To jak jazda na nartach – ja padam na twarz, ledwo przypnę narty, a inni bez wysiłku mkną w dół stoku. Jake miał rację. Gdybym miał urok Francuza, Manon mogłaby podskakiwać na moim łóżku z żelazną ramą, zanim zorientowałyby się, co się dzieje.

– Zut – powiedziałem tylko.

Gównno w języku normandzkim. Stąd właśnie pochodzi wyrażenie „*zut alors*”. Dużo ciekawych rzeczy się nauczyłem dzięki pracy nad językami mniejszościowymi.

– Nie wiem, jak tobie się to udaje, Jake – zwróciłem się do przyjaciela.

– Wiem, czego chcę, stary. I mówię o tym. I tyle. Poza tym nie uganiam się za niedostępnymi kobietami tak jak ty.

To prawda. Jake nie miał wysokich wymagań – wystarczyło, żeby jego wybranka była człowiekiem i była względnie przytomna.

– Oczywiście, mam swój ideał – ciągnął Jake. – Moja kobieta idealna byłaby nimfomanką z mieszkaniem w Marais. Choć na Bastylię czy Dzielnicę Łacińską też bym się nie obraził. Albo na Kunst-Wet.

– To dlaczego uparłeś się przelecieć przedstawicielki wszystkich narodowości? Myślałem, że twój ideał to obywatelka każdego kraju, którego jeszcze nie masz w swojej czerwonej książeczce.

– To tylko dla sportu. Przecież muszę się jakoś rozerwać, czekając na swój ideał. Jak w piosence: jeśli nie możesz być z tą, którą kochasz, przeleć tę, z którą jesteś.

– Mam wrażenie, że w piosence było jakoś inaczej, Jake.

– Ale znaczenie jest takie, chłopie. Założę się, że w dalszym ciągu się nie skapowałeś, że kolęda *Białe Świąta* jest w rzeczywistości o narkotykach!

Nie wiem dlaczego, ale kiedy słucham tego pieprzenia Jake’a, to czuję się odrobinę lepszy.

Pod koniec wieczoru napisałem esemesa do Manon – byłem całkowicie trzeźwy. Napisałem, że cieszę się, że gramy w jednej drużynie. Odpisała od razu: „*moi aussi*”.

Jednak nie jest tak źle.

Myślałem o tym, kiedy na drugi dzień czekałem na Elodie. Kręciłem się pod jej gabinetem. Wszystko było pozamykane, nawet drzwi z gabinetu do klitki Manon. Wyglądało na to, że jak kota nie ma, myszy nie będą miały szans harcować.

Elodie pojawiła się prawie na czas.

– O rany, Paul, szykownie wyglądasz – powiedziała, kiedy zaszczyciła mnie udawanym pocałunkiem.

W rzeczywistości tylko musnęła policzkiem moją twarz i cmoknęła powietrze przy moim uchu. Wydawała się taka jak zwykle – szorstka i lekko drwiąca. Nie zauważyłem nic podejrzanego. Cédric najwyraźniej się nie wygadał.

Elodie sprawdziła, czy drzwi na pewno są pozamykane, po czym zwróciła się do mnie:

– *Allons-y*, jesteśmy spóźnieni.

– Nie masz nic więcej? – spytałem.

Zauważyłem, że miała ze sobą tylko większą torebkę.

– Nie, w gabinecie w Strasburgu mam ubrania na zmianę.

– I nie masz walizki? Wydawało mi się, że posłowie zawsze jeżdżą do Strasburga z wielkimi walizkami pełnymi dokumentów.

– Och, nie, Paul, nie ma takiej potrzeby. To jest wyjątkowe posiedzenie. Masz szczęście, nie musisz nic za mną nosić.

Z tymi słowami pogoniła mnie do windy, wyjaśniając, że pod budynkiem znajduje się stacja kolejowa przeznaczona tylko dla eurodeputowanych oraz wąskiego grona wybranych urzędników.

– Wsiądziemy w bezpośredni prywatny pociąg do Strasburga – oznajmiła, gdy znaleźliśmy się w korytarzu, w którym roіło się od garniturów i aktówek. – Zwykle asystenci i tłumacze korzystają ze zwykłych pociągów i podróż trwa pięć godzin, a w dodatku pociąg jedzie przez Luksemburg. Wyobrażasz to sobie? – Skrzywiła się.

Sam nigdy nie byłem w Luksemburgu, ale sądząc po minie Elodie, domyśliłem się, że chyba nie ma tam zbyt wielu markowych butików i manikiurzystek.

Faktycznie, okazało się, że w podziemiach znajduje się prawdziwa stacja kolejowa. Zatrzymał się na niej właśnie z cichym pomrukiem szybki francuski pociąg.

Stacja była o wiele czystsza niż wszystkie pozostałe. Na wypolerowanej podłodze nie spał ani jeden bezdomny. Dziwnie się patrzyło na elitę eurokratów spieszących do samotnego pociągu. Miałem wrażenie, że znalazłem się w schronie atomowym z wyjściem awaryjnym na szynach.

Elodie torowała nam w tłumie drogę do wagonu, uprzejmie rozpychając się łokciami. Przepraszała grzecznie, szturchając swoich kolegów po fachu, i wkrótce siedzieliśmy już naprzeciwko siebie na czerwonych pluszowych kanapach, patrząc, jak kilkuset innych europosłów pcha się do pociągu, który bez nich i tak by nie odjechał. Tylko paryżanka taka jak Elodie mogła pomyśleć, że trzeba się wcisnąć w pierwszej kolejności.

– Dobrze, że tym razem jedziemy na jedną dobę – odezwała się. – Zwykle musimy jeździć do Strasburga na całe trzy dni. Rany boskie!

– Czyli to wyjątkowa podróż? – zapytałem.

– Tak, wyjątkowa. Specjalnie dla was – *les Anglais*. Będziemy rozmawiać o referendum.

– A nie mogliście o tym rozmawiać w Brukseli? Przecież taka podróż musi kosztować fortunę.

– Otóż to. Każda taka podróż do Strasburga kosztuje około dwudziestu milionów euro. A tym razem ten wydatek musimy ponosić przez was.

– Jestem pewien, że brytyjscy parlamentarzyści nie domagali się podróży do Strasburga.

Nie lubią szastania pieniędzmi.

– Nie lubią, ale wasz rząd domagał się specjalnych warunków członkostwa i teraz właśnie jedziemy, żeby je przedyskutować.

– W Strasburgu.

– Potraktuj to jako komplement, Paul. To dowodzi, że wasz kraj jest dla nas ważny. To prawdopodobnie Francja chciała, żeby debatę przeprowadzić właśnie tam. Musimy jeszcze trochę zarobić na parlamentarzystach, bo potem Wielka Brytania się na nas wypnie, a Unia zbankrutuje.

Nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi poważnie. Rozmowę przerwało nam przybycie dwóch Francuzów, którzy rzucili zdawkowe *bonjour*, po czym zaczęli się spierać o to, który z nich usiądzie obok Elodie, przodem do kierunku jazdy.

– Czy bardzo będzie panu przeszkadzało, jeśli tu usiądę? – zapytał jeden z nich.

– Ależ nie, z tym, że ja wolałbym siedzieć przodem do kierunku jazdy – odparł drugi.

– Jeśli woli pan to miejsce, proszę się nie krępować.

– Skądże, niech pan tu usiądzie.

– Nie śmiałbym. Proszę bardzo.

Elodie patrzyła, jak faceci z niezwykłą uprzejmością działają sobie nawzajem na nerwy, ale nie zaproponowała żadnemu z nich, że odstąpi swoje miejsce przodem do kierunku jazdy. Jeden z Francuzów powiedział wreszcie: „*oh, si vous insistez*” i z wyraźną niechęcią, ale także z wdzięcznością opadł na siedzenie, które od początku chciał zająć.

Spostrzegłem, że to Cholpin, były minister, facet, który obściskował opędzające się od niego kobiety w pubie na Plux. Nijaki, niedbały i zadowolony z siebie – jak zwykle.

Jego towarzysz prezentował ten sam typ – kilka lat młodszy, w nieco lepszym garniturze i ze sztywną fryzurą, która wyglądała jak peruka, choć nią nie była, bo wyraźnie widziałem odrosty na farbowanych włosach. Mógłby być całkiem przystojny, pomyślałem, gdyby nie naburmuszony wyraz twarzy, który chyba nigdy się nie zmieniał.

Elodie uśmiechnęła się promiennie do obu mężczyzn, tak jak kulturalna młoda osoba wita się ze starszymi.

– *Vous êtes... ah?* – Cholpin spojrzał Elodie w twarz, a następnie zniżył wzrok i zatrzymał go na wysokości jej dekoltu.

Elodie jak zwykle rozpięła o jeden guzik za dużo. Być może były minister w ten sposób zapamiętywał kobiety – po dekoltach.

– Elodie Martin – dokończyła moja towarzyszka.

– Martin, *oui* – odparł Cholpin. – Córka posła, *n'est-ce pas?* Myśmy się już chyba spotkali.

– *Oui, bien sûr, Monsieur le Ministre* – przytaknęła Elodie niewzruszona faktem, że obleśny gość gapi się jej w dekolt, zupełnie się z tym nie kryjąc. – To jest Dominique Cholpin – poinformowała mnie. – Dawny minister rolnictwa.

– Oraz handlu, edukacji, a przez jakiś czas również obrony – dodał facet, machając rękoma, jak gdyby skromność nie do końca pozwalała mu wymienić wszystkie piastowane przez niego stanowiska.

– A to jest Yves Remord, eurodeputowany z regionu Pikardii, na północy Francji.

– *Bonjour* – przywitałem się z mężczyznami. – Jestem Pol Wess. Asystent *Madame* Martin. Remord skreślił szyję, żeby przyjrzeć się komuś postawionemu niżej od siebie.

– Zabrałaś asystenta? – Jeszcze bardziej się nabzdyczył, jak gdyby wszyscy oprócz niego

dostali po ciasteczku. – Wydawało mi się, że tym razem nie będą nam potrzebni.

– Owszem, ale ja mam to wyjątkowe szczęście (choć można to dwuznacznie rozumieć), że mój asystent jest z pochodzenia Brytyjczykiem – odparła Elodie.

Kiedy Francuzi chcą na kimś zrobić wrażenie, decydują się na wielosłowie.

– *Un Anglais?* – zapytali jednocześnie obaj mężczyźni i przyjrżeli mi się bacznie: Cholpin z rozbawieniem, a Remord z jeszcze większą złością, marszcząc przy tym czoło.

Przypomniałem sobie wreszcie, gdzie słyszałem jego nazwisko. No przecież, to Yves Remord – Ed Fürst o nim wspominał. To miał być facet, który nie godził się na spotkanie, jeśli nie było tłumacza języka francuskiego.

– Wiesz, dlaczego *les Anglais* nie szanują Unii Europejskiej? – spytał Remord i natychmiast sam odpowiedział na to pytanie. Francuzi często tak robią, kiedy chcą komuś dopiec. – Bo jej nie rozumieją. Zresztą jak mielibyście ją zrozumieć? Nie uczestniczyliście w jej tworzeniu. Błagaliście, żebyśmy was przyjęli w latach sześćdziesiątych, bo wydawało wam się, że coś będziecie z tego mieli, a kiedy okazało się, że za przywilejami idą obowiązki, zaczęliście narzekać. Cóż, moim zdaniem możecie sobie wychodzić z Unii i robić za marionetkę w rękach Amerykanów. Zobaczymy, jak oni was potraktują. Proszę bardzo, bierzcie tyłek w troki!

Remord użył klasycznego francuskiego zwrotu „*foutre le camp*”. Przez chwilę naprawdę miałem wrażenie, jakby chciał, żebym wysiadł z pociągu i zniknął z jego życia, wraz z moimi rodakami, ma się rozumieć.

– Oczywiście to nie jest oficjalna polityka Francji – sprostowała Elodie z nietypowym dla niej nieśmiałym chichotem.

Cholpin siedział uśmiechnięty – sprawa najwyraźniej mało go obchodziła, ale skorzystał z okazji, żeby zachęcająco pogładzić dłoń Elodie.

– *Très juste* – powiedział i przesunął palce wzdłuż jej ramienia.

– A szkoda – warknął Remord. – Niech sobie wychodzą, krzyżyk na drogę, skoro mają gdzieś całą Europę. Zawsze mieli wszystkich w dupie.

Jestem przedstawicielem pokolenia, którego dziadkowie na początku lat czterdziestych siedzieli w okopach w całej Europie, gdzie strzelali do nich panowie w oficerkach. Inni kryli się przed nalotami i bombami, które niszczyły im domy. Obawiam się, że po kilku latach spędzonych w Paryżu mam już dosyć słuchania Francuzów w średnim wieku, którzy twierdzą, że w czterdziestym czwartym Francję wyzwolił generał de Gaulle w towarzystwie kilku gości w beretach. Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy Paryża zapomnieli, jaką rolę w wyzwoleniu odegrali Brytyjczycy, ale kiedy spotykam tych, których pamięć zawodzi, często dają się wciągnąć w słowne przepychanki.

– Mój wuj chyba jednak nie miał w dupie Europy – odparłem. – Brał udział w lądowaniu w Normandii. A mój dziadek był w RAF-ie. Tak mu zależało na Europie, że co noc nad nią latał.

Zapadła cisza. Elodie tylko cicho pisnęła, sygnalizując, że na zbyt wiele sobie pozwalam. Po chwili Remord głośno jęknął, jak gdybym opowiedział kiepski dowcip.

– I będziesz nam to wypominał za każdym razem, prawda? – spytał. – *Petit con*, idź lepiej i przynieś nam kawę.

Petit con to jedna z największych obelg w języku francuskim. Oznacza nie tylko, że jesteś ciułem, ale w dodatku małym.

– *Boubourse* – odparłem.

– Co takiego?

– Och, to nie tak się mówi? – spytałem. – Przepraszam, badam różne odmiany francuskiego *patois*. Pochodzi pan z północy, więc usiłowałem przetłumaczyć to, co pan powiedział, na pański dialekt. *Boubourse. Con. Ciul*.

Remord warknął. Elodie znów zapiszczała. Cholpin roześmiał się i pogłodził ją po ramieniu.

– Myślę, że Yves ma rację – odparł. – Nasz angielski przyjaciel powinien chyba wyjść z naszej małej unii. Lepiej będzie, jeśli resztę podróży spędzi w wagonie restauracyjnym.

Burczący Remord wstał, żeby mnie przepuścić, a ja wyszedłem, na odchodnym życząc pozostałym *bonne continuation*. To jedno z tych pozornie uprzejmych wyrażen, w których celują Francuzi. Oznacza: „Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić, choć w sumie mało mnie to obchodzi”. Nic dziwnego, że francuski był kiedyś międzynarodowym językiem dyplomacji.

* * *

W wagonie restauracyjnym siedziało się całkiem nieźle. Maczałem korzenne ciasteczko w zaskakująco smacznej kawie, przyglądając się kątem oka międzynarodowemu towarzystwu. Europosłowie szybko przeszli od gorących napojów do piwa, a następnie do mocniejszych alkoholi serwowanych ukradkiem w małych kieliszeczkach. Tematem przewodnim ich rozmów wydawał się fakt, że pociągi wyjeżdżają z Brukseli o niezbyt dogodnej porze, więc ważni pasażerowie mają do wyboru tylko kanapki na dworcu albo głodowanie aż do późnego lunchu w Strasburgu, który zresztą musieli jeść w pośpiechu, ponieważ spotkania zwykle zaczynały się wczesnym popołudniem. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że to skandal. Pocieszał ich chyba tylko darmowy alkohol fundowany przez Unię.

Oczekiwałem, że Elodie przyjdzie i powie mi, że mam wracać, albo przynajmniej zmusi mnie, żebym zabawił się w kelnera i przyniósł im kawę, więc gdy zobaczyłem, że wchodzi do bufetu, przygotowałem się do starcia.

– Rany boskie, Paul! – westchnęła. – Jak ja ci zazdroszczę.

– Nie jesteś na mnie zła?

– Oczywiście, że jestem. W końcu wkurzyłeś moich kolegów. Ale zazdroszczę ci, bo udało ci się uciec od tych dwóch. Utknęłam między pytonem a skorpionem. Jeden próbuje mnie zadusić, a drugi pluje jadem. Potrzebuję antidotum. Przynieś mi trzy kawy i sznapsa, dobrze? – Rzuciła mi kilka euro. – Nie zapomnij paragonu.

Kiedy Elodie uzupełniła poziom kofeiny i alkoholu we krwi, opowiedziała, że przez godzinę musiała słuchać, jak Remord nawija o niewdzięczności Brytyjczyków i utyskuje, że ona zatrudniła jednego z „perfidnych mieszkańców Albionu”. W końcu jednak facet zasnął, a jej udało się wymknąć.

– Jeśli jeszcze raz cię zobaczy, Paul, to chyba szlag go trafi. Musisz mu zejść z oczu. Dlatego kiedy dotrzemy do Strasburga, idź do biura prasowego w budynku parlamentu i tam zostań. Będiesz mógł posłuchać obrad, nie nadziewając się na Remorda albo jego kumpli. Poza tym chciałabym, żebyś – jak wy to mówicie – miał uszy utarte. Chcę wiedzieć,

czy ktokolwiek z twoich rodaków będzie coś mówił o Francji. Nie chodzi mi tylko o ostrygi. Jak wiemy, większość angielskich polityków jest przekonana, że wciąż toczą bitwę pod Waterloo. – Zawsze mnie śmieszyło, jak Francuzi wymawiają tę nazwę.

– OK.

Przechyliła buteleczkę sznapsa, żeby wypić ostatnie kropelki, po czym oznajmiła, że wraca do przedziału. Zanim wzięła dwie kawy dla swoich towarzyszy, zapięła górny guzik bluzki, prawdopodobnie po to, by obleśny dziad nie miał się gdzie gapić.

– Ile ja muszę wycierpieć dla Francji – westchnęła.

– Taa, ale czy naprawdę robisz to dla Francji? – mruknąłem, kiedy Elodie się oddaliła.

* * *

Budynek Parlamentu Europejskiego w Strasburgu na mój gust wygląda jak połączenie centrum handlowego z elektrownią jądrową. To wielka konstrukcja z wygiętych paneli szklanych wybudowana dookoła wyższej, okrągłej wieży, całość zaś stoi nad rzeką, prawdopodobnie niezbędną do chłodzenia gorącego powietrza, które z pewnością dobywa się z sali obrad.

Wystrój wnętrza jest tak samo elegancki jak w Brukseli i tak samo przywodzi na myśl dużą korporację. Modernistyczne meble musiały kosztować fortunę, ale równie dobrze mogły pochodzić z sieci IKEA. Biuro prasowe okazało się przestronnym pomieszczeniem, w którym stały wygodne fotele, telewizory oraz biurka, gdzie dziennikarze z całej Europy mogli założyć słuchawki i wysłuchać obrad w wybranym przez siebie języku.

Łatwo było wmieszać się w tłum pochylonych nad laptopami pismaków. Dorwałem jakąś konsolę, założyłem słuchawki i włączyłem odsłuch w języku angielskim, ale nic nie usłyszałem. Obrady jeszcze się nie zaczęły. Miałem cichą nadzieję, że usłyszę jakieś zapowiedzi czy też komentarz z podaniem składu drużyn, jak przed meczem, ale na ekranie telewizora widać było tylko, jak członkowie parlamentu zbierają się w wielkiej amfiteatralnej sali, wymieniają uprzejmości, podają sobie ręce albo rzucają się sobie na szyję, a następnie dzielą się na ugrupowania polityczne i narodowe.

Obrady zaczęły się jakieś pół godziny później. Od razu zachciało mi się spać. Rozmowa w niczym nie przypominała burzliwej debaty – była to raczej konfrontacja zombie. Mowa początkowa ciągnęła się przez co najmniej dwadzieścia minut – jakiś siwowłosy gość w szarym garniturku przemawiał monotonicznie, wyrzucając z siebie banał za banałem o potrzebie jedności. Komunały przekładane pozbawionym jakiejkolwiek intonacji głosem tłumacza stawały się jeszcze bardziej nużące.

Później głos zabierali kolejni członkowie parlamentu – każdy z nich dorzucał sennym głosem swoje trzy grosze. Większość powtarzała opinię swoich krajów – że Wielka Brytania powinna zostać w Unii, ale jeśli zdecyduje się wyjść, Unia też sobie poradzi. Zrobiło mi się żal biednego tłumacza, który wychodził ze skóry, żeby wynaleźć inne słowa na wyrażenie tego, co zostało już powiedziane kilka razy.

Jedyną osobą, która dodawała życia i energii obradom, był lider eunuchów, Nick Rummage, który w ostatnim czasie był jednym z najpopularniejszych, a zarazem najbardziej pogardzanych ludzi w Anglii. Kiedy nadeszła jego kolej, zaczekał, aż wszystkie kamery zwrócą się w jego stronę, a następnie wykrzywił usta w typowym dla siebie

koślawym uśmiechu i powiedział tylko:

– *Au revoir, les amis.*

Zaskakująco dobry francuski akcent, pomyślałem.

Angielski tłumacz zawahał się przez chwilę, po czym przetłumaczył:

– Nie dzisiaj, Józefino.

Wszyscy z biurze prasowym wybuchnęli śmiechem. Rozejrzałem się. Dziennikarze już podjęli decyzję, które wystąpienie zasłużyło dziś na nagłówki w prasie.

Bystre posunięcie, to trzeba przyznać Rummage'owi. Krótko, zwięźle i na temat. Werbalny środkowy palec, który zostanie dobrze odebrany przez zwolenników jego partii w ojczyźnie, a jednocześnie jest na tyle uprzejmym francuskim komunikatem, że zyska pełen niechęci szacunek kolegów z Parlamentu Europejskiego. Rummage znalazł polityczny sposób, jak zjeść ciastko i je mieć (a potem jeszcze wrzucić je w koszyki).

Kiedy głos zabrał kolejny mówca, przedstawiciel któregoś z krajów południowej Europy, uznałem, że na razie już dość usłyszałem. Nie byłem w tym osamotniony – kilka osób też zdjęło słuchawki. Rozprostowałem nogi i ruszyłem do dystrybutora wody.

– Cały Rummage, nie?

Jakiś gość, wyglądający całkiem sympatycznie, uśmiechnął się do mnie, stając za mną w kolejce. Był ubrany dość elegancko. Nie miał krawata, ale jego ciuchy były starannie wyprasowane. Pewnie dziennikarz z poważnych mediów. Sądząc po akcencie, z południowej Europy.

– *Du roomage classique* – zgodziłem się.

– Dla niego warto przyjeżdżać do Strasburga, nie sądzi pan? Przyjeżdżam tu co miesiąc na te cholerne sesje plenarne. Dręczy mnie poczucie winy, bo generuję milionowe koszty w ciągu roku, ale dzięki temu gościowi mam wrażenie, że to nie są pieniądze wyrzucone w błoto. Nawet jeśli się nie urzyna.

– Lubi wypić, co? – spytałem.

– No jasne. Nie widział go pan w akcji?

– Nie.

– Poważnie? A pan kogo popiera? Chyba tu pana jeszcze nie widziałem. W Brukseli zresztą też nie. – Zerknął na moją przepustkę. – Asystent członka parlamentu – odczytał na głos. – Francuskiego eurodeputowanego. Ale jest pan Brytyjczykiem?

Przyglądał mi się, teraz nie kryjąc zaciekawienia.

– To tylko tymczasowa praca – odparłem.

– Kluczowy moment na współpracę z wrogiem – zauważył facet, najwyraźniej obracając w głowie własne słowa. – A co Francuzi mówią o referendum?

– Och, sondaże są niejednoznaczne.

Ten rozmówca nie dał się zbyć.

– Nie chodzi mi o przewidywany wynik. Miałem raczej na myśli sam fakt organizowania referendum. Sądzi pan, że chcą, żebyśmy zostali, czy nie?

Och, *kaoc'h* – pomyślałem. – *Merda, schiss i mokordo.*

Nie chciałem, żeby cytował mnie brytyjski dziennikarz.

– Z tego, co słyszę, chcą, żebyśmy wyszli – ciągnął mężczyzna. – Wtedy będą mogli grać pierwsze skrzypce razem z Niemcami. Pozbędą się jęczących, narzekających Angoli. Słyszał pan takie głosy?

W tej chwili słyszałem tylko pisk Elodie, kiedy nazajutrz przeczyta w gazetach wywiad, którego udzielił Paul West, brytyjski asystent francuskiego eurodeputowanego z okręgu zachodniej Bretanii.

– Ależ skąd – zaprzeczyłem wreszcie. – Francuzi chcą silnej, zjednoczonej Europy. Lubią grę w zespole. Dlatego są mistrzami piłki nożnej.

– Gówno prawda. Obchodzi ich tylko Francja. Francuskie rolnictwo, francuska energia jądrowa, francuskie spółki. Tylko dlatego musimy co miesiąc jeździć do Strasburga. Po to, żeby mogli wydoić kilka miliardów euro dla swoich hoteli. Nawet ten cholerny pociąg, którym tu przyjechaliśmy, jest francuski. Może i lubią grę zespołową, ale jedyny zespół, w jakim grają, to żabojady.

Może to jednak nie jest dziennikarz z poważnej gazety, pomyślałem.

– Hm, ja słyszałem coś zupełnie innego – powiedziałem. – Chyba nasłuchiwał się pan za dużo komunałów Rummage’a.

– Niektóre z tych komunałów stały się komunałami, bo to jest prawda – odparł mój rozmówca. – Chciałby pan udzielić wywiadu na ten temat? Nie muszę podawać pańskiego nazwiska.

Nie ufałem obietnicom dziennikarzy, więc odmówiłem i uznałem, że rozsądnie będzie wymówić się wizytą w toalecie.

Kiedy udało mi się zlokalizować znak z białą postacią na rozstawionych nogach, nagle poczułem, że ktoś łapie mnie za łokieć i gwałtownym ruchem wpycha do męskiej toalety.

Niektórzy dziennikarze nie akceptują odmowy, pomyślałem, ale kiedy się odwróciłem, ze zdumieniem stwierdziłem, że mam przed sobą inną znajomą twarz. Kobięcą.

– Pol – usłyszałem szept, a potem poczułem kolejne pchnięcie w stronę jednej z kabin.

– *C’est les hommes* – odparłem, lecz Manon z pewnością wiedziała, w której toalecie się znajdujemy.

Nie miałem tylko pojęcia, dlaczego tu weszła. I to za mną. Nie wiedziałem, czy występuję tu w charakterze jej partnera, obserwatora, czy może w jakiejś innej roli. Przez chwilę przed oczyma duszy przelatowały mi wszelkie możliwe fantazje. Z trudem udało mi się odpędzić od siebie natrętne obrazy.

– Słuchaj – szepnęła po francusku. – Nie mamy za dużo czasu. – Znów zamajczyło mi w głowie kilka fantazji. – Masz telefon na podsłuchu – dodała, na dobre wybijając mi z głowy amory.

– Jesteś pewna?

– Tak – odparła poważnie. Moim zdaniem było jej z tym do twarzy. – Dowiadywałam się, czy jest możliwość podłożenia pluskwy w telefonie Elodie (to całkowicie niemożliwe), i przy okazji odkryłam, że twój telefon jest na podsłuchu.

– *Merde*.

– Otóż to.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Próbuję się dowiedzieć, co tu jest grane. Nadal nie rozumiem, co kombinuje Elodie.

– Kto mnie podsłuchuje?

– Nie jestem pewna, kto wnioskował o tę pluskwę, ale wiem, że Elodie ma dostęp do

wszystkich informacji. Dlatego mam coś dla ciebie. – Sięgnęła do małej torebki i wyjęła komórkę. – Od tej pory używaj tej do poufnych rozmów. Mój numer jest w niej już zapisany. – Manon delikatnie się zarumieniła. – Nie chcemy, żeby Elodie nabrała podejrzeń. Musi myśleć, że wszystko jest po staremu. Dlatego dzwoń do niej z pierwszego telefonu. I używaj go zawsze, kiedy nie zależy ci na poufności.

– OK.

Oboje milczeliśmy, ciężko oddychając.

– Jakie to wszystko ekscytujące, prawda? – odezwała się Manon. – Nie przypuszczałabym, że będę się bawić w szpiega.

– Ja też nie. Ale to znacznie ciekawsze niż nauka bretońskiej gramatyki.

Manon się roześmiała. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, bo dotarło do nas, że tkwimy ściśnięci w kabinie toalety.

– Przyjechałaś za mną tylko po to, żeby dać mi telefon? – zapytałem.

– Tak. Chciałam cię złapać rano, przed wyjazdem, ale się spóźniłam. Dlatego spędziłam pięć godzin w normalnym pociągu, który w dodatku jedzie przez Luksemburg. Pewnie mogłam poczekać, aż wrócisz do Brukseli, ale... – Znow się zaczerwieniła.

– Jestem zaszczycony. Zostajesz w Strasburgu do wieczora?

– Nie, muszę stąd zniknąć, zanim ktoś mnie zauważy. Za pół godziny mam pociąg do Brukseli.

– *Oh, quel dommage* – odparłem.

Szkoda. Może jednak zdołam ją jakoś namówić, żeby została. Jak zrobiłby to Francuz? No jasne.

– Wiesz, Manon – zacząłem. – Trzy dni temu postanowiłem, że nie będę już pił alkoholu. Ale gdybyś mi teraz dała kieliszek szampana...

– Szampana w toalecie? – roześmiała się Manon.

– Niekoniecznie akurat tu i teraz, ale...

– Chyba jeszcze za wcześnie na świętowanie – odparła dziewczyna. – Poza tym muszę lecieć.

Cholera. Kiepski ze mnie Francuz.

– Nie pozwól, żeby ktokolwiek zobaczył twój nowy telefon, dobra? – poprosiła.

– Jasne. Zadzwoń, jak będziesz w pociągu, żeby go wypróbować.

– Zgoda. Mam przed sobą pięciogodzinną podróż, więc będę miała mnóstwo czasu na rozmowę.

Przez chwilę nasłuchiwała w ciszy, żeby upewnić się, że nikogo poza nami nie ma w łazience, po czym wymknęła się z kabiny. Zanim to jednak zrobiła, dała mi francuskiego *bise* – buziaka w oba policzki – i posłała mi uśmiech tak ciepły, że omal się nie rozpląnąłem.

Kanał La Manche ma zmienić nazwę na Staw Angielsko-Francuski

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2010

Elodie nie zarezerwowała mi pokoju w tym samym hotelu, w którym mieszkali eurodeputowani. Oni zajmowali miejsca w najokazalszym „pałacu”, pięciogwiazdkowej świątyni luksusu ufundowanej z pieniędzy podatników, mnie zaś wysłano do zwykłego czterogwiazdkowego hotelu dla biznesmenów.

Nie żebym miał coś przeciwko temu – w hotelach minimalistyczny biznesowy styl akurat ma sens. Od hotelu oczekuję przyzwoitego łóżka, dużego telewizora, kawy, którą da się wypić, wi-fi i natrysku z hydromasażem. Oczywiście jeśli jestem sam. W przeciwnym wypadku przydaje się jacuzzi.

Kiedy moje spotkanie w toalecie z Manon dobiegło końca, wróciłem do hotelu, otwarłem alzackie piwo, które znalazłem w minibarze, i padłem na łóżko, po czym pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Elodie zdecydowanie ogarnęło jakieś szaleństwo. Najpierw mój komputer, teraz telefon. Muszę sprawdzić mieszkanie, żeby się upewnić, czy Cédric nie zainstalował tam jakichś ukrytych kamer. Na szczęście nie robiłem do tej pory nic wstydliwego w łazience. Ani nawet w łóżku, jeśli się dobrze zastanowić.

Wciąż jednak pozostawało pytanie – co Elodie mogła zyskać, podglądając mnie i podsłuchując, skoro wykonywałem zadania, które sama mi zleciła? Bała się, że ujawnię komuś jej plany? Jeśli tak, to komu? I dlaczego? Szkoda, że nie mogłem tego z nią skonfrontować. Ciekawie byłoby zobaczyć, jak próbuje się wykręcić od odpowiedzi.

Coś jednak mogłem zrobić. Zabawiłbym się przy tym, a jednocześnie wbił Elodie małą szpilę.

Wyjąłem telefon, który podobno był na podsłuchu.

– Cześć, Jake!

– *Bonjour*, Paul, jak się masz?

– W porządku. Jestem w Strasburgu, w hotelu. Potrzebuję twojej rady.

– Słucham cię.

– Czuję się samotny. Może podrzuciłbyś mi jakieś dobre teksty na podryw?

Miałem nadzieję, że Elodie będzie miała okazję tego wysłuchać.

– No, stary, cudownie to słyszeć! To by oznaczało, że zaczynasz zapominać o tej francuskiej laluni, Ma-jak-jej-tam? Doskonale, ona zmiażdżyłaby ci *boules*. Pytałeś o teksty na podryw. Jasne. *D'accord*.

Słyszałem, jak uruchamia się u niego instynkt rasowego podrywacza.

– *Voilà*, mam coś w sam raz dla ciebie – odezwał się niemal bez zastanowienia. Trzeba przyznać, że jego instynkt chyba nigdy nie śpi. – Pytasz *la femme*: „Wiesz, skąd się wzięło słowo *cunnilingus*?”. Na razie nadażasz, stary?

– Owszem, Jake. – Niestety nadażałem.

– OK. Będzie zaskoczona twoim pytaniem, prawda?

– Raczej zszokowana.

– Tak, właśnie. Wtedy mówisz: „Wiem, co to znaczy, pochodzi z łaciny. To połączenie słowa *cunni*, które oznacza waginę, i *lingus*, czyli śniadanie. Wynika z tego, że musisz spędzić ze mną noc”. Wierz mi, chłopie, to działa za każdym razem. No, prawie za każdym. Zanotowałeś to sobie?

Jake błędnie odczytał moje pełne zaskoczenia milczenie.

– Tak, tak, zapisałem. Dzięki. Masz coś jeszcze? – Nieomal modliłem się teraz, żeby Cédric też to usłyszał i okazał się na tyle głupi, aby to wypróbować.

– No, chłopie, mogę sypać takimi tekstami jak z rękawa. Jedziemy z następnym. Podchodzisz do *la femme* w knajpie. To musi być knajpa, w której jest zakaz palenia. Mówisz: „Tu nie wolno jarać”. Zaskoczona kobieta odpowiada: „Przecież nie jaram”. A ty jej na to: „A i owszem”.

Jake znów nie zrozumiał mojego milczenia.

– Widzisz, Paul, to znaczy, że laska cię jara, *n'est-ce pas*? Jara cię, jak nie wiem co. One to uwielbiają. Tylko uważaj, po francusku to nie działa. Jeśli powiesz kobitce: „*tu fumes*”, to chyba znaczy, że śmierdzi. A to nie najlepsza technika.

– Wyobrażam sobie.

– No dobra, chcesz jeszcze coś?

– Nie, nie, chyba wystarczy. Wypróbuję je dziś wieczorem. A co tam u ciebie?

– A wiesz, miałem tu trochę *merde* sprawę z flicksami.

Miał na myśli *flics*, czyli policję.

– Ale chyba nic poważnego?

– Nie, spacerowałem po parku, zachciało mi się pipi, więc stanąłem za drzewkiem i wtedy pojawił się gliniarz i zaczął te swoje angulacje.

Wiedziałem, że to słowo akurat Jake wymyślił sam. Pochodziło od francuskiego *engueuler* – wrzeszczeć na kogoś.

– No to ja mu na to: „Daj pan spokój, *Monsieur*, nie może pan uznać, że jestem posągiem? Jak ten wasz cały Manneken?”. Facet się wściekł i kazał mi zapłacić osiemdziesiąt euro grzywny. Prawdę mówiąc, ci belgijscy gliniarze są do niczego. Na mundurach mają napisane „*politie*”, ale politycznej poprawności to nie mają za grosz. Powiedzieli mi, że jestem *klootzak*, a moja *moeder* to *huur*.

Nie zdołałem powstrzymać śmiechu, słysząc tę amoralną, a jednocześnie niewinną opowieść z życia Jake'a.

– Widzimy się jutro, Jake. Jeszcze raz dzięki za poradę.

– Nie ma za co, *klootzak*.

Po skończonej rozmowie sięgnąłem po swoją nową komórkę, wolną od podsłuchu. Napisałem do Danny'ego od ostryg, że jestem w Strasburgu i zgubiłem telefon, więc żeby teraz kontaktował się ze mną pod nowym numerem. Nie chciałem, żeby Elodie podsłuchiwała moje rozmowy z nim.

Danny od razu oddzwonił.

– Cześć, Paul. Zwędzili ci telefon, co nie? Głowę daję, że stoi za tym jakaś *femme fatale*. Tak się właśnie kończą wyprawy do Strasburga.

– Och, nic z tych rzeczy. Komórka wpadła mi do sedesu, jeśli już musisz wiedzieć.

– Surfowałeś po necie na kłocie? To nie jest dobry pomysł. A tak z innej beczki, masz już jakieś plany na wieczór?

– Może pójdę do knajpy. Najlepiej z jakimiś Anglikami. Wolałbym nie natknąć się dziś na Francuzów.

Opowiedziałem mu o mojej małej sprzeczce z Yves'em Remordem.

– Nie przejmuj się. On pewnie siedzi z dziwką w jakieś eleganckiej restauracji. Tak robią wszyscy francuscy posłowie. A przynajmniej faceci. Kobiety idą do łóżka ze swoimi stałymi kochankami. Ale jeśli chcesz zobaczyć Anglików w akcji, rozejrzyj się za Rummage'em. Na pewno siedzi w hotelowym barze nawalony jak meserszmit. To doskonała rozrywka na wieczór.

Podziękowałem Danny'emu i obiecałem, że skorzystam z jego rady.

Najlepsze zachowałem na koniec. Czas na telefon do Manon. Położyłem się na twardym korporacyjnym materacu, umościłem się wygodnie na górze poduszek i dotknąłem palcem jej imienia na ekranie nowej komórki.

Odebrała po pierwszym sygnale. Miałem wrażenie, że cieszy się z mojego telefonu. Podejrzewam jednak, że nie miało to wiele wspólnego z moim urokiem osobistym. W tle słyszałem odgłosy uciążliwej podróży kolejną – płaczące dziecko, głośną rozmowę młodych ludzi i powolny stukot kół pociągu osobowego. Ucieszyła mnie jednak myśl, że Manon zdecydowała się na te niewygody po to, żeby dać mi telefon, przez który możemy teraz porozmawiać.

Nasza rozmowa trwała chyba dość długo – z pewnością dłużej niż dwadzieścia minut, a wedle moich standardów to już prawie spotkanie na szczycie. Oboje cieszyliśmy się, że udało nam się przechytryć osobę, która montuje pluskwy w telefonach, instaluje programy szpiegujące w komputerach i knuje jakąś międzynarodową intrygę. Czułem się jak w filmie – bohater i bohaterka muszą połączyć siły, żeby uratować świat. Tylko my dwoje wiedzieliśmy, co jest grane. To nas naprawdę do siebie zbliżyło.

No, tylko my dwoje, nie licząc przełożonych Manon z francuskiego rządu, rzecz jasna, którzy prawdopodobnie wydawali jej polecenia na odległość, ale o takich rzeczach się nie rozmawia, kiedy jedna osoba jedzie pociągiem, a druga leży na łóżku. Z tonu Manon wywnioskowałem zresztą, że wolałyby być tutaj. Nie chodzi mi o to, że chciałyby być w łóżku, ale żebym to ja jechał pociągiem, oczywiście. I nie jestem pewien, czy chciała, żebyśmy oboje byli w sypialni. Miałem po prostu wrażenie, że oboje wolelibyśmy w tej chwili rozmawiać twarzą w twarz. To miłe uczucie, które z pewnością nie towarzyszy każdej rozmowie telefonicznej.

Zanim się pożegnaliśmy i życzyliśmy sobie nawzajem *bonne soirée*, zaryzykowałem i powiedziałem, że to *dommage*, że nie mogła zostać w Strasburgu.

Odparła: „W innych okolicznościach”, co było prztyczkiem w nos, z tym że dość delikatnym. Na pewno zabrzmiało lepiej niż: „Chyba śnisz”.

* * *

Elodie zadzwoniła i spytała, gdzie jestem. Powiedziała, że debata na temat referendum dobiegła końca. Podobno nie była warta miliona euro, bo chyba tyle nas wszystkich

kosztowała.

– Parlament w drodze głosowania postanowił, że wyda oświadczenie, w którym wyrazimy nadzieję, że Wielka Brytania zostanie w Unii Europejskiej, ale jeśli zdecyduje się odejść, nie będziemy załamywać rąk. Czyli zasadniczo postanowiliśmy oznajmić, że nie mamy zdania w tej kwestii. To się nazywa pożytecznie spędzony dzień roboczy, *n'est-ce pas?*

Roześmiałem się razem z nią. Zastanawiałem się, jak Elodie może prowadzić taką podwójną grę – żartuje ze mną jak stara znajoma, a jednocześnie szpieguje mnie jak najgorszego wroga.

– Może byś przyszedł i pogadał z paroma pijanymi Anglikami – zaproponowała. – Nad ranem przekażesz mi szczegółowy raport, OK?

– A mogę oczekiwać pełnego zwrotu kosztów?

– Ma się rozumieć. Pod warunkiem że będą się mieściły w limicie przewidzianym dla pijanego w sztok angielskiego europośła.

Tyle mi wystarczy. Takiej ilości nie zdołałbym wypić.

Nieco później tego wieczoru, po szybkim *chou-croûte* w jednej z wąskich średniowiecznych uliczek w centrum Strasburga, wszedłem do lobby eleganckiego hotelu, gdzie mieszkała Elodie. Rozejrzałem się, czy gdzieś na horyzoncie nie widać wrogo do mnie nastawionych francuskich eurodeputowanych.

Lobby było, delikatnie mówiąc, imponujące. Gdyby wysokie wynagrodzenie, dodatkowe świadczenia i prestiż komuś nie wystarczały, to ten hotel przekonałby każdego do ubiegania się o miejsce w Parlamencie Europejskim. Francuzi znają się na luksusie. Nie jest to brytyjski luksus, który zwykle sprowadza się do niewygodnych krzeseł, za które zapłacono krocie modnemu projektantowi, oświetlenia, w którym wszystko wydaje się niebieskie lub fioletowe, i puszczonej z głośników muzyki z imprezy plażowej na Ibizie. Hotel w Strasburgu był luksusowy w staroświeckim, klasycznym rozumieniu tego słowa. Z sufitu zwieszał się żyrandol, który teraz był elektryczny, ale gotów byłbym się założyć, że oświetlał to miejsce, kiedy jeszcze wkładano do niego świece. Personel hotelu był dyskretny, sztywnie ubrany i wyglądał tak, jakby zawodu uczył się w czasach, gdy żyrandol działał w tej wcześniejszej technologii.

Zauważyłem kilku europośłów – na szczęście żaden z nich nie był chyba Francuzem. Przeszedłem przez lobby w stronę sklepionego przejścia. Odległy gwar gości, którzy po kolacji raczyli się alkoholem, doprowadził mnie do końca wyłożonego dywanem korytarza, gdzie wrzawa była najgłośniejsza. Sądząc po odgłosach, towarzystwo musiało być już nieźle pijane. Moje przypuszczenie potwierdziło się, kiedy wszedłem do wyłożonego boazerią pomieszczenia pełnego mężczyzn i kobiet – każdy miał w dłoni drinka.

Oto znalazłem się w starszej wersji Plux, z tym że lokal znacznie bardziej przypominał tradycyjną restaurację. Parlamentarzyści dyskutowali głośno i wesoło, rozsiadłszy się w miękkich fotelach – najwyraźniej nie przejmowali się poważnymi konsekwencjami referendum, które omawiali podczas obrad.

Większość gości siedziała; stała tylko mała grupka przy barze. Ci robili jednak taki hałas jak wszyscy pozostali razem wzięci. Od razu zauważyłem, że przywódcą najgłośniejszej grupy w restauracji był Nick Rummage we własnej osobie.

Ścisnął w dłoni prawie pusty kufel (podejrzewam, że nie pierwszy tego wieczoru) i doskonale odgrywał rolę, jaką przyjął na użytek dziennikarzy, z tym że teraz śpiewał piosenkę, którą brytyjskie brukowce z chęcią dałyby na pierwszą stronę kolejnego numeru.

– *Ne me quitte pas* – darł się, nieudolnie naśladowując głos i akcent Jacques’a Brela.

Zanucił refren, a następnie zaczął śpiewać zwrotkę – coś o tym, że mógłby być psem swojej ukochanej, byleby tylko nie odchodziła. Mogłem jedynie zakładać, że hotel zobowiązał się nie wpuszczać do restauracji dziennikarzy.

Zacząłem się w cieniu, wyjąłem swój nowy telefon i zacząłem nagrywać. A przynajmniej próbowałem. Telefon okazał się tandetą, więc zrobiłem niechcący kilka zdjęć własnych stóp, usiłując uruchomić tę cholerną kamerę. Śpiewaj dalej, Nick, błagałem w duchu. Jeśli teraz umilknie, będę musiał krzyknąć „bis!” i poprosić o kolejną zwrotkę.

W pewnym momencie zacząłem filmować własne buty. Teraz mogłem wycelować telefon w Rummage’a. Nagrałem cały refren, do którego włączyli się jego towarzysze. Większość z nich miała zaskakująco niskie głosy jak na eunuchów. Na koniec zaczęli klaskać i wiwatować, a spocony Rummage opróżnił kufel. Zauważyłem, że koszula wyłazi mu ze spodni.

– *Remettez-moi ça!* – zawołał do barmana, domagając się dolewki całkiem przyzwoitą francuszczyzną. – *Pour tous mes amis.*

Hojny lider partii, pomyślałem. Ciekawe, za czyje pieniądze stawia im kolejkę.

– Musisz uważać, Nick – powiedział jeden z jego zwolenników. – Wiesz, że alkohol może stanowić tylko dziesięć procent kosztu posiłku.

– Nie dam rady tyle zeżreć – odparł Nick. – Rany boskie, uwielbiam tę robotę – wybełkotał. – Jeśli przegłosujemy wyjście z Unii, chyba zostanę żabojadem. Kupię sobie dom, wystartuję w wyborach i wejdę do Parlamentu Europejskiego jako przedstawiciel departamentu Dordogne, a potem wyrzucę stąd wszystkich angielskich imigrantów. Wracać do domu, skurwysyny, won do Anglii! Dordogne dla Francuzów!

Cała grupa zarżała, co przyciągnęło pełne dezaprobaty spojrzenia gości siedzących przy stolikach. Garstka rozhukanych eunuchów dokonała cudu, jednocząc cały Parlament Europejski w jednej kwestii: wszyscy byli zdania, że im prędzej nieokrzeseane angielskie buraki opuszczą Unię, tym lepiej. Tak przynajmniej zdawały się mówić spojrzenia gości.

Wyszedł mi z tego całkiem niezły filmik. Zapisałem go oczywiście w pamięci mojego nowego telefonu. Czas podejść bliżej. Ruszyłem do baru, włączywszy w telefonie dyktafon. Postanowiłem zaryzykować i podszedłem prosto do Rummage’a.

– Czy mnie też zna pan za jednego ze swoich *amis*? – zapytałem.

– To zależy – powiedział, mrużąc oczy, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie moją twarz – od twoich preferencji.

Domyśliłem się, że pyta o moje zdanie w kwestii Brexitu, a nie o preferencje seksualne.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że powinienem chyba głosować za pozostaniem w Unii. Inaczej straci pan pracę.

– Uczynny z ciebie gość – wybełkotał Rummage i zwrócił się do barmana: – *Donnez une bière à ce monsieur.*

Zamówiłem pół litra piwa – zakochani w systemie metrycznym Francuzi nazywają taką porcję *une pinte*.

– Ty też straciłbyś robotę w przypadku wyjścia? – zapytał mnie Rummage.

– Nie, ja tu tylko tymczasowo.

– A co robisz tymczasowo?

– Zbieram dane. – Uznałem, że należy zachować dyskrecję.

– Ach, jasne, więcej danych. Kolejne dane. Tego Europie teraz potrzeba. – Jego głos ociekał sarkazmem. – A jakie dane zbierasz? Ilu imigrantów trzeba, żeby zapchał się Eurotunel? Ilu parlamentarzystów potrzeba, żeby wymienić żarówkę? Nie da się zresztą wymienić jednej, trzeba wymienić od razu całą cholerną partię na te zasrane energooszczędne, które ledwo świecą.

Zabrzmiało to jak fragment kampanii wyborczej Rummage'a.

– Nic z tych rzeczy – odparłem. – Ostrygi.

Mój rozmówca wybuchnął śmiechem.

– *Donnez une autre bière à ce monsieur avec un grand whisky* – polecił barmanowi, choć nie dopiłem jeszcze piwa. – *Et la même chose pour moi.* – Rummage jednym haustem dokończył swoje piwo. – Czyli to ty się zajmujesz tym tematem? – zapytał i beknął mi prosto w twarz. – Już wiesz, co można zrobić, żeby ich zakazać? Najlepszym pomysłem, jaki słyszałem, była ta bzdura z transportem. Że niby kierowcy muszą się zatrzymywać, żeby ostrygi mogły odpocząć, i przy okazji mieli im uzupełniać świeżą wodę. Doskonały plan!

Klepnął mnie w ramię. Chyba jednak wziął mnie za kogoś ze swojej ekipy.

– Tak – przyznałem. – Mam jednak pytanie: czy te informacje mają być upublicznione przed referendum?

– Oj taaaak. – Wykrzywił się w bolesnym grymasie. – Strategia. Sam się tym nie zajmuję. A już na pewno nie po pijaku.

Nasze napoje zaserwowano jednocześnie – trzy piwa i dwie porcje whisky. Wzorem Rummage'a pociągnąłem spory łyk piwa, a potem opróżniłem szklaneczkę z whisky.

– Przepadam za ostrygami, a ty? – odezwał się po chwili. Chwycił mnie za ramię i przysunął do mnie twarz. Oddychałem teraz powietrzem, w którym było co najmniej pięćdziesiąt procent alkoholu. – Bez nich moje życie seksualne nie byłoby takie samo. I nie chodzi mi o te bzdury, że to afrodyzjak. – Rummage trzy razy się zaplątał, zanim wreszcie wybełkotał to słowo. – Nie. Chodzi o to, że kobieta wygląda cholernie seksownie, kiedy połyka ostrygi. Żebyś wiedział. – Z jego trzewi dobył się pijacki jęk. – Ej, Tim! – Odwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy wciąż stojących przy barze. – Czas zaostrzyć...

Tim, zarumieniony czterdziestolatek z jasnym pięciodniowym zarostem, był wyraźnie skonfundowany. Trudno się dziwić.

– Czas zostrygować... – Rummage podjął kolejną próbę, ale alkohol przejął kontrolę nad jego językiem.

– A ty to kto? – Tim dołączył do nas i spojrzał na mnie, mrużąc jedno oko. – Nie jesteś chyba dziennikarzem, hę? – Zerknął na rękę, w której ścisnąłem telefon.

Wydawał się podejrzanie trzeźwy.

– Ależ skąd, zbieram dane – wybełkotałem to słowo tak wyraźnie, jak tylko umiałem.

– A dla kogo je zbierasz? – drażył Tim.

Używając poprawnych struktur gramatycznych, udowodnił, że nie jest zbyt pijany, żeby zadawać pytania, które mogą mnie zawstydzić.

Niedbale uniosłem kufel piwa do ust. Niestety część wlała mi się do nosa, więc zgiałem się wpół i krztusząc się, próbowałem odkaszląć. Odstawiłem kufel na bar i wychrypiałem:

„Przepraszam bardzo, zaraz wrócę”, po czym oddaliłem się niepewnym krokiem, kaszląc i parszkając.

Gdy tylko wytoczyłem się do lobby, rzuciłem się do wyjścia. I właśnie tam wpadłem na Elodie. Była zajęta rozmową ze swoim duńskim kochaniem. Może próbowali ustalić, w czym pokoju jest lepsze jacuzzi i ile szampana będą potrzebowali, żeby je napełnić.

– Paul. – Elodie przeprosiła na moment swojego przyjaciela i odeszła ze mną kawałek dalej. Od razu zaczęła bombardować mnie pytaniami: – Już wychodzisz? Wszyscy Angole są jeszcze w barze, prawda? Rozmawiałeś z nimi? Usłyszałeś coś istotnego?

Instynktownie uznałem, że nie podzielę się uzyskanymi informacjami z kobietą, która szpieguje prawie wszystkie moje rozmowy i korespondencję. Jak jednak mogłem się od tego wykręcić?

Tym razem uratowało mnie moje niezdecydowanie.

– Chyba nie jesteś pijany? – zapytała ostrym tonem Elodie.

– Ależ skąd!

Beknąłem i chwyciłem ją w objęcia, chcąc jej dać przyjacielskiego *bise*. Odepchnęła mnie.

– Przecież ci mówiłam, żebyś się nie ubzdryngolił!

– Oj, to czysty przypadek. W moim pokoju nie ma czajnika do herbaty, jest tylko minibar. A potem zmusili mnie, żebym wypił piwo... – Uniosłem ręce w geście poddania, przepraszając za alkoholowy ciąg, w jaki niechcący wpadłem.

– Rany boskie, Paul, typowy z ciebie Angol.

– Nie przeczę. Chodź świętować razem ze mną. Możesz wziąć tego skandalicznego Skandynawa.

Jak należało się spodziewać, Elodie wkurzyła się, chwyciła mnie za ramiona i wypchnęła przed drzwi na ulicę.

– Jeśli jutro rano nie zdążysz na pociąg, będziesz szedł do Brukseli piechotą – warknęła, a ja pomachałem jej na dobranoc i chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę najbliższego skrzyżowania.

O to chodziło, pomyślałem, wzdychając z ulgą.

Miałem teraz doskonały powód, żeby jeszcze raz zadzwonić do Manon. Ucieszy się, kiedy jej powiem o filmie ze śpiewającym Rummage'em i naszej rozmowie na temat ostryg.

Poza tym musiałem zadbać o to, żeby osuszyć do rana minibar – trzeba było jakoś uwiarygodnić bajeczkę, którą sprzedałem Elodie.

Prawdziwa impreza miała się dopiero zacząć.

Bruksela chce objąć zakazem wspaniałe brytyjskie kiełbaski

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2001 (i tak aż do dzisiaj)

Przez całą podróż pociągiem ze Strasburga do Brukseli siedziałem w wagonie restauracyjnym, gdzie udawałem kaca. Miałem cichą nadzieję, że kolekcja małych buteleczek zwędzonych z hotelowego minibaru nie wyleje się do mojej torby podróżnej. Poprzedniego wieczoru zachowałem trzeźwość, lecz mój rachunek za hotel dowodził czegoś wręcz przeciwnego.

Kiedy dotarliśmy do Brukseli, powiedziałem Elodie, że muszę się położyć. Chyba jej ulżyło, kiedy zobaczyła, że wracam do domu.

Gdy tylko opuściłem budynek parlamentu, chwyciłem swój nowy telefon i umówiłem się na późny lunch z Manon.

Czekałem na nią w anonimowej belgijskiej kafejce niedaleko dworca Bruxelles-Midi. Manon twierdziła, że podają tu całkiem niedrogie *moules-frites*.

Starałem się zachowywać, jak na dzentelmena przystało. Kiedy Manon powiedziała, że rzadko się spotyka Anglika, który lubi mule, nawet się nie uśmiechnąłem. Mogło być gorzej – dzięki długoletniej znajomości z Jakiem wiedziałem, że „*moule*” we francuskim slangu oznacza waginę. Gdy jednak usłyszałem komentarz Manon, nawet powieka mi nie drgnęła – jak wspominałem, chciałem się zachowywać jak dzentelmen.

Wybierając mule ze skorupki i (przynajmniej w moim przypadku) maczając frytki w słonym sosie *marinière*, podsumowaliśmy, co wiemy na temat knowań Elodie – jeśli oczywiście podsłuch w moim telefonie i program szpiegujący w komputerze kwalifikują się jako knowania. Do referendum zostały zaledwie trzy dni. Oboje z Manon byliśmy pewni, że to, co kombinuje Elodie, ma związek z perspektywą Brexitu.

Twierdziłem, że taki podstęp mógł być jedynie oznaką nadmiernej ostrożności ze strony Elodie – być może obawiała się, że celowo lub niechcący, przez swoją niekompetencję, udaremni jej próbę pozyskania głosów za pozostaniem w Europie. Nie pochlebiało mi to specjalnie, ale miało ręce i nogi.

Manon była przekonana, że kryje się za tym coś więcej. Mówiła, że Elodie jest urodzoną oszustką, podobnie zresztą jak jej ojciec. Musiałem jej przyznać rację. Trzeba było poddać Elodie sprawdzianowi.

Urodził się nam pewien plan – choć lepiej będzie powiedzieć, że go uknuliśmy. „Urodził się” brzmi raczej, jakbyśmy dostali gotowe rozwiązanie, podczas gdy nasz schemat wymagał dokładnego zgrania w czasie, improwizacji, starannego odgrywania ról i sporej ilości przekonywających bzdetów. Jeśli nie uda nam się opracować wszystkich komponentów, Elodie bez przeszkód dokończy to, co zaczęła.

Pierwszy etap planu zakładał, że Manon wyjdzie z kafejki około piątej po południu, żeby zdążyć na spotkanie z Elodie. Życie musi się toczyć tak jak zwykle, żeby Elodie nie podejrzewała, że ona też jest obserwowana. Razem z Manon miały iść na jakieś spotkanie, które organizował francuski ambasador. Mieli się na nim pojawić wszyscy francuscy

eurodeputowani.

– Podejrzewam, że to przedwczesne świętowanie Brexitu – powiedziała Manon. – Żartowałam – dodała szybko, ale nie wyglądała na rozbawioną.

* * *

Następnego dnia rano zadzwoniłem do Manon, stojąc w drzwiach jednego z najnudniejszych budynków na naszej planecie, które mieszczą się przy ulicy w języku flamandzkim noszącej nazwę Wet. Jak nazwa ulicy wskazywała, padał deszcz.

Manon odebrała po kilku sygnałach.

– *Allo?* – odezwała się.

– *Bonjour, Manon, ça va?* Masz ochotę na kawę przed pracą?

– Paul, to ty? – mówiła głosem chłodnym niczym frappuccino.

– No jasne.

– Aha. *Non, merci.* Dziś jestem *débordée*. I to dzięki tobie, tak się składa.

– Jak to?

– Masz mi coś do powiedzenia o angielskim spisku mającym na celu wprowadzenie zakazu handlu ostrygami?

– Nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

– Mnie osobiście to nie obchodzi. Mogę żyć bez ostryg, ale muszę się dowiedzieć, kto za tym stoi, a potem zaproponować jakieś przeciwdziałanie. I to szybko. Francuski ambasador dowiedział się o tym i jest wściekły. Wczoraj wieczorem nawrzeszczał na Elodie, a ona wyżywa się na mnie.

– Może mógłbym ci pomóc *un petit peu*.

– *Un petit peu?* Nie, daruj sobie. Muszę kończyć. Jestem zajęta.

– Porozmawiam z moimi brytyjskimi kolegami.

– Daj sobie spokój. Muszę kończyć.

W telefonie rozległ się przeciągły sygnał.

Odczekałem kilka sekund, po czym odwróciłem się do Manon. Pokazaliśmy sobie nawzajem uniesione kciuki. Stała w bramie kawałek dalej. Dzwoniłem z telefonu, który był na podsłuchu – to była część planu, który wczoraj opracowaliśmy. Chcieliśmy, żeby Elodie myślała, że wciąż się nie dogadujemy. Musiałem przyznać, że Manon niepokojąco wczuła się w rolę.

– Wróć metrem – oznajmiła.

– Za jakieś dziesięć minut też pójdę. *Bonne chance.*

Przysunąłem się do niej, żeby ją uściskać. W końcu byliśmy teraz współnikami zbrodni. Jestem pewien, że współnicy zbrodni co chwila się przytulają. Delikatnie położyłem brodę na ramieniu Manon i odsunąłem się odrobinę, aby nie być posądzonym o nieprzyzwoite obłapianie. Staliśmy w tej pozycji może pięć sekund, a potem rozluźniliśmy uścisk. Bez żadnych podtekstów.

Manon w lekkim deszczu pobiegła w stronę schodów prowadzących do metra. Gdy tylko znalazła się pod zadaszeniem, odwróciła się. Pomachaliśmy do siebie z uśmiechem. Wspólnicy zbrodni, powtarzałem sobie. Nic więcej.

Elodie siedziała za biurkiem i pisała na laptopie. Zastanawiałem się, czy czeka, żebym zaczął pracować, bo chce na bieżąco monitorować wszystko, co robię na komputerze.

– *Bonjour, Paul. Comment vas-tu?* – Była w dobrym nastroju.

– *Bonjour, Elodie. Ça va?*

– Jak ci się udał *soirée*? – zapytała matczynym tonem. – Mam nadzieję, że nie schlałeś się tak jak w Strasburgu?

– Och nie, spędziłem spokojny wieczór.

To prawdopodobnie już wiedziała, bo wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Jake'a z telefonu na podsłuchu. Powiedział mi, że znalazł sobie kobietę, którą opisał jako „Słowaczka-Polonaise” i proponował, że umówi mnie z którąś z jej koleżanek. Podziękowałem za propozycję, ale wymówiłem się tym, że wciąż boli mnie głowa po spotkaniu z minibarem w Strasburgu. Mówiłem, że planuję spędzić wieczór w domu i opychać się hot dogami, gdyż to jest mój sposób na poprawienie sobie nastroju. Tak też zrobiłem. Manon i Elodie w tym czasie piły szampana w towarzystwie ambasadora.

– Dziś pewnie mam pracować w gabinecie Manon? – spytałem. Zerknąłem w stronę sąsiedniego pomieszczenia i skrzywiłem się, jak gdyby za zamkniętymi drzwiami kryła się armia wroga. – Jest na mnie wściekła, bo nie umiałem powiedzieć nic o ostrygach – szepnąłem.

Akt pierwszy dzisiejszego spektaklu.

Elodie współczująco pokiwała głową.

– Dobra. Ale pamiętaj, ona nie może... – Zrobiła gest mający oznaczać zagłądanie przez ramię.

– Usiądę po drugiej stronie biurka, naprzeciwko niej. Już jej mówiłem, że nie mogę rozmawiać o tym, co robię dla ciebie. Nie obrazi się. Zresztą ona i tak chyba nie przepada za Brytyjczykami.

– To akurat rozumiem. – Elodie wyszczerzyła zęby w pełnym zadowolenia uśmiechu. – Sama nie wiem, dlaczego tak mi zależy na tym, żebyście zostali w Unii. Naprawdę nie mam pojęcia.

Ja też nie, pomyślałem.

Poszedłem do drugiego gabinetu i zacząłem ostentacyjnie przeproszać Manon za to, że muszę poprzesuwać meble. Odparła, żebym się nie przejmował – *pas de problème*. Była znacznie lepszą aktorką niż ja – nie robiła zbędnych gestów.

Idąc za jej przykładem, przestałem gadać i wsunąłem krzesło między biurko a ścianę, po czym usiadłem do pracy. Zaryzykowałem i posłałem Manon porozumiewawcze spojrzenie, ale ona całą uwagę skupiła na ekranie komputera. Doskonała gra.

Zabrałem się do czytania mojej listy plotek z brytyjskich brukowców, wyszczególniając je w punktach i sprawdzając w internecie szczegóły, dzięki czemu Cédric lub ktokolwiek szpiegujący mój komputer mógł podziwiać, jak pilnie pracuję. Za chwilę miał się rozegrać akt drugi.

W tym momencie zadzwonił do mnie Jake. Ten gość potrafi bez pudła wyczuć najmniej odpowiednią chwilę. Zadzwonił na mój stary telefon, który był wciąż na podsłuchu. Dałem

mu nowy numer, ale on nie rozumie czegoś takiego jak dyskrecja.

Manon uniosła brwi. Musiała rozpoznać dźwięk starej komórki.

– Hej, mam dla ciebie przedziwne *nouvelles*. – Chodziło mu o nowiny. – Moja Słowaczka-Polonaise zna tamtego Włoch-Węgra. On powiedział jej, a ona mnie. A teraz ja mówię tobie.

To typowy sposób komunikowania się Jake’a. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale nie zamierzałem kontynuować rozmowy przez ten telefon.

– Mogę do ciebie oddzwonić za chwilę, Jake? Jestem trochę zajęty.

– OK, ale zrób to *très vite*. Chodzi o Francuzów. To jakiś obłąd, człowieku.

– Nie mam czasu na jakieś gówniane teorie spiskowe – odparłem szybko. – Muszę skończyć dwa raporty. Pogadamy później.

Rozłączyłem się, wyszedłem na korytarz i oddzwoniłem do Jake’a z nowego telefonu.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytałem.

– Wow, wiesz, co ci powiem? To się wszystko zaczyna trzymać kupy. Tak się to mówi? Trzyma się kupy jak mucha, człowieku!

Nie miałem pojęcia, co on palił albo pił, ale dałbym głowę, że był tego dnia na jakimś haju.

– Co takiego trzyma się kupy, Jake?

– Moja przyjaciółeczka powiedziała, że Francuzi wydają unijną kasę na typowo francuskie cele. Na przykład dają forszę patriotom, żeby odprawiali jakieś patriotyczne gówno. A chodzi głównie o referendum. Moja dama wspominała o Elodie. Wymieniła ją z imienia. Mówię o *Elodie*, stary.

Coś mi się tu nie podobało. „Patriotyczne gówno” nigdy nie brzmi dobrze, chyba że chodzi o zorganizowanie loterii, żeby ratować rodzimy gatunek motyla. Zdażyłem poznać kilku francuskich patriotów – jednym z nich był chociażby Yves Remord. Takim jak on zwykle nie zależy na poprawie stosunków angielsko-francuskich. Podejrzewam, że chcąc zaspokoić swoje ambicje polityczne, Remord gotów był zdeptać każdego motyla, który stanąłby mu na drodze, bez względu na to, czy byłby to gatunek rodzimy.

– O jakie patriotyczne gówno chodzi? – spytałem.

– To tylko plotki, rozumiesz. Jedna baba drugiej babie i tak dalej. Ale kiedy powiedziałem mojej łóżkowej kumpeli, że pracujesz z Elodie, odparła: „Wow, powiedz mu, że jest wykorzystywany przez francuskich patriotów”. To ostrzeżenie! Wiedziałeś?

– Jak mieliby mnie wykorzystywać? Czekają mnie jeszcze coś gorszego niż pluskwy w komputerze i telefonie?

– Nie wiem, chłopie. Wyraźnie powiedziała, że cię wykorzystują. To coś *très sérieux*.

– Dzięki, Jake. Podziękuj też swojej Słowaczce-Polish za ostrzeżenie. A tak przy okazji, jak ona się nazywa?

– Jak się nazywa? Stary, oczekujesz, żebym pamiętał *wszystko*, co mi mówi?

Cały Jake.

* * *

Kiedy wróciłem do gabinetu, usiadłem naprzeciwko Manon, jak gdyby nigdy nic. Dalej udawałem, że pracuję, i czekałem na kolejną odsłonę naszej szpiegowskiej powieści.

Około jedenastej zajrzałem do gabinetu Elodie i zapytałem, czy ma ochotę na kawę. Gdy wszedłem, akurat pisała coś na laptopie – wyjątkowo szybko jak na nią.

– *Ah, oui, merci* – odparła, uśmiechając się do mnie z niekłamana wdzięcznością. Naprawdę potrzebowała kofeiny.

– Wybierasz się później na lunch? – zapytałem.

– Hm, nie, dziś chyba nie mam czasu. Może byś mi później przyniósł kanapkę?

– Jasne – zgodziłem się, po czym wróciłem do gabinetu Manon i skrzywiłem się rozczarowany.

Tego nie było w planach. Zakładaliśmy, że Elodie wyjdzie z gabinetu na długi lunch w towarzystwie Duńczyka.

Kiedy stałem w kolejce w Myszce Miki, dostałem esemesa od Manon na mój nowy telefon.

Tu dois la sortir du bureau. 20 minut.

Chciała, żebym jakimś sposobem oderwał Elodie od biurka.

Odpisałem, że OK, zastanawiając się, jak mam to zrobić. Perwersyjną przyjemność sprawiłoby mi oblanie Elodie kawą, żeby potem zaprowadzić ją do pralni, ale przy moich zdolnościach próba upozorowania wypadku wyglądałaby jak celowy atak na szefową z filiżanką gorącego napoju.

Przydałoby się coś subtelniejszego, bardziej wyrafinowanego. Zamówiłem sobie podwójne espresso, żeby zachęcić mózg do twórczego myślenia.

Kiedy wróciłem do gabinetu, postawiłem na biurku Manon tekturowy kubek.

– Gotowa? – szepnąłem.

– *Merci* – odparła głośno. – Tak, jeśli chcesz – dodała cicho.

Otworzyła torebkę i wyjęła pęk kluczy. Wiedziałem, że dzięki nim można się dostać do każdego biurowego mebla. To zaskakujące, ale jest to jeden z atutów europejskiej centralizacji. Ktoś mający znajomości takie jak Manon mógł zdobyć klucze, którymi da się otworzyć dowolne biurko i szafę w Parlamencie Europejskim.

Dobra. Nadeszła chwila wcisnąć jakąś ściemę, żeby Elodie wyszła na pewien czas z gabinetu. Wtedy Manon będzie mogła wykonać swoje zadanie.

Wszedłem, żeby dać Elodie espresso z korzennym ciasteczkiem. To ją powinno choć trochę zmiękczyć. Przerwała pisanie.

– *Ah merci, Paul.*

Zamknąłem za sobą drzwi.

– Możemy wypić kawę w jakimś ustronnym miejscu? Muszę z tobą zamienić dwa słowa. – Skinąłem głową w stronę korytarza.

– To pilne?

– Trochę tak. Przykro mi. – Starąłem się wyglądać na zawstydzonego.

– To zamknij drzwi i pogadamy.

– Wołałbym... – Przechyliłem głowę, błagalnym wzrokiem patrząc w stronę korytarza.

Zacząłem żałować, że nigdy nie nauczyłem się technik hipnozy.

– O co chodzi?

Tym razem skinąłem w kierunku drzwi do gabinetu Manon.

– O rany – jęknęła Elodie, uginając się pod ciężarem odpowiedzialności związanej z udzielaniem podwładnym porad natury osobistej.

Jednak mimo że narzekała, wstała zza biurka. Podejrzewam, że moje przepychanki z Manon musiały ją bawić.

Zamknęła komputer i torebkę w szafce, po czym wyszła za mną na korytarz. Gdy tylko znaleźliśmy się za rogiem, od razu ruszyłem do ataku.

– Słyszałem pewne niepokojące pogłoski – zacząłem.

– Tak? – Elodie wyglądała na rozczarowaną, że nie chodziło o osobiste animozje, tylko o pracę.

– Wiem, komu zależy na tym, żeby zakazać handlu ostrygami.

– Komu?

– Brytyjczykom. Eunuchom.

– *Quelle surprise*. Masz na to jakieś dowody?

– Właściwie to nie, ale właśnie sobie przypomniałem, że wtedy wieczorem, w Strasburgu, strasznie się z tego śmiali.

– No dobra, ale dlaczego nie powiesz tego Manon?

– W tym właśnie problem. Nie ufam jej – odparłem. – Coś mi się w niej nie podoba.

– Ha! – Nareszcie trafił się temat, który naprawdę zainteresował Elodie. – Co konkretnie masz na myśli?

– Jak by to powiedzieć... Nagle zrobiła się dla mnie odpychająca. Zaproponowałem, że dowiem się czegoś na temat ostryg, ale nie chciała nic wiedzieć.

Elodie zastanowiła się. Ciekawe, czy już wysłuchała naszej zainscenizowanej rozmowy telefonicznej z Manon.

– A mówiła ci coś na mój temat? – zapytałem.

– Kiedy się pojawiłeś, chciała wiedzieć, dlaczego zatrudniłam *Anglais*. Powiedziałam jej, że ciebie przynajmniej sama wybrałam. Nie przysłał cię mój *Papa*. To się jej nie spodobało.

Elodie zaczynała się wciągać w temat. Oparła się o kserokopiarkę, która zajmowała połowę szerokości korytarza – nie ze względu na swoje gabaryty, lecz przez stertę kartonowych pudeł ułożonych obok niej. Oto kolejny dowód na wielosłowie Unii Europejskiej.

Wiedziałem, że przez najbliższe dwadzieścia minut ja też muszę wyrzucić z siebie jak najwięcej słów. Przez kilka sekund udawałem zażenowanie – miałem nadzieję, że w ten sposób zyskam na czasie, niczym trener drużyny piłkarskiej usiłującej w ostatnich minutach meczu zachować prowadzenie.

– Manon nie mówiła chyba, że wlałem za nią do damskiej toalety?

– Co takiego? – Elodie nieoczekiwanie się zaśmiała.

– To dobrze. Bo zostałem przed drzwiami.

Elodie znów się roześmiała.

– Nie, o tym nie mówiła, Paul. Ale może ty dorzucisz coś od siebie?

Teraz widziałem, że wkręciła się na całego. Dopiła kawę i wyrzuciła pusty kubek do kosza na papiery.

Zacząłem opowiadać o tym, jak stojąc pod drzwiami toalety, próbowałem udowodnić Manon, że niesłusznie oskarża mnie o przynależność do brytyjskiej partii eunuchów. Zrelacjonowałem Elodie naszą rozmowę słowo w słowo. Słuchała mnie z zaciekawieniem,

co jakiś czas chichocząc z zachwytu. Zegar tykał, a to było najważniejsze. Nie szkodzi, że przy okazji robiłem z siebie *boubourse*.

– Och, Paul – jęknęła Elodie, kiedy dotarłem do fragmentu, gdy z damskiej toalety nieoczekiwanie wyszła obca osoba. – Kompletnie nie potrafisz rozmawiać z kobietami. Za każdym razem bijemy cię na głowę. Przyznam, że czuję się winna.

– Dlaczego miałybyś czuć się winna? – zapytałem niewinnie.

Przecież nijak wobec mnie nie zawiniła, *n'est-ce pas*?

– No wiesz... – Przez chwilę wyglądała na zakłopotaną. Chyba powiedziała za dużo. – Przypomniałam sobie, jak przeze mnie *Papa* się na ciebie wkurzył, bo zaproponowałam ci, żebyś ze mną zamieszkał. A potem twoja dawna dziewczyna... Jak ona się nazywała? Alicia?

– Alexa.

– No właśnie. Bawiła się tobą jak kot myszą, prawda? Biedny Paul. Dam ci radę. Gdy już skończysz pracę w Brukseli, nie możesz się dawać tak wykorzystywać. Przestań zachowywać się jak idiota, kiedy tylko widzisz kobietę.

– Gdy skończę pracę w Brukseli? Dlaczego dopiero wtedy?

– No cóż, jeśli chcesz, możesz zacząć już teraz. Wystarczy, że przestaniesz się przejmować tym, co Manon o tobie sądzi. I tak nie masz u niej szans, więc daruj sobie. Dobra, wracajmy do biura. Muszę...

– Jest coś jeszcze – wyjąkałem, z trudem powstrzymując się, żeby nie chwycić Elodie za rękę. – To pilne.

– Słucham? – To ją ewidentnie zainteresowało.

– Tak. To naprawdę pilna sprawa. Nie może czekać.

Pytanie tylko, co by to miało być?

– Chodzi o to... – zacząłem, wciąż nie mając pojęcia, o co mi chodzi.

– Tak?

– Trudno mi o tym mówić. – Po raz pierwszy w tej rozmowie powiedziałem prawdę.

– Może lepiej to sobie przemyśl i powiesz mi później, Paul.

– Nie! – Miałem nadzieję, że w moim głosie nie usłyszała strachu. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Pomocy?

– Tak.

– A w czym konkretnie?

Sam się nad tym zastanawiałem.

– Widzisz, Elodie, to jest tak. Jak sama zauważyłaś, od dawna mam problemy z kobietami.

– Tak, i co?

– Jest nawet gorzej, niż myślisz.

– Doprawdy? – Sądząc z jej miny, nie umiała sobie tego wyobrazić.

– No tak... Bo... Pamiętasz, jak ci mówiłem, że się z kimś przespałem. Ja... kłamałem.

Elodie zaczęła się trząść ze śmiechu tak mocno, że przypadkiem omal nie włączyła kserokopiarki. Skorzystałem z okazji, żeby ukradkiem zerknąć za zegarek. Szło mi coraz trudniej, ale przynajmniej udawało mi się ją zająć.

– No właśnie, Paul, o tym mówiłam. Co za różnica? Niepotrzebnie mi o tym mówisz.

Sama mogłabym wyliczyć mnóstwo weekendów, kiedy z nikim nie spałam.

Pokręciła głową. Wydawało jej się, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Naprawdę chodzi o to... – Muszę coś wymyślić, żeby jeszcze nie wróciła do biura. – Chodzi o to, Elodie... Może byśmy poszli razem na kolację?

– Co takiego?

Pod Elodie niemal ugięły się kolana. Pode mną zresztą też. Co ja, do diabła, gadam?

– Wiesz – mówiłem dalej, czując, że wnętrzności skręcają mi się z przerażenia. – Przecież kiedyś byliśmy... Sama wiesz... I pomyślałem sobie, że gdybyśmy poszli na kolację i... no wiesz... świece, szampan, powspominamy stare dobre czasy i kto wie, kto wie...

Z każdym moim słowem Elodie coraz szerzej otwierała usta – jeśli to w ogóle możliwe.

Miałem wrażenie, że nie wie, czy wzywać pomocy, czy ryknąć śmiechem.

– Zawsze cię podziwiałem, Elodie – mówiłem dalej, coraz głębiej zapadając się w ruchomych piaskach najbliższej przyszłości. – A teraz, kiedy znów cię widzę i patrzę, jak dobrze radzisz sobie z prawdziwą polityką, to... to bardzo...

Obawiałem się, że mogłaby uciec, więc zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi pozostała w tej sytuacji – pochyliłem się i pocałowałem ją. Był to stary, dobry pocałunek w usta.

Przez chwilę wydawało się, że przyłoży mi w twarz albo uniesie szczupłe, lecz silne kolano i poczęstuje mnie ciosem tam, gdzie boli najbardziej. Ona jednak swoim zwyczajem powściągnęła emocje i delikatnie mnie odsunęła. Mogłem tylko mieć nadzieję, że z jakiegoś powodu jestem dla niej zbyt cenny, żeby mnie okaleczać.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie mogłem się powstrzymać.

Spojrzała na mnie po części z niedowierzaniem, po części z rozbawieniem, a po części z czymś, czego nie udało mi się rozpoznać.

– No cóż, Paul – odezwała się wreszcie. – Podejrzewam, że powinno mi pochlebiać to, że chcesz mnie zaprosić na kolację. Mógłbyś przecież zagonić mnie do toalety, tak jak to bywało z innymi kobietami.

– Ależ nie, ja...

– Jak wiesz, jestem teraz mężatką – ciągnęła Elodie.

– Wiem – przyznałem, ignorując jej poczyniania z pewnym Duńczykiem.

– Nie powiem, miło być obiektem czyichś fantazji, nawet jeśli jest to Anglik, który nie radzi sobie z kobietami.

Cholera jasna, pomyślałem. Niechciany pocałunek przy kserokopiarce był przyjemny? Może to chwyt „przykro mi, *chérie*, ale nie jestem w stanie ci się oprzeć” jest kluczem do sukcesu Francuzów?

– Ale musisz przyznać, że stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, Paul.

Miała rację. Sam też nie czułem się komfortowo. Minęła jednak kolejna minuta, a my wciąż staliśmy na korytarzu.

– Wiem. Przepraszam cię, Elodie. Pożądanie często bywa niezręczne.

Skrzywiłem się, słysząc własne słowa; dawno nie wygadywałem takich pierdół.

Elodie to jednak nie ruszyło. Podejrzewam, że nie raz musiała prowadzić takie rozmowy.

– Zapomnijmy o całej sprawie i wracajmy do biura – zaproponowała.

– Może postawię ci jeszcze jedną kawę w ramach przeprosin za to molestowanie? Albo drinka dla odmiany?

– Nie, drink byłby wstępem do kolacji, a oboje wiemy, do czego to prowadzi. – Elodie

uśmiechnęła się niemal z sympatią i ruszyła do swojego gabinetu, kręcąc głową. – Naprawdę, Paul, chodząca z ciebie katastrofa. Ale dziękuję. Czuję się teraz trochę mniej winna.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Spojrzałem na zegarek, modląc się w duchu, żeby moje męczeństwo nie poszło na marne.

* * *

Manon siedziała przy biurku i pracowała na komputerze. Zerknąłem na nią, kiedy siadałem na swoim miejscu, ale niezbyt dobrze widziałem jej twarz. Ona zaś nie podniosła głowy i nie nawiązała kontaktu wzrokowego.

Drzwi do gabinetu Elodie były leciutko uchylone. Patrzyłem przez szparę, jak otwiera szafkę, wyjmując torebkę i komputer, a potem siada za biurkiem. Spojrzała na telefon, odczytała esemesa, a następnie otworzyła laptopa i zaczęła coś pisać. Wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Po cichu odliczałem do dziesięciu. Ani Manon, ani ja nie wykonaliśmy żadnego gestu. Podejrzewam, że przez te dziesięć sekund nawet nie oddychaliśmy. Potem Manon podniosła głowę, spojrzała mi w oczy i ledwie zauważalnym ruchem pokazała uniesiony kciuk.

Rozpocząłem swój standardowy rytuał klikania w kolejne linki z historii przeglądania. Coś musiałem robić, żeby Elodie nie nabrała podejrzeń. Wysłałem jej raport na temat fałszywych doniesień w brytyjskich brukowcach, potem odpowiedziałem na kilka niewinnych maili i czekałem na moment, gdy zgodnie z planem miałem wyjść z gabinetu. Kiedy nadszedł czas, powiedziałem Elodie, że idę na lunch, a Manon rzuciłem tylko uprzejmie *bon appétit*. Odpowiedziała, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Zająłem stolik w jednej z belgijskich kafejek, w których umawialiśmy się na *rendez-vous* z Manon. Miejsce było jasne, przestronne, a na ścianach wisiały reklamy piwa i hasła w języku flamandzkim, które mogły oznaczać dosłownie wszystko: od „wesołych świąt” po „zakaz palenia w toaletach”.

Dobrze było wiedzieć, że przepustkowcy stronią od barów i miejsc o lokalnym kolorycie. Jeśli coś nie było międzynarodowe, tracili zainteresowanie.

Tak jak się umawialiśmy, piętnaście minut później pojawiła się Manon. Nie umawialiśmy się jednak, że przyprowadzi towarzystwo. Zauważyłem obok niej wysoką, niezgrabną postać Cédrica – gość wyglądał, jakby poprzedniej nocy mało spał albo dużo pił. Albo jedno i drugie.

Spojrzałem na Manon, pytająco unosząc brwi.

– Wszedł, kiedy otwierałam szafkę Elodie – wyjaśniła bez wstępów Manon.

Cédric przestępował z nogi na nogę, co sugerowało jakąś aktywność umysłową. Choć sprawnych szarych komórek miał tyle co rybka akwariowa, musiał się domyślić, że coś tu śmierdzi.

– Powiedziałaś mu, że nie powinien wspominać Elodie o tym, co widział – mówiła dalej Manon – bo wiemy o telefonie.

– To nie ja zamontowałem w nim pluskwę – odparł Cédric, wreszcie wyrywając się z otępienia.

– Nie, ale założę się, że to ty przekazujesz nagrane rozmowy Elodie – powiedziała Manon.

– Albo je spisujesz.

– *Oui, et ça, c'est un crime, Cédric* – powiedziałem najlepszą francuszczyzną, na jaką było mnie stać. – Pomyśl o reputacji swojej rodziny. – Choć jako właściciele prywatnych banków niżej już chyba nie mogą upaść. – Pomyśl o swojej babci.

Obaj mimowolnie wzdrygnęliśmy się na tę myśl. Poznałem jego *grand-mère* – przerażająca kobieta. W czasach rewolucji francuskiej nie siedziałaby w pierwszym rzędzie przed gilotyną, robiąc na drutach i cmokając z uznaniem; ona stałaby na szafocie i strzelała gole głowami arystokratów, przy okazji wyciągając trupom z kieszeni akty własności rodowych *château*. „Ostra” to zbyt delikatne określenie – ta kobieta to człowiek brzytwa.

– Zgodził się siedzieć cicho i iść z nami na lunch – dokończyła Manon. – Może zdoła nam wyjaśnić, co takiego robi Elodie, zanim przejrzę to, co udało mi się skopiować z jej komputera i telefonu.

Wszyscy zamówiliśmy sobie belgijskie potrawy i zaczęliśmy omawiać to, co robił Cédric, odkąd pojawiłem się w Brukseli.

Gdy tak gadaliśmy, rozkoszowałem się przepyszny, choć niezdrowym *stoemp* – nazwa sugeruje, że mogłaby to być makabrycznie urżnięta kończyzna, ale w rzeczywistości było to kremowe purée ziemniaczane z małutkimi kawałeczkami pora, a do tego kiełbaska tak smakowita, że mógłbym wziąć ją za angielską. Całość pływała niczym góra lodowa w morzu pieczeniowego sosu. Tego właśnie potrzebuje mężczyzna, aby ukoić nerwy po makabrycznym poranku.

Manon wybrała nieco lżejsze *chicons au gratin* – cykorie zapiekane w serze. Danie to miało też nazwę w języku flamandzkim, ale nikt na południowy zachód od Brukseli nie umiałby jej wymówić ani napisać.

W ramach męskiej solidarności Cédric również wybrał *stoemp*. Korzystając ze swobodnej atmosfery przy stole, postanowiliśmy wziąć go na spytki i nakłonić, żeby podzielił się swoimi przemyśleniami, jeśli takowe miał.

– Skąd wzięła pieniądze, żeby mnie zatrudnić? – zapytałem.

– Wiem, że dostała nagrodę od organizacji charytatywnej Europe Avenir – odparł.

„Avenir”, jak wiedziałem, oznacza przyszłość. Spojrzałem pytająco na Manon.

– To ciekawe – powiedziała. – W nagrodach pieniężnych najlepsze jest to, że nie trzeba ich zgłaszać w deklaracji podatkowej. Eurodeputowani muszą zgłaszać podarunki o wartości przekraczającej sto pięćdziesiąt euro. Takie jak zegarek czy torebka. – Jak zwykle musiałem się powstrzymać, żeby nie zapytać, jakim cudem torebka może tyle kosztować. – Ale gotówki nie trzeba zgłaszać. Jeśli zatem chcesz dać europoślowi legalną łapówkę lub tyle pieniędzy, aby mógł przeprowadzić jakiś projekt bez żadnego nadzoru, przyznajesz mu nagrodę.

– Czy to była francuska organizacja charytatywna? – zapytałem Cédrica.

Wzruszył ramionami.

– Mówiła tylko, że nagrodę przyznano jej za zasługi dla gospodarki. – Znów wzruszył ramionami i wrócił do przeżuwania *stoemp*.

– Co to znaczy? – zwróciłem się do Manon.

Musiała się zarazić od Cédrica uporczywym wzruszaniem ramion.

– Nie wiem, co to za organizacja: Europe Avenir – przyznała. – Ale po takiej nazwie

można się z pewnością spodziewać jednego – nie zgodzą się na to, żeby przyszłość Europy pozostawić losowi. Nie ma tu miejsca na demokrację i tym podobne *merde*.

Usiłowaliśmy wydobyć z Cédrica, dlaczego Elodie mnie szpieguje i co tak naprawdę nią kieruje. Wydawało się jednak, że on niezbyt wiele wie. Powiedziano mu, żeby sprawdzał, czy podsłuch w telefonie i pluskwa w komputerze działają, i żeby miał mnie na oku. Kazano mu informować Elodie, czy nie ujawniam poufnych informacji nikomu poza nią.

Cédric niezbyt dobrze znał angielski, więc przesyłał Elodie wszystkie maile lub rozmowy, co do których miał wątpliwości. Sarkała, że przez niego jest *débordé* pierdołami, jak twierdził, ale nieźle się uśmieła z tekstów na podryw, które podsunął mi Jake.

– Może poszlibyśmy kiedyś z Jakiem na drinka? – zapytał mnie Cédric.

Chyba nie jest jednak taki głupi, na jakiego wygląda.

Po lunchu każde z nas wyszło oddzielnie, choć ja starałem się trzymać blisko Cédrica, żeby mieć pewność, że wrócił do pracy. Musiał się zachowywać jak gdyby nigdy nic, podobnie jak my. Patrzyłem, jak znika w swojej kanciapie, a potem usiadłem przy własnym biurku i zająłem się czymś dla zabicia czasu, podczas gdy Manon przeglądała pliki i wiadomości, które skopiowała.

Miała się tym zająć u siebie w mieszkaniu. Zadzwoiła do Elodie i powiedziała, że po lunchu źle się poczuła. Słyszałem odpowiedzi Elodie:

– A co zjadłaś? ... Naprawdę? Przecież ci mówiłam, że trzeba unikać tego belgijskiego *merde*... No dobra, mam nadzieję, że szybko ci przejdzie. – Rozłączyła się i burknęła do siebie: – No i ma nauczkę.

Co za współczucie.

Przez całe trzy godziny ślęczałem nad napisanymi przez siebie zdaniem: zmieniałem przecinki na kropki i testowałem różne kolory znaczników. Trudno tu mówić o zabiciu czasu – ja go po prostu zanudziłem na śmierć.

Wreszcie dostałem esemesa od Manon – przysłała go na mój nowy telefon. Kilka słów o tym, czego udało jej się dowiedzieć. Teraz mnie zrobiło się niedobrze. To było wredne nawet jak na niskie standardy Elodie.

To już nawet nie był cios w plecy. Czuję się, jakby podstępem namówiła mnie, żebym usiadł na kolorowych pineskach, a potem zamieściła zdjęcie mojego udekorowanego tyłka na Facebooku, żeby każdy mieszkaniec naszej planety mógł się ze mnie pośmiać. To bolało.

Brytyjskie toalety zostaną wymienione na „eurosracze”

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2013

Manon kazała mi przyjść do jednej z naszych belgijskich kafejek. Aż drżała z niecierpliwości, żeby podzielić się ze mną zdobytymi informacjami. Gdy tylko zaczęła szeptać przekazywać mi swoje rewelacje, ja też zadrżałem.

Krótko mówiąc: po raz kolejny mnie wycyckano.

Nie powinienem był ufać Elodie. Stare bretońskie damy pewnie powtarzają młodym parobkom: jeśli raz użądliła cię pszczoła, po co smarujesz sobie głowę miodem i pchasz do ula?

Cała sprawa sprowadzała się do tego, że wszystko, co robiłem w Brukseli dla Elodie, miało być wykorzystane przeciwko mnie – jej plan wcale nie polegał na tym, żeby szala brytyjskiego referendum przechyliła się na stronę „tak, zostajemy”. Chciała, aby Brytyjczycy pokazali Europie środkowy palec.

Z treści korespondencji Elodie z jakimiś Francuzami, wśród których znalazł się też mój dobry znajomy Yves Remord, wynikało, że miała zamiar ujawnić brytyjskiej prasie, że pewien Anglik (zgadnijcie *qui*) pracował na rzecz Francji i zajmował luksusowy apartament (na dowód tego miała okazać podpisaną umowę najmu i fotki przedstawiające rzeczzonego Angoła w wannie). Mieszkał tam za darmo, mimo że płacono mu fortunę (przynajmniej ta część wyglądała dobrze) za zdradę interesów własnego kraju.

Podobno doradzałem francuskiemu rządowi, jak wydoić jeszcze więcej pieniędzy z unijnej kiesy na dotacje dla licznych na wpół autonomicznych departamentów. Współpracowałem z jedną z najbardziej patriotycznych, a jednocześnie antybrytyjskich partii we Francji (*touché*, trzeba było się dobrze zastanowić nad politycznymi sympatiami Elodie) – doradzałem im, jak zdobyć miliony euro, żeby sfinansować naukę zapomnianych francuskich dialektów.

Mało tego, szpiegowałem brytyjskich eurosceptyków, skupując ich komputery za absurdalne sumy (z pieniędzy podatników?) i odzyskując dane z twardych dysków. Sądząc po treści maili, które przeczytała Manon, Elodie powiadomiła nawet eunuchów o francuskim spisku mającym na celu przechwycenie ich starych komputerów. W kreowanej przez nią opowieści o francuskich szpiegach depczących po piętach radykalnym eurosceptykom to ja miałem być tym czarnym charakterem. Taka bajeczka na sto procent wywoła burzę w pewnych kręgach brytyjskiej prasy.

Moją najgorszą zbrodnią było jednak to, że przyłożyłem rękę do raportu, który chciała opublikować Elodie, gdzie wyliczałem szalone przepisy planowane przez Unię, gdyby w wyniku referendum Wielka Brytania zdecydowała się zostać w Europie.

Wyglądało na to, że Elodie nie czekała, aż przyślę jej raport z fałszywymi doniesieniami prasowymi na temat unijnych przepisów. Przechwyciła niedokończone sprawozdanie z mojego komputera za pomocą programu szpiegującego. Potem pousuwała moje niekompletne wyjaśnienia, zachowując tylko bzdurne pogłoski – w ten sposób czytelnik

miął przed sobą listę dwudziestu najlepszych powodów, żeby powiedzieć Europie *au revoir* i tym sposobem ocalić brytyjskie kiełbaski, kilt, dworzec Waterloo, a nawet stary, dobry angielski klozet przed spuszczeniem w eurosraczu.

Zachowano również moje sporadyczne komentarze o pomysłowości i kreatywności osób, które tworzą takie plotki, więc wyglądało na to, że autor raportu jeszcze chwali dziennikarzy. „Kreatywny” ma zwykle pozytywne konotacje, ale jeśli ktoś wykazuje się kreatywnością w robieniu zamieszania, to już trochę gorzej.

Reasumując, Elodie miała zamiar wpakować mnie w niezłe *mokordo*.

Byłem pewien, że brytyjskie brukowce dostaną istnego orgazmu, widząc te rewelacje, podobnie jak niektóre z ważniejszych stacji telewizyjnych i radiowych. Rankiem w dniu planowanego referendum wszyscy w Wielkiej Brytanii ockną się i jak jeden mąż zagłosują za tym, żeby wynosić się z Europy, gdzie pieprz rośnie. Tłumy zbiorą się u stóp białych klifów w Dover i chwycą za wiosła, żeby jak najdalej odsunąć naszą wyspę od kontynentu.

A wszystko przeze mnie.

To znacznie gorsze niż stare opowieści o żeglarzach, którzy sami musieli ukrećić kańczug, żeby nim ich chłostano. Ja wyczyściłem i załadowałem strzelby mojego własnego plutonu egzekucyjnego, a potem namalowałem sobie na czole wielką tarczę.

Najpierw doszedłem do wniosku, że okazałem się kretynem rzadkiej maści, w dodatku ślepym.

Dlaczego nie słuchałem przeczuć i wątpliwości, które mnie dręczyły w związku z moimi dwiema „misjami”? Wiedziałem przecież, że w każdej z nich chodzi o kopiowanie czegoś, czego każdy mógł się dowiedzieć. Nawet Cédric byłby w stanie wypisać nazwy języków mniejszościowych i ściągnąć z internetu pogłoski na temat Europy, które pojawiały się w prasie brytyjskiej. W rzeczywistości Elodie chciała, żebym to *ja* wykonał tę pracę, bo potrzebowała Brytyjczyka pracującego dla Francuzów.

Drugi wniosek, jaki mi się nasunął, był jeszcze bardziej oczywisty. Kiedy Manon przekazała mi całą bolesną prawdę, do głowy przyszło mi tylko jedno słowo.

– Suka. – Przetłumaczyłem to na francuski, korsykański i bretoński: – *Salope, puttana, gast*. Jak można zrobić takie świństwo staremu przyjacielowi? Czy Elodie już zapomniała, co dla niej zrobiłem podczas jej wesela?

Manon roześmiała się z goryczą.

– Chyba zdążyła nawet zapomnieć, co sama robiła na swoim weselu.

– Ale dlaczego to robi? Czy Francji nie zależy na utrzymaniu silnej Europy? Nawet jeśli niektórzy z was nie lubią Anglików. Czy nie boicie się, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone założą antyfrancuską bandę?

Mój kiepski francuski sprawił, że ostatnie zdanie zabrzmiało, jakbym mówił o sprzeczce w piaskownicy. Zresztą może to nawet trafna analogia do hysterii, która rodzi się wokół referendum.

– Też tak myślę – odparła Manon. – Ale z tego, co przeczytałam, wynika, że Elodie i jej przyjaciele uważają, że jeśli Wielka Brytania opuści Unię, wszystkie ważne międzynarodowe banki przeniosą się do Paryża. Wraz z nimi przybędą specjaliści, szczególnie francuscy, którzy wcześniej wyemigrowali do Londynu. Francja stanie się finansową stolicą Europy. Prawica też tak uważa. Kiedy Wielka Brytania zniknie

z horyzontu, kryzys związany z imigrantami w Calais się rozwiąże, bo uchodźcy nie będą mogli dostać się do Anglii na unijnych papierach. Dlatego pojedą prosto do Niemiec. Twój znajomy, Remord, twierdzi, że to przez Anglików północne wybrzeże Francji zamieniło się w jeden wielki obóz dla uchodźców.

– Ale jeśli nawet Brytyjczycy zagłosują za wyjściem z Unii, to się nie zmieni – zauważyłem. – Imigranci nie jadą do Anglii, dlatego że należymy do Unii. Jadą, bo im się wydaje, że łatwo tam o pracę i zasiłki dla bezrobotnych, oraz ze względu na język.

– Wiem – odparła Manon. – Jeśli Wielka Brytania opuści Unię, imigranci będą jeszcze bardziej chcieli dostać się do Calais. Będzie im zależało, żeby wymknąć się europejskiemu systemowi kwotowemu. Jeśli nie będą mogli zostać w Niemczech, nie zdecydują się na Rumunię ani Grecję. Spróbują się dostać do Anglii. Ale Elodie i jej towarzystwo uważają inaczej.

– Powinienem był się domyślić, że to jakiś *arnaque*. – Francuzi chyba lubią to słowo. Przekręt. – Rodzina Martinów od pokoleń nie powiedziała ani słowa prawdy.

– Och, nie sądzę, żeby trzeba było wciągać w to ojca Elodie – odparła Manon. – On nie ma z tym nic wspólnego. Nie natknęłam się na żadną korespondencję z nim.

Trudno było mi w to uwierzyć, ale Manon obstawała przy swoim.

Przychodziły mi do głowy tylko myśli o zemście.

– Pójdę z Elodie na tę kolację – powiedziałem. – A potem, jak zdejmie *culotte*, krzyknę: „Ha! Myślałaś, że chcę iść z tobą do łóżka?”.

Scena jak z taniego francuskiego filmu. Nie to jednak zwróciło uwagę Manon.

– Jaką kolację? – zapytała. – I dlaczego miałyby zdejmować *culotte*?

Cacarella, pomyślałem. Nie mówiłem Manon, do czego musiałem się posunąć, żeby zatrzymać Elodie na korytarzu.

Opisałem jej naszą rozmowę (o pocałunku nie wspomniałem, ma się rozumieć) i dałem Manon do zrozumienia, że Elodie była przerażona okropnym pomysłem kolacji z seksem na deser.

– Dlaczego w ogóle przyszło ci do głowy, żeby sugerować, że chcesz się z nią przespać? – spytała Manon.

– Musiałem coś zrobić. Nie jestem zawodowym szpiegiem tak jak ty.

Ten argument trochę ją uspokoił. Wreszcie udało mi się sprowadzić rozmowę z powrotem na właściwy tor i zaczęliśmy kombinować, jak rozbroić bombę, którą Elodie zamierzała rzucić na brytyjską prasę.

Zastanawiałem się, dlaczego Manon tak się wściekła, kiedy się dowiedziała, że udawałem, iż chcę iść do łóżka z Elodie. Czyżby robiła się zaborcza?

Nie była to nieprzyjemna myśl. Pochlebiało mi, że jest zazdrosna.

– Stoisz teraz przed historyczną szansą – powiedziała Manon.

Na początku pomyślałem, że to brzmi trochę jak reklama rozbudowy portu w Hull. Przez cały czas rozmawialiśmy jednak o tym, co zrobić z Elodie, przy czym spanie z nią nie wchodziło w grę.

– Jeśli chcesz zemsty, możesz dopilnować, żeby Wielka Brytania pozostała w Unii – mówiła Manon.

– Nie jestem pewien, czy mam aż taką moc.

– Owszem, Paul. Możemy sabotować kampanię Elodie w takim stopniu, że odniesie odwrotny skutek, a wahający się wyborcy w końcu zagłosują za tym, żeby zostać w unii. Kilka procent robi różnicę.

Ostatnie zdanie chyba było prawdziwe. Według sondaży zapowiadało się na to, że mnóstwo wyborców podejmie decyzję w ostatniej chwili.

Nagle jednak dotarło do mnie, że są też inne możliwości.

Po pierwsze, pomijając już fakt, że Elodie chciała mnie wpakować w *zut*, czy naprawdę ucierpię, jeśli Wielka Brytania zagłosuje za wyjściem z Europy? W sumie czy tak źle byłoby wrócić do starych niebieskich paszportów?

Spędziłem w Brukseli mało czasu, ale zdążyłem już dostrzec wiele z jej absurdów, począwszy od tego, że nie byłem pewien, czy na pewno pół Belgii trzeba zapełniać komisjami, radami, trybunałami i komitetami.

Poza tym, czy to zasadne, żeby Wielka Brytania dokładała się do wysokich opłat za tłumaczenie na dwadzieścia parę języków każdego dokumentu, który wypluje Bruksela?

To samo dotyczyło dwustu milionów euro rocznie, bo tyle kosztowało wysyłanie wszystkich eurodeputowanych co miesiąc do Strasburga, żeby uszczęśliwić Francuzów. Kogo (nie licząc Manon, rzecz jasna) obchodzi, czy Francuzi są szczęśliwi?

Najważniejsze pytanie brzmiało jednak, czy my, Brytyjczycy, naprawdę chcemy, żeby ta banda opojów i erotomanów wymyślała dla nas nowe przepisy prawne, skoro w Westminster mamy własnych opojów i erotomanów?

Usiłowałem wyjaśnić to Manon, wyjąwszy oczywiście fragment o uszczęśliwianiu Francuzów. Dla kogoś, kto pracuje dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, uszczęśliwianie Francuzów stanowi chyba jeden z priorytetów.

– Wiesz, jestem zły na Elodie za to, że mnie wykorzystała – powiedziałem, a moja słaba znajomość francuskiego zaowocowała poważnym eufemizmem. – Ale chyba wystarczy mi, jeśli w tej sprawie nie padnie moje nazwisko.

– Ależ, Paul, masz szansę wpłynąć na wynik – przekonywała Manon. – To, co zrobimy, lub czego nie zrobimy, będzie miało konsekwencje.

To też była prawda. Musiałem się opowiedzieć po którejś ze stron.

Opcja pierwsza była w miarę neutralna. Mogłem pomóc Manon sabotować kampanię Elodie tak, żeby nie osiągnęła założonego celu – ani za, ani przeciw Europie. To byłoby równoznaczne z umożliwieniem naturalnego biegu wypadków.

Z drugiej strony mogłem się zdecydować na słodką zemstę i solidnie dobrać się do tyłka Elodie (oczywiście w przenośni). Mogliśmy dołożyć starań, żeby kampania Elodie obróciła się przeciwko niej w takim stopniu, że niezdecydowani wyborcy oddaliby głos za pozostaniem w Unii.

Manon powtarzała, że ona jest za drugą opcją, podobnie jak cała Francja. Zauważyłem, że wszyscy Francuzi w Brukseli, łącznie z Elodie, przy każdej okazji podkreślali, że wypowiadają się w imieniu całej Francji.

Wieczór zastał nas jeszcze w tej małej belgijskiej kafejce. Gdy tak rozmawialiśmy, zaczynałem powoli rozumieć powagę sytuacji. Musiałem podjąć decyzję. Lepiej, żeby była słuszna, bo nie da się jej cofnąć.

Wymieniliśmy z Manon przyjacielskie *bise* oraz przelotny – stanowczo zbyt krótki – uścisk, po czym każde z nas ruszyło w swoją stronę.

Uznaliśmy, że prześpiemy się z tym problemem, a jutro podejmiemy decyzję. W moim przypadku okazało się jednak, że o śnie w ogóle nie było mowy.

Najpierw pozwolę sobie wyliczyć mniej ważne powody bezsenności.

Okolo pierwszej w nocy jakiś idiota, niewątpliwie pod wpływem belgijskiego piwa, zadzwonił na komórkę, żeby spytać, czy nadal chciałbym się pozbyć kota. Mówił po francusku. Odparłem po korsykańsku, co ma ze sobą zrobić, i okazało się, że to wyjątkowo skuteczny sposób na spławienie natręta. Nic dziwnego, że francuska policja tak się boi Korsykan.

Później moje myśli i hormony krążyły wokół Manon. Można by pomyśleć, że w obecnej sytuacji to nie jest priorytet, ale każdy, kto miał do czynienia ze słoniem w rui albo wkurzonym nastolatkiem gatunku ludzkiego, wie, jak trudno walczyć z burzą hormonów.

W nocy zrozumiałem też – z radością, ale i z bólem – że Manon mogła wykorzystać swój powab, żeby przekonać mnie do swojego planu. Jeśli chciała mnie skłonić, abym pomógł jej powstrzymać Brexit, to w łatwy sposób mogła kupić moje poparcie. Ale jednak wolała tego nie robić. Była to myśl jednocześnie optymistyczna i morderczo frustrująca.

Tak czy owak, to były te mniej ważne powody, dla których nie zmrużyłem w nocy oka. Główne problemy, które spędzały mi sen z powiek, były związane z naszą rozmową w belgijskiej kafejce.

Pytania brzmiały (kolejność przypadkowa):

Co?

Jak?

I kto?

Co w takiej sytuacji należałoby zrobić? Jak zdobyć pewność, że nasze działania odniosą pożądany skutek? I kto w Brukseli powinien zostać wtajemniczony w nasz plan?

Należy zauważyć, że na pytanie „dlaczego?” znałem już odpowiedź. Była oczywista – nie mogłem pozwolić, żeby takie draństwo uszło Elodie i jej rodzinie na sucho.

Do diabła z Europą, to sprawa osobista.

Uia chce zmierzyć, jak bardzo śmierdzą pracownicy

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 1996

Na drugi dzień rano, zanim wyszedłem do pracy, podzieliłem się z Manon moimi nocnymi przemyśleniami. Mimo że była ósma, a ja nie zdążyłem jeszcze wypić kawy, pamiętałem, żeby skorzystać z nowego telefonu. Może jednak mam w sobie coś z Jamesa Bonda.

Tak jak wcześniej Manon traktowała to jak grę. Musiała kiedyś występować w jakimś teatrze.

– Elodie przed południem wychodzi z biura i potem już jej nie będzie – oznajmiła. – Dlatego akt pierwszy rozegra się między tobą a nią, a potem możemy swobodnie popracować nad wielkim finałem.

Martwiło mnie tylko to, że Manon zbyt szybko przeszła od aktu pierwszego do finału. Aktorzy amatorzy, tacy jak ja, potrzebują trochę czasu, żeby wczuć się w rolę.

Elodie siedziała przy biurku i przebierała palcami po ekranie telefonu. Wyglądała dziś jeszcze bardziej elegancko niż zwykle – jasne, lśniące włosy ściągnęła w ciasny kok, miała na sobie kremową jedwabną bluzkę, odrobinę ciemniejszą od pereł, które spływały na jej obojczyki.

– *Bonjour, Paul!*

Posłała mi drapieżny uśmiech. Przypuszczam, że tak właśnie patrzy *charcutier*, kiedy do masarni przybywa nowy wieprzek.

– *Bonjour, Elodie.* – Zachowywałem się swobodnie, jak gdyby nigdy nic. Żałowałem tylko, że nie mogę nonszalancko zapalić papierosa, żeby pokazać, że w ogóle nie drżą mi ręce. Może wtedy przestałyby mnie świerzbić, bo miałem potworną ochotę udusić Elodie. – Czytałaś już mój raport o fałszywych doniesieniach prasowych?

– Tak, oczywiście. Dziękuję ci, bardzo mi się przyda. Podobały mi się twoje małe angielskie dowcipy. *Très drôle.* – Jej głos brzmiał życzliwie, ale Elodie miała przy tym minę przebiegłą niczym kot siedzący z wędką nad akwariem pełnym rybek.

– Świetnie. Zastanawiałem się, czy nie powinienem przygotować notatki prasowej? Powinna chyba dzisiaj wyjść.

– Dzięki, Paul, ale sprawa jest już w toku.

– Kto ją toczy?

– *Oh là là*, Paul, nie chciałeś przypadkiem powiedzieć: „Kto się tym zajął?”. Wstyd, wstyd, nie umiesz się posługiwać własnym językiem.

Chyba potraktowała to jako odpowiedź na moje pytanie, bo odwróciła się do ekranu komputera.

– W takim razie kto się tym zajął? Jeśli Francuzi piszą notatkę do prasy brytyjskiej, to może powinienem na nią zerknąć. Wiesz, rzucić na tekst angielskim okiem.

– Doprawdy, Paul. Wiesz, ilu wykwalifikowanych tłumaczy mamy w Brukseli? Sądzisz, że nie potrafię znaleźć jednego?

– Ależ skąd. Ale sam od lat czytam brukowce.

– I głównie oglądasz w nich zdjęcia cyncatych lasek bez mózgu, prawda? Twój ideał kobiety, Paul.

Zignorowałem oszczerstwo – mózg też lubię – i drążyłem temat.

– Nie jestem pewien, czy tutejsi tłumacze zdają sobie sprawę, jak działają brukowce, Elodie. Większość czasu spędzają na czytaniu raportów na temat wylewania ścieków do Adriatyku i tym podobnych.

– To doskonała metafora waszej brytyjskiej prasy – warknęła Elodie. – Wystarczy poczytać, jakim głównym obsmarowuje się tam Francję! A teraz daj mi już spokój, Paul. Wierz mi, potrafię znaleźć kogoś, kto napisze notatkę prasową!

– Dobrze, już dobrze. Chciałem tylko być sumienny – odparłem. – Wiem, że DG Communication nie pomoże ci napisać tej notatki, więc pomyślałem, że ja mógłbym.

– *Mais lâche-moi les couilles!* – zawołała nagle Elodie.

To popularne francuskie powiedzonko, z tym że rzadko słyszy się je od kobiety. W wolnym tłumaczeniu oznacza: „Przestań mnie trzymać za jaja”. Cóż, pomyślałem, jeśli jakakolwiek kobieta może powiedzieć, że ma jaja, z pewnością jest nią Elodie.

Jej wybuch zdawał się potwierdzać, że odczuwa ona presję w takim samym stopniu jak ja. Chyba po raz dziesiąty w ciągu zaledwie kilku dni widziałem, że ze wszystkich sił próbuje wziąć się w garść – może i nie ma jaj, ale z pewnością stara się trzymać na wodzy emocje.

– Paul, nasuwa mi się wniosek, że twoją zgoła analną obsesję pracy dzisiejszego ranka można wyjaśnić tylko tym, że brak ci damskiego towarzystwa. A przynajmniej brak PRZYJAZNEGO damskiego towarzystwa – dodała, skinąwszy głową w stronę ściany, która dzieliła nas od sąsiedniego pokoju.

Manon siedziała za swoim biurkiem i właśnie robiła przegrupowanie naszych sprzymierzeńców w walce z Elodie, wysyłając im polecenia mailem lub esemesem.

– A może wieczorem pójdziemy na tę kolację? – zaproponowała Elodie, nagle promiennie się uśmiechając. – Niczego więcej ci nie obiecuję, ma się rozumieć. Ale przyzwoite jedzenie w spokojnej restauracji dobrze ci zrobi. Może udzielę ci kilku cennych rad. Albo zapłacę kelnerce, żeby się z tobą przespała.

Czy mi się zdaje, czy słyszałem, jak za ścianą Manon upuściła telefon?

– Och, jasne. Super – zdołałem odpowiedzieć.

W sumie rozsądnie byłoby zająć czymś Elodie tego wieczoru. Choć możliwe, że ona myśli dokładnie to samo o mnie.

Zastanawiałem się, czy każde z nas stawia sobie jakieś granice, jeśli chodzi o zajmowanie drugiej strony przez całą noc.

* * *

Kiedy wyszła, przez całe piętnaście minut przekonywałem Manon, że nie mam zamiaru odrywać Elodie od jej propagandowej kampanii, przykuwając ją kajdankami do łóżka. Odkąd Manon podsłuchiwała zaproszenie na kolację, co jakiś czas rzucała mi wymowne spojrzenia.

Kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, poszliśmy do Myszki Miki i znaleźliśmy zaciszny kąt,

w którym ustawiliśmy dookoła stolika kilka kolorowych fotelików – to miało być nasze tymczasowe centrum dowodzenia.

Siadłem na turkusowym krześle, Manon na żółtym i przez blisko godzinę odbyliśmy serię krótkich spotkań informacyjnych ze znajomymi i z osobami kontaktowymi, które zaprosiliśmy do współpracy. Cieszyłem się teraz, że zgodnie z panującym w Brukseli obyczajem wzięłem od każdego z nich wizytówkę. Wszyscy nowi znajomi okazali chęć współpracy, kiedy powiedzieliśmy im, o co toczy się gra. Przyszedł Danny, Ed Fürst, a nawet lobbystka Duska.

Rozmowy były krótkie i rzeczowe. Pomarańczowe siedzisko po drugiej stronie stolika tak często zmieniało lokatora, że zrobiło się gorące.

Zaryzykowaliśmy, przeprowadzając nasze spotkania w miejscowej kafejce, bo nie było czasu do stracenia. Do głosowania w Wielkiej Brytanii zostało mniej więcej czterdzieści osiem godzin. Tak czy inaczej, wiedzieliśmy, że Elodie tego dnia już nie wróci. Jeśli usłyszy o tym, co się działo w Myszce Miki, będzie już za późno, żeby mogła coś na to poradzić.

Oczywiście te prowadzone naprędce rozmowy przyciągnęły uwagę gości, mimo że kafejka była dość duża. Widziałem, że ludzie zaczynają zerkać w naszą stronę i szeptać coś między sobą. Urzędnicy unijni pojawiają się jeden po drugim na kilka minut, robią szybkie notatki, energicznie kiwając głowami, a potem znikają, wymieniwszy serdeczny uścisk dłoni. Dlaczego nas pominięto? Czy nie rozdawaliśmy dość wizytówek? Czy za mało się podlizywaliśmy?

Wreszcie jeden z gości zebrał się na odwagę, wstał i podszedł do naszego stolika. Od razu go rozpoznałem. To ten Włoch, którego spotkałem tamtego wieczoru w restauracji. Nie wzięłem od niego wizytówki, bo uznałem go za *toni*, dupka w dialekcie lombardzkim.

– Cześć, John, dobrze pamiętam? – zagadnął.

– Tak – potwierdziłem, zgadując, że nie widać mojej przepustki.

– Witam. A ty jak masz na imię? – Wyciągnął rękę do Manon.

– To jest Elodie – skłamałem.

– *Ah, la bella Elodia.*

Tak jak mówiłem – *toni*.

– Co tu się odbywa? – Wskazał na pomarańczowe krzesło, na którym niedawno siedziały trzy brukselskie tyłki.

– Taki networking na szybko – odparłem.

– Ach. – Pomysł najwyraźniej go zaintrygował.

– Tak, bierzemy udział w sieci networkingowej asystentów eurodeputowanych.

– Ach.

– Słyszałeś na pewno o europejskiej sieci szybkiego networkingu?

– Nie. – Na twarzy Włocha odmalował się lekki przestach.

– Otrzymaliśmy dofinansowanie z nowej Dyrekcji Generalnej do spraw Networkingu. Nie słyszałeś o niej?

– Nie. – Panika rośnie.

– W skrócie nazywa się DG Nessie.

– Nieźle.

– Daj wizytówkę, wciągniemy cię.

– Dzięki.

Włoch energicznym ruchem wyjął imponująco wytłaczaną wizytówkę. Antonio Spumante. Czyli to prawdziwy *Toni*, a do tego potomek sławnej rodziny winiarzy.

– Przepraszam cię, ale musimy kontynuować nasz networking. Inaczej przestanie być szybki – zwróciłem się do niego. Widziałem, że zbliża się nasz kolejny gość i rozgląda się po kafejce. – Będziemy w kontakcie.

Włoch odsunął się na bok, a pomarańczowe krzeselko zajął teraz Peter, Brytyjczyk z DG Communication. Antonio wrócił do swojego grona przyjaciół lub współpracowników. Widać było, że jeszcze ma wątpliwości, ale zrobiliśmy na nim wrażenie.

Peter uśmiechał się szeroko, jakbym podarował mu bilet na finał Pucharu Świata, w którym Anglia zagra nie z Niemcami czy Brazylią, lecz na przykład z reprezentacją Mołdawii, której połowa zachorowała na grype, a drugą połowę przekupiono, żeby puszczała gole. Tak czy inaczej, radość Petera sugerowała, że facet szykuje się na doskonałą zabawę.

Dzwoniłem do niego wcześniej, żeby go przekonać, że tym razem nareszcie nadszedł dobry moment, aby wkroczyć do akcji i rzucić wyzwanie brytyjskiej prasie. Dałem mu do zrozumienia, że możemy się posunąć do nieczystej gry, żeby osiągnąć cel. Od razu zgodził się przyjść porozmawiać.

– Trochę poszperałem – odezwał się, gdy tylko usiadł. – I usłyszałem niewiarygodną plotkę. Ktoś twierdzi, że w noc poprzedzającą referendum do Anglii ma przyplłynąć promem grupa Francuzów. To Bretończycy chcący się ubiegać o prawo stałego pobytu w Wielkiej Brytanii. Chcą zażądać nauczania języka bretońskiego w lokalnych szkołach, a w szpitalach pielęgniarek mówiących po bretońsku i tak dalej. Podobno mają takie prawo zgodnie z europejskimi przepisami. To wszystko gówno prawda, jak się można domyślić, ale jednocześnie to genialna propaganda.

– Faktycznie straszne *kaoc'h*. – Chyba nie trafiła mi się dotąd lepsza okazja, aby użyć tego słowa.

To coś nowego. Do mojej długiej listy zadań wypadłoby zatem dodać kolejne.

– Myślisz, że może za tym stać Elodie Martin, nasza eurodeputowana? – zapytała Manon po francusku.

– *Pourquoi pas?* – odparł Peter z *très* francuskim akcentem, po czym opowiedział nam, że prześledził historię tej pogłoski i dotarł do komunikatu ugrupowania zwanego „L’Avenir de l’Europe, *ou quelque chose comme ça*”.

– Europe Avenir! – wykrzyknęliśmy jednocześnie z Manon.

Czyli jednak Elodie.

– Wyszmażysz jakąś notatkę prasową, żeby to zdementować? – zapytałem.

– Nie, już ci wyjaśniałem. DG nie zawraca sobie głowy pojedynczymi doniesieniami. Ale mogę ci pomóc napisać taką notatkę i doradzić, jak ją opublikować, żeby dotarła do odpowiednich kręgów.

– Tak byłoby znakomicie – uznała Manon.

– OK. – Peter sprawiał wrażenie, że nad czymś się zastanawia. – Dobra. Zanim zabierzemy się do roboty, mógłbym się napić kawy? Prosiłbym słabą latte. Zaraz wyschnę na wiór.

– Oczywiście, zaraz ci przyniosę – zaproponowałem.

– Nie, nie, ja pójdę – wtrąciła Manon.

– Dobrze, że poszła – odezwał się Peter po cichu, kiedy Manon się oddaliła. – Pomagasz Francuzom, którzy walczą z Francuzami? Jesteś pewien, że wiesz, co tu się dzieje?

– Chyba tak.

– Ja tam nigdy nie wiem, czy można im ufać, nawet gdy zachowują się normalnie, a co dopiero mówić o sytuacji, kiedy sami skaczą sobie do gardeł. Wolałbym nie dostać się w krzyżowy ogień. Ani nie oberwać rykoszetem. Czy jak to się tam mówiło.

– Wydaje mi się, że mogę ufać Manon. Jest z francuskiego MSZ-etu. – Zerknąłem w stronę baru, gdzie Manon zamawiała kawę.

Odwróciła się i posłała mi promienny uśmiech. Tak, takiej kobiecie ma się ochotę ufać.

– Z MSZ-etu, ho, ho. Gruba ryba – odparł Peter. – I jesteś pewien, że chcesz im pomóc wpłynąć na wynik głosowania? Możesz przeważać szalę na stronę zwolenników Unii. Czy tego właśnie chcesz?

Jak już wspominałem, ta sprawa wywoływała u mnie wyrzuty sumienia.

– Ja tam jestem za tym, żebyśmy zostali w Unii – mówił dalej Peter. – Jeśli wyrzucimy wszystkich Polaków z Wielkiej Brytanii, a oni pojedą do Niemiec, to u nas nic więcej się nie zbuduje. A już na pewno nie na czas. Poza tym bez siły roboczej z Europy wszystkie restauracje w Londynie będą musiały być samoobsługowe, a wszystkie hotele każą gościom samodzielnie słać łóżka. Poza tym ze służby zdrowia zniknie połowa pielęgniarek. Nie zapominaj jednak, że istnieją równie ważne powody, by wyjść z Unii. Wolność w stanowieniu własnych praw. Kwoty imigrantów. I tak dalej. Nadal jesteś pewien, że chcesz wprowadzić w życie wasz plan?

Zamyśliłem się nad tym, co powiedział.

– Chcemy tylko dać ludziom szansę na świadomą decyzję – wyjaśniłem. – Raczej nie zdołamy powstrzymać Elodie przed opublikowaniem tych bzdur. Dla wyrównania szans podamy zatem własne bzdury. Wtedy będą mogli sami zdecydować, czyje gówno mniej śmierdzi.

– Dobra, przekonałeś mnie. Jestem z wami. Jeśli tylko jesteś pewien, że możemy zaufać tej Francuzce.

– Tak – potwierdziłem.

I modliłem się, żebym tym razem miał rację.

Nowy przepis unijny: zużyte gadzety erotyczne należy zwracać do sklepu

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2004

Nie wiem, który z projektantów uznał, że do eleganckich współczesnych barów i restauracji pasują całkiem kwadratowe meble. Od czasu do czasu, owszem, może pojawić się okrągły abażur, ale wszystko poza tym – stoły, krzesła, bar, a nawet talerze – musi mieć kąty proste. Masz szczęście, jeśli drinka podadzą ci w szklance bez kantów.

Elodie umówiła się ze mną właśnie w jednym z takich miejsc. Była to restauracja hotelowa, w której światło było przyćmione do absurdu, a muzyka miała być cool, ale była tak irytująca, że miałem ochotę rozwalić komputer, z którego płynęła.

Przy wejściu czekała oczywiście zmysłowa kobieta na niebotycznie wysokich obcasach – jej zadanie polegało na sprawdzaniu DNA gościa z listą rezerwacji, tak aby przypadkiem nie przemknął się ktoś nieproszony.

Restauracja była podzielona na trzy części: był tu długi bar otoczony lustrami (podejrzywałem, że tu siadają tylko anorektycy raczący się płynnym obiadem), była spora przestrzeń otwarta ze stołami ustawionymi w regularną szachownicę oraz kącik, w którym mieściło się kilkanaście zacisznych łóż. Tam przydałby się noktowizor, bo bez tego w ogóle nie widziało się twarzy rozmówcy.

Jak można było przewidzieć, Elodie zarezerwowała właśnie jedną z tych przerażających łóż. Przyszedłem punktualnie i podążyłem do stolika za kobietą na szpilkach. Ostatnie kilka metrów pokonałem, kierując się tylko stukotem jej obcasów na posadzce. Przecisnąłem się między kwadratowym stolikiem a prostokątną ławeczką obitą skórą. Mimo półmroku widziałem, że przy naszym stoliku nie ma nikogo.

Kelner o niskim głosie – a może to była kelnerka? – zapytał mnie po francusku, czy napiję się czegoś, czekając na *Madame*. Chcąc zachować podniosły nastrój, odparłem, że poproszę *coupe de Champagne*. Koneserzy domyślą się, że nie chodziło mi o kubek musującego wina. „*Coupe*” to nazwa szerokiego, płaskiego kieliszka do szampana. Zawsze się zastanawiam, dlaczego we francuskich restauracjach zawsze podaje się „*coupe*” w wysokim, wąskim kieliszku. Ale to może dlatego, że sam zaczynam się już zamieniać w paryżanina.

Elodie francuskim zwyczajem spóźniła się dwadzieścia minut. Jako rodowita paryżanka nie przeprosiła.

Wstałem, żeby się z nią przywitać (gdy już w ciemnościach rozpoznałem, że to ona), po czym pocałowaliśmy się w oba policzki i powiedzieliśmy sobie *bonsoir*. Wszystko wydawało się takie oficjalne. Jednocześnie każde z nas odgrywało swoją rolę – miało to być preludium do obrzucenia się nawzajem przysłowiowym *merde*.

– Czy to szampan, Paul? Mamy powód do świętowania?

– Jeszcze nie wiem.

Miało to być ironiczne odniesienie do mojej tajnej kampanii i zemsty, ale zabrzmiało

raczej jak błaganie o seks.

– No to może ja też poproszę kieliszek. Zamówisz dla mnie, Paul?

Facet zamawiający drinka? Robi się coraz bardziej oficjalnie, pomyślałem. Powinienem być pocałować ją w rękę, kiedy przyszła. Albo jak prawdziwy Francuz z wyższych sfer unieść jej dłoń do ust i zamarkować pocałunek.

Tymczasem jak ostatni hipokryta skomplementowałem jej wybór restauracji.

– Och, zatrzymałam się akurat w tym hotelu, więc tak mi pasowało.

– Musi tu być drogo. Nie masz jakiegoś mieszkania w Brukseli?

– Mam, Paul, ale akurat teraz ty je zajmujesz.

– Ach.

Wcześniej mówiła, że w apartamencie art nouveau zwykle zatrzymują się dyplomaci. Czyżby zapomniała?

– Któreś z nas musiało zatrzymać się w hotelu – wyjaśniała Elodie. – Więc uznałam, że należy mi się kilka tygodni luksusu.

– Mam tylko nadzieję, że Valéry nie będzie chciał zrobić ci niespodzianki i nie zjawi się nagle w apartamencie. Co by pomyślał, gdyby mnie zastał w twoim łóżku?

– Nie ośmieliłby się tu przyjechać! – Elodie się roześmiała.

Uznałem, że *Monsieur* jest już wyszkolony, żeby słuchać rozkazów, podobnie jak wszyscy inni w życiu Elodie. Wszyscy poza mną – przynajmniej przez ostatnich kilka godzin.

– A tak przy okazji, jak się ma Valéry?

– Tak samo jak wtedy, gdy ostatnio o niego pytałeś, czyli wczoraj. Nie wiedziałam, że tak się nim interesujesz. A właśnie, nie widziałeś się ostatnio z Cédrikiem?

– Od wczoraj nie. Twierdził, że nie czuje się zbyt dobrze.

– Nie wytrzymam z tą rodziną! Mają system odpornościowy tak słaby jak ogrodzenie wokół Eurotunelu.

Elodie z pewnością nie była typem opiekuńczej pielęgniarce. Wiedziałem jednak, że Cédricowi nic nie dolega. Aby uniemożliwić mu popełnienie jakiegokolwiek gafy, zaproponowałem, żeby poszedł na chorobowe. Jako prawdziwy francuski pracownik nie odmówił. Mało tego, poszedł do lekarza i wydebilił zwolnienie na cały miesiąc „z powodu stresu w pracy”. Pewnie siedział teraz w swoim mieszkaniu i przeglądał strony internetowe w poszukiwaniu kuzynek, które mógłby przelecieć lub poślubić.

Zamówiliśmy dania z karty, na której wszystkie potrawy były albo grillowane, albo *à la plancha* i bezglutenowe, a do tego butelkę białego wina. Francuskiego, *bien sûr*. Wino nazywało się Pouilly-Fumé i wbrew temu, co sugeruje nazwa, nie było wędzone. Ktoś powinien zaskarżyć producenta za wprowadzanie konsumentów w błąd.

– I jak tam, wszystko idzie zgodnie z planem? – zapytałem Elodie.

Było zbyt ciemno, żeby dostrzec, czy się zawstydziała, kiedy odpowiedziała, że jak najbardziej. Musiałbym poprosić kelnera o latarkę, gdybym chciał analizować miny Elodie. W kwadratowej (jakżeby inaczej) miseczce na stole stała świeczka, ale chyba trzeba było specjalnie wzywać kelnera, żeby ją zapalił.

– Notatka dla prasy gotowa? – naciskałem.

– Tak, Paul, wszystko jest gotowe. Nic się nie martw, znam się na kwestiach organizacyjnych. Jak sądzisz, jak zagłosują twoi rodacy?

Choć siedzieliśmy w ciemnościach, byłem pewien, że dostrzegłem na jej twarzy wyraz

złośliwej satysfakcji. Jej zadowolenie było tak wielkie, że chyba zaczynało emitować własne światło.

– No wiesz, wyniki sondaży są niejednoznaczne – odparłem jak zwykle. – Przynajmniej na razie.

– Wszystko może się zdarzyć, *n'est-ce pas*?

Elodie podniosła kieliszek i stuknęliśmy się na zdrowie, a każde z nas uśmiechało się pod nosem, mając w głowie własną interpretację toastu. Jeśli się nie mylę, oboje myśleliśmy: „Wiem, że myślisz, że wiesz coś, czego ja nie wiem, ale to ja wiem coś, czego ty nie wiesz”. Tak to przynajmniej wyglądało z mojego punktu widzenia.

– Zaprosiłam cię na kolację, żeby ci podziękować, Paul – odezwała się Elodie. – Choć to było krótkie zlecenie, pomogłeś mi bardziej, niż ci się wydaje.

– Naprawdę?

– Tak.

– W jaki sposób?

– Och...

Dopiero teraz zrozumiałem znaczenie tej ciemności. Przecież nawet Elodie musi zdradzać oznaki poczucia winy, kiedy wrabia przyjaciół, no nie?

– Na wiele sposobów – odparła wreszcie. – Ale niezależnie od tego, co się wydarzy, w ramach wdzięczności dostaniesz naprawdę niezłe wynagrodzenie.

– Jak to „niezależnie od tego, co się wydarzy”? – zapytałem tak naiwnie, jak to tylko możliwe.

– No wiesz, mogą wystąpić jakieś opóźnienia w finansowaniu i tym podobne. Bruksela to skomplikowane miejsce. Często łamie się tu obietnice.

Największe niedomówienie, jakie kiedykolwiek od niej słyszałem.

– To wam chyba potwornie utrudnia pracę – zauważyłem. – Podoba ci się to? Masz poczucie, że robisz coś ważnego, wartościowego?

Roześmiała się.

– Czyżbyś stawał się eurosceptykiem, Paul? Nie sądzisz, że eurodeputowani wykonują pożyteczną pracę?

Być może pytała poważnie. Gdybym zaprzeczył i powiedział: „Nie, sądzę, że wszyscy marnujecie pieniądze i załatwiacie swoje prywatne interesy za moje podatki, a większość z was zapomina, kto płaci wam pensje i każdego dnia podważa sens istnienia Unii Europejskiej”, może przyznałaby się do wszystkiego. Po głowie chodziło mi jednak inne ważne pytanie.

– Ale czy to, co robisz, jest zgodne z twoimi własnymi przekonaniem na temat Unii? Jakie właściwie są te twoje przekonania?

Elodie prychnęła, jakby „przekonanie” było jakimś przekleństwem w jej mniejszościowym języku.

– Praca eurodeputowanego jest naprawdę bardzo trudna, Paul. Wszyscy chcą na ciebie wpłynąć: lobbyści, inni europosłowie, a do tego jeszcze moja partia we Francji. Konsultanci i dziennikarze chcą wiedzieć, co myślisz na każdy temat. Nie można też zapominać o wyborcach, czego ode mnie oczekują przed następnymi wyborami. Dlatego czasami sama nie wiem, jakie mam przekonania.

– To musi być trochę uciążliwe, na przykład kiedy przychodzi do głosowania nad nową

ustawą, co?

Elodie znów się roześmiała.

– Ja tylko wiem, Paul, i musisz mi uwierzyć na słowo niezależnie od wyniku waszego referendum, że chcę tylko tego, co najlepsze dla Francji i dla Unii. W tej kolejności, przyznaję.

Merde alors, pomyślałem. Odpowiedziała mi całkiem szczerze. Powinienem to odnotować w kalendarzu.

Zjedliśmy kolację, wypiliśmy wino. Jedzenie było dobre i, o dziwo, porcje były całkiem okazałe. Restauracja musiała mieć w sobie coś belgijskiego.

– No dobrze, przejdźmy do twojego osobistego problemu – powiedziała Elodie, delikatnie wycierając usta serwetką. – Porozmawiajmy o kobietach. Czy jest w tej restauracji taka, która by ci się podobała?

– Nie.

Nie musiałem się nawet rozglądać. Przede wszystkim dlatego, że i tak widziałbym tylko oświetlone kontury postaci przy barze.

– O nie, Paul, nie mów mi, że chcesz patrzeć tylko na mnie!

– Nie, tego nie powiem. Nie jestem Francuzem.

– Dzięki Bogu. Ale dlaczego nie możesz sobie nikogo znaleźć? Nie jesteś garbaty. Jesteś uroczy, do tego trochę naiwny. (Tak, pomyślałem, naiwność to z jej punktu widzenia moja największa zaleta). Kobiety to uwielbiają. No, może poza Manon. – Zaśmiała się. – Może jest zakochana w moim tatusiu, a on naopowiadał jej jakichś bredni na twój temat. Podejrzewam, że sypia i z nią, i z jej matką.

Pewnie powiedziałbym coś w obronie Manon, gdyby nam w tej chwili nie przeszkadzono.

– Elodie?

Obok naszego stolika wyrósł jakiś cień. Z mojego miejsca widziałem tylko krocze odziane w eleganckie spodnie.

– Pani pozwoli? – odezwał się męski głos.

Z półmroku wyłoniła się czyjaś ręka, a potem druga – podobnego koloru i rozmiaru. Dłonie potarły zapalką o nieduże pudełko, najpierw pojawiła się iskra, a po chwili świeca na stole zapłonęła jasnym płomieniem. Zamrugalem, po czym podniosłem wzrok na znajomą twarz.

Widziałem, że Elodie też rozpoznała przybysza. Nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Gustav?

Toż to jurny Duńczyk. Choć zdążyłem się już dowiedzieć, że tak naprawdę jest Szwedem.

– Nie wiedziałem, że cię tu dziś zastanę – powiedział.

Chyba mu to nie przeszkadzało. Po prostu stwierdził fakt.

– No tak, ja... – Elodie urwała, bo obok Gustava pojawiła się kobieca postać.

Jurny wiking zaborczym gestem chwycił ją za rękę.

– Manon? – zdziwiła się Elodie.

Unia chce, żeby wszystkie kondomy były w jednym rozmiarze – małym

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2000

Podczas kolacji przez większość czasu odgrywałem aż do przesady rolę niewinnej ofiary Elodie. Kiedy jednak w przyćmionym świetle restauracji zobaczyłem, że szwedzki uwodziciel chwyta Manon za rękę, po raz pierwszy tego wieczoru nie byłem w stanie opanować emocji i zazgrzytałem zębami, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Nijak nie pocieszało mnie to, że sam zaaranżowałem tę scenę.

Wcześniej kontaktowałem się z Dannym od ostryg i przypomniałem mu tamten wieczór w knajpie na Flux, kiedy patrzył na mnie spode łba. Opisałem mu Duńczyka (wtedy byłem jeszcze przekonany, że gość pochodzi z Danii), który był w tym samym barze co my, i spytałem Danny'ego, czy go zna. Zaprzeczył, ale obiecał, że popyta. Nie upłynęło pół godziny, jak oddzwonił do mnie i podał jego imię, nazwisko, numer telefonu i nową narodowość. Tym sposobem doszedłem do tego, że Gustav jest Szwedem.

Niech żyje sieć szybkiego networkingu w Brukseli.

Później zadzwoniłem do Gustava i zapytałem, czy mógłbym się z nim zobaczyć. Wyjaśniłem, że to sprawa delikatnej natury i że chodzi o Elodie. Zainteresowałem go tym. Poszedłem do jego biura, które mieściło się w lewym skrzydle budynku parlamentu, gdzie urzędowała chyba większość Skandynawów, nie licząc wikingów ekstremistów.

Okazało się, że Gustav był gorącym zwolennikiem Unii Europejskiej. Szczerze współczuł swoim norweskim sąsiadom, którzy nie przystąpili do Unii, a i tak musieli stosować unijne przepisy, jeśli chcieli robić interesy z Europą. Był również zdania, że Wielka Brytania powinna zostać w Unii, żeby – jak się wyraził – wziąć na siebie swoją część obowiązków i odpowiedzialności w tym trudnym czasie. W głębi duszy cieszyłem się, że ktoś tak elegancki i przystojny też sypie komunałami jak stary, nudny piernik.

Kiedy Gustav dowiedział się o planach Elodie sabotowania referendum, tak aby szala przeważała na stronę Brexitu, miałem wrażenie, że moja szefowa straciła u niego kilka punktów jako obiekt westchnień. Od razu zgodził się wziąć udział w moim planie: miał się pojawić wieczorem w restauracji i zaskoczyć Elodie, kiedy będzie ze mną.

Tu przyznam, że głównym powodem tego mojego posunięcia była złość na Elodie. Nie miało to nic wspólnego z referendum – po prostu uznałem, że dobrze będzie trochę wytrącić ją z równowagi, żeby na dzień przed głosowaniem zajęła się czymś niezwiązanym z polityką. Innymi słowy, chciałem jej utrząść nosa.

Było to także związane z obietnicą, którą dałem Cédricowi. Valéry był w końcu jego starszym bratem – Cédric zwierzył mi się, że ma już dość przyglądania się, jak Elodie *se foutre de la gueule du monde*, jak to określił, co w wolnym tłumaczeniu znaczy mniej więcej „bzyka się na prawo i lewo”, a w rzeczywistości oznacza po prostu robienie kogoś w konia.

Cédric błagał mnie, żebym spróbował nabruździć w skandynawskim romansie Elodie. W zamian obiecał nie pisać ani słowa o tym, że pokrzyżowałem jej szyki, jeśli chodzi

o kampanię propagandową. Chyba zapomniał, że mamy na niego haka, ale i tak się zgodziłem.

„Problem w tym, że nie powinienem pojawiać się w restauracji sam. To byłoby podejrzane”, powiedział Gustav, a kiedy zaproponowałem, aby zaprosił jakąś kobietę, odparł, że tak szybko nie uda mu się nikogo znaleźć. Gotów byłbym się założyć, że kłamał, ale kryło się w tym wyzwanie – najwyraźniej chciał, żebym umówił go z jakąś nową laską. „A może poszedłbym na przykład z kimś, kto też pracuje dla Elodie?”, zasugerował. Domyśliłem się, że nie chodzi mu o Cédrica. Zirytowałem się, kiedy Manon zgodziła się na to bez protestów, ale nie mogłem zgłosić sprzeciwu.

Kiedy jednak zobaczyłem ich razem w restauracji, pomyślałem, że chyba nie musieli od razu trzymać się za ręce.

Wziąłem się w garść i uznałem, że nie będę dzwonił do Manon wieczorem, kiedy wrócę z kolacji z Elodie. Wyglądałoby to tak, jakbym ją sprawdzał. I tak by zresztą było.

Co gorsza, Manon też nie zadzwoniła, żeby sprawdzić mnie. Czyżby już jej nie interesowało, czy przespałem się z Elodie? A może sama była zajęta wywijaniem sztokholmskich salt?

Chętnie poradziłem się Jake’a w tej sprawie. Jeśli chodzi o seks, mój przyjaciel doświadczył chyba wszystkich możliwych komplikacji znanych ludzkości. Nie było go jednak w mieszkaniu, kiedy wróciłem, a gdy do niego zadzwoniłem, odparł zdyszany, że nie może rozmawiać. „Właśnie trwa inwazja cesarstwa austro-węgierskiego”. Nie trzeba wiele wyobraźni, bo odgadnąć, co to znaczyło.

Oczywiście po kolacji nie poszedłem na górę, do pokoju Elodie, choć zachowywała się wyjątkowo uwodzicielsko – podejrzewam, że miała to być prowokacja wymierzona w Gustava. Kiedy on i Manon poszli do swojego stolika, Elodie nachyliła się nade mną. Gdy rozmawialiśmy, zbliżyła twarz do świecy, wiedząc, że migoczący płomień podkreśli jej złote włosy i perły na szyi. Kiedy wstaliśmy od stolika, chwyciła mnie pod ramię i oparła się o mnie wdzięcznie, jak gdyby nasze biodra już rozpoczynały grę wstępną. Gdy jednak wyszliśmy do holu, szorstkim tonem życzyła mi *bonne fin de soirée* i zasugerowała, żebym poszukał rozwiązania swoich problemów w *bordel*. Potem ruszyła do windy. Pewnie zamierzała pocieszać się zawartością minibaru. Prawie zrobiło mi się jej żal. Prawie.

Oczywiście to ja złamałem się jako pierwszy i zadzwoniłem do Manon nazajutrz z samego rana. Nadszedł ostatni dzień przed referendum.

– *Bonjour, Manon.*

– *Bonjour, Paul.*

– *Ça va?*

– *Oui très bien, et toi?*

– *Bien, merci.*

Przez dłuższą chwilę krążyliśmy wokół tematu, aż wreszcie zapytałem:

– Jak poszło z Gustavem?

– Bardzo dobrze. On jest *très sympathique*.

– Tak, *très*.

– A jak poszło z Elodie?

– Niedobrze. To szalona hipokrytka.

– Bardzo czule się do ciebie zwracała.

– Widziałaś to? Gustav też widział? O to jej właśnie chodziło. Gdy tylko wyszliśmy z restauracji, zniknęła.

– Ach. Byłeś rozczarowany, że cię odrzuciła, Paul?

– Nie, oczywiście, że nie. Poza tym ona mnie nie odrzuciła, bo nie jestem nią zainteresowany.

Zapadła cisza. Czasami nienawidzę milczenia.

– A ty i Gustav? – spytałem.

– Potrafi być bardzo uwodzicielski. Kiedy mężczyzna jest tak bezpośredni, kobieta czuje się doceniona. Facet ewidentnie podrywa i chce zaciągnąć towarzyszkę do łóżka. Wcale się z tym nie kryje.

Zasrany elegancik, pomyślałem. Takiemu to się wszystko udaje.

– Ale wyjaśniłam mu, że jestem świeżo po rozstaniu i obiecałam sobie, że na trzy miesiące dam sobie spokój z facetami. Pytał, oczywiście, kiedy upłyną te trzy miesiące – dodała Manon.

– I co, powiedziałaś mu?

– Tak. Zapisał sobie tę datę w telefonie. Muszę powiedzieć, że to mi pochlebia.

– Poważnie?

– Poważnie. Ej, daj spokój, Paul, przecież to zwykły *gros dragueur*, seryjny podrywacz. Był obrzydliwy.

– Naprawdę?

– Jasne. Proszę cię, kto zapisuje sobie w telefonie datę, kiedy będzie mógł się z kimś przespać?

– No tak, to faktycznie obrzydliwe. Wyrachowane i cyniczne.

Miałem nadzieję, że nie przesadziłem z krytyką.

– Wybierzemy się na śniadanie do naszej belgijskiej kafejki? – zaproponowała Manon.

– Chętnie. Mam ochotę na gofra.

– Musisz mi powiedzieć, co mówiła Elodie. Ciekawe, czy była na mnie zła. – Manon się roześmiała.

A ja po raz pierwszy od ośmiu godzin poczułem, że nieprzyjemny ucisk w żołądku ustępuje.

Gotów byłem zmierzyć się z tym, co przyniesie dzisiejszy dzień.

* * *

Śniadanie było krótkie, lecz słodkie. W moim przypadku nawet bardzo słodkie – zamówiłem gofra z cukrem pudrem i maczałem go w kawie tak długo, aż zaczęła przypominać czarną zupę z okruskami ciasta i grudkami cukru.

Ten widok rozbawił i zniesmaczył Manon mniej więcej w tym samym stopniu.

– Dlaczego faceci muszą wszystko zamaczać?

Chyba nie potrzebuję tłumaczyć, dlaczego słysząc to, uniosłem brew. Znałem francuskie sformułowanie „*tremper le poireau*” (w dosłownym tłumaczeniu: zamoczyć pora), które oznacza... No, to chyba oczywiste.

Uniosłem więc znacząco prawą brew, a Manon zmarszczyła czoło, udając, że jest

obrażona.

Pośmialiśmy się trochę, wymieniając doświadczenia z poprzedniego wieczoru. Manon mówiła, że Gustav jechał tuż za jej taksówką, kiedy próbowała mu uciec.

– Wiesz co, cieszę się, że się z nim nie przespałaś – powiedziałem szczerze.

– A sądziłeś, że to zrobię?

– Wyglądasz na kobietę, która sama decyduje, czego chce. Gdybyś uznała, że to byłoby ciekawe lub fajne, zrobiłabyś to.

– Zapewniam cię, że to nie byłoby ani ciekawe, ani fajne. A jak już o tym mowa, to ja też się cieszę, że nie przespałeś się z Elodie.

– To w ogóle nie wchodziło w grę. Widzisz, faceci nie zawsze muszą wszystko zamaczać.

Manon się roześmiała. Wreszcie udał mi się jakiś żart po francusku. Ten dzień zdecydowanie dobrze się zaczął.

Kiedy dotarliśmy do biura – osobno, rzecz jasna – Elodie nie było. Podzieliliśmy między sobą zadania na ostatni, najważniejszy dzień naszej kampanii. Ja miałem śledzić sondaże i doniesienia prasowe, żeby sprawdzić, czy taktyka Elodie lub nasza odniosła skutek. Nawet jeśli mój komputer był monitorowany, sprawdzanie takich informacji nie powinno nikogo dziwić. Miałem przecież pomagać Elodie wpłynąć na wynik referendum, prawda?

W tym czasie Manon miała skontaktować się z ludźmi, z którymi rozmawialiśmy dzień wcześniej w Mysze Miki. Jedynym wyjątkiem był Peter z DG Communication, z którym kontaktowałem się ja. Facet nadal nie ufał Francuzom.

Elodie pojawiła się około jedenastej. Była w okropnym nastroju. Przyznam, że zabawnie było na to patrzeć. Pewnie pokłóciła się z Gustavem przez telefon lub – co bardziej prawdopodobne – została przez niego zignorowana.

Nie mogłem się oprzeć pokusie i zasugerowałem, że w ramach kolejnego zadania powinna się postarać, aby Bretania mogła brać udział w konkursie piosenki Eurowizji. Dzięki temu zyskałaby wiele głosów w regionie. Elodie w odpowiedzi burknęła, że prędzej przeleci mnie Gal Asterix.

Przez pół godziny stukąła w ekran telefonu, jak zwykle, a potem oznajmiła, że wychodzi. Wreszcie mieliśmy spokój.

Z tego, co widziałem, prasa brytyjska wydawała się na razie nieporuszona działaniami moimi czy Elodie. Znalazłem tylko zwyczajne artykuły, które można było podzielić na groźne ostrzeżenia przed zakusami Europy, która chce włączyć z butami w życie Brytyjczyków, spokojne zapewnienia, że obecna sytuacja jest najlepszą z możliwych, oraz długie, nudne listy gospodarczych plusów i minusów. Nic nowego. Na razie.

Politycy z obu obozów ogłaszali, że Brytyjczycy wykażą się rozsądkiem i zagłosują na nich.

Okazało się, że namnożyło się strasznie dużo organizacji prowadzących sondaże. Wszystkie kanały informacyjne posługiwały się teraz całą mozaiką złożoną z symboli różnych ośrodków badań opinii publicznej – każdy z nich podawał inne wyniki sondaży. Za każdym razem inny był procent głosujących „tak”, „nie” i „nie wiem, mam to w dupie”. Najzabawniejsze było to, że wyniki sondaży naprawdę były niejednoznaczne. Wyglądało na to, że o przyszłości Wielkiej Brytanii zadecydują pojedyncze głosy osób, które podejmą lub

zmieniają decyzję w ostatniej chwili.

Manon przez cały czas informowała mnie na bieżąco o postępach swoich działań. Wszyscy, których prosiliśmy o pomoc, jak na razie dotrzymywali słowa. Kiedy Peter przysłał mi swoją (anonimową) notatkę prasową, przekazałem ją Manon, która oznajmiła, że to właśnie było brakujące ogniwo naszego łańcucha. Wszystko było gotowe. Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że nasza propaganda zadziała lepiej niż ta opracowana przez Elodie.

W porze lunchu poszliśmy na kanapki do stołówki. Okazało się, że na miejscu atmosfera aż wrze. Zagorzali zwolennicy Unii kręcili głowami, przeciwnicy Brytyjczyków (wśród nich słyhać było głównie francuski akcent) życzyli nam *au revoir*, a garstka neutralnych nerwowo dyskutowała na temat możliwych scenariuszy. Po drodze natknąłem się na Danny'ego od ostryg, który puścił do mnie oko i powiedział: „Dziś wieczorem na Plux będzie się działo”. W odpowiedzi pokazałem mu uniesione kciuki.

Zamówiłem sobie smaczną kanapkę z krewetkami i sałatką, a kiedy wróciliśmy do gabinetu, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem jedna z krewetek nie była przeterminowana. Albo czy do majonezu ktoś nie dodał LSD.

Okazało się, że podczas naszej krótkiej przerwy na lunch Elodie zdążyła wyłysieć i przebrać się w męskie ciuchy.

Wkrótce jednak spostrzegłem swoją pomyłkę. To nie była Elodie. To jej ojciec, Jean-Marie.

Biurokraci z Unii Europejskiej uznali, że Wielka Brytania nie jest wyspą

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2003

– Ach, Pool!

Ojciec Elodie wstał zza biurka, żeby się ze mną przywitać.

– Jean Mary.

Powitalny uśmiech na jego twarzy na chwilę zniknął, lecz szybko powrócił. To takie nasze dziecinne przepychanki. On nazywał mnie „Pool”, wymawiając moje imię jak *poule*, co po francusku oznacza kurczaka. Ja zaś wymawiałem jego imię jak żeńskie. Tak, to dziecinada, ale nie zamierzałem odpuszczać, a już na pewno nie teraz.

– *Et Manon!*

Jean-Marie wyskoczył zza biurka i pocałował dziewczynę w rękę. Nie był to zamarkowany całus, lecz najprawdziwszy, serdeczny, wilgotny pocałunek. Jean-Marie nie bawił się w niedomówienia.

Zastanawiałem się, co tu, do cholery, robi, on tymczasem zaczął wypytywać Manon o jej pracę. Dziewczyna wydawała się zirytowana jego wścibstwem – na początku myślałem, że to dlatego, że wyszedł z roli ofiary szantażu. Francuski rząd zmusił go, żeby załatwił Manon pracę u Elodie w zamian za to, że nie zostanie wysunięte przeciwko niemu oskarżenie o uchylanie się od podatków, prawda? W takim razie chyba powinien siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i się nie wychylać.

Jego pytania stawały się jednak coraz bardziej szczegółowe. Byłem ciekawy, dlaczego Manon nie powie mu wprost, żeby pilnował swojego nosa i zajął się raczej deklaracjami podatkowymi.

– I hasła działały? – zapytał Jean-Marie po francusku, po czym odwrócił się do mnie i wyjaśnił po angielsku: – Dałem Manon kody do komputera Elodie. Od dzieciństwa używa tych samych kombinacji. To doprawdy urocze.

Znów miałem wrażenie, że jedna z przeterminowanych krewetek przyprawia mnie o atak niestrawności.

– *Quoi?* – zapytałem, czyli „co takiego?”.

Uznałem, że w zaistniałej sytuacji to wystarczy.

Manon unikała mojego wzroku.

Jean-Marie zaś zrobił to, co wychodziło mu najlepiej – przybrał wyraz samozadowolenia. Był w tym jeszcze lepszy niż Elodie. Jego policzki pokryte sztuczną opalenizną rozszerzyły się w uśmiechu. Miałem wrażenie, że jego łososiowa koszula się rumieni, a granatowy krawat pod szyją napina do granic możliwości.

– Nie wiedziałeś, Pool? Manon pracuje dla mnie.

Wyraz twarzy Manon zdawał się to potwierdzać.

Teraz wydawało mi się, że krewetka zaczyna mi podchodzić do gardła.

Gdybym miał gdzie pójść, wybiegłbym stamtąd w okamgnieniu. Stałem jednak bez ruchu, a wydarzenia ostatnich kilku dni przewijały się przed moimi oczami. Czyli Manon przez cały czas grała? Nawet kiedy byłem przekonany, że gramy oboje?

– Nie pracujesz dla francuskiego rządu? – zapytałem słabym głosem.

Spojrzała na mnie bez słowa.

– *Elle est avec moi* – odparł Jean-Marie, jeszcze bardziej niż przedtem zadowolony z siebie.

– *Cacarella* – zdołałem wykrztusić.

– To po korsykańsku, *n'est-ce pas?* – spytał Jean-Marie. – Mam tam dom, to wiem.

Jego zadowolenie wyleciało już poza ziemską orbitę i szybowało w stronę planety Bufon.

– Przepraszam, Paul – odezwała się Manon. – Ale wiedziałam, że nie zaufałyś mi, gdybym powiedziała, że pracuję dla niego.

Ton, jakim wypowiedziała ostatnie słowa, odrobinę osłabił pewność siebie Jeana-Marie.

– Jestem patriotą – oznajmił po angielsku. – I prawdziwym Europejczykiem. Nie mogłem pozwolić na to, żeby moja córka rozerwała – jak wy to mówicie – Europę na strzępy. Od zakończenia wojny w 1945 roku udało nam się zbudować potężną strukturę. Kto by pomyślał, Francja, Anglia i Niemcy po jednej stronie. Razem z Belgami, Holendrami i całą resztą, rzecz jasna.

Manon ucięła idealistyczną gadkę Jeana-Marie, wtrącając szybko po francusku:

– On się boi, że jeśli Wielka Brytania wyjdzie z Unii, to jego interes z importem mięsa padnie – wyjaśniła. – Teraz sprzedaje Anglikom tony francuskiego mięsa. A do tego importuje mięso z Anglii.

– Skupuję krowy od rodziny królewskiej – dodał po angielsku Jean-Marie. – Dostałem nawet medal od waszej królowej. Całkiem seksowna z niej babka.

Rany boskie, pomyślałem. Chyba tylko Francuza stać na to, żeby fantazjować o Jej Wysokości.

– On uważa, że jeśli Wielka Brytania zostanie w Unii, to będzie wspólnie z Francją pracować nad tym, żeby wszyscy imigranci nie skupiali się w Calais – mówiła dalej Manon. – Jego ciężarówki co rusz utykają w tunelu.

– To nie do przyjęcia, *n'est-ce pas?* – spytał Jean-Marie. – Kilka miesięcy temu, kiedy usłyszałem, że moja córka zaangażowała się w kampanię na rzecz Brexitu, zacząłem się obawiać. Elodie jest doskonałą organizatorką, jak sam wiesz. Nauczyła się tego ode mnie. Wiedziałem, że jak sobie coś wymyśli, gotowa jest to osiągnąć. Dlatego musiałem – jak to mówicie w Anglii – zadać jej cios w tyłek.

– Sam widzisz. Wszystko, co robiliśmy, przysłuży się słusznej sprawie, Paul – wtrąciła Manon. – Różnica polega na tym, że to on mi płacił.

– Dość istotna różnica.

– To jak z waszymi piłkarzami, Paul – powiedziała Manon. – Czy kiedy grają, próbują uszczęśliwić właściciela drużyny? Nie, chcą wygrać. Robią to dla zespołu. W dupie mają właściciela.

– Ej-jo! – Jean-Marie wydał dźwięk, który u Francuzów oznacza „licz się ze słowami”, i pogroził palcem Manon.

Ona jednak nie miała zamiaru zamilknąć na widok machającego palca.

– Nie zapominaj, Paul, że z racji mojego pochodzenia popieram nie tylko Francuzów, ale także Czechów, Polaków i Niemców. Nasz zespół jest ogromny – obejmuje wszystkie kraje

Europy. Jest znacznie większy niż interesy jednego Francuza.

– Hej! – zaprotestował Jean-Marie. – Jak mówią Anglicy, nie podawaj do wątpliwości mojej uczciwości. Wiesz, Pool, że zanim zatrudniłem Manon, pracowała dla socjalisty? Wyobrażasz sobie, musiałem prosić socjalistę, żeby mi ją oddał!

Rozumiałem jego ból. Jean-Marie był tak prawicowy, że nawet darmowe bilety autobusowe dla emerytów uważał za przejaw komunizmu.

– Było to jednak konieczne, bo widziałem, w jakim kierunku rozwija się sytuacja w Europie. Znasz mnie, Pool, jestem wizjonerem – powiedział, jak każdy polityk, któremu uda się przypadkiem podjąć właściwą decyzję. – Pewnie myślisz, że jestem zwykłym biznesmenem, ale w głębi duszy jestem prawdziwym – jak to się mówi – strategistą? Strategikiem?

– *Excusez-nous*. – Manon chwyciła mnie za ramię i wyciągnęła na korytarz.

Szliśmy w milczeniu, aż wreszcie dotarliśmy do zakrętu, za którym stała wielka kserokopiarka i sterty papieru. Dziewczyna przycisnęła mnie do kserokopiarki i zaczęła mówić po francusku – bardzo szybko i bardzo cicho.

– Paul, proszę cię, musisz mi uwierzyć. To prawda, ten idiota przysłał mnie tu, żebym pracowała dla Elodie, ale on nie wie, że ja w rzeczywistości pracuję dla MSZ-etu. Kiedy mi wyjaśnił, dlaczego chce mnie zatrudnić – bo jego córka planuje kampanię promującą Brexit – powiedziałam o tym mojemu eurodeputowanemu, a on skontaktował się z ministerstwem. Oni zaś poinstruowali mnie, abym przyjęła jego ofertę i wystąpiła w roli podwójnego agenta – w rzeczywistości miałam pracować dla ministerstwa. Jak myślisz, skąd wiedziałam, że masz telefon na podsłuchu? To są tajemnice państwowe. Zatem sam widzisz, że od początku miałam jeden cel: powstrzymać Elodie. Jej ojciec się nie liczy. Niech mu się wydaje, że mnie kontroluje. I tyle. Przyznaję, kłamałam, kiedy mówiłam, że groziło mu śledztwo w sprawie oszustwa podatkowego, ale poza tym byłam wobec ciebie uczciwa.

Manon nigdy jeszcze nie mówiła do mnie z takim uczuciem. Przyznam, że było to przekonujące. Jednak, jak już wspominałem, facet zawsze chce wierzyć atrakcyjnej kobiecie.

– Czyli w rzeczywistości już wcześniej pracowałaś w Brukseli? – spytałem.

– Tak, pracowałam dla francuskiego europośła, który zajmuje się przepisami handlowymi. W ten sposób dowiedział się o mnie Jean-Marie.

– To jak jest? Płaci ci Jean-Marie, ale pracujesz dla francuskiego rządu?

– Tak. W ten sposób Jean-Marie nieświadomie wspomaga francuski rząd dobrowolnym datkiem.

– A co z twoim greckim chłopakiem? To była prawda?

– Niestety tak – odparła Manon.

– A twoja obietnica, że przez trzy miesiące nie będziesz się z nikim spotykać?

– To też prawda. – Uśmiechnęła się. – Ale w wiadomościach podawali, że orbita Księżyca się zmienia.

– Co?

– No tak. To brzmi jak science fiction. Wychodzi na to, że miesiące są coraz krótsze. Zeszły miesiąc na przykład miał tylko trzy dni. A wczorajszy dzień to był kolejny miesiąc.

– Co? – Potrzebowałem chwili, żeby przełożyć to sobie z francuskiego na angielski. Chciałem mieć pewność, że niczego nie pokręciłem.

– *Mon dieu*, Paul, to znaczy: pocałuj mnie! No już!
Nawet w Brukseli zdarza się, że tłumaczenie musi poczekać.

* * *

Minęło kilka przyjemnych minut, po których do biura wracał już całkiem inny Paul. Romantycy pewnie się ucieszą, gdy usłyszą, że oparłem się pokusie i nie zaciągnąłem Manon do najbliższej toalety. Choć przyznam, że kierował mną nie tylko romantyzm. Nie chciałem, żeby po wyjściu z toalety znów jakaś kobieta podsumowała mnie hasłem „*très intéressant*”.

Jean-Marie siedział za biurkiem Elodie i wpatrywał się w ekran telefonu. Wyglądał na przygnębionego. Trudno się dziwić, cała publiczność wyszła i nie było przed kim gwiazdorzyć.

Teraz zaś Manon stanęła tuż obok mnie. Jej usta były mniej lśniące niż przedtem, moje zaś nabrały połysku dzięki jej błyszczycowi o smaku miodu.

– *Alors?* – zapytał Jean-Marie.

– Manon wszystko mi wytłumaczyła. Nie wiedziałem, że jesteś tak wysoko postawiony, Jean-Marie. – Postanowiłem trochę polechtać jego próżność.

Nie zdziwiłem się, że gładko połknął pochlebstwo. Uśmiechnął się filozoficznie, jak gdyby jego geniusz był darem niebios.

Manon streściła mu mniej więcej to, co się działo w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie miała czasu wdawać się w szczegóły, jak powiedziała, ale udało jej się wprawić w ruch maszynę, która powinna nieco pokrzyżować niektóre z planów Elodie.

– *Très bien*, chodzi mi tylko o efekt. A teraz może skoczmy na drinka, Manon? – spytał, nagle używając poufalej formy „*tu*”.

– *Merci*, nie bardzo mam czas. Mamy sporo pracy. Dam znać, jak sytuacja się rozwinie – odparła Manon, trzymając się bardziej oficjalnej formy „*vous*”.

– A może wszyscy razem wybierzemy się później na drinka – zaproponowałem. Byłem w siódmym niebie. – Będzie fajnie. W kafejkach przed budynkiem parlamentu emocje sięgną zenitu.

– Zenitu? Czy to ma coś wspólnego z wymiotami? – zapytał Jean-Marie. – Ten angielski zwyczaj akurat mi się nie podoba.

Wyjaśniłem, o co mi chodzi, po czym dałem mu do zrozumienia, że na Plux będzie pełno europosełank i urzędniczek, które wprost przepadają za wpływowymi mężczyznami w eleganckich garniturach.

Jean-Marie opuścił nasze biuro pełen zupełnie nowej energii.

* * *

Kilka godzin później na Plux, tak jak przypuszczałem, emocje już kipsowały. Na razie jednak nikt nie wymiotował, jak obawiał się Jean-Marie, choć alkohol lał się strumieniami. Ludzie rozmawiali jeszcze głośniej niż zwykle i szybciej opróżniali kieliszki i kufle.

Nadszedł wieczór przed referendum. Historyczna chwila. Miałem wrażenie, że wszyscy

płyniemy na fali, która może roztrzaskać nas o skały, lecz równie dobrze wynieść na wyżyny. Jedna fala, różne możliwości, ale wszyscy najwyraźniej byli mocno przejęci samą przygodą.

Kiedy po raz pierwszy tu przyszedłem – a było to przecież całkiem niedawno – czułem się obcy. Teraz miałem przepustkę, a w dodatku towarzyszyła mi atrakcyjna urzędniczka. Mogłem unieść szklankę i krzyknąć *bonsoir* do rzeszy ludzi, których wizytówki miałem w portfelu.

Brakowało tu tylko, przynajmniej na razie, kobiety, która wprowadziła mnie do tego świata – Elodie. Zaginęła w akcji. W sumie nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę nieprzyjemne niespodzianki przygotowywane przez nią na ten wieczór dla mnie i Manon.

Nasza mała ekipa tajnych agentów powoli zebrała się przed jednym z telewizorów nadających brytyjskie wiadomości. Co jakiś czas pokazywano prognozę pogody lub reklamy samochodów, hamburgerów i polis ubezpieczeniowych, ale tematem numer jeden było referendum. Na dole ekranu widniały ostatnie wyniki sondażu. Prezenter anonsował coraz to nowych polityków, dziennikarzy i różnego rodzaju „ekspertów”.

My zaś piliśmy i czekaliśmy, aż w telewizji pojawią się wiadomości, które sami stworzyliśmy.

Danny od ostryg był dziś duszą towarzystwa – na przemian wiwatował i buczał, widząc na ekranie kolejnych polityków, choć brak w tym było jakiegokolwiek spójności i konsekwencji. Być może to przez nadmiar piwa.

Peter nerwowo popijał wodę mineralną. Przyszedł z kobietą, którą widziałem u niego w biurze. Szeptali coś między sobą, a jego partnerka przebierała palcami po guzikach jego koszuli. Nie sądzę, żeby chciała w ten sposób ukryć brak przepustki.

Gustav też przyszedł. Stał obok Duski i sądząc po języku jej ciała, składał dalekosiężne obietnice związane z elektrowniami wiatrowymi.

Ed Fürst i jego dziewczyna słuchali monologu Antonia. Na szczęście Włoch częstował ich szampanem, więc nie byli tak do końca stratni. Po chwili Ed odłączył się od nich i szepnął mi do ucha:

– To jak, nie jesteś już zainteresowany Litwinkami, Paul? Szkoda, bo powiem ci, że są niesamowite.

– O mnie się nie martw – odparłem. – Manon też jest niczego sobie.

Wzdrygnąłem się, kiedy Ed ryknął śmiechem tuż przy moim uchu.

Dopiero o dziesiątej dostrzegliśmy na ekranie telewizora coś interesującego. Tuż przed przerwą na reklamy pojawił się nagłówek: Koniec Wielkiej Brytanii, jaką znaliśmy do tej pory?

Jak można się było spodziewać, po reklamach pokazano efekty notatki prasowej Elodie. Dziennikarz, którego zaproszono chyba tylko dlatego, że miał krawat z flagą brytyjską i umiał niezłe nawijać, podsumował zaskakujący artykuł, jaki jego gazeta zamierzała opublikować nazajutrz z samego rana. Autor artykułu twierdził, że oto wszystko, co brytyjskie – od kiełbasek po autobusy i od czekoladek po salony do gry w bingo – zostanie zgniecione przez biurokratów z Brukseli. Nawet imponujący brytyjski penis zostanie ucięty, ponieważ Unia chce zmniejszyć rozmiary kondomów.

Dobrze wiedziałem, że ta ostatnia plotka była całkowicie przekręconą interpretacją

unijnego projektu, który zakładał, że antykoncepcja i zapobieganie chorobom mogłyby być skuteczniejsze, gdyby ludzie używali prezerwatyw we właściwym rozmiarze. Kondomy nie pękałyby wówczas ani nie zsuwały się przypadkowo. Prezenterka chichotała jednak tak zawzięcie, że nie zdołała zaprzeczyć bredniom głoszonym przez swojego gościa, więc siedzący przed telewizorami Brytyjczycy mogli odnieść wrażenie, że głosując za pozostaniem w Unii, przypieczętują swoją kastrację.

Punkt dla Elodie.

Peter podszedł i powiedział, że tego właśnie się spodziewał: bez sensu było dementować plotki rozsiewane przez eurosceptyków. Ci ludzie nie mają za grosz wstydu. Jego utyskiwanie przerwał dopiero Danny, który zaczął rozgłaszać na prawo i lewo, że może dla wszystkich zdobyć „wielkie fiuty” z sex shopu. Miał nawet jednego w kieszeni, gdyby ktoś był zainteresowany. Ponieważ nikt nie podjął tematu, Danny poszedł po kolejne piwo.

Pół godziny później nadano reportaż o językach mniejszościowych. Manon mocno ścisnęła mnie za rękę.

Wywiad przeprowadzono z pewną kobietą, która połączyła się ze studium z domu za pośrednictwem Skype’a. Komputerowa kamerka pokazywała niezbyt wyraźne zbliżenie jej nosa i zębów. Kobieta wyjaśniała, dlaczego Francja może pozyskać finansowanie unijne dla swoich języków mniejszościowych. Ponieważ tak jak w Hiszpanii, są one oficjalnie uznawane za element tożsamości regionalnej. Następnie odczytała listę z kwotami w milionach euro, jakie mają być przeznaczone dla poszczególnych regionów Francji. Na koniec przez zaciśnięte zęby wycedziła, że Francja ma zamiar wydoić Unię z kasy tylko po to, by nauczyć ludzi przeklinać w każdym z możliwych dialektów.

Słyszając to, prezenterzy przybrali oczywiście oburzone miny. Wyglądało na to, że Elodie znów triumfuje.

Potem jednak pojawiła się kolejna osoba – tym razem była to młoda kobieta, najwyraźniej świeżo upieczona absolwentka uniwersytetu. Uśmiechnięta i pełna pozytywnej energii dziewczyna zaczęła opowiadać, że Wielkiej Brytanii trafia się doskonała szansa. Rzuciła kilka tłustych sum, które mogłyby przypaść Walii, Szkocji, Irlandii Północnej i Kornwalii z przeznaczeniem na finansowanie nauki lokalnych języków.

Jeden z prezenterów zapytał: „A co z dialektami z Liverpoolu i Newcastle?”.

Manon pocałowała mnie w policzek. To pytanie na pewno zaczerpnęli z mojej notatki prasowej.

Młoda kobieta roześmiała się i powiedziała, że wzmianki o dialektach Geordie i Scouse to prawdopodobnie dowcip, ale dodała, że unijne granty dla poszczególnych regionów mogą znacznie odciążyć obecne instytucje finansujące kulturę w mniej uprzywilejowanych zakątkach Anglii, co z kolei pozwoli zwolnić dodatkowe środki na przykład na muzykę czy teatr. Albo nawet na sport. Oczyma wyobraźni już widziałem, jak mieszkańcy Liverpoolu i Newcastle chwytają za długopisy, żeby postawić krzyżyk na karcie do głosowania.

Wreszcie udało nam się wziąć odwet za ataki Elodie. Ed wyrwał się z uścisku swojego włoskiego przyjaciela i podszedł, żeby poklepać mnie po ramieniu. Postawiłem mu drinka w ramach podziękowania za pomoc.

Kiedy wróciłem z baru, zobaczyłem, że Manon ma towarzystwo. Przyszedł Jake z jakąś wysoką brunetką. Dziewczyna była o dobre piętnaście centymetrów wyższa od niego –

miałem wrażenie, że patrzy na nas wszystkich z góry. Miała oliwkową cerę i czarne włosy związane w koński ogon. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że ma na sobie coś, co przypomina strój ludowy – białą bluzkę z okrągłym dekoltem, zielony sweterek i szeroką czerwoną spódnicę. Niby strój miejski, ale z wyraźnym tchnieniem alpejskiego ducha.

Jake zagadywał Manon, a jego towarzyszka była zajęta rozmową z bogatym Włochem.

– Hej, Paul! Hola, hola, stary, co ja słyszę? – przywitał mnie Jake. – Czyli w końcu udało ci się ją pocałować? Odjazdowo!

Manon spojrzała na nas spode łba, rumieniąc się.

– Czy ta olbrzymka w tyrolskim stroju to twoja nowa przyjaciółka? – zapytałem, chcąc uprzedzić dalsze, niewątpliwie bardziej szczegółowe pytania dotyczące mojego związku z Manon.

– O tak, to moja austro-węgierska dama. Pracuje dla jakiejś ekstremistycznej partii. Jest *très nostalgique* i tęskni za dawnym cesarzem. To trochę dziwne. Jakbym się umawiał z kobietą ze starożytnego Rzymu albo z plemienia Azteków.

– Mówisz o umawianiu się raptem po jednej nocy? – zdziwiłem się.

– Po jednej nocy i jednym popołudniu. To wystarczy, aby odkryć, że w tym jej ekstremizmie kryje się pewien minus. Ona jest *très, très traditionnelle*. Ale zainspirowała mnie. Chcesz usłyszeć mój najnowszy poemat?

– Tak – odparła Manon.

Gdyby знаła go lepiej, odpowiedziałaby „nie” albo po prostu rzuciłaby się do wyjścia awaryjnego.

– No dobrze. – Jake wziął głęboki oddech.

Ja też, ale z całkiem innego powodu.

– Była raz nostalgiczna Austro-Węgierka,

Lecz w łóżku żadna z niej pionierka.

Pozycja misjonarska i trochę oberka.

Na szczęście to był już koniec wiersza.

– Świetnie, Jake. Widzę, że utrzymujesz poziom.

Manon była trochę zdezorientowana, ale może to i lepiej. Nie należy się za bardzo zastanawiać nad wierszami Jake’a.

Dobrze się złożyło, że mogliśmy szybko zmienić temat, bo oto pojawił się Danny – przeciskał się przez tłum, a kiedy wreszcie do nas dotarł, ryknął mi prosto w twarz:

– Paul, jesteś sławny!

Uniosłem głowę i zobaczyłem siebie na ekranie telewizora. Głupawo machałem ręką do obiektywu, leżąc w wannie, w ubraniu. Potem robiłem sobie sam fotki w zmysłowym łożu z żelazną ramą.

Prezenter ściągnął brwi z niepokojem i troską, jakby chciał uświadomić widzom, że sprawa jest poważniejsza, niż mogłoby się wydawać. Wyglądał na poruszonego moimi idiotycznymi zdjęciami. Po chwili zaczął opowiadać, że pewien (na szczęście niewymieniony z nazwiska) *pracownik brytyjskich służb cywilnych* zatrudniony przez jednego z *francuskich eurodeputowanych* (ten paradoks sprawił, że prezenter jeszcze mocniej ściągnął brwi) mieszkał w Brukseli, pracując dla stronnictwa optującego za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Prezenter snuł domysły, że ten Brytyjczyk robił to z pobudek osobistych. Podobno pojawiły się nawet podejrzenia o korupcję. Cały ekran

zajęło zdjęcie przedstawiające moją umowę najmu – klauzula o braku czynszu została dodatkowo zaznaczona kolorem, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że mieszkałem w wypasionej chacie za darmo.

Teraz zabrała głos druga prezenterka – mówiła, że ten „opłacany przez Francuzów Anglik” wykupił komputery należące do *brytyjskiego europośta*, a następnie pomógł *Francuzom* włamać się do nich – tę część wiadomości ilustrował materiał filmowy przedstawiający jakąś mroczną postać piszącą na laptopie z prędkością światła. Myślałby kto, że rozsyłałem do francuskiej prasy nagie fotki księżnej Kate albo groziłem śmiercią wszystkim kociętom w Anglii.

Następnie na ekranie pojawił się przedstawiciel ośrodka badania opinii publicznej ubrany w koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i krawat. Powiedział, że to był gwóźdź do trumny zbudowanej przez Francuzów, w której chciano pogrzebać szanse na to, by Wielka Brytania zagłosowała za pozostaniem w Unii.

Kolejny cios Elodie. Trzeba przyznać, że dość bolesny.

– *Merde* – skomentowała Manon.

Nie mówiła tylko o tym, co widzieliśmy w telewizji.

Do zatłoczonego baru, w którym po ostatnich rewelacjach zrobiło się jeszcze głośniejsze, wszedł teraz wyraźnie podenerwowany Jean-Marie razem z wściekłą Elodie.

Elodie przeszła obok Gustava, ledwo zaszczycając go spojrzeniem, po czym przystanąła naprzeciwko Duski. Machając jej przed nosem telefonem, zaczęła wykrzykiwać coś po francusku niczym rasowa rozjuszona paryżanka. Duska w odpowiedzi tylko wyciągnęła rękę w moją stronę.

Wiedziałem, o co chodzi.

Elodie ruszyła do mnie, torując sobie drogę w tłumie ramionami, jak gdyby płynęła żabką. Po chwili podsunęła mi pod nos swój telefon.

– Co to ma być? – zapytała.

– E... iPhone? – odgadłem, ale mój dowcip jeszcze bardziej ją rozgniewał.

Pokazała mi i Manon ekran telefonu, żebyśmy mogli przeczytać widoczny na nim tekst. Żadne z nas nie zdołało powstrzymać pełnego satysfakcji uśmiechu. Informacja, którą spreparowaliśmy, przedostała się do francuskich wiadomości.

Kiedy dzień wcześniej Duska przyszła na spotkanie z nami w Myszce Miki, skłamałem, że Elodie z całego serca popiera budowę farmy wiatrowej w swoim okręgu – oznaczałoby to jakiś tuzin gigantycznych wiatraków w szczerym polu. Specjalnie powtórzyłem nazwę miejsca. Znajdowało się tuż obok sławnego zabytku – grupy kamieni, którą równie dobrze mogli tam położyć Asterix z Obeliksem. Legenda głosiła, że mieszkają tam celtyckie wróżki, duchy Galów i magiczne homary lub inne bretońskie stwory.

Dodałem, że w zamian Elodie chce tylko, aby w prasie niezwłocznie ukazała się informacja o tym planie, żeby mieszkańcy regionu czym prędzej pochwalili ją za popieranie odnawialnych źródeł energii. Duska dotrzymała słowa – przesłała do bretońskiej gazety dokładnie taką informację. Nie trzeba mówić, że wieści szybko się rozeszły. „Sławne wróżki zostaną rozpedzone przez wiatraki” – do tego mniej więcej sprowadzała się nasza historyjka.

– Co to za *merde*? – warknęła Elodie.

– Chciałaś chyba powiedzieć: co to za *kaoc'h* – poprawiłem ją. – Albo *koniriou*, jeśli masz

na myśli pierdoły.

Zanim zdążyła mi przyłożyć telefonem, dodałem, że historyjka o farmie wiatrowej to tylko takie samo *merdique* jak rewelacje o tym, że włamywałem się do angielskich komputerów.

Na chwilę ją zamurowało.

– To samo tyczy się skróconej wersji mojego raportu o fałszywych pogłoskach na temat Unii Europejskiej, którą przekazałaś prasie – dodałem. – I którą zwędziłaś z mojego komputera za pomocą oprogramowania szpiegującego.

Widziałem, że Elodie oniemiała. Zorientowała się, że nie tylko rozgryźliśmy jej plan, ale w dodatku pokonaliśmy ją jej własną bronią. Uznałem, że nadszedł czas na ostateczny cios.

– Myślisz, że w telewizji pokażą wiadomość o pewnym promie? Podobno jacyś Bretończycy przybyli do Anglii i chcą, żeby ich uznać na uchodźców z powodów językowych.

Elodie najwyraźniej zastanawiała się, skąd, u diabła, to wiem. Jej podejrzenia padły na Manon.

– Szpiegowałaś mnie? – syknęła.

Manon zbyła oskarżenie śmiechem.

– Jeszcze do wczoraj Manon nie wiedziała, nad czym pracuję. Nie miała też pojęcia, co ty knujesz – odparłem. – Może zdradził cię ktoś inny.

– Cédric? Rozerwę go na strzępy i rzucę na pożarcie pozostałym kuzynom.

– No nie, naprawdę sądzisz, że on w ogóle rozumiał, co robi?

Elodie chyba kupiła ten argument. Przesunęła gniewnym wzrokiem po tłumie. Jak na ironię całkowicie zignorowała własnego ojca, który krążył gdzieś w tle, przyglądając się bacznie Austro-Węgierce Jake'a. Wreszcie wzrok Elodie padł na Gustava.

– Co takiego powiedział, jak cię bzykał? – Elodie rzuciła Manon szyderczy uśmieszek.

Zwracając się do dziewczyny, użyła nie tylko poufalej formy „tu”, lecz również jednego z najbardziej ordynarnych określeń opisujących stosunek seksualny – „*niquer*”.

– Nie bzykałam się z nim. – Manon użyła tego samego słowa, ale powiedziała to rzeczowym, pozbawionym emocji tonem. – Zresztą podczas kolacji dowiedziałam się tylko tyle, że lubi zjadać małe kawałeczki marynowanego śledzia z kobiecych ciał. Zastanawiam się, czy lubi je z sosem? To musi być strasznie lepkie.

Elodie tylko kwiknęła ze złości. Mimo że w knajpie było gwarno i huczał telewizor, ludzie zorientowali się, że dzieje się tu coś ważnego. Elodie wiedziała, że niedobrze jest tracić panowanie nad sobą w obecności wpływowych polityków na Flux.

– Chyba jutro z rana oboje będziecie musieli poszukać sobie nowej pracy – oznajmiła tylko.

– Właściwie to już skończyliśmy pracę – odparła Manon.

– Tak sądzisz? – spytała chłodnym tonem Elodie. – Naprawdę uważasz, że zdołasz zatrzymać swój kraj w Unii, Paul? Nie wiem, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu. Nikomu na was nie zależy. Właściwie to ja robię wszystkim przysługę.

– Mnie tam żadnej przysługi nie zrobiłaś, Elodie. Prawdę mówiąc, wszystkie te zdjęcia, które kazałaś mi robić w mieszkaniu, lipna aukcja komputerów, a nawet twoje krótkie wstawki o starych dobrych czasach – wszystko to było jedną wielką ściemą. Chyba naprawdę masz mnie za idiotę.

– Nie, Paul. Naprawdę. Po prostu byłeś *Anglais de service*. Jak to się mówi? Anglikiem na właściwym miejscu. Byłeś moim starym znajomym, to prawda, ale nie mogłam pozwolić, żeby to wpłynęło na mój plan. To jest bitwa, a ja jestem generałem. Podjęłam więc decyzję, że to ty pójdziesz na pierwszy ogień.

– Mówisz jak Napoleon.

– *Merci*, Paul.

– U nas, Brytyjczyków, to nie jest komplement. Spodziewałaś się, do cholery, że jak zareaguję, widząc siebie w telewizji?

– Pomyślałam, że być może dostrzeżesz humorystyczną stronę tej sytuacji. Przecież wy, Anglicy, z tego słyniecie, prawda? Podejrzywałam też, że pocieszysz cię gruby zwitek euro. Połowę zresztą już dostałeś. To mało?

– Tobie się naprawdę wydaje, że wszystko można kupić? Chyba masz to w genach.

– *Ej-jo!* – Jean-Marie słyszał naszą wymianę zdań i wkroczył teraz do akcji, żeby bronić honoru rodziny Martinów (choć wiele do obrony nie zostało).

Objął córkę ramieniem, co byłoby uroczym ojcowskim gestem, gdyby nie to, że sam poważnie przyczynił się do zrujnowania Elodie tego wieczoru.

– Nie słuchaj go, *ma chérie* – powiedział do niej po francusku. – To Anglik. On nie rozumie Europy. Chodźmy lepiej, zamiast słuchać tych jego *bêtises*.

W rzeczywistości miał pewnie na myśli: chodźmy stąd, zanim ktokolwiek wysypie się z tym, że twój własny tatuś zapłacił Manon, żeby pokrzyżowała ci szyki.

– Tak, tak, idziemy. – Elodie roześmiała się triumfalnie. – A ty zostań i dalej oglądaj telewizję, Paul. Bitwa jeszcze się nie skończyła. Wypatruj tego promu, bo na nim właśnie zatoną wszystkie głosy za pozostaniem w Unii. Pójdą na samo dno waszego cennego tak zwanego Kanału Angielskiego. Zobaczmy, kto się będzie śmiał ostatni i czy wy, Anglicy, naprawdę macie poczucie humoru.

Odwróciła się i wymaszerowała z baru w towarzystwie ojca, który z mistrzowską hipokryzją powtarzał: „Mocne słowa, *ma chérie*... Ale o co chodzi z tym promem?”.

* * *

Prom z Cherbourga miał dopiero dotrzeć do Poole. Zanim przybił, w wiadomościach pojawiło się jeszcze kilka rewelacji związanych z referendum.

Najpierw wysłuchaliśmy historii o tym, że Unia Europejska płaci Francji krocie za budowanie farm wiatrowych. Podano, że Francuzi dostawali tyle pieniędzy od brukselskich lobbystów zajmujących się odnawialnymi źródłami energii, że zgodzili się nawet na budowę wiatraków w pobliżu zabytków narodowych. Dziennikarz z brytyjską flagą na krawacie oznajmił, że pieniądze prawdopodobnie trafiają prosto do kieszeni francuskich rolników, i przewidywał, że tylko połowa planowanych farm wiatrowych „ujrzy światło dzienne lub raczej poczuje wiatr w żaglach”. Na widowni rozległ się śmiech. To woda na młyn – lub raczej na wiatrak – eurosceptyków.

Musiałem przyznać, że Elodie i jej ludzie szybko zareagowali na historię Duski. Tak jak zapowiedziała Elodie, bitwa jeszcze się nie skończyła.

Po raz kolejny podszedł do mnie Peter, wyrażając żal i współczucie. Jako europesymista wciąż wierzył, że to jednak Elodie wygra tę wojnę na słowa.

Lecz właśnie w tym momencie usłyszeliśmy dobre wiadomości.

Najpierw pojawiła się intrygująca zajawka – jakiś pijany w sztok mężczyzna wygłaszał w pubie przemowę, w której liczne przekleństwa zostały zagłuszone. Kilka minut później, po reklamach, usłyszeliśmy całą historię.

Szturchnąłem Petera po przyjacielsku w ramię za to, że we mnie wątpił. To było nagranie przedstawiające Nicka Rummage'a, które nakręciłem w Strasburgu.

Mimo że drżała mi ręka, film wyszedł przezabawnie. Wszyscy w studio – prezenterzy, politycy i eksperci – uznali, że śmiesznie ogląda się przywódcę eurosceptyków, jak śpiewa piosenki nieskazitelną francuszczyzną, chwali się ciepłą posadką w strukturach unijnych, a na koniec jeszcze grozi Bogu ducha winnym Brytyjczykom w Dordogne. Nagranie powtarzano kilkakrotnie, słuchacze rozkoszowali się każdym słowem, w kluczowych momentach dopowiadali brakujące fragmenty i zatrzymywali filmik, gdy widoczna była czerwona, zaśliniona twarz Rummage'a.

– Eunuchy dostały po jajach. Za przeproszeniem – odezwał się z szerokim uśmiechem proeuropejski polityk, po czym prezenter z powagą oznajmił, że jednego z członków partii EUNUK poproszono o komentarz na temat nagrania, ale nie odpowiedział. Zarządzono zatem kolejną przerwę na reklamy.

Manon i ja pocałowaliśmy się.

– Teraz wszystko zależy od promu – powiedziała.

Skinąłem głową. To było najtrudniejsze z naszych zadań. Nie byliśmy pewni, czy uda nam się uzyskać zamierzony rezultat.

* * *

Nasi współspiskowcy podeszli, by uścisnąć nam ręce, poklepać nas po plecach lub – jak w przypadku Danny'ego – zaśpiewać po francusku, a wszystko z powodu nagrania z Rummage'em. Nikt w Brukseli nie lubił tego gościa. Mówiło się, że nawet jego przyjaciele w rzeczywistości go nie cierpią.

Prezenter oznajmił teraz, że otrzymano „niesamowity materiał filmowy” na temat promu, który przybił do południowego wybrzeża Anglii. Jak twierdził mężczyzna, „mamy do czynienia z nowym problemem z imigrantami”.

Wszyscy przestaliśmy rozmawiać i wpatrzyliśmy się w ekran.

Wyczuwając napięcie bijące od naszej niewielkiej gromadki, pozostali widzowie również się zamknęli. Cisza wydawała się rozprzestrzeniać po całym lokalu, gdy biały statek wpływał do oświetlonej przystani. Gdy otwarto wjazd na prom, w naszej części baru słyhać było tylko szmer cichych rozmów.

Kamera oddaliła się teraz i zobaczyliśmy całe nabrzeże. O tak późnej porze port był już opustoszały, nie licząc ludzi czekających na prom. Wśród nich łatwo było dostrzec dziennikarzy. Mieli kamery, światła i mikrofony.

Po rampie dla samochodów ruszyło kilkanaście osób – najwyraźniej miały zamiar powstrzymać znajdujące się w środku pojazdy. Wyglądało to na jakąś demonstrację. Obraz z kamery znów się zbliżył. Zauważyłem, że niektórzy nieśli transparenty. Komentator powiedział, że to podobno przybywają Bretończycy, żeby ubiegać się o azyl w Wielkiej Brytanii.

Poczułem, że Manon jeszcze mocniej ściska mnie za rękę.

Słyszeliśmy pokrzykiwania Bretończyków. Jeden z nich odłączył się od grupy i zaczął iść w stronę kamer. Był to mężczyzna w średnim wieku ubrany w pasiasty rybacki sweter. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Zanim jednak zdążył zwerbalizować swoje żądania, z promy dobiegły jakieś krzyki i obiektyw kamery przesunął się w tamtą stronę. Gdy obraz się wyostrzył, wszyscy przed telewizorem mimowolnie się zaśmiali.

Po rampie niczym czołgi w dzień lądowania w Normandii toczył się szereg skuterów dla niepełnosprawnych. Ciasna formacja czerwonych czterokołowych wózków niczym klucz gęsi zmierzała w stronę Bretończyków, zmuszając ich do ucieczki. Następnie nieduże pojazdy pełną parą – czyli w tempie spacerowym – ruszyły w stronę dziennikarzy z kamerami.

Staruszkowie pochyleni nad kierownicami skuterów mieli czapki z daszkiem i koszulki z flagą brytyjską. Komentator stwierdził, że to prawdopodobnie zlot reprezentacji kolarskiej z olimpiady w Londynie w 1948 roku.

Pierwszy skuter wyminął jednego z Bretończyków, który zatrzymał się, aby spojrzeć, co to za zamieszanie. Mały pojazd z piskiem (lub raczej z pomrukiem) opon zatrzymał się tuż przed kamerą. Siwowłosa staruszka z zaróżowionymi policzkami i założoną tył na przód bejsbolówką puściła oko prosto w obiektyw. Dziennikarz wyciągnął w jej stronę mikrofon, prosząc o komentarz.

– Przepraszam, złociutki, nie wiesz, gdzie tu jest toaleta? – zapytała starsza pani.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, podjechał drugi skuter. Kolejna staruszka skinęła w stronę mikrofonu i czekała, aż wszystkie kamery zwrócą się na nią.

– Jesteśmy Brytyjczykami zamieszkałymi we Francji – odezwała się nieco drżącym głosem. – Ale teraz wracamy do domu. Jeśli Wielka Brytania opuści Unię Europejską, wszyscy brytyjscy emeryci za granicą utracą automatycznie prawo do darmowych świadczeń medycznych na kontynencie. Dlatego wracamy do domu. Możesz mi powiedzieć, młody człowieku, gdzie mogę się zapisać do poradni lekarza rodzinnego?

Teraz wtrąciła się pierwsza staruszka, ta, która szukała toalety:

– O tak, mój mąż George potrzebuje, żeby mu wyregulować rozrusznik. Mówi, że to wszystko przez tę godzinę różnicy czasu. Gdzie znajdziemy najbliższą izbę przyjęć?

Przed kamerami pojawiały się kolejne skutery.

Jakiś staruszek z polarową bluzą narzuconą na ramiona zawołał:

– Cholernie zimno u was w tej Anglii. Gdzie mogę się ubiegać o dopłatę do ogrzewania?

Wąta starsza pani w koszulce włożonej tył na przód zeszła ze skutera i chwyciła reportera za rękaw. Kamera od razu skierowała się na jej radośnie uśmiechniętą twarz.

– Czy pan jest moim mężem? – zapytała. – Jak ja się nazywam?

Dołączyłem się do gromkich oklasków, jakimi nagrodzono w barze tę wypowiedź.

W przeciwieństwie do wszystkich zebranych, nie licząc Manon, wiedziałem, że to tylko przedstawienie. To był pomysł Petera. Powiedział mi, że jego matka jest emerytowaną aktorką i przez większość roku mieszka w Normandii. Mówił, że podobno założyła tu amatorską trupę teatralną dla emerytów z zagranicy. Dodał, że wszyscy chętnie urządzią dla nas mały spektakl.

Kilka razy pogadałem z nimi na Skypie, szybko zamówiłem i wysłałem im czapki i koszulki z nadrukami, a na koniec – to była najbardziej kosztowna część przedsięwzięcia,

lecz warto było – poprosiłem Manon, żeby potargowała się z francuskim dostawcą sprzętu medycznego. W końcu jednak udało się dowieźć seniorów i skutery na czas do Cherbourga.

Teraz zaś starsi aktorzy zaczęli się rozkręcać. Jeden z mężczyzn wypinał prosto do kamery swój obszerny biały tyłek, domagając się zastrzyku z insuliny. Jakaś kobieta uskarżała się, że przed chwilą molestował ją bretoński rolnik, więc żąda dwudziestoczworgodzinnej ochrony policyjnej.

– Powiedzcie pani Thatcher, że na nią głosowałam! – zawołała staruszka, po czym rzuciła się na najbliższego Francuza.

Na ekranie znów pojawiła się kobieta, która szukała toalety.

– Jeśli zagłosujecie za wyjściem z Unii, wszyscy wrócimy do ojczyzny. A na kontynencie mieszkają miliony Brytyjczyków takich jak my – ostrzegła, po czym puściła oko do kamery.

Nagle dookoła Manon i mnie zrobił się tłok. Peter uśmiechał się od ucha do ucha, Ed w zamyśleniu kiwał głową, obok niego stał pijany Danny, a wyluzowany Gustav obejmował ramieniem Duszę. Do tego wszystkiego przyłączył się Jake, który uwielbia grupowe uściski. Wszyscy nam gratulowali takiej akcji. Tylko Włoch i Austro-Węgierka trzymali się z dala – stali blisko siebie, z pochylonymi głowami. Bez wątpienia knuli spisek, żeby Austria zaanektowała Toskanię albo na odwrót.

W całym tym ścisku Manon i ja nie mieliśmy wyjścia – musieliśmy się przytulić.

– To jak, myślisz, że to było ostateczne *oui*? – zapytał Jake, kiedy towarzystwo rozluźniło uścisk.

My z Manon jednak zostaliśmy blisko siebie.

– Trudno powiedzieć – odparłem. – Wyniki sondaży są... – Uniosłem wzrok na ekran.

Wartości procentowe zniknęły. Musiała wybić północ. Koniec z sondażami. Nareszcie.

– Teraz przynajmniej brytyjscy wyborcy wiedzą już wszystko – odezwała się Manon.

– Tak, jutro rano ludzie sami zdecydują, co ma być dalej – przyznałem. – Trzeba się z tym przespać.

Wymownie uniosłem brew, patrząc na Manon. Uśmiechnęła się.

– Ej, chłopie, chyba nie masz zamiaru teraz *iść spać*? – To był, rzecz jasna, Jake. – *Allez*, Paul, spójrz na Manon, nawet ty zauważysz, że jest całkowicie zdepres... zdres... ech...

Odciągnąłem Manon, zanim Jake zdążył wtajemniczyć ją w szczegóły swojej terapii dla par.

Za obopólną zgodą razem z Manon przystanęliśmy na progu kafejki i trzymając się za ręce, jeszcze raz spojrzeliśmy na scenę, którą pomogliśmy stworzyć.

Na ekranie telewizora po raz kolejny pokazywano pochód skuterów, a w barze tłum niedopitych unijnych przepustkowców wiwatował na cześć inwazji emerytów.

Zastanawiałem się, dlaczego eurokratom tak zależy na wyniku referendum. Niezależnie od tego, jaki będzie, posadom urzędników z Plux nic nie zagrozi. Może kariery brytyjskich pracowników służb cywilnych na jakiś czas staną w miejscu, jeśli Brytyjczycy zagłosują za wyjściem z Unii, ale eurokraci z innych krajów pracujący w Brukseli mogą raczej być pewni stabilnej, w miarę zamożnej przyszłości.

Mimo wszystko wyglądało na to, że przyszłość Europy i ich własne w niej miejsce wcale nie są im obojętne. Naprawdę się tym przejęli. Wiwatowali, bili brawo i trzymali kciuki za swoją ekipę. Wierzyli w Brukselę. To dziwne, lecz poczułem wzruszenie.

– *Allez, Paul!* – Manon pociągnęła mnie za rękę. – Powinieneś posłuchać swojego przyjaciela Jake’a. Trzy miesiące to dla dziewczyny strasznie długo.

Miała rację. Dziś wieczorem Unia Europejska może sama zatroszczyć się o swoje *merde, zut, cacarella, kaoc’h, kaka, mokordo* i wszystkie inne określenia odnoszące się do kłopotów.

Ja miałem zamiar zawiązać własny międzynarodowy sojusz.

Na razie dysponowałem jeszcze łóżkiem, za które płacili Francuzi.

Jeśli Wielka Brytania wystąpi z unii, brytyjscy piosenkarze będą mieli większe szanse na wygraną Eurowizji

Doniesienie w brytyjskiej prasie, 2016

Kiedy budzisz się nad ranem, pierwszy raz obok nowej osoby, towarzyszy ci wyjątkowe uczucie – przez całą noc doświadczasz nowych zapachów, smaków, dźwięków i odczuć, a kiedy pojawia się pierwszy promień słońca, czekasz też na nowe obrazy.

Tak się właśnie czułem nad ranem, po potyczce z Elodie. Obudziłem się, czując obok siebie czyjąś przyjemną obecność. Wyciągnąłem rękę i pogładziłem palcami jeszcze niezbyt dobrze znajome kształty. Manon odwróciła się w moją stronę. Nadszedł czas na leniwe poranne *bonjour*.

Byliśmy u mnie. Spodziewałem się, że lada chwila Elodie wyrzuci mnie z tego mieszkania, ale na razie dobrze mi tu było, choćby ze względu na wielkie łóżko z żelazną ramą. Chwywanie wąskiej, zimnej poręczy łóżka lub patrzenie, jak robi to ktoś inny, ma w sobie nieodparty urok.

W końcu wstałem, żeby zrobić kawę. Trzeba też było rzucić okiem na wieści w sprawie referendum. Jak zwykle była to głównie przepychanka słowna – „To *my* wygramy”, „O nie, *my* wygramy” – większość opinii publicznej była jednak zdania, że kłamstwa opowiedziane przez zwolenników Brexitu obrócą się przeciwko nim.

Podczas gdy Brytyjczycy umieszczali krzyżyki na kartach do głosowania – lub siedzieli w domach i po cichu liczyli na pomyślny wynik – Manon poszła na spotkanie ze swoimi tajemniczymi przełożonymi, ja zaś zacząłem się pakować, na wypadek gdyby Elodie przysłała swoich totumfackich, żeby mnie wyrzucili na bruk. Potem zadzwoniłem do Jake’a, żeby zanudzić go na śmierć opowieściami o tym, jak miło jest być z kobietą, którą się szanuje i z którą chciałoby się spędzić więcej niż jedną noc.

– Czy ona ma mieszkanie, do którego mógłbyś się przeprowadzić? – odparł tylko mój przyjaciel.

Stary, dobry Jake. Nigdy się nie zmieni.

Wieczorem wybraliśmy się z Manon do kilku pubów przy Flux w towarzystwie Danny’ego i jego eurokumpli. Ogólne nastroje trafnie podsumował Włoch Toni, mówiąc, że w przyszłym tygodniu wszyscy zdążą już zapomnieć takie słowo jak Brexit. Większość mieszkańców Brukseli pewnie przyznałaby mu rację.

Kiedy obudziłem się po drugiej nocy spędzonej z Manon – Elodie w dalszym ciągu nie zdążyła nam przeszkodzić – towarzyszyły mi odczucia takie same jak poprzednio: miękki dotyk, zadowolenie i spokój, a do tego jeszcze przemożne pragnienie, żeby przytulić się do niej i owinąć kołdrą, chowając się przed chłodem belgijskiego poranka. Przy nowej kochance odpada piżama czy tiszert, prawda? Nagość jest, jak mawiają Francuzi, *de rigueur*. A mówiąc o rygorze – czy też wigorze – zanim otwarłem oczy, wiedziałem, że mam

zarówno wigor, jak i apetyt na wszystkie doznania fizyczne i emocjonalne, jakie niósł ze sobą nowy dzień. Życie wydawało się piękne.

Niespodziewanie jednak poczułem ból przeszywający płatek ucha, a towarzyszyło mu głośnie syknięcie – podejrzewam, że podobne usłyszelibyście, siadając przypadkiem na gnieździe z jajami kobry. Podniosłem powieki i ujrzałem Manon, nagą od pasa w górę – z tego, co widziałem (od pasa w dół też była naga, o ile dobrze pamiętam). Szczypała mnie w prawe ucho i teatralnym szeptem mówiła „wstawaj!” kolejno w kilku językach.

Zamiast rozmarzonego, pełnego satysfakcji spojrzenia, jakiego oczekiwałem rankiem po drugiej wspólnie spędzonej nocy, na jej twarzy malowała się czysta furia.

– Czy wszyscy twoi rodacy to idioci? – zapytała po angielsku.

Zamrugałem, spoglądając na ekran telefonu, który podtykała mi pod nos, po czym odparłem:

– No, nie. Wychodzi na to, że tylko pięćdziesiąt dwa procent.

Aż do tej chwili wydawało się to niemożliwe. Brexitowcy wygrali.

Przeszliśmy do salonu, żeby obejrzeć w telewizji podsumowanie wyników referendum. Usiedliśmy obok siebie na aksamitnej sofie. Otuleni białą pierzyną wyglądaliśmy jak dwugłowa larwa.

Na belgijskim kanale francuskojęzyczny reporter stał pod rzędem unijnych flag przed budynkiem Komisji Europejskiej i wygłaszał swego rodzaju elegię na cześć dwudziestej ósmej flagi, która zostanie wkrótce zdjęta i zamknięta w archiwum Unii Europejskiej. Znając Belgów, zrobią z niej jakąś dziwną rzeźbę – może tym razem będzie to bielizna dla małej Jeanneke, obnażonej kuzynki Manneken Pisa.

Nagle – a to dopiero! – na ekranie obok reportera pojawiła się Elodie. Na jej twarzy malowała się irytująca mieszanka fałszywego współczucia i autentycznej radości, jaka zwykle towarzyszy francuskim zwycięstwom. Francuzi może i nie umieją przegrywać, ale w wygrywaniu są jeszcze gorsi.

Zapytana o opinię na temat wyników referendum, Elodie całkowicie zignorowała dziennikarza i zwróciła się bezpośrednio do kamery, przemawiając lekko zachrypniętym, uwodzicielskim głosem.

– Jesteśmy gotowi powitać zagraniczne banki w Paryżu – zapewniła. – Brytyjska gospodarka będzie teraz tak niestabilna, że byłoby niedobrze, gdyby banki zostały w Londynie. Sami pracownicy szybko odkryją, że w Paryżu mieszka się o wiele lepiej niż w Londynie. Mieszkania są tu tańsze, a styl życia o niebo lepszy. Nie będzie też potrzeby importowania szampana po absurdalnie wysokich angielskich cenach, ma się rozumieć. – Elodie wydała z siebie śmiech, który musiała długo ćwiczyć, po czym nagle spowaźniała. – To również doskonała okazja na powrót do domu wszystkich francuskich obywateli pracujących w Londynie. Zarówno oni, jak i ich rodziny otrzymają tu o wiele lepszą opiekę medyczną, nie wspominając o smaczniejszym jedzeniu. Zresztą kto wie, być może jako obywatele Unii Europejskiej zostaną wkrótce przez Brytyjczyków deportowani? Tak, to zdecydowanie czas na powrót do domu, do Paryża – zakończyła.

W tej chwili niepokojąco przypominała młodą Margaret Thatcher – jej kobiecego uśmiech nie zdołał ukryć twardego spojrzenia.

– *Quelle salope* – skomentowała Manon. Co za suka.

– Zobaczymy ją na wszystkich francuskojęzycznych kanałach. Będzie próbowała zahipnotyzować ekspatów, żeby czym prędzej wracali do ojczyzny – odparłem. – Wyłącz ją w trosce o nasze zdrowie psychiczne.

Sięgnąłem po pilota, ale Manon, znacznie bardziej rozbudzona niż ja, uprzedziła mnie i zgarnęła mi go sprzed nosa.

– Nie, patrz tylko, Paul, przecież to twój przyjaciel!

Zadowolenie na twarzy Elodie nieco przywiędło, gdy u drugiego boku reportera pojawił się jakiś mężczyzna. To był francuski polityk, Yves Remord – tym razem niesmak na jego twarzy był jeszcze wyraźniejszy niż zwykle.

– Wynik referendum dowodzi tego, o czym od dawna wiedzieliśmy – oznajmił. – Dowodzi brytyjskiej pogardy dla Europy, całkowitego braku poczucia solidarności z kimkolwiek oprócz samych siebie, pradawnej chęci odizolowania własnych wysp, żeby móc się zająć swoimi zaściankowymi, bzdurnymi problemami. Jak powiedział De Gaulle w 1946 roku, „to Brytyjczycy są prawdziwym wrogiem Europy, nie Niemcy”.

– Naprawdę tak powiedział? – zapytał reporter, ale umilkł pod surowym spojrzeniem Remorda.

– Teraz domagamy się – mówił dalej polityk – prawa do podobnego referendum we Francji. Zagłosujmy, czy chcemy powstrzymać imigrację i zlikwidować obozy dla uchodźców, które nam narzucono. Otwórzmy tunel dla wszystkich uchodźców w Calais. Jeśli będą chcieli jechać do Anglii, droga wolna...

Po raz pierwszy dostrzegłem na twarzy Remorda autentyczną radość.

– Nie o to wcale chodzi Francuzom – wtrąciła Elodie. – Francuzi chcą zostać w Europie, wzmocnić gospodarkę od wewnątrz i kontynuować wymianę handlową z resztą świata, a Brytyjczycy będą w tym czasie samotnie...

– Co takiego? – Remord znów wykrzywił usta w znajomym grymasie.

Kamera cofnęła się, żeby objąć wszystkie trzy postaci pod rzędem flag. Zdezorientowany reporter stał między dwojgiem wściekłych francuskich polityków.

– To absurd – powiedział Remord. – Prowadziła pani kampanię promującą Brexit, *Madame*, chciała pani uszczuplenia Unii Europejskiej, a sama chce pani w niej zostać? Co za hipokryzja! Ja przynajmniej jestem szczerzy. Nigdy bym...

Nie było nam dane się dowiedzieć, czego Remord by nigdy nie zrobił, bo Manon chrząknęła z niezadowoleniem i wyłączyła telewizor.

– *Quel bordel* – jęknęła. Ale burdel!

Niestety w tym typowo francuskim sformułowaniu nie kryje się żadna aluzja erotyczna. Chodzi po prostu o bałagan. To w sumie dziwne, bo z obrazów impresjonistów wynika, że we francuskich burdelach panowały porządek i dobra organizacja.

Wszedłem do wielkiej wanny, żeby wziąć prysznic, i zastanawiałem się, co, u licha, zrobić z resztą swojego życia. Nagle bycie Brytyjczykiem na kontynencie przestało być czystą przyjemnością, jaką było do tej pory (no, wyjąwszy te sytuacje, kiedy rywalizowałem z francuskimi współpracownikami, szefami i biurokratami). Najbardziej martwiło mnie to, że od tej pory Francuzi mogą patrzeć na mnie z pogardą – jak na zdrajcę lub kogoś, kto łatwo się poddaje. W przeszłości mieli jednak słabość do Anglików, szczególnie jeśli wykazywali chęć uczenia się ich języka.

Po referendum Francja może wprowadzić pozwolenia na pobyt w kraju i polecić urzędnikom z prefektury, żeby w przypadku Brytyjczyków zawsze okazywało się, że brakuje jakiejś kserokopii albo dowodu zapłaty czynszu. Jeśli zostanie we Francji, może się okazać, że tutejsza biurokracja nie da mi żyć.

W takim wypadku, skoro Elodie już mnie zwolniła, czy rozsądnie byłoby wracać do Paryża? Może powinienem zostać w Brukseli? A może w ogóle dać sobie spokój i wracać w rodzinne strony, do Blighty?

Zacząłem się wycierać. Nie doszedłem do żadnych konstruktywnych wniosków poza tym, że moim kolejnym posunięciem powinien być kubek mocnej kawy.

W tym momencie do łazienki weszła Manon. W rękę miała mój telefon. Z przykrością stwierdziłem, że była już całkowicie ubrana.

– Jakiś dziwak do ciebie dzwoni – oznajmiła. – Odebrałam, bo uznałam, że to może być coś ważnego.

Zauważyłem, że mój rozmówca dzwoni z telefonu stacjonarnego, z zastrzeżonego numeru.

– Halo? – powiedziałem.

Po drugiej stronie rozległ się głęboki głos z silnym obcym akcentem:

– Pan Wess Pol? Briiiiiijczyik, prrrawda?

– Z kim rozmawiam? – spytałem, nie chcąc się zbyt wcześnie ujawniać.

– Chciałbiiii pan kupiiić eurrrropejski paszprrrrt? Mam w dobrrrrrej cenie rrrrumuńskie, węgierrrrskie i polskie.

– Co takiego?

– Dobrrrrra, dobrrrra, frrrrrancuskie i niemieczkie też mam, ale barrrrdzo drrrrrrogie.

– Kto mówi, u diabła?

– Bez nazwisk. Wy Angliiiiiicy potrzebować eurrrropejskich paszprrrrrtów, prrrawda? Inaczej utkniecie na waszej małej wyspie, koniec z podrrrrróżami. E viva Espana porrrrrr favorrrrrr? No grrrrracias! Ale ja mam kontakty we wszystkich konsulatach w Brrrrukseli.

– Nie potrzebuję żadnych kontaktów w konsulatach.

– Nie? Ma pan babcię w Irrrrlandii? Szczęściarz z pana. Sprzedałby mi pan swoją babcię? Dam dobrrrrrą cenę, we frrrrrrankach szwajcarrrrskich.

– Nie mieszaj w to mojej babci – rzuciłem i zakończyłem połączenie.

– Kto to był? – spytała Manon.

Przez cały czas stała w łazience, żeby słyszeć rozmowę.

– Nie wiem, ale pewnie Jake. Założę się, że nawdychał się tych swoich substancji, z których czerpie inspirację do tworzenia wierszy.

Manon wzruszyła ramionami i wyszła. Wytarłem się do końca. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, gdy mój telefon znów zapiszczał. Tym razem był to esemes od Danny'ego od ostryg.

„Nabrałem cię, co? Przepraszam, stary. Ale jeśli będziesz potrzebował kontaktów w jakimś konsulacie, daj znać. Poważnie”.

Zastałem Manon w kuchni. Robiła kawę, która miała postawić nas na nogi. Pokazałem jej esemesa.

– Idiota – skomentowała, ale po chwili chyba zmieniła zdanie. – A wiesz, może to wcale nie taki zły pomysł, Paul. Może złożysz podanie o francuski paszport? Przecież mieszkasz w Paryżu już od dobrych kilku lat. Założyłeś tu firmę – masz swoją herbaciarnię. Jestem

pewna, że od razu przyznałoby ci obywatelstwo.

– Naprawdę?

Coś takiego nie przyszło mi do głowy. Miałbym stać się Francuzem? *Moi?*

– Tak. – Manon najwyraźniej spodobała się ta koncepcja. – Właściwie to *koniecznie musisz* stać się Francuzem, Paul. To doskonały pomysł. Jak najwięcej Brytyjczyków powinno się postarać o europejskie paszporty. To pokaże brexitowcom, co sądzicie o ich rasistowskiej, ksenofobicznej decyzji.

– Nie jestem pewien, czy wszyscy brexitowcy są rasistami.

– Może i nie wszyscy, ale sporo. Niech sobie siedzą na swojej wymarzonej wyspie, a ty postaraj się o francuski paszport.

– Chyba jeszcze za wcześnie na takie kroki? Nic się *de facto* jeszcze nie zmieniło.

– Mylisz się, to najlepszy moment, Paul. Musisz podjąć decyzję teraz i ratować się z tonącego statku, dopóki jeszcze są miejsca w szalupach. Twoi rodacy wyrąbali dziurę we własnym statku. On już tonie. Najgorsze jest to, że to *oni* są górą lodową. I znajdują się na statku.

– Nie może być góry lodowej na statku. Stopniałaby.

– Metafory nie topnieją, Paul.

Och, *merde*, pomyślałem. Bez sensu byłoby sprzeczać się z Francuzką, która przez całe liceum miała zajęcia z filozofii. A już na pewno nie przed poranną kawą.

Zrobiliśmy na śniadanie tosty z czerstwej bagietki, a potem wróciliśmy przed telewizor. Owinąłem się ręcznikiem, a Manon miała na sobie wczorajsze ubranie, jak gdyby musiała lada chwila wymknąć się z mieszkania niczym zawstydzona dziewczyna po nocy spędzonej z przygodnie poznanym facetem. Choć przecież spędziliśmy razem już dwie noce.

Chciałem pocałować ją przy śniadaniu, ale usunęła się, więc dotknąłem tylko jej policzka. Manon sięgnęła po pilota i włączyła tym razem brytyjskie wiadomości. Na pasku przewijały się wyniki referendum w podziale na poszczególne miasta. Na ekranie pojawiła się młoda kobieta. Stała na typowej brytyjskiej ulicy – w tle widać było kamienice z czerwonej cegły – i celowała mikrofonem w mężczyznę w średnim wieku, z tatuażem na szyi.

– Jak pan głosował? – zapytała.

– Za wyjściem. Sie wie – odparł facet głosem, w którym słyhać było silny walijski akcent.

– Dlaczego?

– A co takiego niby ta cała Unia dla nas zrobiła? – odpowiedział gość pytaniem na pytanie.

– Na przykład sfinansowała remont tego teatru – odparła reporterka, wskazując na niebieską tabliczkę na ceglanej fasadzie za nimi.

– Nigdy tam nie byłem. – Facet wzruszył ramionami.

– A czy to nie za unijne pieniądze odbudowano most po powodzi?

– Może i tak, ale co zrobili od tamtej pory?

– Na plaży kawałek dalej jest niebieska flaga. Na pewno przyjeżdża tu mnóstwo turystów.

– Turystów może i tak, ale co Unia zrobiła dla Walijszczyków?

– Jestem przekonana, że większość walijskich rolników dostaje dopłaty z Unii.

– No dobra, ale co Unia zrobiła *dla mnie*?

Manon znów jęknęła. Odniosłem wrażenie, że częściej jęczała z powodu wyników referendum niż podczas naszego niedawnego stosunku. Może emocjonalnie jest bardziej związana z Europą niż ze mną, pomyślałem.

– Naprawdę chcesz nadal dzielić narodowość z tym gościem? – zapytała.

– Może już niedługo, jeśli dojdzie do podziału Wielkiej Brytanii. Wkrótce Szkocja, Irlandia Północna i niektóre regiony Walii zagłosują za niepodległością i samodzielnie dołączą do Unii. Londyn też. A w Wielkiej Brytanii zostaną tylko regiony, które chciały Brexitu. Królowa będzie musiała się przenieść do Burnley.

– Zejdź na ziemię, Paul – poleciła mi Manon. – Ja mówię poważnie. Jeśli osoby takie jak ten facet wezmą się za decydowanie o brytyjskiej polityce, uzyskanie nowego europejskiego obywatelstwa będzie ważnym politycznym gestem. To będzie twój protest. Musisz wymierzyć policzek Wielkiej Brytanii.

Polaczek – co za określenie, pomyślałem, po czym poprawiłem Manon.

– Nie chcę wymierzać Wielkiej Brytanii *policzka* – odparłem. – Owszem, chętnie przyłożyłbym z liścia kilku politykom i obsikałbym drukarnię, z której wychodzi nakład niektórych gazet, ale sama Wielka Brytania nie zasługuje na policzek. Bardziej przydałaby się jej terapia; plaster na nadgarstek, który sama sobie podcięła. Widziałas wyniki głosowania. Kraj jest podzielony na pół – młodzi głosowali inaczej niż starzy, klasa robotnicza inaczej niż klasa średnia, mieszkańcy miast inaczej niż mieszkańcy wsi. Wszyscy zostaliśmy wrzuceni w to *merde* przez garstkę egoistycznych politycznych karierowiczów bez jaj. Musimy *ratować* Wielką Brytanię, zanim rozpadnie się na cztery małe kraiki i zatone w Atlantyku, a Amerykanie sprzedadzą nam po zawyżonych cenach tratwy ratunkowe chińskiej produkcji. To nie jest czas na wymierzanie policzków.

Musiałem wyglądać na autentycznie zasmuconego, bo Manon zrezygnowała z intensywnej kampanii i pogłaskała mnie po rękę. I po raz pierwszy tego dnia mnie pocałowała. No dobra, po raz pierwszy, odkąd wyszliśmy z łóżka.

– No, teraz już lepiej – powiedziałem, przyciągając ją do siebie. – Myślałem, że całkiem zapomniałaś o innych sferach życia poza polityką.

– Ależ skąd.

Roześmiała się i wymierzyła mi udawany policzek.

– To świetnie. Bo ja pamiętam o wszystkim. – To mówiąc, zacząłem rozpinać guziki jej bluzki.

– Mamy ważne rzeczy do zrobienia – odparła Manon, wstając, i ruszyła w stronę sypialni.

– Ważne rzeczy? – zapytałem z nadzieją.

– Tak. Ubieraj się. Musimy się spotkać z kilkoma osobami.

– Ach, o takie ważne ci chodziło. – Tym razem to ja jęknąłem. – Ale ja od dzisiaj nie mam pracy.

– To nie znaczy, że nie masz już nic do zrobienia w Brukseli. *Allez*, Paul!

Odkąd pamiętam, marzyłem o tym, żeby jakaś dziewczyna stanęła w drzwiach sypialni i powiedziała do mnie „*allez!*”. Manon zrobiła to wczoraj wieczorem. Moje marzenie się spełniło. Ale teraz, po ogłoszeniu wyników referendum, użyła tej samej techniki, żeby zmusić mnie do włożenia ubrań. Właśnie w ten sposób marzenia zamieniają się

w koszmary.

Kiedy wyszliśmy z domu, na ulicach było dziwnie cicho. Przypomniały mi się makabryczne poranki w Paryżu po tym, jak Francja odpadła z rozgrywek piłki nożnej.

Dookoła nie było żywej duszy, nie licząc kilku osób, które wyszły wyprowadzić psy, oraz młodej kobiety, która biegła, pchając przed sobą sportowy wózek ze śpiącym dzieckiem. Pewnie matka ekspatka.

Manon truchtała ulicą prawie tak szybko jak ta uprawiająca jogging mamusia, jak gdyby nie mogła się doczekać, żeby znów znaleźć się w jakimś pomieszczeniu, zamiast kręcić się na widoku.

– A z kim właściwie chcemy się spotkać? – zapytałem.

Manon odparła, że chce porozmawiać z kilkoma osobami w parlamencie, żeby mieć pewność, że brytyjscy eurodeputowani utracą swoje przywileje tak szybko, jak tylko współczesna elektronika pozwoli.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziałem, przyspieszając kroku. – Wielka Brytania jeszcze nie wyszła z Unii. Nasi eurodeputowani to wciąż eurodeputowani.

– Owszem, na razie, ale kiedy Brexit faktycznie dojdzie do skutku, niektórzy z nich będą się kwalifikować do unijnej emerytury. Nawet ci, którzy namawiali do głosowania za wyjściem. Chcę dopilnować, żeby to Wielka Brytania wypłacała im emerytury, a nie Bruksela. To zajmie trochę czasu, więc najlepiej od razu się do tego zabrać.

– No, no! – Wiedziałem, że Manon jest konkretna, ale tym razem przeszła samą siebie, jeśli chodzi o dalekowzroczność. – Przez cały czas obmyślałaś plan awaryjny na taką okoliczność, prawda?

– Oczywiście. Gdy tylko Wielka Brytania uruchomi procedurę artykułu 50. i rozpocznie oficjalny proces wyjścia z Unii, Bruksela będzie miała... Jak wy to mówicie? *Une batterie*?

– Zestaw perkusyjny?

Znałem to słowo od mojego kumpla, muzyka. Choć nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić Brukselę grającą na perkusji, żeby uczcić procedurę artykułu 50.

– Nie, głupku, baterię, arsenał broni dyplomatycznej, którą będzie można wykorzystać przeciwko Wielkiej Brytanii. Emerytury to tylko jeden z przykładów. Pozostają jeszcze sankcje gospodarcze, podatki od importu, odmowa transakcji handlowych i takie tam. Musisz poinformować Brytyjczyków.

– Poinformować?

Manon przestała biec i chwyciła moje dłonie, spoglądając mi prosto w oczy. Chyba chciała się upewnić, że zrozumiałem, że nie chodzi o żadną perkusję.

– Tak. Spotkasz się z tym twoim gościem z DG Communication, Peterem. Kiedy byłeś pod prysznicem, uprzedziłam go, że do niego zajrzysz dziś z rana.

– Co takiego?

A niech mnie, ta kobieta to cyborg. Jej fale mózgowe z pewnością przypominają arkusze Excela. To mi zupełnie nie pasowało do dziewczyny, którą przez ostatnie dwie noce oglądałem głównie w łóżku z żelazną ramą.

– No tak. Nie masz chyba nic przeciwko temu, Paul, że zorganizowałam ci poranek? Sam rozumiesz, że to pilne.

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu – odparłem. – Myślałem, że Unia sama powinna radzić sobie z własnym *merde*, ale teraz nie jestem już tego taki pewien. Ludziom z DG Communication faktycznie trzeba przemówić do rozumu. Przed referendum pytałem ich, dlaczego nie dementowali tych bzdurnych plotek, które podawano do wiadomości podczas kampanii. Nie chciało im się. Nie zadali sobie trudu. A przez takie bzdurne pogłoski brexitowcy wygrali referendum. Sporą winę ponosi też sama Unia. Nie staje we własnej obronie. Nie uzmysłowili ludziom, o co naprawdę chodzi w tym głosowaniu.

– Otóż to, Paul.

Swoją przemową zasłużyłem na miły pocałunek, który umyślnie przedłużyłem, przyciągając do siebie Manon. Przypomniałem nam obojgu, że jeszcze niedawno nasze ciała były o wiele bliżej, i to bez ubrań.

– Spotkamy się później, OK? – odezwałem się, wciąż trzymając Manon w ramionach. – Nie możemy dopuścić, żeby polityka odciągnęła nas od... No, od siebie nawzajem.

– Ma się rozumieć. Ale najpierw obowiązki. – Manon dała mi jeszcze jednego buziaka, po czym wyswobodziła się z moich objęć. – Idziemy do budynku komisji. *Allez!*

I znów to słowo z mojej francuskiej fantazji. Tym razem brzmiało jeszcze mniej kusząco niż poprzednio. Komisja Europejska nie mieściła się w moich fantazjach erotycznych.

Manon zatrzymała taksówkę, ale ja wolałem iść piechotą. Gdy zbliżałem się do budynków administracji unijnej, zauważyłem zmierzających do pracy eurokratów. Mieli na sobie letnie ubrania – kobiety kostiumy w jasnych kolorach, mężczyźni lekkie koszule i garnitury. Ich krok jednak nie przywodził na myśl radosnych letnich dni. Zdawali się przemykać ukradkiem, garbiąc się i kuląc, jakby przez całą noc kombinowali coś niecnego.

W tym momencie odezwała się moja brytyjska dusza. Pomyślałem, że w oczach niektórych ci ludzie kombinowali coś niecnego przez ostatnie cztery dekady. Uchodził im na sucho wystawny tryb życia i biurokracja rodem z Kafki, a teraz ktoś publicznie im to wytknął.

Dołączyłem do niewielkiej grupki osób idących Kunst-Wet. Uznałem, że to odpowiednia chwila, żeby zadzwonić do człowieka, który był największym fanem tej najnudniejszej alei w Europie.

– Cześć i *bonjour*, Paul, mój stary. Jak poszło? – zapytał mnie Jake.

– Jeszcze nie słyszałeś? Elodie dostała, czego chciała.

– Elodie też tam była?

– Co takiego?

– Był *ménage à trois*?

– O czym ty, do diabła, mówisz, Jake?

Mój podniesiony głos zwrócił uwagę jakiegoś eurokraty w błękitnej koszuli i ciemnych okularach. Mężczyzna szedł przede mną i do tej pory był pogrążony w odmętach politycznego kaca.

– No ty, Manon i Elodie? Błagam, powiedz, że nakręciłeś film.

Dopiero teraz zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Nie, Jake, mówię o referendum. Większość ludzi głosowała za Brexitem.

– Och, o tym już wiem. Mówiłem o *le sexe*. O tobie i Manon. To już *druga noc*. Nudno było? Nic nowego?

– Och, odpieprz się, Jake.

Idący przede mną facet odwrócił się i posłał mi karcące spojrzenie. Myślę jednak, że bardziej niż moje słowa mógł mu przeszkadzać mój akcent, który teraz musiał się kojarzyć z Brexitem.

– Już od kilku godzin wiem o *le Brexit*, Paul. Przez całą noc nie spałem. Byłem z dziewczyną, wyobraź sobie, pół Szkotką, pół Irlandką. Wybuchowa mieszanka. Jej mąż jest Anglikiem. W tej chwili przebywa w Londynie. Wiesz, że ona chciała, żebym...

– Za szczegóły dziękuję, Jake. Idę teraz na spotkanie i muszę się mentalnie przygotować. Nie potrzebuję, żebyś mi zaprzętał myśli swoją międzynarodową pornografią.

Ku mojemu zaskoczeniu Jake zmienił temat i zapytał, co to za spotkanie. Kiedy mu wyjaśniłem, że idę do DG, wykazał autentyczne zainteresowanie.

– Masz rację, Paul – uznał. – Ktoś musi uświadomić Brytyjczykom konsekwencje takiego wyboru. Idź tam. Daj czadu. *Bon courage*, stary.

– Dzięki, Jake – Już miałem się rozłączyć, wdzięczny za pozytywnego kopa do działania, lecz w ostatniej chwili powrócił stary Jake.

– Wiesz, w nocy ułożyłem kuplet, który może ci pomóc.

Miał na myśli wiersz, rzecz jasna.

– Nie, dziękuję, Jake, już i tak bardzo mi pomogłeś.

– Ten utwór nosi tytuł *Stosunki przerywane*. Chcesz posłuchać?

– Nie, Jake, naprawdę nie trzeba...

Było jednak za późno. Tuż przy uchu słyszałem głos przyjaciela. Zacisnąłem zęby.

– Wielka Brytania wypięła się na Unię Europejską,

Jak gość, co nie bżyka laski ubranej na niebiesko.

– Nie, Jake, daj spokój...

– Żółte gwiazdy są dlań jak blizny syfilityka.

– Jake, do jasnej...

– Taka to parszywa polityka.

Przez Brytyjczyków przyszłość Europy się zmieni,

Bo w ostatniej chwili chowają portfel do kieszeni,

Jak katolik, który spermy marnować nie lubi.

Lecz uwaga, Brytole, to początek waszej zguby,

Bo gdy liczycie na wyspie swe łupy,

Francja raz-dwa dobierze wam się do dupy.

Jake wreszcie umilkł. Słysząc było teraz tylko kroki na chodniku i szum przejeżdżających aut. Wiersz na szczęście dobiegł końca.

– Zrozumiałeś, Paul? Dobierze się do dupy, no nie? Ale dzieci z tego nie będzie.

– Tak, Jake, zrozumiałem. Czysta poezja.

– Mam tylko jeden mały problem z tym ostatnim wersem.

– Naprawdę? Mnie się wydawało, że w *każdym* wersie coś jest nie tak.

– Tak, tak. Chodzi mi o to, czy ma tam być tylko Francja. Może jeszcze Chiny? Ameryka? Indie? Wszyscy będą chcieli dobrać się Anglii do dupy, jak zostanie całkiem sama. Nawet Szkocja. Hej, złotko? Chcesz się dobrać Angolom do dupy, prawda? Nie, nie twojemu mężulkowi w Londynie. Mam na myśli *politiquement, métaphoriquement*...

Domyśliłem się, że Jake mówi do swojej nowej kochanki, której imię pewnie zdążył zapomnieć, jeśli w ogóle kiedykolwiek o nie zapytał. Wsadziłem telefon do kieszeni. To nie był najlepszy moment na kontynuowanie słownej potyczki z Jakiem. Zostało mi jeszcze tylko kilkaset metrów. Muszę oczyścić umysł i przygotować się na spotkanie z Peterem z DG.

Przed budynkiem komisji na masztach smętnie zwisały błękitne flagi. Promienie słońca padały na gwiazdki, które dziś wyglądały raczej jak chore na żółtaczkę, a nie złote. Wkłęsała, wzmacniana metalem fasada budynku bardziej niż kiedykolwiek przypominała fortecę. Wyobrażałem sobie twarze siedzących w środku urzędników wyglądających przez wąskie otwory na wrogi świat.

Zadzwoiłem do Petera, żeby go uprzedzić, że już jestem. Postanowiłem zaczekać w przestronnym lobby. Kiedy ostatnio tu przyszedłem, nie można było powiedzieć, żeby korytarz tętnił życiem, ale teraz przypominał wręcz katedrę przed pogrzebem. Eurokraci chodzili niemal na palcach, witając się tylko słabymi uśmiechami lub przyciszonym szeptem.

Peter zszedł do lobby, uściśnął mi dłoń i przeprowadził mnie przez bramki. Zanim dotarliśmy do windy, zaszczyił mnie tylko uniesieniem brwi i dziwnym grymasem. Może nie chciał, żeby ktoś słyszał go mówiącego w języku Brexitu?

Kiedy znaleźliśmy się sami za zasuwanyymi drzwiami i winda ruszyła w górę, wreszcie normalnie się odezwał.

– Co za cholerny bajzel. Jak mogli uwierzyć w te wszystkie pieprzone kłamstwa?

Spojrzał w sufit. Być może martwił się, że kamery zarejestrują naszą rozmowę i ktoś będzie mógł czytać z ruchu jego warg.

– No cóż, stało się, jak się stało, po części dlatego, że nie odważyliście się na głos dementować tamtych pierdół – odparłem.

Nie umiał na to odpowiedzieć.

Gdy wysiedliśmy, okazało się, że atmosfera na piętrze uległa zmianie. Kiedy byłem tu poprzednio, miałem wrażenie, że urzędnicy stanowią wyluzowaną, wesołą paczkę i całe dnie spędzają na rozmowach o niczym, podczas gdy ich kariery maszerują do przodu w stabilnym tempie. Oczekiwano od nich niewiele – mieli tylko produkować mało obraźliwe streszczenia niejasnych osiągnięć Unii Europejskiej i raz na jakiś czas przygotować raport o przypadkach naruszenia unijnych przepisów przez różne kraje członkowskie (z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, rzecz jasna). Teraz szerokie korytarze świeciły pustkami. Po drodze dostrzegłem tylko trzech przepustkowców w średnim wieku. Pochylali się nad biurkiem niczym sztab kryzysowy.

Peter wprowadził mnie do swojego biura i zamknął drzwi.

– No i co teraz zrobisz? – zapytałem, gdy tylko usiedliśmy po przeciwnych stronach jego biurka.

Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Wystąpię o belgijskie obywatelstwo, tak jak wszyscy.

– Nie o to mi chodziło. Chciałem zapytać, co zrobisz ze swoją karierą, skoro szykuje się Brexit.

– Ach tak, oczywiście – odparł zmieszany. – Możemy tylko wyrazić żal, że większość

Brytyjczyków nie uznaje ideałów, które propaguje Unia Europejska. Szczerze liczę na to, że Wielka Brytania w końcu postanowi zostać w Unii, żeby kontynuować pracę...

– Tak, to się nadaje na nagłówek do gazety, Peter. Na pewno zobaczysz swoje słowa we wszystkich brukowcach. Choć pewnie zajmą całą pierwszą stronę.

– Tylko tyle możemy zrobić.

– Wiesz, że to częściowo wasza wina, że tyle osób zagłosowało za Brexitem.

Tym razem Peter usiłował zaprotestować, ale nie dałem mu dojść do głosu.

– Nikt w Wielkiej Brytanii tak naprawdę nie wie, co robi Unia. Jasne, na mostach i budynkach wiszą tabliczki informacyjne, ale ludzie i tak oczekują, że mosty będą powstawać, więc nie są za nie jakoś szczególnie wdzięczni. Trzeba było mówić Brytyjczykom, że kiedy jadą na wakacje do Hiszpanii, to nie będą musieli pływać w morzu gówna, ponieważ Unia wdrożyła program plaż przyjaznych środowisku. A jeśli pojedą do Magaluf i okaże się, że hotel, który zarezerwowali, w istocie jest parkingiem, to mogą liczyć na zwrot pieniędzy dzięki temu, że Unia wprowadziła w całej Europie przepisy dotyczące ochrony konsumentów. Od tej pory Brytyjczycy będą musieli płacić za wizę albo spędzić połowę urlopu na lotnisku, stojąc w kolejce po pieczętkę w paszporcie.

Przerwałem, żeby zaczerpnąć powietrza. Poza tym skończyły mi się pomysły. Peter kręcił głową.

– Mówiłem ci, Paul, brytyjska prasa by nas nie posłuchała.

– To trzeba było porozklejać na ulicach plakaty i pokazać, jak wyglądały plaże przedtem, a jak wyglądają po wdrożeniu programu.

– I brytyjska prasa od razu zaczęłaby trąbić, że wydajemy pieniądze podatników na propagandę. Prawda jest taka, Paul, że ludzie, którzy zagłosowali za wyjściem z Unii, wcale nie chcieli poznać prawdy. Wierzyli w kłamstwa i to im wystarczyło. Po prostu nie bardzo lubią obcokrajowców i tyle. Wydaje im się, że gdy tylko Wielka Brytania wystąpi z Unii, powrócimy do czasów imperium i zaczniemy znów wygrywać w Pucharze Świata. Nie chodziło o prawdę.

Nagle poczułem, że uchodzi ze mnie energia. On chyba miał rację. W bzdury rozpowszechniane przez brexitowców można uwierzyć tylko, jeśli się tego chce.

– Teraz możemy najwyżej dyskretnie wywierać nacisk na brytyjskich polityków, żeby doprowadzili do zorganizowania drugiego referendum – oznajmił Peter.

– Tego nie można zrobić. Wyszlibyście tylko na takich, którzy nie potrafią przegrywać. To tak jakbyś chciał rzucać monetą, dopóki nie wypadnie to, co obstawiłeś. Manon twierdzi, że musicie ostrzec wszystkich, że po uruchomieniu procedury z artykułu 50. Unia będzie mogła po prostu odwrócić się od Wielkiej Brytanii i powiedzieć: „Chciecie zawrzeć umowę, która umożliwi tańszy import towarów na jednolity rynek? A odpierdzielcie się – w dwudziestu kilku językach!”.

– Oczywiście, to też planujemy. Ale brytyjska prasa od razu powie, że siejemy panikę. Projekt „Strach”, część druga.

Podejrzałem, że i tym razem Peter ma rację. Sytuacja wyglądała beznadziejnie.

– Czyli składasz podanie o belgijski paszport? – spytałem.

– O tak. Z tego, co widziałem dziś rano na Facebooku, strona rządu belgijskiego z informacjami na ten temat lada moment przestanie działać z powodu przeciążenia. Wszyscy Brytyjczycy, których znam, odkurzają znajomość francuskiego i flamandzkiego

i przypominają sobie informacje o królach Leopoldach i królowych Matyldach. Inni zaś ubiegają się o obywatelstwo współmałżonka. Za rok o tej porze w strukturach unijnych nie będzie ani jednego Brytyjczyka. A ty co? Możesz zostać Francuzem?

– Nie jestem pewien. Trzeba iść na rozmowę, jeśli się chce ubiegać o nową narodowość? Kiedy mówię po francusku, wszyscy myślą, że się z nich nabijam. Poza tym nie potrafię nawet wymówić nazwy ich hymnu.

– Mar-sy-lian-ka – powiedział z przekonaniem Peter.

Kilka razy próbowałem to za nim powtórzyć, ale jak większości Brytyjczyków wciąż wychodziło mi coś, co brzmiało raczej jak „Marsjanka”. Tak czy owak w ogóle nie przypominało języka francuskiego.

– Nie martw się, Paul. Myślę, że bardziej liczy się to, czy zaznaczysz odpowiednie pola w ankiecie ekonomicznej. Założę się, że Francuzi z otwartymi ramionami powitają wszystkich Brytyjczyków. Wyślą ci francuski paszport, gdy tylko klikniesz „tak” przy pytaniu, czy lubisz camembert.

– Ale ja go nie znoszę. Ser nie powinien być taki ciągnący. Wolę porządny, twardy ser Wensleydale.

Peter zacmokał z dezaprobatą.

– Zapominasz o czymś, Paul. Nadeszły takie czasy, kiedy mówienie prawdy nie jest w modzie. Musisz kłamać jak wszyscy dookoła. A teraz przepraszam, ale muszę cię deportować. Powiniennem iść sprawdzić, nad jakimi doniesieniami prasowymi pracuje mój zespół. – Mówiąc to, wstał. – Wiesz, nie chodzi tylko o Wielką Brytanię – dodał. – Musimy zewrzeć szyki jako Europa. Nie chcemy, żeby inne kraje organizowały podobne referenda. W przeciwnym wypadku ani się obejrzysz, a w Strasburgu co miesiąc spotykać się będą tylko Francja i Niemcy, żeby wspólnie zdecydować, które z dotkniętych bankructwem państweczek zaprosić do swojego małego klubu.

– W takim razie mam dla ciebie złe wiadomości – odparłem. – Francuscy patrioci już domagają się referendum.

– No i *voilà*. – Zabrzmiało to, jakby już był Belgiem. – Jeśli nie zachowamy ostrożności, czeka nas całkowity upadek. Wielka Brytania rozpadnie się na części, a Unia będzie się powoli kurczyć, w miarę jak kolejne kraje będą się odłączać. To będzie *la merde généralisée*.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Zostawiłem Petera, żeby się zastanowił, co, u licha, jego DG Communication chciałby teraz zakomunikować. Podejrzywałem jednak, że Peter najpierw zajmie się złożeniem wniosku o nowe obywatelstwo. Miał własne priorytety.

Kiedy zbliżałem się do wyjścia, zaczepił mnie mężczyzna, którego gdzieś już widziałem.

– Cześć! – zawołał, kiedy szedłem korytarzem w jego stronę.

Był to najgłośniejszy dźwięk, jaki tego dnia słyszałem. Mężczyzna miał przepustkę, ale nie zdołałem odczytać jego nazwiska.

– Jesteś Brytyjczykiem, prawda? – zapytał i uściśnił moją dłoń. – Asystentem eurodeputowanej, francuskiej, jeśli dobrze pamiętam?

Przypomniałem sobie: to ten dziennikarz z brukowca, który chciał wydusić ze mnie wywiad w Strasburgu.

– Cześć. Pewnie masz pełne ręce roboty w taki dzień jak dziś?

Chciałem wyrwać rękę, ale facet mocno ją trzymał.

– Och, ma się rozumieć. – Wyglądał na zachwyconego. – Wszyscy politycy wycofują się i zmieniają front, jak gdyby chcieli powiedzieć: „No chyba nie wzięliście moich słów na poważnie, wy matoły?”. I tak teraz będzie. Udzielisz mi wywiadu? Wiesz, parę słów od kogoś, kto jest w Brukseli?

– Właściwie już nie jestem.

– Zrezygnowałeś? Jeszcze lepiej.

– Nie, zostałem zwolniony.

– To już w ogóle super. Brytyjczyk na wylocie z Brukseli: już się zaczyna. Niezły tytuł.

Chodź na kawę, pogadamy.

Wciąż nie puszczał mojej ręki, szarpał ją teraz jeszcze mocniej. Zaczynało mi to działać na nerwy. Wyrwałem dłoń.

– Nie, dzięki. To przez was znaleźliśmy się w tej sytuacji, więc bądź tak dobry i wypierdalaj. I tak, możesz mnie zacytować.

Zdaję sobie sprawę, że moja riposta była tak nieświeża jak stuletni camembert, ale zawsze chciałem powiedzieć coś takiego. Żwawym krokiem ruszyłem do wyjścia, ignorując okrzyk, który rozległ się za moimi plecami:

– Sam wypierdalaj!

Zrobiłem się głodny, więc znalazłem tę belgijską kafejkę, w której już kiedyś przyszło mi szukać schronienia, i zamówiłem *moules-frites*. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi wydłubywanie z muszelek maleńkich kawałeczków słonego, żółtego gumowatego mięsa. Powtarzalna czynność pozwoli mi skupić się na myśleniu. Poza tym frytki pomagają na wszelkie rozterki.

Ktoś mógłby to uznać za zbytek ostrożności, ale mimo wszystko, zamawiając posiłek, starałem się mówić jak Niemiec albo Skandynaw. Kto wie, co kucharze w Brukseli będą teraz dodawać Anglikom do jedzenia. Co za problem napluć do sosu albo zastąpić majonez czymś innym, o czym lepiej nie mówić? Wyjąłem nawet telefon z kieszeni i udałem, że prowadzę rozmowę. Rzuciłem kilka słów w stylu: „yergen splergen nergen, danke!”, żeby przekonać kelnerkę, że nie jestem brexitowcem.

Zauważyłem, że mam wiadomość głosową od Manon. Prosiła, żebym oddzwonił, ale postanowiłem, że zrobię to dopiero wtedy, gdy dostanę swoje danie. Usiadłem przed kuflem belgijskiego piwa i po raz kolejny tego dnia zacząłem się głowić, co dalej.

W pewnym stopniu zależało to od planów Manon. Nie wiedziałem jeszcze, czy mnie w nich uwzględnią. Przez ostatnie kilka dni miałem wrażenie, że coś z tego będzie. Tak długo bawiliśmy się w kotka i myszkę, że kiedy wreszcie doszliśmy do porozumienia, była to raczej przemyślana decyzja, a nie przelotny romans. Tego ranka jednak Manon była niepokojąco zwięzła i rzeczowa. Po romantycznym napięciu nie pozostał nawet ślad, jak gdyby bańka, w której się znajdowaliśmy, nagle pękła. Jeśli tak się stało, miałem nadzieję, że da się to jeszcze jakoś naprawić.

Najbardziej trapiło mnie pytanie, czy jeśli wrócę – lub wrócimy – do Paryża, to mam się ubiegać o przyjęcie w poczet Francuzów.

Nie dawało mi to spokoju. Rozmowa z Peterem przypomniała mi, jakie jest przesłanie *Marsylianki*. Znałem przecież tekst hymnu – to pieśń bojowa. Jest tam fragment wzywający do broni, dalej coś o zboczonym krwią sztandarze, a na koniec jeszcze o pojeniu ziemi

nieczystą krwią, co ewidentnie ma podtekst rasistowski. Czy jestem gotów przyjąć obywatelstwo kraju, który co roku 14 lipca i przed każdym międzynarodowym meczem piłkarskim nawołuje do masakry?

Zabawnie się złożyło, bo gdy wyobrażałem sobie hordy Francuzów polewające krwią sałatkę z cukinii, zadzwoniła do mnie Elodie. Byłem tak zaskoczony, że odebrałem telefon.

– *Bonjour, Paul.*

– *Bonjour, Elodie?*

Zacząłem żałować tej rozmowy, zanim się rozpoczęła.

– I jak się czujesz tego ranka, Paul?

W jej głosie brzmiało szczere współczucie – najlepszy dowód na to, że rozkoszowała się tą sytuacją, mogąc traktować mnie z góry. Nie chciałem jej jednak oskarżyć, że dzwoni tylko po to, żeby cieszyć się z mojej porażki, bo dookoła siedziało mnóstwo ludzi, a w dalszym ciągu nie byłbym zadowolony, gdyby rozpoznali moją narodowość.

– OK – odparłem wreszcie. To międzynarodowe słowo.

– Tak się cieszę. Myślałam, że będzie ci smutno albo będziesz zły, albo jedno i drugie.

Jak na razie udawało jej się skutecznie zamaskować radość. Wyobrażałem sobie, że wymaga to od niej niezwyklej samokontroli.

– Neee – odparłem ze szwedzkim akcentem.

– No cóż, mam wrażenie, że odebrało ci mowę. Zatkanęło cię, jak wy to mawiacie.

– Neee – powtórzyłem.

– Tak czy inaczej, chciałabym ci pomóc, Paul.

– Hę?

– Tak. Chcę ci pomóc uzyskać francuskie obywatelstwo.

Cholera jasna, pomyślałem. Dlaczego wszyscy w kółko tylko o tym? Odpowiedziałem jednak tylko kolejnym nordyckim chrząknięciem.

– Wszystko w porządku, Paul? Stękasz, jakby cię kto za jaja ścisnął. Chyba nie jesteś w łóżku z Manon?

Chciałem zapytać, skąd, u licha, wie, że w ogóle byłem z nią w łóżku, ale pomyślałem, że kiedy widziała nas po raz ostatni, pewnie już się zanosilo, że właśnie tam wylądujemy.

– Neeee.

– Ach, więc to pewnie w dalszym ciągu szok. Przykro mi. To w stu procentach moja wina. Upokorzyłam cię. Zniszczyłam cię i twoje polityczne ideały. Odebrałam ci nadzieję.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że to brzmi tak, jakby było jej przykro z powodu popełnienia jakiejś gafy – tak jakby zapytała mnie, co słyhać u mojej babci dzień po jej pogrzebie. Nie mogłem jej jednak pozwolić, aby za bardzo się rozpędziła z tym udawanym współczuciem.

– Pffffff! – prychnąłem zupełnie nie po angielsku.

– Odebrałam ci nadzieję i zdeptałam jak mrówkę.

– *Et tu es un éléphant?* – Nie zdołałem już dłużej gryźć się w język.

– No, nareszcie się obudziłeś, Paul. Ale chyba chciałeś powiedzieć „*une éléphante*”, słonica. Musisz się trochę podciągnąć z gramatyki, jeśli chcesz zostać Francuzem.

– *Qui dit je veux?* – spytałem.

Byłem przekonany, że z taką gramatyką moje podanie o francuski paszport z pewnością by odrzucono.

– Co z tobą, Paul? Najpierw w ogóle nic nie mówisz, a teraz gadasz po francusku lub raczej w języku, który uważasz za francuski. Pijany jesteś czy co?

Skinąłem na kelnerkę, żeby dać jej znać, że zaraz wracam. Chyba miała to w nosie. Wstałem więc i wyszedłem na zewnątrz, żeby móc swobodnie pogadać po angielsku.

– Co jest z tobą, Elodie? Dlaczego dzwonisz do mnie dziś rano i gadasz tak, jakbyś miała ochotę mnie przelecieć w ramach pocieszenia? Chcesz namieszać między mną a Manon? Rozczaruję cię – nic z tego. Siedzę w kafejce nad kuflem belgijskiego piwa, więc nie, nie musisz się o mnie martwić.

– Ale ja chcę ci pomóc, Paul.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Chyba jednak potrzebujesz. I naprawdę mi na tym zależy.

– Dlaczego? Jaki masz w tym interes?

– Jaki ja mam interes?

– Tak, ty zawsze masz jakiś ukryty interes, Elodie. Gdybyś ocaliła świat przed globalnym ociepleniem, to tylko po to, żeby móc częściej nosić futro.

– No wiesz co, Paul! Naprawdę uważasz, że jestem aż tak... jak to się mówi?

– Szatańsko, cynicznie obłudna, że byłabyś w stanie wbić staremu przyjacielowi nóż w plecy, a potem sprzedać jego zdjęcia prasie? Tak, tak uważam. Może po prostu powiedz mi, czego chcesz i jaki masz w tym interes.

– Dobrze, już dobrze. Wszystko ci wyjaśnię, Paul. Niepokoję się. Remord i jego durni rasiści chcą rozpocząć kampanię promującą wyjście z Unii. Ja chcę, żeby Francja została, żeby stała się sercem Unii. A to się uda, jeśli dużo francuskich ekspatów wróci do ojczyzny, a Brytyjczycy będą chcieli do nas przyjeżdżać i ubiegać się o francuskie, belgijskie czy hiszpańskie obywatelstwo, zależnie od miejsca zamieszkania. Chcę, żeby europejskie obywatelstwo stało się modne i pożądane. I chciałabym, żebyś pomógł mi uczynić Europę bardziej seksowną. Pamiętasz, jak włożyłeś tamten krótki kilt?

Faktycznie, kilka lat wcześniej miałem swoje piętnaście minut internetowej sławy, kiedy dałem się sfotografować w Stanach Zjednoczonych – miałem na sobie damski kilt, wersję mini. Włożyłem go z powodów, które w tamtym czasie wydawały mi się logiczne.

– Nie nabierzesz mnie na gadkę o starych czasach, Elodie – rzuciłem. – Nie zapominaj, że w Ameryce też nieźle mnie wydudkałaś. Planowałaś to chyba jeszcze przed tym, jak zaprosiłaś mnie do Brukseli. Nie jestem zresztą pewien, czy chciałbym mieć francuskie obywatelstwo, więc zapomnij o tym.

– Tylko złóż podanie. Wystarczy wypełnić formularz. Pozwolę ci zostać w mieszkaniu przez kolejny miesiąc.

– Już się spakowałem. Mogę zwolnić mieszkanie.

– Zapłacę ci, Paul. Sto euro.

– Nie obrażaj mnie.

– To podaj swoją cenę. Pięćset euro? Tysiąc?

Miałem już dosyć jej kręactw i manipulacji. Poza tym przez okno kafejki widziałem, że kelnerka niesie już do mojego stolika tacę z *moules-frites*.

– *Au revoir*, Elodie.

Wydawało mi się, że zanim się rozłączyłem, usłyszałem krzyk: „Pięć tysięcy!”. To chyba jakiś żart.

Mając w pamięci poradę Danny'ego na temat ostryg, starannie gryzłem każdą z nich na miazgę przed połknięciem. Nawet jeśli zostały ugotowane na śmierć, nie było sensu ryzykować.

I rzeczywiście działy cuda. Udało mi się nawet przestać myśleć o Elodie – tak bardzo skupiłem się na wydłubywaniu ostryg z muszelek.

Kiedy ostrygi zniknęły, widok talerza pełnego cieniutkich chrupiących *frites* okazał się tak miły, że całkiem zapomniałem o udawaniu Skandynawa. Wytarłem palce w mały ręczniczek, który dawano do każdego talerza ostryg, i zadzwoniłem do Danny'ego, żeby wrócić do jego oferty i poprosić o to, by jednak nie kontaktował mnie ze wszystkimi konsulatami unijnymi w Brukseli.

Jak zwykle był w wyśmienitym nastroju.

– Ja tam zostanę Flamandem – oznajmił. – Belgowie są super. Właściwie posiadanie podwójnego obywatelstwa, belgijsko-brytyjskiego, wcale nie jest kwestią polityczną. To tak, jakbyś miał dwa ulubione piwa. À propos, robimy dziś wieczorem jakąś akcję w pubie?

– Jaką akcję?

Wciąż pamiętałem, że moje pierwsze spotkanie z Dannym skończyło się tym, że klęczałem okradziony przez prostytutkę.

– Polityczną akcję. Sabotaż.

Danny ściszył głos i zrelacjonował mi swój plan, wyjaśniając, jak mógłbym się w niego zaangażować. Sabotaż brzmiał nieźle. Danny proponował najbardziej bezpośrednią z bezpośrednich metod.

– Cholera jasna, naprawdę masz ochotę to zrobić? – spytałem, kiedy skończył.

– Żebyś wiedział. Wszystko będzie oczywiście sfilmowane. To się nazywa odpłacić pięknym za nadobne. Albo za *beau*. Nieważne.

– Wchodzę w to – odparłem.

Nie wiedziałem, co jeszcze wydarzy się tego dnia, w którym wszyscy obudzili się jak na kacu. Byłem jednak przekonany, że na wieczór zapowiada się świetna zabawa.

Następnie zadzwoniłem do Manon, która powiedziała, że ulokowała się w Myszce Miki w budynku parlamentu. Poprosiła, żebym do niej dołączył.

Skorzystałem z przepustki, żeby przejść przez wszystkie bramki (Elodie musiała być zbyt zajęta, aby wykreślić mnie z listy albo unijna biurokracja rzeczywiście jest tak powolna, jak wszyscy twierdzą) i pobiegłem do windy, chcąc uniknąć ewentualnego niezręcznego spotkania w lobby – czy to z samą Elodie, czy z Yves'em Remordem, czy to z brytyjskim przeciwnikiem Unii, Nickiem Rummage'em, który niewątpliwie był dzisiaj w szampańskim nastroju.

Większość jaskrawych krzesłek w kafejce była zajęta. Gwar był jednak przyciszony, a ludzie siedzieli przy stolikach, zamiast kręcić się po całym pomieszczeniu. Zauważyłem, że wszyscy są jakby trochę bardziej zgarbieni niż zwykle. Odnosiło się to również do Manon; siedziała w kącie pochylona nad laptopem i pisała coś w błyskawicznym tempie.

Kupiłem nam obojgu cappuccino i przysiadłem się do niej. Na powitanie daliśmy sobie buziaka niczym starzy przyjaciele. W sumie trudno, abym oczekiwał romantycznych pocałunków w miejscu pracy, prawda?

Zrelacjonowałem jej moje spotkanie z Peterem w budynku komisji. Skomentowała to

dosadnym *merde*.

Zwykle taki wykrzyknik przyciągnąłby kilka zaciekawionych spojrzeń, ale w tej chwili uwaga wszystkich gości zwróciła się w stronę stolika na środku pomieszczenia. Dobiały stamtąd pokrzykiwania. Ludzie machali rękami i wymieniali opinie gardłowym głosem.

– Niemcy i Holendrzy już zdążyli się pokłócić – powiedziała Manon.

W reakcji na wybuch pierwszej kłótni między nacjami Europy goście siedzący przy innym stoliku też zaczęli się nawzajem atakować. Mężczyzna i kobieta wstali. Miałem wrażenie, że obrzucają się oskarżeniami.

– Ona jest Włoszką, a on Grekiem – wyjaśniła Manon. – *Ça commence*.

Po kilku minutach Grek wydał z siebie krótki, urywany śmiech. Dyplomacja zwyciężyła. Powrócił względny spokój, choć rozmowy w całej sali stały się o ton głośniejsze i słychać w nich było wyraźne napięcie.

Powiedziałem Manon o propozycji Elodie – o tym, że jest gotowa zapłacić mi fortunę, żebym tylko wypełnił formularz online. Dziewczyna nie była tak zaskoczona, jak mogłem się spodziewać.

– Powinieneś przyjąć jej propozycję, Paul – odparła. – Nie masz już pracy, a wkrótce będziesz też bezdomny...

Nie wspomniała ani słowem, żebym przywiózł rzeczy do niej.

– Stać mnie na przyzwoity hotel – powiedziałem.

– No tak, ale skoro możesz mieć tyle forsy za wypełnienie jednego formularza...

– Nie wierzę, że byłaby gotowa dać mi pięć tysięcy euro.

– Zapytaj. Co masz do stracenia?

– Nie sądzisz, że to podpucha? Z Elodie nic nie jest tym, na co wygląda.

– Po prostu dopilnuj, żeby najpierw dała ci kasę, a potem to już wszystko jedno. Zresztą nigdy nic nie wiadomo, może jednak zechcesz zostać Francuzem.

Muszę przyznać, że już się nad tym zastanawiałem.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – odparłem. – Myślisz, że będę musiał zaśpiewać hymn?

Tym razem nie próbowałem nawet powiedzieć „Marsylianka”.

– Nie wiem. A co?

Próbowałem wyjaśnić, co mi się nie podoba w słowach o rasistowskim zabarwieniu i sformułowaniu o nieczystej krwi, ale kiedy wyłożyłem, w czym rzecz, zauważyłem, że lekkie zdziwienie na twarzy Manon ustępuje miejsca całkowitemu niedowierzaniu.

– Przecież to hymn narodowy, Paul. W hymnach zawsze chodzi o ojczyznę i takie tam, prawda? A wasze *God Save the Queen*? To dopiero szczyt arogancji! Wydawałoby się, że Anglia to pępek świata!

– Nieprawda, prosimy tylko grzecznie: Boże, jeśli istniejesz, zrób coś dla naszego narodu, czyli chroń osobę, której rodzina przyciąga do naszego kraju tłumy turystów. To o wiele przyjemniejsze niż wzywanie do masakry w szczerym polu.

– A co z fragmentem o obdarzaniu królowej zwycięstwem?

– Prawdopodobnie chodzi o wygraną na wyścigach konych. Na innych zwycięstwach królowej i tak nie zależy.

Manon się roześmiała.

– Mam nadzieję, że to angielski humor, Paul. Żartowałeś, prawda?

Przyznam szczerze, że nie. Formowanie batalionów i masakrowanie ludzi to nie moja bajka.

Manon zmarszczyła brwi.

– Naprawdę, Paul, myślę, że powinieneś się zgodzić na propozycję Elodie. Nie chodzi tylko o pieniądze. To ważne również dla mnie. – Położyła mi rękę na dłoni. – Mówiłam ci już, że taki ruch w tej chwili dowiódłby, że politycznie jesteśmy po tej samej stronie. Że mamy takie same poglądy na te sprawy. Jeśli nie zrobisz choćby symbolicznego gestu i nie złożysz podania o francuskie obywatelstwo, będę bardzo rozczarowana. – Manon ścisnęła moje palce i spojrzała na mnie, udając, że obrażona wydyma usta. – Zresztą ty też możesz być odrobinę rozczarowany, Paul.

Błysk w jej oku wyraźnie podpowiadał, o jaką stawkę toczy się gra. Nie mogłem w to uwierzyć.

– Chciałabyś zamknąć oczy i myśleć o Francji? – spytałem szeptem. Nie zrozumiała. Dodałem jeszcze ciszej: – Nie ma francuskiego paszportu, nie ma *amour*?

Zachichotała, lecz odniosłem wrażenie, że właśnie to miała na myśli.

– Nie mogę *faire l'amour* z kimś, kto ma poglądy sprzeczne z moimi – odparła. – Nie mogłabym na przykład iść do łóżka z fanatykiem religijnym.

– Czyli nici z akcji „dwie zakonnice w kąpielni”?

Manon znów się pogubiła. Chyba nigdy nie słyszała angielskich dowcipów o żeńskich klasztorach i mydle.

– To jest szantaż seksualny, Manon – wyjaśniłem.

– Możesz to potraktować jako propozycję – odrzekła. – Wypełnij formularz, a potem przyjdź do mnie i mi o tym opowiedz.

Znów ścisnęła moją dłoń. Wygląda na to, że jednak będę mógł zamieszkać *chez elle* pod warunkiem, że będę się legitymował właściwym paszportem.

No trudno, pomyślałem. Może i jestem materialistą, ale skoro za wypełnienie formularza mam dostać kupę kasy, a do tego jeszcze obietnicę bzykania, to czemu nie.

Od razu zadzwoniłem do Elodie. Trochę się targowała, ale wreszcie potwierdziła, że zapłaci mi całą sumę: pięć tysięcy euro. Zależało jej, żebyśmy jak najszybciej się spotkali.

– Za pół godziny przyjdź do mnie do biura – powiedziała.

Z tego, co słyszałem, była w samochodzie. Zanim się rozłączyła, rzuciła do kierowcy: „*au parlement, vite*”.

Ten pośpiech wydał mi się podejrzany, ale Manon powtórzyła, że nie mam nic do stracenia.

– Tylko pamiętaj, najpierw forsa.

Pół godziny później szedłem nijakim korytarzem, który zdążyłem całkiem dobrze poznać (jeśli w ogóle można dobrze poznać bezimienne korytarze Parlamentu Europejskiego) i powtarzałem sobie, że nawet jeśli wydaje mi się, że nie mam nic do stracenia, Elodie jest mistrzynią wydobywania na światło dzienne takich szczegółów, o jakich jej adwersarzom nawet się nie śniło. Musiałem zatem zachować daleko posuniętą ostrożność.

Najpierw wszedłem do dawnego gabinetu Manon – od dwóch dni nic się tu nie zmieniło. Moje krzesło wciąż stało tak, jak je zostawiłem, kiedy wstałem, żeby iść do baru na Plux i obejrzeć debatę przed referendum.

– *Paul, c'est toi?!* – zawołała ze swojego gabinetu Elodie.

Przez chwilę naprawdę poczułem się tak, jakbym przyszedł do starej znajomej na kawę.

Siedziała za biurkiem i pisała coś na laptopie. Jak zwykle na biurku nic nie leżało – wszystko było bezpiecznie pochowane i pozamykane w sejfie.

Elodie wstała i dała mi *bise* w oba policzki. Jak stara znajoma. Jak gdyby nasza konfrontacja sprzed dwóch dni nie miała miejsca. Dziwne to.

– Widzę, że nie rozpamiętujesz przeszłości i każdy dzień jest dla ciebie czystą kartką – powiedziałem. – Takie podejście pewnie ułatwia życie.

Roześmiała się, kręcąc górnym guzikiem przy śnieżnobiałej bluzce, która tym razem wyjątkowo była zapięta pod samą szyję. Wyglądała bardzo szykownie. Bluzkę miała raczej luźną, a spódnicę o kilka cali dłuższą niż zwykle. Pomyślałem, że to do niej niepodobne. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu, a w uszach tylko małe perełki. Podejrzywałem, że ubrała się tak na występ w telewizji, żeby zrobić wrażenie dojrzałej dyplomatki.

– Ależ nie, Paul, zapewniam cię, że naszą małą publiczną wymianę zdań z pewnością zapamiętam – odparła. – Nie bez powodu zresztą. To było dokładne przeciwieństwo tego, co tamten rumuński król robił ze swoimi więźniami. Wiesz, kogo mam na myśli? *L'empaleur*.

– Vlad Palownik?

– Ten, który sadzał jeńców na ostrym palu, a gdy opadali pod własnym ciężarem, pal wbijał im się w... No, sam możesz sobie wyobrazić, jak to musiało boleć. Po francusku nazywamy to karą, która zaczyna się całkiem miło, a kończy bardzo źle. Od naszej sprzeczki wszystko potoczyło się dokładnie na odwrót. Tamten wieczór rozpoczął się koszmarnie – przez ciebie – ale jak widać, skończył się wprost cudownie. – Na ułamek sekundy na jej twarzy zagościł wyraz triumfu. – Wybaczę ci, że chciałeś mnie wbić na pal. Twoje zdrady i manipulacje nie przyniosły żadnego efektu, więc możemy o nich zapomnieć.

Jej bezczelność i arogancja odebrały mi mowę. Otwarłem usta, żeby zaprotestować, lecz ona podniosła dłoń w ugodowym geście.

– Zapomnijmy o naszych waśniach, Paul. Proszę. Dzisiaj chciałam pomóc tobie i wszystkim Brytyjczykom pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Dla ciebie najlepszym wyjściem będzie wniosek o francuskie obywatelstwo. To już mamy ustalone?

– No cóż... – Wciąż nie byłem pewien. – Masz pieniądze?

– Oczywiście! – Wyglądała na urażoną.

– W takim razie najpierw je daj. Gotówka na stół, proszę.

Elodie znów się roześmiała. Najwyraźniej była dziś we frywolnym nastroju.

– O, Paul. Widzę, że czegoś się nauczyłeś od tamtej prostytutki, którą przyprowadziłeś do hotelu.

Zignorowałem przytyk i wyciągnąłem rękę.

Elodie cmoknęła z dezaprobatą na taką oznakę nieufności. Obeszła biurko i otworzyła sejf, starannie zasłaniając dłoń wystukującą kod.

Podła mi kopertę, a ja zacząłem przeliczać nowiutkie zielone banknoty o nominale stu euro. Mimowolnie przypomniałem sobie straszną pogłoskę o tym, że banknoty euro powodują impotencję. Widok takiej ilości pieniędzy wywarł na mnie zgoła przeciwny wpływ. Nigdy w życiu nie miałem w rękach takiej gotówki.

– Nie mogę uwierzyć, że mi nie ufasz – odezwała się Elodie. – A tak przy okazji, nie byłeś nigdy notowany, prawda? To by mogło skomplikować proces ubiegania się o obywatelstwo.

Policzyłem do pięćdziesięciu, zanim udzieliłem odpowiedzi.

– Zostałem ukarany grzywną za to, że nie przetłumaczyłem menu w mojej herbaciarni na francuski – odparłem, zastanawiając się, czy taki grzech może mnie zdyskwalifikować w wyścigu po francuskie obywatelstwo.

– To nie jest przestępstwo, tylko *délit* – wyjaśniła Elodie.

Nie znałem tego słowa, ale domyśliłem się, że francuskie zbrodnie są ułożone w ścisłej hierarchii, podobnie jak inne aspekty życia.

– OK, możemy zaczynać? – spytała Elodie.

Włożyłem pieniądze do kieszeni spodni.

– Teraz możemy – odparłem.

– Mógłbyś wyłączyć telefon?

– Dlaczego?

– To ważna chwila, Paul. Nie chcę, żeby jakiś kumpel rozpraszał cię informacjami o tym, że znalazł Pokemona.

Zerknęła na kieszeń w moich spodniach. Zrozumiałem aluzję. Płaciła, więc stawiała warunki. Wyłączyłem komórkę.

– *Merci*, Paul, jeszcze sekundkę. – Napisała coś na laptopie, po czym podniosła wzrok i się uśmiechnęła. – No dobra, gotowe. Siadaj tutaj, zrobimy to na moim komputerze.

Prawie z nabożeństwem ustawiła laptopa na środku blatu, po czym stanęła za moimi plecami, gdy zająłem miejsce za biurkiem i zacząłem czytać oficjalnie sformułowany tekst na ekranie.

– To są warunki, które musisz spełniać – oznajmiła. – Napisali, że masz mieszkać w kraju od pięciu lat, ale tym się nie przejmuj. Razem z ojcem możemy za ciebie poświadczyć. Jest też warunek, który mówi, że aby ubiegać się o obywatelstwo, musisz mieć na koncie jakieś zasługi dla Francji. Powiemy, że założyłeś firmę i dajesz pracę obywatelom francuskim.

– Ale firmę założyłem z twoim ojcem, a zatrudniłem tylko twojego brata – zaprotestowałem.

– To nie ma znaczenia. Nepotyzm to jeden z najważniejszych zasobów naturalnych Francji.

Elodie chciała kliknąć i przejść dalej, ale ja jeszcze czytałem.

– Ej, tu jest napisane, że jeśli ma się więcej niż sześćdziesiąt lat, nie trzeba znać języka francuskiego. Nawet mój ojciec mógłby dostać francuskie obywatelstwo, choć nie cierpi wszystkiego, co francuskie, z wyjątkiem wina, brandy, sera, klimatu, kawiarni, szybkich pociągów, impresjonistów i plaży topless, ma się rozumieć.

Elodie prychnęła ze zniecierpliwieniem.

– Przejdźże już na następną stronę, Paul.

Pochyliła się i kliknęła kolejną zakładkę.

Poczułem zapach jej perfum, kiedy oparła się biustem o moje ramię. Nie mogłem w to uwierzyć, bo kiedy ostatni raz ją widziałem, wyglądała, jakby miała ochotę urwać mi jaja.

– *Voilà*. Możemy zaczynać. *Allez!*

I znowu to słowo. Tym razem jednak powiedziane tonem reżysera: „Akcja!”.

– No – oznajmiła Elodie. – Anglik ubiega się o francuskie obywatelstwo. *Monsieur Pol Wess*, przyszły Francuz.

Już miałem odpowiedzieć, że jeszcze nie mamy pewności, czy Francja będzie mnie

chciała, gdy nagle pewien fragment wstępu przykuł moją uwagę.

– Czy ja przestrzegam zasad i wartości Republiki? To będzie trudne dla kogoś, kto urodził się w ustroju monarchistycznym i nie widzi powodu, by ścinać głowę królowej.

– To tylko znaczy, Paul, że musisz się zgadzać z ideą *Liberté, Égalité et Fraternité*. To nic trudnego. Wszyscy w to wierzą.

– We Francji chyba jeszcze nie ma całkowitej *égalité*, prawda? Kiedy mieszkaliśmy razem w tamtym HLM, czyli w mieszkaniu komunalnym, w samym sercu Marais, wszystkie pozostałe mieszkania w kamienicy wynajmowali po niskich cenach przyjaciele burmistrza. W tym również twój tata.

Zachichotałem na to wspomnienie, ale wyczułem, że Elodie zeszywniała.

– To było dawno i nieprawda, Paul. Byłam wtedy jeszcze na studiach. Poza tym jestem pewna, że tatuś płacił czynsz uczciwie, w pełnej wysokości.

Miałem wrażenie, że właśnie wygłosiła publiczne oświadczenie.

– A co oznaczają „symbole Republiki”? – zapytałem, wskazując na ekran. – *Fleur de lys*?

– Nie, Paul, to był symbol dawnej monarchii – odparła Elodie, jakby wyjaśniała jakiemuś głupkowi różnicę między czerwonym a zielonym światłem na skrzyżowaniu. – Symbolem Republiki jest na przykład Marianne.

– Kobieta z cyckami na wierzchu, trzymająca flagę? O, tak, nie mam nic przeciwko niej.

– Paul, bardzo cię proszę, potraktuj to poważnie. – Elodie przeniosła dłoń z oparcia fotela na moje ramię, jak gdyby chciała mnie naprowadzić na właściwy tor. – Spójrz, tu masz listę. Symbole Republiki to trój kolorowa flaga, hymn narodowy...

– Hymn? – powtórzyłem.

– Tak. Jestem pewna, że umiesz go zaśpiewać, prawda, Paul?

Znow wyobraziłem sobie cukinie zbryzgane krwią.

– No wiesz, „*allons enfants de la patrie*” – odpowiedziała Elodie.

Chyba oczekiwała, że zaśpiewam choć parę taktów. Pokręciłem głową.

Zaczęła jeszcze raz, tym razem z melodią.

– *Allons enfants de la patrie* – śpiewała mi prosto do prawego ucha. – *Le jour de gloire est arrivé*.

Nie mogłem się opanować – gdy usłyszałem tę melodię, poczułem, że w duszy gra mi coś na wskroś angielskiego. Przerwałem Elodie, nucąc „*love, love, love*”.

– Co ty robisz, Paul? – Elodie zacisnęła palce na moim ramieniu, aż zabołało.

– *Love, love, love* – śpiewałem dalej. – *Love, love, love*.

– Przestań!

Piosenka Beatlesów jednak bardzo mi się spodobała. Zamiast wzywania ludzi do broni i pojenia ziemi krwią, Francji przydałoby się więcej *amour*. To hipisowska filozofia, ale taka jest prawda. I to właśnie pokazał Brexit – wewnętrzna walka i obrzucanie się oskarżeniami zrobiły swoje. Hejterzy wygrali. Ludzie, którzy chcieli nas podzielić, zamiast dbać o zjednoczoną Europę. *Love, love, love*. Tylko miłość. Tylko tego potrzeba. Śpiewałem więc dalej.

– Przestań, Paul, ośmieszasz poważny proces! To nie do przyjęcia!

Zdażyłem się jednak rozkręcić, śpiewałem w najlepsze refren i ani myślałem przestać.

– *On arrête tout!* – krzyknęła Elodie i pochyliła się, żeby zamknąć laptopa.

Chwyciła mnie za ramiona, ściągnęła z fotela i wypchnęła za drzwi swojego gabinetu,

przez cały czas narzekając po francusku, że nie jestem *sérieux* i że ci *crétins d'Anglais* zasłużyli sobie na to wszystko, co ich teraz czeka ze strony Europy.

– Okłamałeś mnie – warknęła, kiedy staliśmy na korytarzu. Teraz już nie wyglądała tak elegancko. Bluzka się jej pogniotła, a na policzkach pojawił się gniewny rumieniec. – Powiedziałeś, że będziesz się ubiegał o francuskie obywatelstwo, ale ani przez chwilę nie miałeś takiego zamiaru.

– Ależ miałem, daję słowo – zaprotestowałem. – Tylko nie mogę. Musielibyście najpierw zmienić słowa Marsjanki.

Elodie wzdrygnęła się, słysząc, jak profanuję nazwę hymnu.

– W takim razie oddawaj pieniądze. – Wyciągnęła wypielegnowaną dłoń.

– I tak byłaś mi coś winna za całą pracę, którą dla ciebie odważyłem.

– Oddawaj!

Jej ostre paznokcie były niebezpiecznie wycelowane w okolice mojej kieszeni. Wycofałem się.

– Możesz mnie pozwać, Elodie. Z chęcią posłucham, jak eurodeputowana wyjaśnia, skąd wzięła pięć tysięcy euro gotówką i dlaczego usiłowała mnie przekupić, żebym złożył wniosek o francuskie obywatelstwo.

Elodie w odpowiedzi posłała mi mordercze spojrzenie, ale zaraz opanowała emocje, jak robiła to wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wygładziła bluzkę, poprawiła włosy i odezwała się spokojnym tonem:

– Dobrze, Paul, niech ci będzie. Zachowaj pieniądze. Pięć tysięcy to dla mnie nie majątek. Możesz to potraktować jako odszkodowanie za upokorzenie, którego doświadczyłeś po referendum. Albo jako zasiłek dla bezrobotnych. Lub emeryturę. Przyda ci się, kiedy gospodarka w twoim kraju nagle dostanie zawału, podobnie jak większość twoich otyłych rodaków, jeśli dalej będą się opychać niezdrowym żarciem. Poza tym masz teraz w kieszeni euro, które niedługo będą warte o wiele więcej niż wasze nędzne funty. Dlatego proszę bardzo, weź je sobie. Ostatni grant z Unii Europejskiej i do widzenia!

Z tymi słowami odwróciła się i zatrzasnęła za sobą drzwi swojego biura.

Przez chwilę miałem ochotę bić brawo. To był występ godny primadonny. Byłoby mi naprawdę głupio i przykro, gdyby nie koperta, którą miałem w kieszeni.

Wciąż uśmiechałem się pod nosem, wspominając tę scenkę, gdy zobaczyłem, że korytarzem biegnie do mnie Manon. Brakowało jej tchu. Wyciągnęła w moją stronę telefon.

– Nie odbierałeś – sapnęła, kiedy do mnie dobiegła.

– Elodie kazała mi go wyłączyć.

– Chciałam cię ostrzec.

– Przed czym?

– Wszystko było na żywo.

– Co takiego?

– Sam popatrz. Nagranie jest jeszcze dostępne online.

Stuknęła palcem w ekran i włączyła film. Na górze widniał tytuł: „*Regardez un Anglais qui devient Français*”, a pod spodem moje zdjęcie, to, na którym leżę ubrany w wannie. Widok wkrótce się zmienił i teraz zobaczyłem Elodie w eleganckim stroju, przepasaną trójkolorową szarfą. Z uśmiechem na twarzy ścisnęła dłoń prezydenta Francji. Potem znów pojawiła się

moja twarz, kiedy wpatrywałem się w ekran jej komputera, jak kilka minut temu.

– Co to, do cholery, ma być? – spytałem, po czym dodałem: – A skąd ty o tym wiedziałaś, Manon?

– Ona albo Cédric, albo jeszcze ktoś inny włączył transmisję do wszystkich mediów społecznościowych, zanim zaczęliście. Chciała to puścić na żywo – transmisja składania wniosku o francuskie obywatelstwo.

To wszystko wyjaśniało. Ten reżyserski ton, kiedy mówiła, że możemy zaczynać – to miała być wskazówka, że już kręcimy – albo formalne oświadczenie o czynszu płaconym przez jej ojca.

– Na szczęście pokrzyżowałaś jej plany, kiedy koncertowo spaprałaś *Marsyliankę*.

Zaśmiałem się z zadowoleniem. Zerknąłem jeszcze raz na telefon Manon. Teraz mówiłem o komunalnym mieszkaniu należącym do ojca Elodie. Tak, faktycznie pokrzyżowałem jej plany.

– A do tego udało mi się zachować pieniądze – pochwaliłem się. – Pięć tysięcy euro.

– Sprawiedliwości stało się zadość – oznajmiła Manon, ale nie wyglądała na tak zachwyconą, jak oczekiwałem. – Ale będziesz się mimo wszystko ubiegał o francuskie obywatelstwo?

Nie wierzyłem własnym uszom. Dopiero uciekłem z pułapki zastawionej przez Elodie, a teraz Manon chce mnie wepchnąć do tej samej klatki?

– Wiesz co, teraz chyba nie chce mi się znów otwierać tej strony i zaczynać od nowa – odparłem.

– Nie teraz, ale kiedyś to zrobisz? Znaczy, jakoś niedługo. Wiesz, mówiliśmy, że to będzie gest natury politycznej...

Patrzyła na mnie tak, jakby sporo zależało od mojej odpowiedzi. Stała zwrócona twarzą do mnie i spoglądała mi w oczy wyczekująco. W normalnych okolicznościach teraz bym ją pocałował. Zaczynałem jednak podejrzewać, że Francuzki – choć Manon była tylko w połowie Francuzką – lubią mną manipulować. W jej telefonie rozlegało się teraz moje wykonanie piosenki Beatlesów, między nami jednak panował nastrój bardziej przywodzący na myśl hymn Francji. Czułem, że toczy się pojedynek na siłę woli.

Chyba będzie lepiej, pomyślałem, jeśli powiem jej to wprost.

– Jestem Anglikiem, Manon. Przykro mi, ale nie będę Francuzem. To tak jakbyś przebrała buldoga w koronkową sukienkę i kazała mu tańczyć kankana. Nie nadają się do tego. To byłoby nienaturalne.

Manon nie wyglądała już tak, jakby miała ochotę na buziaka.

– Myślałam, że mnie rozumiesz, Paul – stwierdziła. – Myślałam, że gramy w tej samej drużynie.

– Chcesz raczej powiedzieć, że myślałaś, że łatwiej będzie mi rozkazywać.

– Takie masz zdanie na mój temat? Uważasz mnie za drugą Elodie?

– Nie – zaprzeczyłem, ale pomyślałem: „Nie do końca”, i Manon musiała zauważyć moje wahanie.

– Rozumiem – odparła. – No dobrze. Teraz już wiem. Za nic masz moje życzenia. Nie podzielasz moich poglądów. Nie obchodzi cię, jak się czuję. Chyba nie mamy wyboru. To oznacza *au revoir*.

Rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie i odeszła. W ciągu pięciu minut na tym korytarzu

zostawiły mnie aż dwie kobiety. Patrzyłem za nią, dopóki jej atrakcyjna sylwetka nie zniknęła za rogiem. Coś mi mówiło, że nie warto za nią biec.

Wyglądało na to, że to nie jest mój *jour de gloire* ani *jour de l'amour*. To raczej mój Brexit.

Któregoś razu pewien francuski surfer opowiadał mi o swoim ulubionym miejscu. Nie była to jedna z wielkich plaż na wybrzeżu Atlantyku niedaleko Biarritz, jak mówił, lecz miejsce na rzece. Podobno cztery lub pięć razy w roku, kiedy różnice pływów są największe, na płynącej przez Bordeaux Żyrondzie tworzy się pojedyncza fala, która może pokonać nawet dwa kilometry, zanim wpadnie do morza. W określone dni da się przewidzieć, kiedy się pojawi, z dokładnością do dziesięciu minut, więc o umówionej godzinie (lub tuż przed nią) tłumy surferów, amatorów paddleboardingu i kajakarzy zajmują pozycje na rzece i czekają na metrową falę, która będzie początkiem jednej z najdłuższych, a jednocześnie najłagodniejszych jazd na naszej planecie. To zjawisko nosi nazwę fali pływowej.

Przed referendum życie i kariera większości brukselskich biurokratów przypominały trochę taką jazdę – płynęło się długo, powoli i łagodnie na jednej przewidywalnej fali, która niosła prosto do morza. Każdy był pewny jutra. Wieczorami zaś nastrój w pubach na Plux był taki jak na imprezie plażowej na brzegu Żyrondy – wszyscy czuli się tu naprawdę dobrze i cieszyli się, mogąc być częścią tego tłumu.

Teraz jednak, kiedy poszedłem na Place du Luxembourg, żeby spotkać się z Dannym, przepustkowcy, których widziałem, wyglądali tak, jakby fala przeszła im koło nosa. Nie byli wytrawnymi surferami, więc unosili się smętnie w płytkiej wodzie i topili smutki, mając nadzieję, że uda im się utrzymać na powierzchni.

Wynik referendum popsuł imprezę wszystkim mieszkańcom Brukseli – oczywiście poza nieliczną mniejszością, która przyjechała tu po to, by promować ideę ostatecznego rozpadu Unii. Taką osobą był na przykład Nick Rummage, który zdaniem Danny'ego miał przyjść do baru na Plux na szklaneczkę brandy (lub trzy) przed wizytą w parlamencie, gdzie miał chępcić się swoim zwycięstwem podczas debaty na temat wyników referendum.

Tym razem z pubie obsłużono mnie zaskakująco szybko, bo już po minucie od wejścia trzymałem kufel ciemnego piwa i rozglądałem się za znajomymi twarzami.

Rozpoznałem jednego czy dwóch europosłów i kilkoro stałych bywalców Myszki Miki. Wszyscy siedzieli w małych grupkach, w niczym nieprzypominających wielkiego, kolorowego tłumu, jaki widziałem w noc przed referendum. Nie było jeszcze żadnego z kumpli Danny'ego. Może to jednak nie był najlepszy czas na lobbying, skoro cała europejska gospodarka lada moment stanie na głowie.

Wyszedłem na taras i zobaczyłem, że w moją stronę maszeruje Jake. Kiedy podszedł, powiedziałem mu, co planuje Danny. Jake odparł, że za nic by tego nie chybił. Chciał powiedzieć, że za nic by tego nie opuścił, ale jak zwykle pomieszał francuski z angielskim i użył słowa „*manquer*”.

Mój przyjaciel wyglądał, jakby nosił żałobę z powodu Brexitu – ubrał się cały na czarno. Był to jak na niego strój niesamowicie elegancki, choć marynarka była zdecydowanie za duża, a za krótkie nogawki odsłaniały biel trampek. Wszystko było jednak lepsze od poprzedniego stroju upapranego keczupem.

– Szykownie dziś wyglądasz – pogratulowałem mu.

– Tak, to własności ślubnego mojej dupencji z ostatniej nocy.

– Ubrania jej męża? – przetłumaczyłem. – Ukradłeś gościowi ciuchy?

– Ej, stary, przecież on nie ma pojęcia, że jego *femme* bzyka się z Amerykanami, więc braku kilku ubrań na pewno też nie zauważy.

Jake miał jak zwykle własną pokrętną, choć dziwnie przekonującą logikę.

– A u ciebie *comment ça va*, Paul?

– Och, w porządku – odparłem.

Już wcześniej opowiedziałem mu o ultimatum Manon. To ciekawe, ale ból związany z rozstaniem mieszał się teraz z szokiem wywołanym wynikiem referendum. Choć przed głosowaniem czułem, że wszystko będzie dobrze, teraz tamto wrażenie wydawało mi się tak samo nierealne jak moje dwie noce z Manon. To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Czułem się otępiały.

– Masz dziś ochotę na bzykanie? – zapytał Jake.

Znałem go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie zaprasza mnie do zabawy we dwóch. Chciał tylko wiedzieć, czy ma kogoś dla mnie zorganizować.

– Wiesz, nie jestem dziś w nastroju na seks – przyznałem.

– Hm, może jednak powinieneś zostać Francuzem.

Nie chciało mi się nawet odpowiadać.

– Mogę ci pomóc – zaoferował.

– Wszyscy tak mówią.

– Nie, *vraiment*. – Jake zaczął szperać w kieszeni marynarki męża swojej kochanki. – Tak pomyślałem, hmmm...

– Pomyślałeś – poprawiłem go.

– Tak, właśnie... Myślałem o tym, co mi mówiłeś o *Marsyliance*. – O dziwo, poprawnie wymówił tytuł hymnu. Po chwili triumfalnym gestem wyjął z kieszeni poskładaną kartkę papieru. – *Voilà!* Pisałem... To znaczy napisałem do hymnu nowe słowa.

– Doprawdy?

Z trudem powstrzymałem się, żeby nie dodać: „O Boże, nie”.

Potrafiłem sobie wyobrazić, co Jake mógłby dopisać do hymnu Francji – z pewnością znalazłoby się tam miejsce dla nagiej Marianny, której biust zająłby dobre kilka wersów.

– Nie pozmieniałem wszystkiego, tylko tę końcówkę, której tak nie lubisz. No wiesz, „*aux armes, citoyens, formez vos bataillons*”, a potem „*sang impur*”. O, proszę...

Podał mi kartkę. Zwykle chętnie recytował swoje wiersze, znęcając się nad bezbronnym słuchaczem, tym razem jednak pozwolił, abym sam się zapoznał z tekstem.

Zerknąłem na słowa w języku francuskim. Musiałem przyznać, że to był jeden z delikatniejszych wierszy, jakie wyszły spod pióra mojego przyjaciela. Przeczytałem, zachowując rytm oryginału:

Aux graines, citoyens,

Semez vos échalotes,

Plantons, plantons,

Qu'une eau minérale abreuve nos carottes.

W wolnym tłumaczeniu chodziło o to, że zamiast formować szyki, Francuzi powinni posadzić szalotkę, a swoje pola marchewki podlewać wodą mineralną, a nie krwią.

– To doskonałe, Jake – pochwaliłem go, tym razem szczerze. – Trzeba jeszcze dopisać pierwszy wers, coś o serach i winach, i gotowe. Wtedy od razu złożyłbym podanie

o obywatelstwo.

Przybijaliśmy sobie piątkę, kiedy na tarasie pojawił się Danny i oznajmił, że za chwilę rozpocznie się jego show.

– Rummage właśnie zamówił piwo i setę. Siedzi w barze obok. Podsuwa każdemu pod nos swój krawat z brytyjską flagą. Wymachuje nim jak kutasem. No jak, Paul, gotowy?

– Nie mogę się doczekać – odparłem.

– Uważaj, bo możesz dostać rykoszetem – uprzedził.

– Nie szkodzi.

– No to super. Jake, chcesz to sfilmować? – zapytał Danny. – Jest tam już trzech moich ludzi, ale przyda się każde ujęcie. Zalejemy tym media społecznościowe. To będzie perełka.

– *D'accord*, chłopie – zgodził się Jake.

– A gdzie masz... hm, broń? – zapytałem.

– Ma ją jeden z moich kumpli przed budynkiem parlamentu – wyjaśnił Danny. – Nie mogłem jej tu przynieść, bo wszyscy zaczęliby panikować.

Roześmiałem się – to, co Danny planował dla Rummage'a, było faktycznie bronią chemiczną niedozwoloną przez unijne przepisy.

Razem z Jakiem stanęliśmy pod głównymi schodami prowadzącymi do budynku parlamentu. Zajęliśmy miejsce, które stanowiło jeden z rogów sporego kwadratu wyznaczonego przez współników tej zbrodni – trzech innych facetów stało jakieś dwadzieścia metrów od nas. Każdy z nich trzymał w dłoni telefon gotowy do filmowania.

Było jeszcze jasno, więc widziałem wielkie twarze spragnionych dzieci z Trzeciego Świata spoglądające na mnie z plakatów wokół dziedzińca. Być może to tylko moja wyobraźnia, ale ich uśmiechnięte buzie wyraźnie oczekiwały czegoś więcej niż szklanki czystej wody.

Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz szedłem przez ten dziedziniec. Próbowałem wówczas dotrzymać kroku pędzącej Elodie, która miała złożyć podpis, żeby otrzymać dzienną dietę, choć cały dzień spędziła w Paryżu. Rozejrzałem się dookoła. Zobaczyłem kilku przepustkowców, którzy gawędzili wesoło w ostatnich promieniach słońca. Ci, którzy nie byli zaangażowani w plan Danny'ego, wyglądali na mocno przygnębionych. Człowiek, który był główną przyczyną ich nastrojów, miał wkrótce dostać to, na co zasługiwał.

Jakieś dziesięć minut później Danny przysłał nam wiadomość: JUŻ IDZIE.

Nadejście Rummage'a poprzedzał jak zwykle jego tubalny głos, którym wygłaszał swoje opinie. Słysząc go było chyba w promieniu mili. Towarzyszyło mu dwóch kumpli. Wszyscy zmierzali do miejsca, gdzie stałem razem z Jakiem.

Usłyszałem, jak Rummage mówi coś o kopniaku w europejskie jaja. Zrobiłem krok w jego stronę i pomachałem.

– Panie Rummage? Nick? Mogę zrobić sobie z panem zdjęcie na pamiątkę Brexitu?

Tak jak przewidywał Danny, słysząc angielski, Rummage od razu się odwrócił. Nie przepuścił okazji, żeby uśmiechnąć się do aparatu.

– *Mais bien sûr!* – odparł nieskazitelną francuszczyzną.

Nie miałem wątpliwości, gdzie będzie wydawał kasę z unijnej emerytury – jeśli Manon mu jej nie odbierze. Byłem pewien, że wyniesie się do willi na kontynencie, którym podobno tak gardził.

– Czy myśmy się już nie spotkali? – zapytał.

– Na pewno. Jestem pańskim wiernym fanem. Mój kumpel zrobi nam zdjęcie – odparłem i obaj odwróciliśmy się w stronę Jake’a, który już szykował telefon.

– Dobrze, że nie selfie – ryknął Rummage. – Nienawidzę selfie. Jest dobre dla pospólstwa. To było ostatnie zdanie, które powiedział, zanim Danny przypuścił atak.

Tłumy użytkowników mediów społecznościowych ujrzały kilka ujęć czegoś, co stanowi książkowy wprost przykład zasadzki. Pełen zadowolenia uśmiech Rummage’a ustąpił miejsca zaskoczeniu, do którego później dołączył strach, gdy niebieskie plastikowe wiaderko ozdobione wianuszkiem żółtych gwiazdek szybko obróciło się nad jego głową. Wzdrygnąłem się, lecz tylko dlatego, że wiedziałem, co jest w wiaderku.

Danny wykazał się godną eurokraty przezornością i umiejętnością planowania. Opracował plan awaryjny na wypadek Brexitu – od tygodnia robił zapas ostryg. Trzymał je w hermetycznie zamkniętym plastikowym pojemniku na balkonie, w pełnym słońcu, żeby zaczęły się psuć.

Kilka kropelek, które zabłąkały się na moją koszulę, dały mi odczuć, że oto mamy do czynienia ze smrodliwą bombą gorszą od ton rekiniego mięsa, które Islandczycy kupują każdego roku, aby następnie w ramach dowcipu wmuszać turystom ten przysmak pokrojony w malutką kosteczkę. Szara maź produkcji Danny’ego każdego zniechęciłaby do sushi.

Litr lub dwa paskudnej brei wylały się na głowę, twarz i białą koszulę Rummage’a, a potem również na marynarkę i patriotyczny krawat.

Mało tego, kiedy z jego gardła dobył się wściekły ryk, obrzydliwa maź dostała mu się do ust, więc kiedy internauci oglądali później nagranie w zwolnionym tempie, zaśmiewali się, widząc, jak Rummage wypluwa kawał zepsutej ostrygi i wywala język, kiedy zebrało mu się na wymioty.

Gdy ofiara dowcipu się skuliła, za jej plecami pojawił się uśmiechnięty Danny – choć można było przypuszczać, że to sam Rummage, bo mój kumpel założył sobie jego maskę.

– Wy cholerni dranie! – wrzeszczał Rummage, wymachując rękami. – Chcieliście mi zamknąć usta! To niedemokratyczne!

– Ależ możesz zabrać głos – odparł Danny, robiąc unik przed pięścią Rummage’a. – Po prostu będziesz śmierdział tak samo jak twoje poglądy. Jestem zresztą pewien, że każesz Unii zapłacić rachunek za pralnię. Przecież wszystko wrzucasz w koszty.

– Pokaż twarz, tchórzliwy bydlaku! – Rummage pienił się ze złości.

– Dlaczego? Ty nigdy nie pokazujesz swojej prawdziwej twarzy, zakłamanym dupku.

Danny roześmiał się i dał nam znak do ucieczki. Nie było sensu się tu kręcić, bo lada moment z budynku wypadną ochroniarze.

Gdy biegłem, poczułem coś przedziwnego. Nie do wiary, ale zrobiło mi się żal Rummage’a. Nie z powodu śmierdzącej niespodzianki, którą miał teraz na włosach i ubraniu, ale dlatego, że w trakcie ataku jego kolesie nie ruszyli nawet palcem, żeby go chronić. Stali i się przyglądali. Wychodzi na to, że nawet koledzy go nie lubią.

Pomyślałem, że to też przypomina sam Brexit. My, Brytyjczycy, odwróciliśmy się od ludzi, z którymi mieliśmy grać w jednej drużynie. Mieliśmy być przyjaciółmi. Istniało ryzyko, że teraz zostaniemy sami jak palec.

Spotkaliśmy się w umówionym miejscu niedaleko Plux, obok biurowca z pokojami na

godziny. Stanęliśmy obok zdjęć przedstawiających aksamitne buduary. Pewnie wyglądaliśmy tak, jak byśmy szykowali się na imprezę z grupowym seksem.

Było nas więcej, niż oczekiwałem, co najmniej siedmioro lub ośmioro. Poza Jakiem, mną i trzema pozostałymi operatorami kamer w plan Danny'ego zostało wtajemniczonych jeszcze kilka osób. Dopiero teraz zauważyłem, że jedną z nich była Manon. Podeszła do mnie.

– *Bonsoir, Paul* – powiedziała i zbliżyła do mnie twarz, oczekując przyjacielskiego *bise* w policzek.

Dałem jej buziaka. Nie ma sensu chować urazy, powtarzałem sobie. To jest Bruksela. Wszyscy jesteśmy świadomymi dorosłymi ludźmi. Takie tu są zasady. Niech żyje eurobzykanie. Gdy jednak patrzyłem na zaróżowioną, zadyszaną Manon, wróciły do mnie wspomnienia z ostatnich dwóch dni. Wtedy też ją taką widziałem – kiedy spojrzeliśmy na siebie w łóżku, po pierwszym zbliżeniu.

– Cześć – odezwałem się tak wesoło, jak tylko mogłem.

– To był polityczny gest – odparła Manon.

– Chyba tak – przyznałem i zerknąłem na Danny'ego, inicjatora i pomysłodawcę tego gestu, który chichotał teraz, oglądając nagranie na telefonie Jake'a.

– Nie, chodziło mi o twój udział w tym spisku – wyjaśniła Manon. – Zwabiłeś Rummage'a w zasadzkę. Na filmie stoisz obok niego. Wiesz, że będzie cię można rozpoznać na nagraniach z monitoringu?

Wzruszyłem ramionami. Zawsze mogłem twierdzić, że jestem niewinną ofiarą. Podejrzewam zresztą, że belgijska policja ma lepsze rzeczy do roboty niż ściganie gościa, który być może, ale nie na pewno, przyłożył rękę do upokorzenia jednego z najmniej lubianych ludzi w całej Brukseli.

– Mówiłeś, że to nie jest właściwy moment, ale w rzeczywistości sam wymierzyłeś polaczek Wielkiej Brytanii, a na pewno pomogłeś go wymierzyć – stwierdziła Manon. – A może policzek? – Uśmiechnęła się.

– Powiedziałbym raczej, że popłuczek – odparłem. – Tak czy owak, to nie był cios wymierzony w Wielką Brytanię, tylko w jednego obłudnego dupka.

– Policzek to policzek. To się liczy. Zresztą nie tylko *Monsieur* Roomage dostał za swoje. Ja też. Przepraszam cię, Paul. Mówiłam ci już kiedyś, że czasami panikuję. Spanikowałam też z powodu Brexitu. Zachowałam się dziś po południu jak idiotka. Przed południem też. Wybaczysz mi?

Nie miałem szansy odmówić, bo zanim zorientowałem się, co jest grane, Manon przytuliła się do mnie, a jej ciało naparło na moje w doskonale wybranych punktach.

– Nie możemy pozwolić, żeby Brexit nas podzielił – powiedziała, całując mnie w szyję, żeby wzmocnić efekt swoich słów. – Musimy trzymać się razem. A ty jesteś takim facetem, z którym warto się trzymać. Razem.

Objąłem ją mocno. Otepienie minęło jak ręką odjął. Poczułem, że ogarnia mnie gorąca fala ulgi i radości. Moje ciało podpowiadało, że ani przez chwilę nie wierzyło w to, żebyśmy mogli być kolejną parą, którą łączą interesy robione przez łóżko. W Brukseli takie związki to chleb powszedni. Prędzej czy później zacząłbym żałować, że straciłem tę wyjątkową, czarującą i nieprzewidywalną kobietę.

– A ty z pewnością jesteś zasadą, przy której mógłbym obstawać – oznajmiłem

w odpowiedzi.

– Dziękuję, Paul. To najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Pocałunek przerwał nam dopiero Jake.

– Och, Paul – wtrącił. – *Après tout*, myślę, że jednak wieczorem nie będziesz się nudził w łóżku.

– Zamknij się, Jake – powiedziałem, ale coś mi mówiło, że może mieć rację.

FIN – END – EINDE – KONIEC

De: Paul West
À: Elodie Martin
Sujet: głupie plotki na temat Europy

Bonjour, Elodie,

oto lista wybranych przeze mnie dwudziestu (mniej więcej) absurdalnych pogłosek, jakie pojawiły się w prasie brytyjskiej. Do każdej z nich dołożyłem wyjaśnienie, dlaczego dana plotka jest *revr a strouilh* – to w języku bretońskim „świński odbyt”, jedyna część wieprzka, której Bretończycy nie jedzą, zatem zwrot oznacza istną bzdurę. Ale jestem pewien, że już to wiedziałaś.

1. Banknoty euro mogą uczynić mężczyznę impotentem

Ta historia wyszła na jaw w 2002 roku po tym, jak pewne niemieckie czasopismo przeprowadziło test banknotu o nominale dziesięciu euro. Wykazał on, że w papierze wykryto ślady stabilizatora zwanego tributyllocyną. Jednym ze skutków ubocznych może być impotencja.

Laboratorium, które przeprowadzało testy dla wspomnianego czasopisma, przyznało jednak, że człowiek mógłby ucierpieć tylko, gdyby przez dłuższy czas codziennie przechodziło przez ręce kilka tysięcy banknotów.

Mimo to jedna z brytyjskich gazet dotarła do pewnego Niemca, Wolfganga Fritza (bardzo prawdopodobne nazwisko jak na Niemca, *nicht?*), który twierdził, że od wprowadzenia euro do obiegu ani razu nie miał erekcji.

A nam się wydawało, że euro wywołuje inflację.

2. Bruksela zmusza rolników, żeby dawali świnom zabawki

Rzeczywiście istnieje europejski przepis, w myśl którego hodowcy świni muszą zapewnić zwierzętom rozrywkę w chlewach. Chodzi o to, że świnie mają naturalną tendencję do rycia, więc jeśli ograniczy im się tę możliwość, mogą zrobić sobie krzywdę lub atakować inne świnie. Wychodzi na to, że sfrustrowane świnie często gryzą się nawzajem w ogony (i to nie jest żaden sprośny dowcip).

Europejscy rolnicy muszą zatem zapewnić wszystkim świnom utrzymanym w zamkniętych zagrodach „materiał manipulacyjny”. Nieczęsto się zdarza, żeby były to zabawki. Zwykle są to słoma, siano, trociny, piasek, torf, ziemia lub kompost.

Pogłoski o zabawkach wzięły się z sugestii, że świnie mogą również radzić sobie z nudą, żując zwisający z sufitu kawałek drewna lub plastiku. Nie chodzi zatem o kupowanie zwierzętom lalek ani rowerków.

(Elodie, być może będziesz chciała wyjaśnić swoim wyborcom w Bretanii, że nie muszą kupować zwierzętom hodowlanym prawdziwych zabawek, w razie gdyby niektórzy chcieli zamówić świniom kule do *pétanque* albo próbowali zmodyfikować konsolę PlayStation tak,

aby dało się na niej grać racicami).

3. Unia chce zakazać śpiewania w pubach

Ta pogłoska pojawiła się w roku 2002, kiedy to Unia Europejska oznajmiła, że bada, jakimi sposobami pracodawcy chronią swoich pracowników przed nadmiernym hałasem. Maksymalny poziom dźwięku w trakcie ośmiogodzinnego dnia pracy miał wynosić 87 decybeli, co oznacza mniej więcej taki hałas, jaki słyszemy, stojąc obok uruchomionego motocykla.

Ta unijna dyrektywa miała zmusić pracodawców, żeby proponowali pracownikom środki ochrony słuchu, jeśli w miejscu pracy poziom hałasu był wyższy.

To rozsądne zalecenie stało się jednak inspiracją dla absurdalnych doniesień prasowych.

Tłum kibiców na stadionie na przykład bez trudu wytwarza hałas większy niż 100 decybeli, zatem niektóre gazety sugerowały, że gracze musieliby nosić zatyczki do uszu, przez co nie słyszeliby gwizdka sędziego.

Mówiono nawet, że orkiestrom nie wolno byłoby głośno grać klasycznych utworów, takich jak IX Symfonia Beethovena (której część, *Oda do radości*, jest, jak wiemy, hymnem Unii Europejskiej).

Według jednej z historyjek w angielskich pubach zakazano by śpiewania podczas transmisji meczów Pucharu Świata w obawie o to, że personel musiałby pracować w warunkach nadmiernego hałasu.

Smutnym faktem pozostaje to, że angielscy kibice nie mieli zbyt wielu okazji do śpiewania podczas Pucharu Świata w 2004 roku.

4. Według unijnej dyrektywy o odpadach zwierzęcych nie wolno pogrzebać zwierzęcych zwłok, jeśli uprzednio nie wygotuje się ich pod ciśnieniem przez pół godziny w temperaturze 130°C

Ta pogłoska, która pochodzi z roku 2000, wzięła się chyba z Księżyca. Miała się odnosić do unijnej dyrektywy o odpadach zwierzęcych z 1992 roku, która była częścią większego planu mającego zapobiegać zanieczyszczeniu środowiska wynikającemu z utylizacji różnego rodzaju odpadów.

W czasie gdy wszyscy obawiali się choroby szalonych krów, zwłoki wielu zarażonych zwierząt po prostu grzebano lub palono na otwartym powietrzu, co stanowiło potencjalne zagrożenie dla zdrowia. Dyrektywa o odpadach zwierzęcych zakładała, że zwłoki zwierząt mają być utylizowane w odpowiednich piecach, atestowanych przez rząd.

Te rozporządzenia nie obejmowały zwierząt domowych – no chyba że czyjś pupil padł na chorobę szalonych krów. Nikt nie wspominał też o konieczności gotowania zwłok pod ciśnieniem, co byłoby po prostu niepraktyczne.

Ta historyjka jest klasycznym przykładem nagonki na Unię Europejską. Autor mógł równie dobrze powiedzieć, że wszystkie niedojedzone kebaby leżące na ulicach należy wrzucać do reaktora jądrowego. I to akurat nie byłby taki zły pomysł.

5. Unia chce wprowadzić zakaz gry na szkockich dudach

To była po prostu aktualizacja przepisu, o którym mowa w punkcie 3., wprowadzona po pięciu latach. Teoretycznie, jeśli z jakiegoś powodu zaprosisz orkiestrę dudziarzy i każesz artystom grać w miejscu pracy przez osiem godzin, to naruszasz europejskie przepisy dotyczące bezpieczeństwa i higieny pracy.

Była to także próba nastawienia przeciwko Brukseli Szkotów, którzy w rzeczywistości nawet lubią Unię Europejską.

Rzecz jasna wyjęcie spod prawa wyjącej szkockiej ośmiornicy z pewnością skłoniłoby wielu Anglików do spojrzenia na unijnych prawodawców łaskawszym okiem.

6. Bruksela podda się presji ze strony Francji, żeby nakazać Brytyjczykom zmianę nazwy dworca Waterloo na Trafalgar Square

Jak wiadomo, dworzec Waterloo od dawna jest dla Francuzów *bête noire*, tym bardziej że został wybrany na początkową stację pociągu Eurostar.

(Elodie, o ile się nie mylę, Twój kolega, patriota, Yves Remord nazwał tę stację *la gare sans nom* – stacją, która pozostanie bezimienna? Nie jestem pewien, czy żartował).

Doniesienia podawane w prasie brytyjskiej, jakoby Europa miała wymusić zmianę nazwy dworca Waterloo na Trafalgar Square, były bzdurą opartą jedynie na niezobowiązującej uwadze rzuconej przez przewodniczącego Europejskiego Funduszu Inwestycyjnego, absolwenta Oksfordu, ekonomistę Francisa Carpentera. Pan Carpenter chyba zapomniał, skąd pochodzi, bo wyraził opinię, że Francuzów te nazwy raczej irytują.

Większość rozsądnie myślących ludzi rozumie jednak, że nie można się pozbyć wszystkiego, co irytuje Francuzów. W przeciwnym wypadku Belgia również musiałaby zniknąć.

7. Bruksela chce zakazać chipsów z wędzonego boczku

To prawda, że w 2003 roku Europa przyjęła nowe przepisy dotyczące rodzajów aromatu dymu wędzarniczego wykorzystywanych w przemyśle spożywczym. Przetestowano różne aromaty dymu wędzarniczego, z których większość produkowana jest z „koncentratów dymnych”, aby upewnić się, że żaden z nich nie zawiera szkodliwych związków chemicznych.

Nikt jednak nie sugerował wprowadzenia zakazu chipsów o smaku wędzonego boczku, wędzonego łososa i tym podobnych – chyba że do produkcji używano aromatu, który uzyskano na przykład w drodze destylowania dymu wydobywającego się z pieca do spalania odpadów, wspomnianego w punkcie 4. W takim wypadku konsumenci sami chyba poparliby ten zakaz.

(Elodie, jestem pewien, że Twój tatuś używa bezpiecznych substancji do produktów z wędzonego mięsa, prawda?)

8. Bruksela zarządziła, żeby ostrygom robić przerwy na odpoczynek w trakcie

transportu na rynek

To kolejny przykład komicznej nadinterpretacji. Brytyjskie doniesienia prasowe bywają celowo śmieszne, żeby czytelnik przekonał się, że europejscy prawodawcy są pedantyczni aż do granic absurdu.

Ten artykuł sugerował, że małże, trąbiki i inne skorupiaki powinny w drodze na rynek zażyć krótkiego odpoczynku w przydrożnej zatoczce – ta pogłoska była oparta na szczegółowych przepisach unijnych dotyczących transportu żywych zwierząt.

Obejmowały one zasady wentylacji ciężarówek, konieczność zapewnienia zwierzętom pożywienia i wody podczas długich podróży, przepisy dotyczące dopuszczalnej liczby zwierząt na metr sześcienny w przyczepie, a nawet wieku zwierząt, które mogą być transportowane (na przykład cielaków, które nie mają jeszcze dziesięciu dni, nie wolno przewozić więcej niż 100 kilometrów; to i tak długa podróż jak dla noworodka odłączanego od mamy).

Istnieją też przepisy dotyczące przewozu skorupiaków, ale odnoszą się one przede wszystkim do kwestii chłodzenia, a to akurat Europejczykom powinno się wydawać rozsądne.

(Elodie, plotki o tym, że Brytyjczycy chcą zakazu sprzedaży ostryg, nie są prawdziwe. Jeszcze).

9. Kilt ma być uznany za strój kobiecy

To musiała być kolejna próba nastawienia Szkotów przeciwko Unii Europejskiej – podobnie jak punkt 5. Tym razem jednak pogłoska oparta była na autentycznym bublu prawnym.

W 2003 roku Europejski Urząd Statystyczny, Eurostat, opublikował ankietę, w której pytał producentów odzieży o rodzaj sprzedawanych ubrań. W formularzu nie przewidziano kategorii dla kiltu. Kiedy producent kiltów zwrócił na to uwagę, powiedziano mu, aby tę sprzedaż odnotował w rubryce „odzież damska”. W szkockiej prasie rozległy się głosy protestu. Wypowiedział się nawet Sean Connery. Formularze szybko skorygowano.

W doniesieniach prasowych pominięto pewien istotny szczegół: otóż europejskie formularze zostały sprawdzone i rozesłane przez brytyjski urząd statystyczny. To właśnie pracownik tego urzędu polecił producentowi kiltów tak zarejestrować sprzedawaną przez niego odzież.

Nawiasem mówiąc, Sean Connery przy tej okazji powiedział: „Jeśli tak jest, to od ponad czterdziestu pięciu lat noszę damskie ciuchy”.

(Elodie, proszę, uprzedź swoich ludzi, żeby nie cytowali ostatniej części tej wypowiedzi wyrwanej z kontekstu).

10. Bruksela zmusi kierowców ciężarówek, żeby jedli musli

Unijne przepisy dotyczące zdrowia, bezpieczeństwa i przeszkolenia zawodowych kierowców weszły w życie w 2003 roku. Nie zaskoczy nikogo fakt, że w przepisach tych nie określono szczegółowo, co brytyjski kierowca ciężarówki powinien jeść na śniadanie.

Owszem, przepisy przestrzegały przed łączeniem niezdrowej diety z pracą w pozycji

siedzącej. Sugerowano też, że senność za kierownicą po ciężkostrawnym posiłku może być niebezpieczna w przypadku kierowców pojazdów o masie kilku ton.

Gdyby jednak nagłówek wspominał o tym, że Unii zależy przede wszystkim na życiu kierowców, nie byłby aż tak chwytny.

11. W myśl nowego przepisu unijnego królowa będzie musiała sama robić sobie herbatę

Oto kolejny przykład misternej dziennikarskiej roboty, czyli manipulacji faktami. Równie dobrze można by napisać: „Papież będzie musiał sam prowadzić papamobile” albo „Prezydent Francji będzie musiał sam chodzić po croissanty na śniadanie”.

Tym razem chodziło o dyrektywę w sprawie czasu pracy, która przyznaje obywatelom Unii Europejskiej prawo do tygodnia pracy w wymiarze nie większym niż 48 godzin. Jakiś reporter zdołał dotrzeć do jednego ze służących zatrudnionych w pałacu Buckingham, który powiedział, że gdyby jego 48 godzin dobiegło końca, zgodnie z prawem nie mógłby nawet przynieść królowej filiżanki herbaty.

W rzeczywistości, ma się rozumieć, w siedzibach rodzin królewskich poziom zatrudnienia rzadko kiedy jest tak krytyczny, żeby jakaś koronowana głowa zmuszona była dzwonić do restauracji po jedzenie na wynos.

(Elodie, o ile dobrze pamiętam, francuski prezydent niedawno wyskoczył sam po croissanty, a następnie zaniósł je swojej kochance, która czekała na niego w ich miłosnym gniazdku, prawda? Jeśli tak było, możesz spokojnie usunąć ten fragment z raportu. Nie chcemy stawiać waszej *Légion d'Honneur* w niewygodnej sytuacji).

12. Bruksela chce zabronić brytyjskim barmankom noszenia głębokich dekolców

Po raz kolejny kwestia ochrony pracowników została ośmieszona i posunięta do granic absurdu. Unia faktycznie wymaga, żeby pracodawcy ocenili ewentualne niebezpieczeństwo związane z pracą na słońcu przez dłuższy czas oraz zaleca używanie kremów z filtrem, nakryć głowy i ciemnych okularów. Nie zakazuje jednak barmankom noszenia bluzek z głębokimi dekolcami.

Pozytywnym aspektem całej tej historii był fakt, że jeden z atykułów w brytyjskiej prasie opłakiwał zbliżający się koniec wydekoltowanych tyrolskich strojów noszonych przez bawarskie barmanki podczas słynnego Oktoberfest – to akurat był całkiem miły przejaw europejskiej solidarności.

(Elodie, jeśli nie jesteś pewna, jak wygląda damski tyrolski strój ludowy, Jake może pokazać Ci go na zdjęciach).

13. Unia Europejska chce zmusić brytyjskich sprzedawców ryby z frytkami, żeby używali łacińskich nazw ryb

Ta plotka po raz pierwszy ujrzała światło dzienne pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, wraz z opowieścią o tym, że na etykietach mają pojawić się łacińskie nazwy orzechów i innych produktów spożywczych.

Wszystko zaczęło się od unijnych dyrektyw, które nakładały na producentów żywności i kosmetyków obowiązek wymieniania na opakowaniach produktów wszystkich składników, które mogą mieć działanie uczulające, jeśli produkt ma być eksportowany. Aby lista takich składników była zrozumiała w całej Europie, zasugerowano standaryzację nazewnictwa. Jako jedną z opcji wymieniano nazwy łacińskie. Wspomniano jednak, że najlepiej byłoby przetłumaczyć na wszystkie języki europejskie nazwy wszystkich orzechów i składników wywołujących reakcje alergiczne.

Lęk przed łaciną dotarł nawet do świata ryb, kiedy Unia wprowadziła obowiązek bardziej szczegółowych etykiet dla gotowych produktów rybnych. Na etykietach miały się pojawiać dokładne nazwy gatunków ryb, co oznaczało, że określenie „paluszki” już nie wystarczy.

Jakiś błyskotliwy dziennikarz stwierdził, że może należałoby podawać łacińskie nazwy gatunkowe, i w ten sposób powstała kolejna plotka, która szczupakiem skoczyła prosto do gazet.

(Elodie, ostatnie zdanie to mała aluzja do tego, jak podawało się kiedyś słynną brytyjską rybę z frytkami. Pomyślałem, że Ci się to spodoba – i tak uważasz, że nasze jedzenie smakuje jak stary papier z farbą drukarską).

14. Hymn Wielkiej Brytanii – *God Save the Queen* – musi być śpiewany w językach wszystkich imigrantów

To akurat jest, mówiąc potocznie, kaczka dziennikarska. Napędzanie strachu, nic więcej.

Hymny, jak wiadomo, to drażliwy temat. W 2004 roku było niemałe zamieszanie z hymnem Unii Europejskiej, czyli *Oda do radości*, kiedy to pewien Austriak nazwiskiem Peter Roland napisał nowe słowa do tej pieśni. Było tam coś o „wolności dla obywateli Europy w większej ojczyźnie”, co ostro skrytykowała prasa brytyjska z powodu rzekomego podobieństwa do ideologii sowieckiej i nazistowskiej.

W rzeczywistości jednak nowe słowa były tylko pomysłem Herr Rolanda i nigdy nie zostały przyjęte jako oficjalny tekst hymnu Unii Europejskiej.

(Elodie, dla Twojej informacji, Jake również napisał słowa do muzyki skomponowanej przez Beethovena, ale nie sądzę, żeby ten utwór miał kiedykolwiek szansę oficjalnie zaistnieć, ponieważ „radość” rymuje się tam z „nagość”, a słowo „Götterfunken” zostało zastąpione czymś, o czym przez delikatność nie wspomnę.

Och, a tak poza tym, czy to prawda, że Unia chce, aby Francja zmieniła jeden wiersz w *Marsyliance*, ten o nieczystej krwi? Podobno budzi rasistowskie skojarzenia? *Merde alors!*)

15. Bruksela mówi: zakaz sprzedaży alkoholu w tygodniu

W 2005 roku brytyjską prasę ogarnęło *delirium tremens* w związku z „tajnymi planami Unii Europejskiej”, które zakładały wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu od poniedziałku do piątku oraz państwowy monopol na handel alkoholem.

Okazało się, że źródłem tych straszliwych pogłosek był roboczy dokument zaprezentowany Komisji Europejskiej, który zawierał sugestie dotyczące zwalczania alkoholizmu, prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu, spożycia alkoholu w ciąży oraz urządzania libacji (Elodie, libacja to coś, co Ty nazywasz piciem *à l'anglaise*).

Unia Europejska ma zarówno komitet, jak i forum do spraw alkoholu, ewidentnie jest to więc przedmiot jej troski. Urzędnicy z pewnością spotykają się często przy drinku, żeby dyskutować na ten temat. Nie ma jednak planów, żeby wprowadzać jakiegokolwiek zakazy, choć alkohol wskazano jako przyczynę 25% zgonów mężczyzn w wieku od 15 do 29 lat w Europie.

Sam z pewnością zrezygnuję z libacji do 30. urodzin. Potem opilstwo statystycznie staje się mniej groźne.

16. Unia zmusi krowy, żeby nosiły pieluchy

W tym przypadku chodzi o zanieczyszczenie azotanami. Jak wiadomo, zwierzęta robią kupę. Jeśli jednak dużo zwierząt wypróżnia się na niewielkim obszarze, a kupska nie zostaną pozbierane i rozrzucone równomiernie jako nawóz, mogą przedostać się do gleby i rzek, powodując zakwity glonów na plażach i zanieczyszczając wodę pitną.

(Elodie, wiem, że Ciebie to nie obchodzi, bo i tak pijasz wyłącznie wodę butelkowaną, ale dla mnóstwa ludzi jest to problem. Naprawdę).

W 2014 roku pewien bawarski rolnik oznajmił, że zakłada swoim krowom pieluchy, bo, jak twierdził, Unia wprowadziła zakaz zanieczyszczania alpejskich pastwisk azotanami. Prasa brytyjska uchwyciła się tego i przedstawiła ten przypadek jako kolejny przykład szaleństwa Unii Europejskiej. Dziennikarze nie wiedzieli lub zignorowali fakt, że był to raczej przykład rzadko spotykanego zjawiska, jakim jest bawarski żart.

Unia Europejska w rzeczywistości ma dyrektywę azotanową z 1991 roku, która podaje, że zbiorniki wody pitnej nie mogą zawierać więcej niż 50 mg azotanów na litr wody.

Unia nie mówi jednak swoim krajom członkowskim, w jaki sposób mają chronić wodę przed zanieczyszczeniem, a słowa takie jak „pielucha”, „pampers” czy też odpowiednie tłumaczenia tych terminów ani razu nie pojawiają się w dyrektywie.

(Elodie, gdybyś chciała zmniejszyć zakwity glonów na plażach w Bretanii, „pielucha” w języku bretońskim to *trezh*).

17. Kanał La Manche ma zmienić nazwę na Staw Angielsko-Francuski

To się łączy ze wspomnianą wyżej historią o Waterloo/Trafalgar. Jak odkryła już zapewne większość Francuzów, prawie wszystkie brytyjskie nazwy geograficzne zostały wymyślone po to, by wkurzyć Francuzów. Albo odnoszą się do jakiegoś sławnego upokorzenia, albo nie da się ich wymówić (Gloucester, Leicester, Bournemouth i tak dalej).

Kanał Angielski wymyślono chyba po to, by przypominać Francuzom, czyja marynarka wojenna od zawsze była lepsza. Fakt, że Francja jest bardziej neutralna i pozostała przy nazwie La Manche (co oznacza po prostu „rękaw”), w ogóle Brytyjczyków nie przekonał. My nie nazywamy miejsc tak jak ciuchy. Robimy odwrotnie (wystarczy wspomnieć kardigan, balaklawę, bryczesy jodhpur czy koszulkę piłkarską Chelsea).

Tak czy owak, ta pogłoska pojawiła się po tym, jak pewien francuski ekonomista wspomniał o handlu w rejonie kanału – między południową Anglią a północną Francją – i nazwał ten obszar „*la zone Trans-Manche*”.

Brytyjscy dziennikarze chyba zadali sobie pytanie, czym właściwie jest „strefa

okołorękawowa” i niewiele myśląc, zaproponowali coś jeszcze bardziej prowokacyjnego niż prawda.

18. Bruksela chce objąć zakazem wspaniałe brytyjskie kiełbaski

My, Brytyjczycy, dobrze wiemy, że nasza czekolada nie jest prawdziwą czekoladą, nasz chleb jeszcze do niedawna przypominał raczej linoleum, a nasze kiełbaski to po prostu *kaoc'h*. Ale nam to nie przeszkadza. Wymyśliliśmy najbardziej znane batoniki na świecie i najbardziej pożywne menu śniadaniowe. I tylko to się liczy.

Kiedy więc Bruksela postanawia, że zawartość mięsa w kiełbaskach będzie odgórnie narzucona, a producenci nie będą mogli traktować tłuszczu jako mięsa, co w efekcie miałyby doprowadzić do poprawy jakości kiełbasek, nic dziwnego, że nie posiadamy się z oburzenia.

W rzeczywistości Unia Europejska usiłowała zakazać używania „mięsa oddzielanego mechanicznie” do produkcji kiełbasek i parówek. Mięso oddzielane mechanicznie to resztki mięsa przyłączone do skóry, kości, kopyt itp. po tym, jak wszystkie nadające się do spożycia kawałki mięsa zostały już usunięte.

Na szczęście jednak brytyjscy producenci zdołali od tamtej pory sformułować nową nazwę dla tych ledwo jadalnych ochłapów i teraz mówi się o „odścięzionym mięsie”, które może być używane do produkcji kiełbasek.

Vive le banger!

19. Brytyjskie toalety zostaną wymienione na „eurosracze”

Jak wiadomo, spłukiwana toaleta to jeden z brytyjskich wynalazków, które w istotny sposób wzbogaciły światową kulturę. Tak, Wielka Brytania dała światu Szekspira, kanapkę, ruch lewostronny i kibel.

Czasownik „*to crap*”, który po angielsku oznacza ni mniej, ni więcej, tylko „srać”, pochodzi od nazwiska wynalazcy – Thomasa Crappera.

Brytyjska prasa zatem z łatwością zdołała wywołać gównoburzę, kiedy Unia zaproponowała przepisy regulujące funkcjonowanie sławetnych brytyjskich toalet.

W rzeczywistości była to jedynie próba zmniejszenia ilości wody wykorzystywanej do spłukiwania. Projekt zakładał wprowadzenie dobrowolnych oznaczeń, którymi producenci mieliby opatrywać ekologiczne toalety. Chodziło o to, że 30% zasobów wody pitnej w przeciętnym gospodarstwie domowym spływa do toalety i marnowanie aż takiej ilości wody nie jest konieczne. (Szacunki te nie obejmują ilości wysikanej do muszli, a jedynie wodę użytą do spłukiwania).

Jedno z unijnych badań wykazało, że ograniczenie pojemności rezerwuaru oraz wprowadzenie systemu podwójnego spłukiwania mogłoby prowadzić do oszczędzenia ponad miliarda metrów sześciennych wody rocznie.

(Elodie, w Twoich kategoriach byłoby to jakieś 10 milionów basenów).

Brytyjska prasa jednak skorzystała z okazji, żeby stanąć w obronie jednego z wynalazków, które wciąż napawają nas dumą – trzeba przypomnieć, że angielskie określenie toalety funkcjonuje nawet w języku francuskim; starsi Francuzi do dziś nazywają

ubikację „le WC”.

(Elodie, może zainteresuje Cię fakt, że w Anglii już wcześniej funkcjonował wierszyk mający zachęcić ludzi do oszczędzania wody – „Jeśli żółte, niech popływa, brązowego się pozbywaj”⁴. Jeśli chcesz, poproszę Jake’a, żeby przetłumaczył go na francuski).

20. Unia chce zmierzyć, jak bardzo śmierdzą pracownicy

My, Brytyjczycy, najwyraźniej mamy kompleksy na punkcie pach. Bo niby dlaczego wciąż utyskujemy, że Francuzki nie golą się w tym miejscu (fałsz), albo że Francuzi rzadko się kąpią (Prawda. Częściej biorą prysznic, bo to o wiele bardziej higieniczne)?

W roku 1996, kiedy brytyjscy robotnicy mieli do dyspozycji jedynie dwa dezodoranty, Brut i Old Spice, prasa narobiła ogromnego smrodu wokół zapowiedzi, jakoby Unia chciała badać zapachy w budynkach.

Pogłoski pojawiły się, gdy komisja zleciła badanie wydajności energetycznej, które miało się skupić na podwójnych szybach i pozostałych technikach izolacji.

Skutkiem solidnej izolacji było, rzecz jasna, wytworzenie hermetycznego środowiska, co z kolei prowadziło do zwiększonego stężenia zapachów w domach, ale również w sklepach, biurach i fabrykach. Dezodorant urósł więc do rangi problemu ekologicznego.

Ale są też dobre wieści: od 1996 roku Anglicy się rozwinęli i młodzi ludzie poświęcają teraz mnóstwo czasu na pielęgnację skóry, usuwanie owłosienia oraz na szeroko rozumianą sztukę ciała, więc z pewnością nie mieliby nic przeciwko kampanii promującej ładny zapach.

21. Nowy przepis unijny: zużyte gadzety erotyczne należy zwracać do sklepu

To jest wyjątkowo dobry przykład twórczej nadinterpretacji i tym razem wyjątkowo nie jest on bezpodstawny. Właściwie nie zgadza się tylko jedno słowo: „należy”. Powinno być: „można”.

Zgodnie z dyrektywą w sprawie zużytego sprzętu elektrycznego i elektronicznego (WEEE – to brzmi jak radosny okrzyk, prawda? Mogliby go zachować dla dyrektywy w sprawie splukiwania toalet, byłoby zabawniej), właściciele zepsutych lub niepotrzebnych urządzeń elektrycznych mogą je zwrócić do dystrybutora, żeby zostały poddane recyklingowi.

Chodzi oczywiście o to, że napęd takiego urządzenia zwykle zawiera substancje toksyczne, zatem nie należy go wyrzucać do domowego kosza na śmieci.

Dyrektywa WEEE zawiera też punkt poświęcony „zabawkom, sprzętowi rekreacyjnemu i sportowemu” – trzeba przyznać, że to całkiem zgrabne określenie gadżetów erotycznych.

22. Unia chce, żeby wszystkie kondomy były w jednym rozmiarze – małym

Wszyscy wiemy, że jakakolwiek wzmianka o ściskaniu penisa (w celach innych niż rekreacyjne) nieodmiennie wywołuje u mężczyzn bolesny grymas i odruch zaciskania nóg.

Dowiedziano też naukowo, że czytelnicy brytyjskich brukowców są posiadaczami największych penisów. Dlatego pogłoska o zmniejszaniu kondomów okazała się podwójnie mocnym ciosem. A poza tym była wierutną bzdurą. Wzięła się zaś stąd, że Unia uznała, iż

prezerwatywy należy objąć kontrolą jakości – z tym chyba każdy przy zdrowych zmysłach się zgodzi.

Prawdziwa historia jest w gruncie rzeczy dość zabawna, bo Europejski Komitet Normalizacyjny wymyślił kilka przedziwnych eksperymentów, które miały posłużyć do testowania jakości kondomów. Doświadczenia te obejmowały między innymi „test toczenia”, w ramach którego prezerwatywę napełniano wodą, a potem toczono po higroskopijnym papierze, żeby sprawdzić, czy nie przecieka; „europejski test elektryczny”, kiedy to kondom napełniano roztworem soli, a potem testowano na wysoką lub niską oporność elektryczną (Elodie, przepraszam, ale nie rozumiem: po co rażono prądem kondomy?); oraz „test wybuchu”, czyli po prostu nadmuchiwanie prezerwatywy, aż wybuchnie – jeśli nie da się jej nadmuchać, to znaczy, że prawdopodobnie jest dziurawa.

Tym razem brytyjskie gazety mogły śmiało opublikować samą prawdę, bez upiększania – dziennikarze musieli mieć niezły ubaw, kiedy opisywali zwariowane testy, którym naukowcy poddawali nieszczęsne kondomy.

(Elodie, jeśli będziesz chciała wykorzystać ten fragment, być może przy okazji wspomnisz ludziom, że mogą sami przeprowadzić te doświadczenia przed założeniem prezerwatywy).

23. Biurokraci z Unii Europejskiej uznali, że Wielka Brytania nie jest wyspą

Ta historia łączy się z punktem 17. Kiedy wspomniany wyżej francuski ekonomista wskazał obszar handlu obejmujący północną Francję i południowo-wschodnią Anglię, ktoś w strukturach Unii Europejskiej wpadł na pomysł, żeby narysować mapę, na której połączył oba wybrzeża w obszar zwany „*Zone Trans-Manche*”.

Obudziło to pewne pierwotne, szowinistyczne zapędy. Oto Francja twierdzi, że Wielka Brytania jest częścią kontynentu, Unia chce włączyć hrabstwo Kent do Francji i tak dalej.

Te lęki podsyciło przeprowadzone przez Unię Europejską badanie na temat problemów małych społeczności wyspiarskich. We wprowadzeniu do tego dokumentu pisano, że badanie nie obejmuje wysp, na których mieszczą się stolice krajów członkowskich. To zrozumiałe, że Anglii czy Irlandii nie nazwalibyśmy małymi społecznościami wyspiarskimi. Nie można też twierdzić, że doświadczają one tych samych problemów co na przykład wioska na skale położonej u wybrzeży Bretanii.

Brytyjska prasa jednak uczepiła się tego sformułowania i zarzuciła Unii, że chce odebrać Wielkiej Brytanii status wyspy. W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie. Większość brukselskich biurokratów cieszy się, że jesteśmy wyspą i od kontynentu dzieli nas morze.

(Elodie, dla Twojej wiadomości, w kwestii włączenia hrabstwa Kent do Francji. Okazuje się, że z powodu globalnego ocieplenia klimat na południowym wschodzie Anglii zaczyna przypominać północną Francję, a we Francji robi się coraz cieplej, a to oznacza, że wkrótce wina musujące produkowane w hrabstwach Kent i Sussex będą prawdopodobnie lepsze od tych pochodzących z Francji. Dlatego francuscy producenci szampana skupują ziemię na południu Anglii. Jeśli Wielka Brytania odejdzie z Unii Europejskiej, będziemy mogli wypiąć się na unijne przepisy i nazwać nasze wina musujące angielskim szampanem. Pomyślałem, że może będziesz chciała przekazać tę informację swoim znajomym francuskim patriotom).

¹ *Go fart* (ang.) – Idź się spierdzieć (przyp. tłum.).

² W języku angielskim „łotewski” (*Latvian*) łatwo pomylić z „laotańskim” (*Laotan*), stąd konfuzja (przyp. tłum.).

³ W jęz. angielskim istnieje ordynarne wyrażenie do złudzenia przypominające nazwę tej stacji. *Cunt's wet* oznacza „mokrą cipkę” (przyp. tłum.).

⁴ Oryg. *If it's yellow let it mellow, if it's brown flush it down* (przyp. tłum.).

Przekład: Maria Jaszczurowska
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Anita Rejch, Krystian Gaik

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4298-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo